

Przejmująca historia o siostrzanej miłości,
dojrzwaniu i o śmierci

—◆—
JOYCE MAYNARD

Gdyby nie ona



JOYCE MAYNARD

Gdyby
nie ona

przełożyła
Agnieszka Andrzejewska

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE
MUZA SA

Tytuł oryginału: *After Her*

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Beata Słama*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Mariola Hajnus*

Zdjęcie na okładce

© Mark Owen/Trevillion Images

© 2013 by Joyce Maynard

Published by arrangement with HarperCollins Publishers.

All rights reserved

© for the Polish translation by Agnieszka Andrzejewska

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2015

ISBN 978-83-7758-919-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2015

Wydanie I

*Dla Laury Gaddini Xerogeanes i Janet Gaddini Cubley,
a także dla Marthy i Dany.
Powieść nie opisuje ich historii, ale została nią zainspirowana.*

*Oraz pamięci detektywa Roberta Gaddiniego
z wydziału zabójstw w hrabstwie Marin.*

Podejdz blizej...

Tak, zebyś mogła spojrzeć mi w oczy, Sharono.

(z piosenki *My Sharona*
Douglasa Fiegera i Bertona Averre,
najpopularniejszego singla zespołu The Knack z 1979 roku)

SPIIS TREŚCI

PROLOG

MOJA MAŁA, MOJA ŚLICZNA

KRĘCISZ MNIE, STRASZNIE MNIE KRĘCISZ

NIGDY NIE PRZESTANĘ

PODZIĘKOWANIA

Przypisy

PROLOG

Nieco ponad trzydzieści lat temu, w pewien czerwcowy dzień tuż przed zachodem słońca, gdy stałam na szczycie góry w hrabstwie Marin w Kalifornii, zaatakował mnie mężczyzna trzymający w rękach kawałek struny od fortepianu. Chciał mnie zabić. Skończyłam właśnie czternaście lat. On miał już na sumieniu wiele innych ofiar. Wiem, jak to jest, spoglądać komuś w oczy w przekonaniu, że jego twarz jest ostatnią rzeczą, którą widzi się w życiu.

To, że żyję i mogę opowiedzieć, co wtedy zaszło, zawdzięczam mojej siostrze. Uratowała mnie w życiu dwa razy, choć niestety ja nie mogłam zrobić tego samego dla niej.

Oto nasza historia.

Na wzgórzu, niedaleko którego dorastałyśmy, nie było zbyt dużo do roboty, w dodatku w domu nie mieliśmy kablówki. Ja i siostra zawsze lubiłyśmy, gdy coś się działo, dlatego wymyślałyśmy różne zabawy. Tylko czasu miałyśmy pod dostatkiem.

Któregoś dnia postanowiłyśmy sprawdzić, jak to jest być martwą.

Gdy ktoś jest martwy, to niczego nie czuje, stwierdziła Patty w typowy dla siebie sposób.

Ja miałam czerwoną bluzę od dresu zapinaną na zamek błyskawiczny, z kapturem i kieszeniami, w których można było trzymać gumę. Rzuciłam bluzę na trawiasty stok za naszym domem, a rękawy rozłożyłam tak, żeby przypominały ramiona kogoś przejechanego przez ciężarówkę. Rozłożyłam też kaptur, żeby było widać jak najwięcej czerwieni, jakby to była kałuża krwi.

Położ się tutaj, poleciłam siostrze, wskazując bluzę.

Mogła odmówić, jednak Patty prawie zawsze robiła to, co jej kazałam.

Nawet jeśli miała jakieś wątpliwości, zatrzymywała je dla siebie.

Położyłam się obok niej. Na tyle blisko, że po obu stronach wystawało spod nas sporo czerwonego.

Co teraz? – spytała.

Leż nieruchomo. Postaraj się, żeby twoja klatka piersiowa nie poruszała się, gdy oddychasz.

Ktoś może zapytałby dlaczego, ale nie Patty. Chodziło mi o to, żeby sama się domyśliła, i ona to rozumiała.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Dzień był gorący. Leżałyśmy.

Nos mnie swędzi, poskarżyła się.

Nie szkodzi, odparłam. Myśl o czymś innym. O czymś ciekawym.

Dla mnie oznaczało to wtedy na przykład myślenie o Peterze Framptonie albo o dzinsach, które widziałam w centrum handlowym parę tygodni temu, idealnych pod każdym względem oprócz ceny. Lub o zeszytach, które zapełniałam wymyślonymi historiami, a potem czytałam je siostrze, a ona twierdziła, że są lepsze niż seria kryminalna o Nancy Drew^[1].

Patty z kolei mogła myśleć o Larrym Birdzie^[2], wrzucającym hakiem piłkę do kosza. Albo o jakimś psie, którego lubiła. A lubiła wszystkie psy na świecie.

Widzisz tę chmurę? – spytała. Ma kształt jamnika.

Cicho bądź.

Nie wiadomo, jak dużo czasu minęło. Dziesięć minut. Może godzina. I wtedy dostrzegłam krążącego nad naszymi głowami sępa. Potem pojawiły się jeszcze dwa. Fruwały wysoko, jednak tak się ustawiły, że jasne było, iż obrały sobie nas za cel. Krążyły dokładnie nad miejscem, w którym leżałyśmy.

Co robimy? – zapytała Patty.

Ćśś. Nie ruszaj się.

Do tych trzech dołączyły dwa kolejne ptaki. Zacieśniały kręgi, jakby namierzały ofiarę. Zniżały lot, zbliżając się do nas.

A jeśli będą chciały wydłubać nam oczy?

Nie odpowiedziałam. Właśnie o to chodziło w całej zabawie, żeby sępy nas dostrzegły. Siostra powinna to wiedzieć, i chyba wiedziała.

Sępy już zaczęły nurkować, wrzeszcząc okropnie. Jeszcze bardziej zacieśniały kręgi nad nami. Wrzeszczały nie tyle do mnie i Patty, ile do siebie nawzajem. Może kłóciły się o to, który wydłubie nam oczy?

Nagle usłyszałyśmy pojedynczy krzyk. Nie dobiegł ze stada, to krzyczał sęp, którego do tej pory nie widziałyśmy. Znajdował się nieco dalej, ale mierzył prosto w nas. Atakował jak strzała, jego dziób i szpony wymierzone były w nasze twarze.

Tym razem nie musiałam podpowiadać siostrze, co robić. Zerwałyśmy się z krzykiem i puściłyśmy biegiem w dół wzgórza, w stronę naszego domu. Nie było czasu, żeby zabrać bluzę, choć później, gdy ptaki odleciały, wróciłyśmy po nią zdyszane. Podtrzymywałyśmy się nawzajem i krzyczałyśmy, ile sił w płucach. Na wzgórzu można robić dużo hałasu. To fajne uczucie. Zawsze szukałyśmy pretekstu, żeby sobie trochę powrzeszczeć.

Później, gdy już mogłyśmy normalnie oddychać, położyłyśmy się w ogródku i przeżywałyśmy wszystko jeszcze raz.

Ja poczułam, jak pióra musnęły mi ramię, powiedziałam.

Ja czułam na twarzy wiatr, jaki robiły, machając skrzydłami, rzekła siostra. Jak ciepły oddech.

Teraz już wiesz, jak to jest być martwym.

Może nie całkiem martwym, ale prawie.

Tak to zapamiętałam. Mogę się mylić. Jako dziecko miałam bujną wyobraźnię i talent do wymyślania historii, a były one tak dobre, że czasem sama w nie wierzyłam.

I wiecznie szukałam dreszczyku emocji, aż w końcu go znalazłam.

MOJA MAŁA, MOJA ŚLICZNA

Miasteczko, w którym wychowałam się z siostrą, leżało w cieniu góry Tamalpais, na północ od San Francisco. Nasze starzejące się osiedle przy Morning Glory Court usytuowane było nieopodal zjazdu z autostrady 101, dwanaście kilometrów na północ od mostu Golden Gate. Do San Francisco jeździło się autobusem; most wyznaczał przejście do innego świata, choć wiedziałyśmy też, że niektórzy ludzie przychodzili tam, by z niego skoczyć. Dla nas miasto było równie nieosiągalne jak księżyc.

Nasz ojciec pochodził z dzielnicy North Beach w San Francisco, ojczyzny prawdziwego sosu pomidorowego, jak nam powtarzał. To tam zjechali się hipisi na lato miłości i tam Janis Joplin spacerowała ulicami dzielnicy Haight, tam jeździły tramwaje, a szalona Lombard Street wiła się między ślicznymi, pastelowymi wiktoriańskimi domkami. Tam inna Patty, Patty Hearst, kilka lat wcześniej weszła do banku z karabinkiem M1 jako członkini Symbiotycznej Armii Wyzwolenia.

W późniejszych czasach domy po drugiej stronie autostrady kupowały gwiazdy rocka, ale w okresie, o którym mówię, nie było to jeszcze modne miejsce. Dopiero potem ludzie zaczęli otaczać swoje domostwa wysokimi ogrodzeniami i umieszczać tablice informujące potencjalnych włamywaczy o zainstalowanych systemach bezpieczeństwa. Ale wtedy były inne czasy, czasy, gdy jeszcze sobie ufano. Podwórek nie dzieliły wyraźne granice, płoty ani ogrodzenia, więc dziewczynki takie jak my mogły biegać z jednego końca ulicy na drugi, stopą obutą w tenisówkę nie dotknąwszy ani razu asfaltu. Sąsiedzi odwiedzali się nawzajem i prawie nikt nie zamykał drzwi na klucz.

Nasz dom pod numerem siedemnastym był najmniejszym domem przy tej ulicy. Mieścił dwie niewielkie ciemne sypialnie, salon o niskim stropie oraz kuchnię, którą poprzedni właściciele ozdobili zielonym laminatem i pasującymi kolorystycznie sprzętami barwy awokado, z których praktycznie żaden nie działał jak należy. Ściany salonu wyłożone były boazerią, co prawdopodobnie miało stwarzać wrażenie przytulności, jednak nie stwarzało.

Nasi rodzice kupili ten dom w 1968 roku, gdy miałam dwa lata, wkrótce po narodzinach mojej siostry. Było to najlepsze, na co mogli sobie pozwolić

z pensji policjanta. Mama twierdziła, że hrabstwo Marin nadaje się do wychowywania dzieci, choć ojciec pracował w mieście – to znaczy w San Francisco. Był jeszcze wtedy policjantem z patrolu, nie z dochodzeniówki. Na ile go znam, musiał być zadowolony, że pracuje z dala od domu, że oddziela go od niego ten czerwony most, który uwielbiał. Komuś takiemu jak on odpowiadało to, że siedzimy sobie bezpiecznie we trzy w małym bungalowie, podczas gdy on jest gdzie indziej w pracy i ratuje ludzi.

Dziś nikomu nie przyszyłoby do głowy budować osiedla dla rodzin o niskich dochodach w takim miejscu jak to, gdzie stał nasz dom. Ten teren zostałby zarezerwowany na rezydencje o powierzchni sześciuset metrów kwadratowych, w których byłyby baseny, kuchnie na wolnym powietrzu i drogie meble na patiach. Wybudowano by garaże na trzy miejsca, w których stałyby auta europejskich marek.

Jednak w czasach, gdy stawiano domy (prawdopodobnie w latach czterdziestych, po wojnie) przy Morning Glory Court i sąsiednich ulicach (Bluebell, Honeysuckle, Daffodil, i mojej ulubionej – nazwanej pewnie od imienia żony przedsiębiorcy budowlanego – Muriel Lane), priorytetem nie było jeszcze usytuowanie w pobliżu otwartych przestrzeni i pięknych widoków. Wówczas można było mieć tak niewiele pieniędzy jak nasza rodzina, a mimo to mieszkać w domu, którego tył wychodził na kilka tysięcy akrów niezabudowanej przestrzeni. Naszym placem zabaw była więc cała góra. Moim i mojej siostry.

Przez pierwsze pięć lat życia Patty prawie się nie odzywała, a jeśli już, to tylko do mnie. To nie znaczy, że nie umiała mówić. Znała słowa. Nie miała wady wymowy. Na większość tematów wyrobiła sobie własne zdanie – nie tylko takich jak psy czy koszykówka, ale również jeśli chodzi o rzeczy nie lubiane, na przykład potrawy koloru czerwonego (poza sosem pomidorowym), ubrania, których metki drapały ją w kark, czy sukienki. Wcześniej zaczęła wykazywać rubaszne poczucie humoru, szczególnie dotyczące wszystkiego, co miało jakiś związek z częściami ciała czy tym, co się robi w toalecie. Bekanie stanowiło dla niej źródło nieustającej radości. Jeśli ktoś puścił bąka – szczególnie jakaś wystrojona kobieta lub mężczyzna w garniturze – była zachwycona.

Jednak gdy ktoś zwrócił się do niej z jakimś pytaniem – inne dziecko, przedszkolanka czy nasi rodzice – nie odzywała się, chyba że ja byłam przy

tym obecna, a wtedy szeptała mi do ucha odpowiedź, pozostawiając przekazanie jej światu mnie. Byłam małą, więc przez długi czas nie wiedziałam, że pięcioletnie dziewczynki mają na ogół dużo do powiedzenia. Nie zdawałam sobie sprawy, że w przypadku innych młodszych sióstr może być inaczej.

Gdy szłyśmy z matką do banku i kasjerka pytała Patty, jakiego chce lizaka, siostra szeptała mi odpowiedź na ucho, a ja odpowiadałam za nią głośno. Zielonego. Kiedy dzieci wołały za nią „zęby jak królik!” z powodu jej wady zgryzu, nie reagowała, a gdy na naszej ulicy jakiś chłopiec podszedł do niej i domagał się, żeby dała mu swoją zabawkę, robiła to bez protestów. Ale jeśli którykolwiek z tych chłopaków naśmiewał się ze mnie (z powodu za ciasnych ubrań, z których już wyrosłam, albo gdy nie umiałam uderzyć piłki podczas sporadycznych zabaw z dziećmi z sąsiedztwa), ona potrafiła zaatakować winowajcę (bez słowa) jednym z chwytów dzu-dzitsu, których nauczył nas ojciec. Raz, kiedy mama zabrała nas na przedstawienie kukielkowe do biblioteki i jakiś chłopak zajął miejsce, które dla mnie trzymała, wsadziła mu łokieć w brzuch i doprawiła kopniakiem, po czym z triumfem posadziła mnie obok siebie. Wszystko odbyło się w całkowitym milczeniu.

Można by pomyśleć, że jest nieśmiała, ale gdy siedziałyśmy w naszym pokoju, ujawniał się jej prawdziwy charakter, czego świadkiem byłam tylko ja. Patty zaczynała tańczyć w samej bieliźnie lub naśladowała swoją nauczycielkę, panią Eggert, jak przygotowuje klasę na przegląd pup przez szkolną higienistkę, gdy panowała grzybica. Jej ulubioną zabawą było udawanie szczeniaka: wysuwała język i kręciła pupą, machając wyimaginowanym ogonkiem.

Moja siostra bywała szalona. Potrafiła skoczyć z górnego łóżka na przygotowaną wcześniej stertę poduszek, która okazała się niewystarczającą amortyzacją przy lądowaniu. Widziałam wyraz jej twarzy, gdy uderzyła o podłogę, i wiedziałam, że musiało ją zboleć, ale ona nigdy nie płakała.

Czasem mówienie za Patty wymagało ode mnie tylko wyjaśnienia, że chce musztardę do kanapki albo jaki smak lodów woli. Ona przekazywała mi informacje dziwnie ochrypłym głosem, tak cicho, że tylko ja ją słyszałam. Ja wypowiadałam jej słowa głośno.

Patty nie przepada za lalkami, poinformowałam mamę, gdy siostra odpakowała swój prezent gwiazdkowy – płaczącą lalkę z wyprawką. Mówi, że ta jest słodka i jej zdaniem spodobałaby się mnie. Ona wolałaby piłkę do koszykówki albo małą świnkę.

Tak naprawdę marzyła oczywiście o psie, jednak mama nie chciała o tym słyszeć.

Tu jedna ciekawostka: mimo że Patty w tamtym okresie tak niewiele mówiła, a i w późniejszych latach była bardzo małomówna, miała bardzo mocny głos. Nie wysoki i piskliwy, jak niektóre dziewczynki, ale zaskakująco niski i dźwięczny, który dobrze niósł się na odległość. Mama mawiała czasem – gdy wybierałyśmy się na wycieczki rowerowe, podczas których żywo dyskutowałyśmy – że pięć minut wcześniej wie, że Patty wraca do domu. Rodzice utrzymywali, iż z mocnego głosu słynęła już jako niemowlę.

Rachel ma normalny głos, mówił ojciec o mnie, ale gdy Patty zacznie się drzeć, słysząc ją chyba aż w Eurece. To cud, że bębenki mi jeszcze nie popękały.

Nie pamiętam obrazów z dzieciństwa (mówię o mojej pamięci, nie o albumach ze zdjęciami – do ich założenia mama jakoś nigdy się nie zabrała), na których nie byłoby Patty. Prawie zawsze, gdy myślę o nas dwóch, obejmujemy się albo jej głowa leży na moim ramieniu, czy raczej (ponieważ ona bardzo szybko urosła) moja na jej. Gdyby zdjęcie zostało zrobione po szóstym czy siódmym roku życia Patty, można by się założyć, że jej usta byłyby zamknięte, bo ukrywałaby zęby. Jednak gdy ja wyglądam na zmartwioną, moja siostra zwykle się uśmiecha.

W tamtych czasach nie używano jeszcze powszechnie słowa „depresja”, jednak sądzę, że obie zaczęłyśmy wyczuwać dość wcześnie, że nasza mama jest krucha, że ma za mało sił, by zmagać się z życiem. To był czas, gdy ojciec zaczął szkołę wieczorową – jeśli chciał zostać śledczym, musiał skończyć studia. Od kiedy wstąpił do policji, pragnął pracować w wydziale zabójstw. Nie interesowały go mandaty za nieprawidłowe parkowanie, drobne występki i kradzieże. Być może zobaczył w kinie detektywa granego przez Williama Holdena, Humphreya Bogarta czy Roberta Mitchuma i ten

obraz do niego przemówił. To do niego pasowało: wzorować się na bohaterze filmowym, ale działać w prawdziwym życiu.

Dni spędzał więc w pracy w San Francisco, a wieczory w szkole. Niewątpliwie było mu ciężko, ale to, co robił, miało prestiż. Uczył się psychologii i sekretów medycyny sądowej, a mama siedziała w domu z dziećmi. A znając naszego ojca, po zajęciach raczej nie wracał jak na skrzydłach do domu. W akademii policyjnej na pewno było parę studentek. A w klubach, do których chadzał po szkole, z całą pewnością pracowało dużo kelnerek.

Ojciec zawsze lubił uszczęśliwiać kobiety, powiedziała mi raz mama. Jej głos nie brzmiał jakoś szczególnie cierpko, było w nim tylko znużenie i rezygnacja, stwierdzenie faktu, który i tak nie był dla mnie nowością. Możliwe, że na swój dziwaczny sposób ojciec czuł, że powinien rozsiewać szczęście. Żeby wiele kobiet było bardzo szczęśliwych. (W każdym razie przez chwilę).

Być może problem między moimi rodzicami polegał na tym, że ze wszystkich tych kobiet mama była jedyną odporną na romantyczne sztuczki ojca. Mężczyźni przywykłemu do oczarowywania żeńskiej populacji w całym rejonie zatoki San Francisco musiało to podcinać skrzydła. Mama przede wszystkim była bardziej inteligentna niż tamte kobiety. Zachowywała też chłód i nie reagowała na komplementy. Ceniła szczerść. Słodkie słówka nic nie dadzą, jeśli dopuścisz się zdrady. Jedno kłamstwo i ją straciłeś.

Wraca do mnie scena z wczesnego dzieciństwa: ojciec przychodzi z pracy, wiruje z mamą po kuchni, odwiązuje jej fartuch i obejmuje w talii, by mocno pocałować ją w usta. (Naprawdę to pamiętam, czy stworzyłam sobie takie wspomnienie, bo pragnęłam, żeby tak było?) Mocno ją przytulił.

Ładna ta woda kolońska. Mama się odsunęła. Jakaś nowa?

Nawet na niego nie spojrzała, zawiązała tylko troczki fartucha ze zmęczonym spojrzeniem, które zdawało się mówić: „Szkoda twojego zachodu”.

Po jakimś czasie przestał próbować.

Ojciec dostał kilka medali za służbę w policji patrolowej, jednak najbardziej uwielbiał pracę w dochodzeniówce. Tu chodzi głównie o psychologię, opowiadał nam. O rozszyfrowanie czyjegoś charakteru. To właśnie robił jego ojciec dawno temu w North Beach, gdy strzygł klientom włosy i słuchał ich opowieści. Nie różniło się to tak bardzo od pracy mojego ojca, który sprowadzał przestępcę do pokoju przesłuchań z zamiarem skłonienia go, żeby się przyznał.

Przede wszystkim trzeba zrozumieć, jaki jest mechanizm zachowań danego człowieka. Potem można się dostać do jego wnętrza, niczym zegarmistrz.

Wśród oficerów śledczych w wydziale zabójstw hrabstwa Marin – i poza nim, w rejonie zatoki San Francisco, a może nawet jeszcze dalej – wiadomo było, że nikt nie potrafi tak szybko złamać sprawcy przestępstwa jak Anthony Torricelli.

Jego własna matka mogłaby skrywać tajemnicę i przysięgać, że zabierze ją ze sobą do grobu, powiedział mi raz jego kolega Sal, ale po dziesięciu minutach spędzonych w pokoju przesłuchań z Tonym zaczęłyby szlochać w chusteczkę i wyznałaby, że uprawiała seks z mleczarzem. Taki był w tym dobry.

Nie tylko dobry. Najlepszy.

Jedną z umiejętności, którą musi mieć ktoś, kto chce być pierwszorzędnym oficerem śledczym, mówił nam ojciec, jest umiejętność uważnego obserwowania. Trzeba wiedzieć, jakie zadawać pytania i jak słuchać padających odpowiedzi. Trzeba się orientować, czy rozmówca wciska nam jakieś niestworzone historie, oraz wiedzieć, czego nie powiedział.

Jednak przede wszystkim należy umieć wychwytywać inne sygnały poza tym, co sprawca nam mówi (sprawca lub sprawczyni; przecież kobiety także bywają kryminalistkami, a nie tylko przedmiotem uwielbienia).

Trzeba odczytywać mowę ciała. Czy przestępcy są w stanie patrzeć nam w oczy, zeznając, gdzie byli wczoraj w nocy? Co oznacza oparcie dłoni na biodrze, założenie nogi na nogę i szybkie jej zdjęcie? Czy twierdząc, że nigdy nie słyszeli o facecie nazwiskiem Joe Palooka, który sprzedaje kokainę w Hunters Point, skubią rękaw ubrania? Dlaczego mają paznokcie obgryzione do żywego mięsa? Wdowa po panu X może i jest spowita w czerń, ale dlaczego trzy dni po pogrzebie na jej szyi widnieje malinka?

(Tego ostatniego, szczerze mówiąc, ojciec nigdy nie powiedział w obecności mojej czy siostry. Podśluchałam to, gdy ścinał włosy Salowi i wyjaśniał mu, jak rozwiązał sprawę, w której żona jakiegoś bankiera nakłoniła kochanka, żeby wykończył jej męża dla pieniędzy z ubezpieczenia. Ojciec zapominał czasem, że co najmniej jedna z jego córek odziedziczyła po nim cechy dobrego detektywa. Niedaleko pada jabłko od jabłoni: ja jestem niezwykle spostrzegawcza).

Ojciec nie przestawał być spostrzegawczy nawet wtedy, gdy schodził z dyżuru, jeśli w ogóle można powiedzieć, że kiedykolwiek z niego schodził. Przede wszystkim zwracał uwagę na kobiety, ale nie w taki sposób jak niektórzy mężczyźni: nie gapił się na ich piersi, nie taksował wielkości ich pupy, szczerząc przy tym zęby. On słuchał, co kobieta, z którą rozmawiał, ma do powiedzenia, i wydawało się, że traktuje to bardzo poważnie. Może i pragnął zobaczyć ją nagą, ale chciał też masować jej stopy lub dotykać skóry po wewnętrznej stronie nadgarstka. Wypytywał ją o dzieci, jeśli je miała, jednak wyraźnie dawał do zrozumienia, że w jego oczach kobieta nigdy nie jest wyłącznie matką. Mogła mieć osiemdziesiątkę, a on i tak potrafił zobaczyć w niej dziewczynę. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdarzyło się, że poznając jakąś kobietę, nie wyobrażał sobie, jak by mu z nią było w łóżku.

Raz byliśmy w sklepie spożywczym. Ojciec kupował papierosy, swoje ulubione lucky strike'i.

Niech pani się nie rusza! – powiedział do sprzedawczynie tonem nieznoszącym sprzeciwu. Mogła pomyśleć, że to napad.

Sięgnął przez ladę i na moment jego dłoń prawie znikła w jej włosach. Gdy ją wyjął, trzymał w niej kolczyk. Tak małeńki, że trudno było uwierzyć,

że w ogóle go dostrzegł.

Sztyft musiał odpaść, stwierdził. Nie chciałem, żeby go pani zgubiła.

Kobieta stała, w jednej ręce ściskając mały złoty krzyżyk, drugą trzymając się za nagi płatek ucha.

Gdy już zaczniesz chodzić na randki, to nie spodziewaj się, że znajdziesz faceta takiego jak on, powiedziała mi raz jedna kelnerka, gdy ojciec zabrał nas pewnego wieczoru do restauracji Martin Joe's (to była nasza tradycja). Bo takich nie ma wielu.

Nasza mama powiedziałyby: całe szczęście.

Miał zdolności fryzjerskie, które odziedziczył po ojcu. Uwielbiał nas czesać. Strzygł jak zawodowiec, używając nożyczek, które dostał w spadku po zmarłym tacie.

Czasem myślę, że powinienem był zostać damskim fryzjerem, mawiał, choć w gruncie rzeczy nigdy by się tym nie zadowolił. To nie jest złe zajęcie dla mężczyzny, całymi dniami czesać włosy kobietom, zamiast ścigać jakąś bandę szumowin.

Najpierw nalewał do umywalki szampon. Zanim zaczynał polewać nam głowy, sprawdzał temperaturę wody, zanurzając w niej nadgarstek. Gdy mył nasze włosy, czułyśmy się, jakby robił nam masaż. Używał specjalnego szamponu z miętą, który lekko szczypał w skórę. Potem zawsze szukałam tylko takiego.

Nastawiał jakąś płytę. Mógł to być Dean Martin, ale również Tony Bennett czy Sinatra. Ojciec czasem śpiewał razem z nimi, choć nigdy wtedy, gdy zaczynał ścinać włosy, bo wtedy musiał być bardzo skoncentrowany. I mieć bardzo pewną rękę.

Ustawiał krzesło w ogrodzie. Gdy byłyśmy małe, wynosił tę, nad której włosami danego dnia pracował, na dwór, z ręcznikiem na ramionach. Cofał się nieco, żeby nam się przyjrzeć, jakbyśmy były obiektami, które ma malować. Następnie zaczynał strzyżenie.

Śpiewał jak Dean Martin, przynajmniej tak to brzmiało w moich uszach, i znał słowa wszystkich jego piosenek, łącznie z tymi włoskimi.

Ojciec potrafił robić pewną sztuczkę, której nie umiał powtórzyć nikt, kogo później znałam. Coś tak dziwnego i niezwykłego, że nawet trudno to opisać.

Ja lub moja siostra siadałyśmy obok niego na kanapie. Może robił to kiedyś z mamą, ale jeśli nawet, to te dni dawno minęły.

Nagle, bez ostrzeżenia, wrywał nam włos z czubka głowy tak zręcznie, że nigdy nie bolało. Od wczesnego dzieciństwa nosiłyśmy długie włosy, miał więc pole do popisu. Nasze włosy były czarne, tak jak jego.

Nigdy nie było wiadomo, kiedy to robi. Człowiek siedział obok ojca, oglądając telewizję czy czytając książkę, i nagle czuło się to lekkie gwałtowne pociągnięcie, nie bardziej bolesne niż ukłucie. Spoglądało się na niego, a on skręcał w palcach włos. Jego palce poruszały się tak szybko, że nigdy nie mogłam pojąć, jak on to robi. Ale parę minut później brał nas za rękę i na przedramieniu – oliwkowej barwy, tak jak jego – kładł swoje dzieło: pająka uplecionego z włosa.

Prośby, żeby to zrobił, nigdy nic nie dawały. Czasem mijały całe miesiące bez pajączka, a któregoś dnia nagle się pojawiał. Pajączki były tak małe i delikatne, że nie sposób było ich zatrzymać. Mógł je zdmuchnąć jeden oddech. Lub dym z papierosa wypuszczany przez ojca.

Za pierwszym razem, gdy zrobił mi pajączka i go zgubiłam, zaczęłam płakać.

Nie martw się, malutka, pocieszył mnie, będziesz ich w życiu miała jeszcze wiele. Przez zadziwiająco długi czas byłam przekonana, że tak właśnie będzie wyglądać moje życie – że mężczyźni będą robili dla mnie magiczne sztuczki.

O wiele później, w wieku dwudziestu kilku lat, gdy poznałam mężczyznę, o którym przez krótki czas myślałam, że zostanie moim mężem, zapytałam go, czy umie robić pajączki.

Pajączki? – Nie miał pojęcia, o czym mówię.

No wiesz, z moich włosów.

Naprawdę przez długi czas sądziłam, że to musi być coś, co robią wszyscy mężczyźni dla ukochanych kobiet. Dla córek, narzeczonych czy żon.

Jednak robił to wyłącznie mój ojciec. Był prawdopodobnie jedyną osobą

w historii całego świata, która posiadała tę umiejętność.

Patty i ja po prostu ubóstwialiśmy ojca. Jeszcze gdy byliśmy zupełnie małe, nauczył nas zapasów i udzielał lekcji chwytów samoobrony, żebyśmy mogły się bronić przed niechcianymi zalotami chłopaków, którzy, jak nam wmawiał, będą uganiał się za nami przez całe życie. Robił kąpiele w pianie, a gdy weszliśmy już do wanny, zapalał świece. Nastawiał Sinatrę i uczył nas wolnych tańców, a my stawałyśmy na palcach na jego lśniących czarnych butach.

Jeśli kobieta ma odpowiedniego partnera do tańca, mówił, powinna zamknąć oczy i pozwolić mu się zabrać na koniec świata. Ale należy wystrzegać się mężczyzn o wiotkich dłoniach. Powinnyśmy czuć na plecach silny nacisk, a druga ręka partnera ma mocno opierać się o twoją, kiedy on prowadzi w tańcu. Miło jest, gdy mężczyzna wdycha zapach naszych włosów – cenimy męczyznę zmysłowego – ale nie życzymy sobie jego dłoni na naszej pupie. A jeśli nie odprowadzi nas po zakończonym tańcu do stolika, to był wasz ostatni taniec. Jednak z drugiej strony, czy jakikolwiek mężczyzna może przestać tańczyć z którąś z panien Torricelli?

Nigdy nie pozwalajcie, żeby mężczyzna okazał wam brak szacunku, mówił. Zasługujecie na to, by traktowali was jak księżniczki.

Gdy nam to wszystko mówił, nie miałyśmy jeszcze, odpowiednio, sześciu i ośmiu lat. Co mogłyśmy wtedy wiedzieć o miłości, romantyzmie czy o okrucieństwie i odrzuceniu? Tak czy inaczej, zapamiętywałyśmy jego słowa, zapisywałyśmy je w sobie na później.

Nigdy na nas nie krzychał. Nie musiał. Jeśli któraś z nas postępowała niewłaściwie, wystarczyło jedno jego spojrzenie, a natychmiast przestawała.

Często pracował do późna, ale jeśli wracał do domu w miarę wcześnie, to on przygotowywał kolację. Zawsze był wtedy w użyciu czosnek – jego duże, piękne dłonie siekały go drobniutko i smażyły na niewielkiej ilości dobrej oliwy. Sos przygotowywał od początku do końca sam, makaron też (rozwieszał go w całej kuchni jak pranie), do tego klopsiki według przepisu jego ojca. Twierdził, że umie mówić po włosku i niekiedy podczas gotowania wypowiadał obco brzmiące słowa, ale w którymś momencie zorientowałyśmy się, że je wymyśla.

Po skończonym posiłku, jeśli chciał ziewnąć, rozkładał ręce, otwierał usta na całą szerokość i wydawał ryk. Zwijałyśmy się w kłębek na sofie obok niego, żeby pooglądać razem telewizję – jego ulubione *The Rockford Files* – a on masował nam stopy. Gdy byłyśmy już śpiące, zanosił nas do łóżek, po jednej na każdym silnym ramieniu, po czym siadał w ciemności i nam śpiewał.

Mama przeważnie zostawała w domu. Gdy ojciec miał wolny dzień, wsiadałyśmy do samochodu – miał fotele na całą szerokość, zanim tata kupił alfę romeo – tak że obie z Patty mogłyśmy siedzieć z przodu. Jechaliśmy najbardziej krętymi drogami. Samochód miał ręczną skrzynię biegów i ojciec brał zakręty jak kierowca rajdowy, co budziło we mnie marzenia, żeby zostać kiedyś takim w przyszłości.

Nie mówcie mamie, proszę. To był jego stały tekst, gdy na prędkościomierzu pojawiała się sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Oczywiście nigdy go nie wydałyśmy.

Kiedyś zabrał nas do Candlestick Park na mecz San Francisco Giants.

Widzicie tego gościa na pierwszej bazie? – zapytał. Z numerem czterdzieści cztery? Dobrze mu się przyjrzyjcie. Przez resztę życia możecie opowiadać ludziom, że widzieliście, jak gra Willie McCovey.

Raz, gdy stałyśmy z ojcem w kolejce w supermarkecie, jakiś mężczyzna tuż przed nami zaczął besztać swoją żonę czy dziewczynę.

Stul pysk, bo pożałujesz! – krzyczał do niej.

Wtedy ojciec wyszedł z kolejki i stanął z nim twarzą w twarz.

Czujesz się ważniejszy, znęcając się w ten sposób nad kobietą? – zapytał.

Weźcie sobie do serca to, co wam teraz powiem, dziewczynki, rzekł do nas później, na parkingu. Normalnie nie użyłbym takiego słowa, ale musicie dobrze to zrozumieć: nigdy nie pozwólcie żadnemu mężczyźnie się opieprzać. Jeden taki numer z jego strony i znikacie.

Zabierał nas na przejażdżki tramwajem i na kolacje do „dorosłych” restauracji, a nie do McDonalda czy Chuck E. Cheese. W prezencie dawał nam gardenie, nagrania na singlach, które jego zdaniem mogły nam się podobać, albo pierścionki z kamieniem związanym z naszą datą urodzin. Raz wziął nas na podwójny seans dwóch swoich ulubionych filmów z Jamesem

Bondem – *Operacja „Piorun”* i *Goldfinger*. To miała być tajemnica, ale gdy wróciliśmy do domu, Patty powiedziała mamie, że chce dostać kotkę i nazwać ją Pussy Galore.

Mama była kiedyś, przez krótki czas, obiektem adoracji ojca, jednak dość prędko jego priorytety się zmieniły, ona natomiast pozostała przy tradycyjnych wartościach. Trudno powiedzieć, które z nich pierwsze zrezygnowało z tego drugiego, ale to się stało, i wtedy nie było już odwrotu. Mama musiała widzieć, jak on jej się wymyka niczym kawał góry lodowej, który odłamuje się i odpływa w morze, by później utworzyć zupełnie nowy kontynent – i nie mogła nic zrobić, tylko stać i patrzeć, jak znika.

Wyprowadził się z domu, gdy ja miałam osiem lat, a Patty sześć. Wynajmował mieszkanie w mieście, stało w nim składane łóżko dla mnie i Patty. Miałyśmy go odwiedzać, ale ostatecznie prawie nigdy tego nie robiłyśmy. Zostałyśmy w starym domu pod numerem siedemnastym, z ciasnymi, ciemnymi pokojami i cienkimi ścianami, przez które przenikał szum samochodów na autostradzie, a robienie czegoś w tajemnicy było niemożliwe. To dzięki tym zbyt cienkim ścianom poznałam przyczynę odejścia ojca. Oczywiście była to kobieta. Margaret Ann.

Gdy ojciec jeszcze z nami mieszkał, jadaliśmy kolację zawsze o tej samej porze. Ojciec zajmował się gotowaniem i dom wypełniały cudowne zapachy: cebuli z oregano duszonej w sosie pomidorowym i oczywiście czosnku. Na stole pojawiało się czerwone wino i świece, nawet w dni powszednie. I obowiązkowo muzyka.

Po wyprowadzce ojca mama próbowała przez jakiś czas gotować, ale dość szybko dała sobie spokój. Pozostawało nam podgrzewanie mrożonych dań obiadowych czy zupy. Najlepiej było, gdy ojciec zabierał nas do naszej ulubionej restauracji Marin Joe's, gdzie mieliśmy swój stolik i wszystkie kelnerki wiedziały, co zamówimy: spaghetti z sosem marinara, chleb czosnkowy, tiramisu.

W naszym życiu przy Morning Glory Court zawsze brakowało pieniędzy. Musiałyśmy przywyknąć do tego, że nie możemy oglądać telewizji. Miałyśmy wprowadzić starego zenitha, ale służył tylko jako stojak na rośliny, stosy książek, które mama przynosiła z biblioteki, i rachunki, w większości nieotwarte (aż pojawiały się kolejne, z jeszcze większymi czerwonymi literami na kopercie: *Ostatnie wezwanie do zapłaty*).

W tych pierwszych dniach, gdy odłączono nam kablówkę, moja siostra narysowała obrazek dokładnie wielkości ekranu i przykleiła go z przodu telewizora. Przedstawiał prezentera telewizyjnego, z którego ust wychodził dymek ze słowami: *Prawdziwa tragedia* (pisownia Patty). *Panny Torricelli nie mogą już oglądać swoich ulubionych programów! Wredna matka mówi: A OD CZEGO MACIE WYOBRAZINIE?* Teraz nawet rysunek Patty był ledwie widoczny, bo liście filodendrona oplotły telewizor, zwieszając się aż do podłogi.

Perspektywa życia bez telewizji wydawała się przez chwilę straszna, jednak znalazłyśmy sobie coś lepszego. Wymyśliłyśmy rytuał, który nazwałyśmy kinem dla zmotoryzowanych. Gdy zapadł zmrok – jesienią i na wiosnę wcześniej, w lecie później – urządziłyśmy wędrowkę po podwórkach domów przy Morning Glory Court, aż znalazłyśmy taki, w którym oglądano telewizję. Ta część nigdy nie była trudna. We wszystkich domach przy naszej ulicy były takie same panoramiczne okna, a dokładnie naprzeciwko nich stał

telewizor, przodem do zbocza góry. Należało tylko trafić na taki, który nastawiony był na nasz ulubiony kanał, usiąść i oglądać.

Najczęściej zajmowałyśmy pozycję na podwórku sąsiadów, starszych państwa, Helen i Tubby'ego. To, co oglądali, nie zawsze zgadzało się z naszym gustem, jednak mieli największy telewizor, dzięki czemu łatwiej było nam rozpoznać twarze na ekranie.

Rozkładałyśmy koc – ten, który dawniej zabierało się na pikniki, kiedy jeszcze rodzice byli razem i spędzaliśmy niedziele w parku Golden Gate. (A może to zdarzyło się tylko raz, w każdym razie to zapamiętałyśmy). Jeżeli było chłodno, a o tej porze dnia już przeważnie było, przytulałyśmy się do siebie i owijałyśmy kocem. Jeśli znalazłyśmy w domu chipsy lub słone krakersy, takie które ludzie dodają do zupy (choć w przypadku naszej mamy czasem służyły za całe śniadanie), zabierałyśmy je ze sobą, żeby chrupać podczas oglądania.

Najbardziej lubiłyśmy *Aniołki Charliego*, niestety, Tubby i Helen rzadko oglądali ten serial. Po śmierci Tubby'ego Helen zaczęła wyraźnie preferować *Domek na prerii*, który okropnie nas irytował. Ale czasem włączała też powtórki *Brady Bunch*. Serial zaczynał się o dwudziestej, a my już czekałyśmy na wzgórzu.

Żeby dostrzec z zewnątrz postacie na ekranie, trzeba było mrużyć oczy, jednak doskonale wiedziałyśmy, jak wyglądają bohaterowie, więc nam to nie przeszkadzało. Widziałyśmy dziewięć uśmiechniętych twarzy, Mike'a i Carol Bradych, ich sześciorga dzieci i gosposi, z których każde zajmowało osobne pole szachownicy w czołówce widocznej na ekranie telewizora Helen. Nie słyszałyśmy oczywiście ścieżki dźwiękowej, ale mogłyśmy się z grubsza zorientować, o co chodzi, i dośpiewać sobie resztę.

Cindy ma chyba jakieś kłopoty, zwróciłam się do Patty podczas jednej ze scen. Niezbyt poważne.

Zawsze wiedziałyśmy, że jakoś z nich wyjdą. W naszej wersji serialu, w której same tworzyłyśmy dialogi do niemych obrazów mrugających na ekranie w salonie Helen, Mike na przykład informował Carol, że ją zostawia i odchodzi z gosposią, Alice (to było tak niewiarygodne, że aż zabawne), albo jedno z dzieci musiało mieć przeszczepioną nerkę i trzeba było zdecydować, kto z rodziny będzie dawcą (na szczęście mieli w kim wybierać). Ja raz

wymyśliłam, że Marcia zaszła w ciążę, a ojcem jest jeden z synów Mike'a. Nie krewny, więc dziecko nie będzie upośledzone.

W pewnym sensie oglądanie serialu w taki sposób, bez właściwie niepotrzebnych dialogów, sprawiało, że miałyśmy taką rozrywkę, jakiej prawdziwy serial – ten, który oglądała Helen, siedząc w swoim wygodnym niebieskim fotelu – nie dostarczał. Patty i ja czasem o mało nie posikałyśmy się ze śmiechu, a Helen siedziała spokojnie w salonie, robiąc na drutach sweter i od czasu do czasu popijając coś z filiżanki.

A właściwie to co w niej było?

Idę o zakład, że to pijaczka, powiedziałam do Patty. Nalewa whisky do filiżanki do kawy, żeby nikt nic sobie nie pomyślał.

Przecież nie musiałyby się kryć we własnym domu, zauważyła Patty. Nie podejrzewa, że obserwujemy ją przez okno.

To jak myślisz, co się dzieje w serialu?

Może państwo Brady kupili sobie psa? – zasugerowała Patty. Zawsze bardzo się starała wymyślać interesujące wątki, ale czasem brakowało jej pomysłów. Jedyne temat, który niezmiennie ją ekscytował, to były psy.

I co?

I nazwali go Skipper.

Czasem ja wymyślałam wątki dotyczące ludzi, do których salonów zaglądałyśmy, a nie bohaterów programów telewizyjnych.

Może Helen zakrada się do cudzych domów, gdy właściciele są w pracy, i kradnie pieniądze i biżuterię? – podsunęłam. Tubby pewnie ją nakrył, ona go wtedy zabiła i teraz trzyma jego ciało w suterenie. To dlatego wiecznie pali te świece o waniliowym zapachu. Żeby nie było czuć smrodu.

Miała już dość gotowania mu bez przerwy obiadów, dlatego go wykończyła, ciągnęłam. Do tego bez przerwy domagał się od niej seksu.

W rzeczywistości Tubby, mąż Helen, od wielu lat cierpiał na coś, co moja siostra nazywała chorobą tego Niemca, i od kiedy sięgałyśmy pamięcią, tylko siedział w fotelu. Jednak myśl, że ktokolwiek miałby ochotę uprawiać seks z Helen, była zabawna. W ogóle sama myśl o seksie była zabawna, kropka. Zabawna, straszna i fascynująca.

Po odejściu ojca wolałyśmy przebywać poza domem. W domu wszystko się psuło, kurczyły się kolejne możliwości. Można było odnieść wrażenie, że z każdym miesiącem mamy wszystkiego mniej, poza nieotwartymi rachunkami i dymem z papierosów. W domu wyczuwałyśmy smutek i rozczarowanie mamy i mimo że ją kochałyśmy, musiałyśmy uciekać, bo inaczej te uczucia nas też by przygniotły.

A poza czterema ścianami naszego niszczonego domu wszystko wydawało się możliwe.

Wymyśliłyśmy zabawę, która polegała na tym, że jedna z nas – zawsze była to Patty – dzwoniła do któregoś z domów przy naszej ulicy. Bardzo często wybierałyśmy dom najbliższej sąsiadki, Helen.

Po naciśnięciu dzwonek Patty dawała nogę do rowu lub w jakieś miejsce za ogrodzeniem, gdzie czekałam ja, obserwując, co się stanie, gdy Helen (albo pani Evans, która mieszkała kawałek dalej, czy Pollackowie lub pani Gunnerson i jej upośledzona córka Clara, jeśli to do nich zadzwoniła moja siostra) otworzy drzwi i skonsternowana spojrzy na pusty próg. (Niewątpliwie po pewnym czasie już bez takiej konsternacji. Zwłaszcza Helen musiała wiedzieć, że to my tak często do niej dzwoniłyśmy).

Czasem zbierałyśmy kamienie – najchętniej ozdobne białe, którymi wykładano obrzeża klombów – i malowałyśmy je plakatówkami, gdy akurat je miałyśmy, a jeśli nie, to roztopionym woskiem z kredek świecowych. Następnie chodziłyśmy sprzedawać je sąsiadom, często tym samym ludziom, z których ogrodów je zabrałyśmy. Dostawałyśmy pięć centów, czasem tylko jednego. Chodziło nam o to, żeby uskładać na mrożony deser Slurpee. Gdy już zebrałyśmy potrzebną sumę (zazwyczaj tylko na jeden), szłyśmy dwa kilometry do centrum handlowego, żeby go kupić. Nigdy nie spieszyło nam się z powrotem, bo nie było do czego się spieszyć.

Jednak źródłem naszych najważniejszych rozrywek był obszar poza najbliższym sąsiedztwem, bardziej zapuszczony. Tyły domów przy Morning Glory Court wychodziły na peryferie Krajowego Terenu Rekreacyjnego Golden Gate, gdzie znajdowała się sieć pieszych szlaków turystycznych tak rozległa, że ciągnęła się od znajdujących się najdalej na południe granic parku w San Francisco do miejsca o nazwie Point Reyes, niemal osiemdziesiąt kilometrów na północ. Za nim rozciągał się Pacyfik. Istniało

wiele miejsc, które dzieliłam z siostrą – nasza sypialnia, zabałaganiona kuchnia z często psującą się lodówką i zepsutym piekarnikiem – i miejsc, w których nie bywałyśmy (domy koleżanek, których nie miałyśmy) – ale to na tej górze spędzałyśmy prawie cały czas.

Dla większości dzieci z sąsiedztwa ta bezkresna otwarta przestrzeń granicząca z naszymi domami była terenem zakazanym, bo rodzice bali się węży i kojotów, czy też, co bardziej prawdopodobne, trującego bluszczu. Jednak Patty i ja mogłyśmy chodzić, gdzie oczy poniosą. Powstrzymać nas mogło tylko zmęczenie.

Czasem urządzałyśmy sobie piknik – słone krakersy i masło orzechowe lub tylko cukier. Oprócz tego ja zabierałam aktualnie czytaną książkę albo zeszyty, w których pisałam opowiadania, a Patty komiksy z serii *Betty and Veronica* i spędzałyśmy na wzgórzu cały dzień. Czasem szłyśmy do hotelu Mountain Home Inn, stojącego w miejscu, gdzie zaczynał się główny szlak prowadzący na wzgórze. Na mój znak Patty wbiegała do budynku, choć nie przypominała kogoś, kto byłby zameldowanym tam gościem, napychała kieszenie słonymi orzeszkami stojącymi w miseczce na barze, i wybiegała, zanim ktokolwiek mógł jej tego zabronić.

Później po prostu siedziałyśmy sobie na wzgórzu przy szlaku lub na skale, rozdzielając źdźbła trawy na połowę lub marząc, co byśmy zrobiły, gdyby któraś z nas dostała się do jakiegoś teleturnieju i wygrała dziesięć tysięcy dolarów, albo (choć to było moje hobby, nie siostry) analizując zdjęcia fryzur, które nam się podobały, czy krocze Johna Travolty w czasopismach dla nastolatek.

Można by pomyśleć, że taki sławny człowiek będzie się wstydził, że zrobili mu zdjęcie w za ciasnych spodniach? – prychała Patty. Ma przecież dość pieniędzy, by kupić nowe, skoro stare są już na niego za małe.

Niektóre rzeczy jej wyjaśniałam. Innych nie. Czasem tylko leżałyśmy, w ogóle się do siebie nie odzywając, wdychając jedynie niesiony przez lekki wietrzyk zapach dzikiego kopru, albo plułyśmy pestkami, żeby zobaczyć, która plunie dalej. Zdejmowałyśmy koszule i kładłyśmy się w trawie, słońce grzało nam skórę i sprawdzało, jak rozwijają nam się piersi. Moje ledwie zaczynały kiełkować. Siostra nie miała ich w ogóle.

Bywało też, że przesiadywałyśmy w szoferce starej zardzewiałej

ciężarówce porzuconej na zboczu, którą zdążyły już w środku porosnąć chwasty. Jej obecność w tym miejscu była tematem naszych nieustających spekulacji. Lubiłyśmy myśleć, że jesteśmy jedynymi osobami, które wiedzą o tym wraku, choć raz, na początku, znalazłyśmy tam kilka starych opakowań po prezerwatywach, co świadczyło, że tak nie jest.

Wrak ciężarówce tkwił półtora kilometra za naszym domem i był niewidoczny ze szlaku. Trochę dalej stał amfiteatr, w którym każdego lata miejscowy półamatorski zespół teatralny wystawiał z przepychem jakiś popularny musical (jednego roku *Dźwięki muzyki*, innego *Brigadoon*), a można się było tam dostać tylko na piechotę. Cena biletów przekraczała możliwości naszej mamy, ale w ciągu tych letnich tygodni, kiedy odbywały się przedstawienia, czasem wędrowałyśmy na górę do amfiteatru. Znalazłyśmy miejsce dość blisko sceny, gdzie mogłyśmy rozłożyć koc, słuchać muzyki i obserwować aktorów podczas prób – jak zmieniają kostiumy, palą trawkę, czasem się obcałowują – co było ciekawsze od samego przedstawienia.

Naszym ulubionym musicaliem był *Faceci i laleczki*. Nigdy nie udało nam się zobaczyć przedstawienia, jednak gdy wystawiali go kilka lat wcześniej, w ciągu kilku tygodni tak dobrze poznałyśmy piosenki, że na naszym stanowisku nieopodal śpiewałyśmy razem z aktorami: *I Got the Horse Right Here, Luck Be a Lady Tonight, Take Back Your Mink*.

Jeszcze lepiej było, gdy nie odbywały się żadne próby i mogłyśmy odgrywać na scenie własne przedstawienia. Moja siostra, choć zwykle nieśmiała, tam, na górze, gdzie nie widział jej nikt oprócz mnie (czasem jakiś myszołów czy sarna), nie bała się niczego. Raz, gdy miała siedem czy osiem lat, w tym właśnie amfiteatrze – na tle dekoracji przedstawiającej główną ulicę do *Music Mana* – wykonała wspaniałą striptiz.

Jesteśmy jak te dzieciaki z *Charliego Browna*, mówiła. Czy ktoś, czytając ten komiks, widział kiedykolwiek, żeby rodzice przeszkadzali bohaterom w przygodach? W komiksie było to przedstawione tak, jakby dzieci żyły sobie same, bez najmniejszych oznak ingerencji dorosłych.

Kiedyś czytałam książkę o chłopcu, który zgubił się w lesie i zaopiekowały się nim wilki. (Był to oczywiście chłopiec, kto inny mógłby przeżyć taką przygodę). Podobała mi się ta historia. Widziałam nas, jak

biegamy po zboczu, nieskrępowane zakazami rodziców ani obawą przed niebezpieczeństwem. Byłyśmy dwiema szalonymi dziewczynkami w modnych dzinsach, choć tak naprawdę nosiłyśmy tylko lewisy.

Sporo jeździłyśmy na rowerach. Bez konkretnego celu. Jednak nigdy nie było wiadomo, na co się natkniemy. Kiedyś, tak sobie jeżdżąc, zobaczyłyśmy wysypisko śmieci, obok którego leżała sterta płyt – wyglądała jak kompletna kolekcja, i to wcale nie takiej muzyki jak Mitch Miller czy Mantovani albo Herb Alpert i Tijuana Brass, jaką preferowała nasza sąsiadka Helen, czy the Carpenters, ulubiony zespół Jennifer Pollack, który słyszałyśmy z jej okien przez cały boży dzień.

Z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny (choć, jako dziewczynka lubiąca wymyślać historie, ułożyłam kilka scenariuszy) ktoś postanowił wyrzucić cały swój zbiór płyt. Beatlesi i Rolling Stonesi, oczywiście. Poza tym Black Sabbath i Moody Blues, Procol Harum i Led Zeppelin, a także muzyka bardziej folkowa – Cat Stevens i Linda Ronstadt, Leonard Cohen, Arlo Guthrie i Judy Collins, Crosby, Stills i Nash, no i Simon i Garfunkel. W zbiorze znajdował się jeden niepasujący element, który szczególnie upodobała sobie Patty: album Dolly Parton i Portera Wagonera pod tytułem *Burning the Midnight Oil*. Na okładce umieszczono obok siebie dwa zdjęcia: jedno ukazywało siedzącą przy kominku Dolly z rozpaczą malującą się na twarzy. Jej krągłości opinał wspaniały czerwony szlafroczek. Drugie – Portera w koszuli naszywanej imitacją diamentów, przeczesującego żółte włosy, z miną równie przygnębioną. Moja siostra uwielbiała Led Zeppelin i Cream, ale po znalezieniu tego albumu Dolly Parton stała się dla niej piosenkarką wszech czasów.

Płyt było za dużo, żeby zmieściły się do naszych koszyków rowerowych. Ukryłyśmy część znaleziska, żeby ktoś nam go nie odebrał, zanim zdążymy wrócić po następną partię. Żeby przewieźć całą kolekcję do domu, musiałyśmy obrócić trzy razy. Przez resztę lata naszym głównym zajęciem było odtwarzanie płyt na moim maleńkim monofonicznym gramofonie jeszcze z dzieciństwa, ozdobionym starymi nalepkami postaci Disneya.

Znałyśmy na pamięć całą płytę *Alice's Restaurant* i teraz, jadąc na rowerach, śpiewałyśmy *City of New Orleans* i *American Pie. This'll be the*

day that I die, this'll be the day that I die...

Strasznie nam się podobało, jak Leonard Cohen śpiewał *Suzanne*, i choć słowa wydawały nam się bez sensu, czułyśmy, że to erotyczna piosenka. Uwielbiałyśmy Donovana. Niemal doszczętnie zdarłyśmy płytę zespołu Crosby, Stills i Nash, słuchając *Suite for Judy Blue Eyes*. *Whole Lotta Love* nastawiałyśmy na cały regulator, ale lubiłyśmy też spokojniejszą muzykę. Wiedziałyśmy, że Jim Croce zginął młodo i tragicznie, przez co było jeszcze smutniej, gdy słuchało się piosenki o tym, jak próbuje dzwonić do dawnej dziewczyny, ale nie może odczytać jej numeru, który nabazgrał na pudełku zapalek. Jeśli miałybyśmy wymienić jedną rzecz, którą uwielbiałyśmy w piosenkach, to była to obecność zawodu miłosnego, a jeszcze lepiej, jakiejś tragedii.

Ilekróć słucham tej piosenki, mam nadzieję, że on w końcu odczyta ten numer i znajdzie jeszcze jedną dziesięciocentówkę, zwierzała mi się Patty. Wiesz, bo gdyby tak zrobił, to zostaliby razem.

Gdy przywiozłyśmy płyty do domu, zapytałam mamę, jaką muzykę lubiła, gdy była młoda. Przez sekundę zobaczyłam na jej twarzy wyraz, jakiego nie widziałam nigdy wcześniej.

Nikt nigdy nie mógł się równać z Elvisem, powiedziała. Ale już mi przeszło na jego punkcie.

Przeszło jej nie tylko na punkcie Elvisa, ale też wszystkich mężczyzn. Po odejściu ojca mama jakby zaciągnęła zasłony, chciała tylko, żeby wszyscy dali jej spokój, żeby mieć jak najmniej okazji, by ponieść stratę i się smucić.

Kiedyś włączyłyśmy się po naszej górze – trochę wyżej i dalej od domu niż zwykle – i naszym oczom ukazał się niezwykle widok: przez trawę biegli kobieta i mężczyzna, zupełnie nadzy.

Zatrzymałyśmy się, nie chcąc wprawiać ich w zakłopotanie, ale kobieta nam pomachała. Podeszli do nas ze śmiechem – nadal bez ubrań, ale zachowując się tak, jakby w tej sytuacji nie było niczego niezwykłego. Bardzo się starałyśmy, żeby nie patrzeć w dół, zwłaszcza na mężczyznę, chociaż żadne z nich nie wydawało się ani trochę zawstydzone.

Wspaniały dzień, rzuciła kobieta. Co za przepiękne kwiatki, prawda?

To była pora kwitnienia maczków kalifornijskich. Rosły wszędzie i wyglądały jak na pocztówce, choć gdyby to była pocztówka, nie widnieliby na niej nadzy ludzie.

Wzięli się za ręce i odeszli. Patty i ja nie powiedziałyśmy ani słowa. Jedna drugą znała tak dobrze, że gdy działo się coś niezwykłego, nie było potrzeby się odzywać. Wybuchnęłyśmy tylko śmiechem, złapałyśmy się za ręce i zbiegłyśmy ze wzgórza tak szybko, że o mało nie połamaliśmy nóg.

Innym razem natknęłyśmy się na mężczyznę, który grał na gitarze i śpiewał, a obok niego siedziała na trawie długowłosa kobieta z niemowlęciem.

To chyba był Jerry Garcia^[3], zwróciłam się do siostry. Nie zrobiło to na niej wrażenia, więc wytłumaczyłam jej, kto to taki, ale nawet wtedy specjalnie się nie przejęła.

Raz odgrywałyśmy coś – może sceny z *Aniołków Charliego*, a może po prostu włóczyłyśmy się bez celu, jak to często bywało, odrywając główki kwiatów tymotki łąkowej i recytując przy tym: *Mama miała małe dziecko, oderwała mu się głowa* – gdy natrafiłyśmy na coś niezwykłego. Patty dojrzała je pierwsza: dziwaczne, łyse ciało małego nienarodzonego zwierzątka, prawdopodobnie płód sarny, wciąż w pęcherzu płodowym, z patykowatymi podwiniętymi nóżkami, z zamkniętymi oczami o półprzezroczystych powiekach, które nigdy nie miały się otworzyć, z uszami leżącymi płasko przy czaszce i mapką niebieskich żyłek widniejących tuż pod skórą. Wyobrażałyśmy sobie, że gdzieś niedaleko błąka się matka, zakrwawiona i oszołomiona. Wiadomo było, że to kwestia kilku godzin, zanim ciało łani znajdą sępy lub kojoty. Jutro już nie będzie po nim śladu.

Czasem udawałyśmy, że jesteśmy Indiankami, jedynymi, które przeżyły masakrę plemienia, w dzień wędrującymi u stóp rozległego pasma górskiego, zastawiającymi sidła i polującymi na zwierzynę, a nocą wracającymi do tipi, żeby zjeść kaszę kukurydzianą i żuć kawałek suszonego mięsa. W przetartych kocach narzuconych na proste sukienki z niewyprawionej skóry czekałyśmy, aż kolejny wschód słońca wyśle nas z powrotem w góry. Ja chciałam rozpalić ognisko i wrzucić do niego ziarna popcornu, żeby patrzeć, jak z trzaskiem pękają, ale Patty się nie zgodziła. Ogień wywoływał

u mojej siostry niepokój. I tylko ogień.

Na stoku pasła się zwykle para koni. Musiały być czyjeś, ale tylko skubały sobie trawę, więc udawałyśmy, że są nasze. Nieraz przynosiłyśmy im marchewki, jeśli miałyśmy jakieś w domu. Nadałyśmy im imiona Crystal i Pamela, ponieważ same pragnęłyśmy się tak nazywać. Po jakimś czasie konie zaczęły nas rozpoznawać, pozwalały nam podejść i pogłaskać się po grzbietach. Zwłaszcza w przypadku Crystal można sobie było niemal wyobrazić, że jedzie się na niej na oklep, pod warunkiem że dałoby się na nią jakoś wsiąść, ale nie było jak.

Bawiłyśmy się też, że jesteśmy niewidome, zamykałyśmy oczy, obracałyśmy się pięć razy, a potem szłyśmy pięćdziesiąt kroków przed siebie, ciekawe, dokąd dojdziemy. Otwierałyśmy na przypadkowej stronie *Mój tajemny ogród* (książkę, którą znalazłam w sypialni u sąsiadów – Pollacków, pewnego wieczoru, gdy pilnowałam im dziecka – pełną szalonych kobiecych fantazji na temat seksu, i przemyciłam do domu w teczce z podręcznikami) i czytałyśmy na głos. Udawałyśmy, że jesteśmy chłopakami i sikamy na stojąco.

W tamtych czasach ekscytowało nas samo wypowiedzenie pewnych słów na głos. Każda z nas kładła przed sobą zebrane trawy i mlecze i gdy nadchodziła jej kolej, musiała pomyśleć jakieś zakazane słowo i podrzucić przy tym w powietrze garść trawy. Jednak lista znanych nam słów była frustrująco krótka, ponieważ nasze słownictwo związane z seksem było ograniczone. „Stosunek”, oczywiście. „Tyłek”. „Sutek”. „Pochwa”. „Penis”. Oraz to, które tamtego roku budziło we mnie największą grozę: „okres”.

Dwa razy podczas naszych wędrówek po górze natknęłyśmy się na parę ludzi kochających się w trawie, choć w żadnym z tych przypadków oni nas nie widzieli. Całe lata bawiłyśmy się w detektywów, więc nabrałyśmy wprawy w podchodach, ale za to później – już bezpieczne, w domu – pękałyśmy ze śmiechu.

Można by pomyśleć, że niektóre przygody zniechęcą nas do dalszych wypraw, ale było dokładnie odwrotnie. Nasza góra otwierała przed nami obraz świata, jakiego nie mogłybyśmy poznać w zaciszu naszego maleńkiego domku i podwórka, a to, że w tym innym świecie istniały martwe zwierzęta, nadzy ludzie i drapieżniki, sprawiało tylko, że chciałyśmy odkrywać jeszcze

więcej.

Dni ciągnęły się jeden za drugim, długie i nieprzerwane jak trawiasty krajobraz z boczna góry i ciemniejące niebo nad naszymi głowami. Inne dzieci musiały w porze kolacji wracać do domu. Słyszałyśmy nawoływania ich matek, choć często dzieciaki same wiedziały, kiedy trzeba wracać. Nas nigdy nikt nie wołał i nigdy nie musiałyśmy się martwić czy odczuwać wyrzutów sumienia na myśl o tym, że nasza mama harowała całe popołudnie, żeby ugotować kolację, która teraz stygnie na stole. Dla nas kolacja to były zwykle jakieś zimne zakąski znalezione w lodówce, a jadłyśmy ją wtedy, gdy wróciłyśmy.

Po jedzeniu wychodziłyśmy jeszcze na dwór, gdzie zostawałyśmy czasem aż do dwudziestej drugiej. Wymyślałyśmy różne historie lub kręciłyśmy się na tyłach domów, zaglądając w okna, żeby sprawdzić, czy w środku dzieje się coś interesującego, jednak nigdy się nie działo. Po powrocie słyszałyśmy radio grające w sypialni mamy i czułyśmy dym z jej papierosa. Wołałyśmy: „Dobranoc, mamó!” i szłyśmy do naszego pokoju, gdzie puszczałyśmy płyty. Leżałyśmy na łóżkach, czytając na głos – zwykle jakąś książkę z dowcipami lub jedną z biografii, które dostałam w Klubie Książki, albo którąś opowieść z *Mojego tajemnego ogrodu* (choć większość z nich wprawiała moją siostrę w zakłopotanie) i szeptałyśmy sobie, aż któraś z nas zasnęła. Zazwyczaj pierwsza zasypiała Patty.

Gdy okno było otwarte, dochodziło do nas granie świerszczy, czasem pohukiwanie sowy lub wycie kojota, a przy rzadkich okazjach pумы. Można było wyjrzeć, popatrzeć na górę i zobaczyć gwiazdy, a gdy rankiem wschodziło słońce, pasły się na niej konie – które czasem się parzyły – a po niebie krążyły jastrzębie.

Na tej górze było wszystko. Kości zwierząt i odchody jeleni. Ptaki, kwiaty, prezerwatywy. Ciała martwych zwierząt, ciała ludzi. Kamienie i jaszczurki. Seks i śmierć.

Kilka lat wcześniej – gdy ja miałam dziesięć lat, a Patty osiem – stara kobieta, która mieszkała w ślepych zaułku na drugim końcu naszej ulicy, zmarła po długiej chorobie, a jej mąż przeprowadził się do domu opieki. Dom stał pusty przez prawie rok, bo ich dzieci zastanawiały się, co z nim zrobić. Aż wiosną został sprzedany. O nowych lokatorach wiedzieliśmy tylko tyle, że mają na nazwisko Armitage, bo takie widniało na ich skrzynce na listy.

Byli bezdzietni. W ciągu kilku kolejnych miesięcy od czasu do czasu pokazywał nam się pan Armitage – krępy łysiejący mężczyzna, który pracował (tego dowiedziałyśmy się od pani Gunnerson) jako nauczyciel w szkole tańca towarzyskiego w San Rafael. Prawie każdego popołudnia widywałyśmy go, jak szedł na przystanek autobusowy kilka przecznic dalej. Wracał do domu koło dwudziestej pierwszej. Później, gdy na dworze nie było już prawie nikogo prócz nas, wychodził na spacer z niewielkim psem.

Rzadko – tylko wieczorami, jeśli byłyśmy poza domem później niż zwykle – widywałyśmy kobietę, która, jak uznałyśmy, musiała być panią Armitage, z dużą torebką, o niezgrabnej sylwetce, ubraną w jakąś nietwarzową sukienkę i (co było trochę dziwne) kapelusz, niezależnie od pogody. Zawsze nosiła buty na wysokich obcasach, jakby wybierała się w jakieś wyjątkowe miejsce, choć wyglądało na to, że jej spacer po okolicy z małym pieskiem – kundelkiem z domieszką jack russell teriera – nie miały żadnego określonego celu. Widziałyśmy ją może ze trzy razy, a ponieważ kapelusz ozdobiony był z przodu niewielką woalką, nie miałyśmy okazji dobrze jej się przyjrzeć.

Zaskoczyło nas to, że pan Armitage spędzał sporo czasu na świeżym powietrzu. Siedząc na schodkach z tyłu naszego domu, jedząc herbatniki czy batoniki z muesli, Patty i ja często obserwowaliśmy, jak wspina się na naszą górę z laską i zawieszoną na szyi lornetką, a obok niego truchcikiem biegnie piesek. Zauważyłyśmy, że pani Armitage nigdy nie bierze udziału w tych wyprawach.

Może on spotyka się na szczycie z jakąś kobietą? – zasugerowałam. Albo jest szpiegiem?

Nie wygląda, orzekła Patty.

Mimo że chciałam, by tak było, musiałam przyznać jej rację. Zresztą wędrówki pana Armitage'a rzadko trwały dłużej niż pół godziny: krótki spacer ścieżką w górę i z powrotem w dół. Uznałyśmy, że to pewnie jego sposób na trzymanie formy, choć jeśli faktycznie tak było, to jak dotąd nie dawał on większego efektu. Pan Armitage, podobnie jak jego żona, pozostawał dość pulchny.

Jednym z interesujących faktów, jeśli chodzi o nowych sąsiadów, był ich wkład w ukształtowanie krajobrazu. Niedługo po tym, jak sprowadzili się na Morning Glory Court, pan Armitage wynajął człowieka z niewielką, podobną do traktora maszyną, żeby usunął cały trawnik. Przeszło nam przez myśl, że może państwo Armitage zamierzają urządzić tam coś ekscytującego, na przykład zbudować basen lub przynajmniej założyć wymyślny ogródek. Jednak po skończonej robocie okazało się, że postanowili po prostu zlikwidować trawnik i zastąpić go betonowymi płytami. Karl Pollack, który jako jedyny na naszej ulicy rozmawiał wtedy z panem Armitage'em, doniósł nam, że nowy sąsiad zrobił to, żeby uniknąć kłopotów z utrzymaniem ogrodu i zmniejszyć rachunki za wodę.

Kolejne spore rozczarowanie, jeśli chodzi o państwa Armitage, dotyczyło ich telewizora. Wtedy żył jeszcze Tubby, mąż naszej sąsiadki Helen. Zaczął oglądać kanał zakupowy właśnie w tym czasie, gdy my lubiłyśmy łapać odcinki *Brady Bunch* przez ich okno. Na oglądanie serialu przez okno Pollacków też już nie można było liczyć. (Ich niedawno urodzony synek cierpiał z powodu kolki, więc kupili odtwarzacz wideo – nowy wynalazek – na którym, ku naszej irytacji, zaczęli odtwarzać nagrane wcześniej odcinki programu dla dzieci *Mister Rogers*, żeby uspić Karla juniora). Dlatego Patty i ja musiałyśmy znaleźć sobie nowe miejsce do oglądania. Przez chwilę rozważałyśmy Armitage'ów.

Jednak w odróżnieniu od wszystkich innych domów po naszej stronie ulicy, która wychodziła na wzgórze – gdzie można było oglądać telewizję przez okna panoramiczne – wyglądało na to, że w domu Armitage'ów nie ma telewizora. W każdym razie nie stał w salonie, a tylko przez okno tego właśnie pokoju mogłyśmy oglądać wieczorami nasze seriale. Zastanawiałyśmy się, jak wobec tego spędzają wolny czas.

Oczywiście mieli psa.

Może lubią łamigłówki? – zasugerowała Patty. Albo scrabble.

A jeśli państwo Armitage wiodą sekretne życie jako międzynarodowi złodzieje klejnotów albo szpiegzy? Może pan Armitage należy do ludzi, którzy dostarczają FBI informacje o mafii i w związku z tym on i jego żona muszą się ukrywać i zmieniać tożsamość? Może pani Armitage przeżyła straszny wypadek i ma potwornie okaleczoną twarz, i dlatego przeważnie siedzi w domu i tylko czasem wychodzi na wieczorny spacer? Jako Aniołki Charliego z Morning Glory Court postanowiłyśmy poznać ich tajemnicę.

Zaczęłyśmy prowadzić specjalny zeszyt poświęcony panu Armitage'owi. A ściślej mówiąc, to ja zaczęłam go prowadzić. Patty po prostu na to przystała, jak na większość moich pomysłów.

Wiele lat temu nasza mama założyła taki zeszyt, by dokumentować moje lata niemowlęce, jednak po paru miesiącach to zarzuciła, więc zostało mnóstwo czystych stron. Nie miałam oporów i wyrwałam moje zdjęcia, odcisk mojej stópki, fotografię mamy z wyrazem twarzy, który ledwie rozpoznałam, pełnym zapału i nadziei, oraz młodego, chudego ojca – tak chudego nigdy go nie widziałyśmy – z kosmykiem opadającym na czoło. Obejmował nas obie gestem, który sugerował, że tej rodzinie nigdy nie przytrafi się nic złego. Wpisy w zeszycie pojawiały się początkowo codziennie, ale gdy miałam około pół roku, ich liczba zmalała. Został jeszcze ten o moim pierwszym ząbku i o tym, że słysząc, jak Andy Williams śpiewa w radiu *Moon River*, podobno pobiegłam po książeczkę *Goodnight Moon* i zaczęłam tańczyć. Niedługo potem mama przestała zapisywać cokolwiek.

Teraz napisałam na nowej stronie tytułowej: *Sekretne życie Alberta Armitage'a*, umieściłam datę oraz określiłam nasz cel: zdobycie wszelkich informacji o naszym enigmatycznym sąsiedzie („enigmatyczny” – słowo z mojej listy słówek na lepszą ocenę w piątej klasie), choć czemu miała służyć nasza misja, nie napisałyśmy.

Na Boże Narodzenie dostałam od ojca polaroid i pięć rolek filmu, które oszczędzałam od świąt. Postanowiłam poświęcić je na dokumentowanie życia i zwyczajów Alberta Armitage'a.

Chciałyśmy uwzględnić w naszym projekcie również i panią Armitage, jednak pokazywała się tak rzadko, że gdybyśmy polegały na

dokumentowaniu jej sporadycznych wypadów poza dom, nie byłoby niczego, co można by umieścić w naszym zeszycie. Miałyśmy nadzieję, że gdy już zrozumiemy więcej z historii jej męża, rozjaśni nam się w głowach co do tego, jaka jest rola jego żony.

Zaczęłyśmy prowadzić zeszyt, zapisując raczej prozaiczne aspekty egzystencji naszego sąsiada: pan Armitage wykonuje rutynowe czynności – rano idzie na spacer na wzgórze z psem, potem na przystanek autobusowy, podnosi z chodnika przed domem niedzielną gazetę. Ponieważ nie miał już trawnika, który trzeba by było pielęgnować, niewiele czasu spędzał na podwórku, choć parę razy zobaczyłyśmy, jak stoi na skraju swojej wybetonowanej parceli i wyrywa jakiś zabłąkany mlecz, który przebił się przez szczelinę między płytami. Kiedy indziej ujrzałyśmy, jak układa równo kamienie, które obramowywały betonowe płyty. Wymieniłyśmy z Patty znaczące spojrzenia – doszłyśmy do wniosku, że lepiej nie próbować kraść kamieni sprzed jego domu. Najwyraźniej ten człowiek ma wszystko pod kontrolą.

Jako że domyślałyśmy się już, jak może zareagować pan Armitage na nasz pomysł robienia mu zdjęć, wymyśliłyśmy sposób na zakamuflowanie naszych działań. Polegał on na tym, że Patty stawiała przed miejscem, w którym dostrzegłyśmy nasz obiekt, ale nieco z boku. Przybierała wyszukaną pozę (ręka na biodrze, machanie do obiektywu), a ja ustawiałam aparat tak, żeby uchwycić nie ją, lecz pana Armitage'a, a czasem i jego psa. By jeszcze bardziej uprawdopodobnić podstęp, oznajmiałam głośno:

Świetne ujęcie, Patty! – albo: Na tym wyglądasz super.

W drodze do domu odklejałyśmy papier z polaroidowego zdjęcia i patrzyłyśmy, jak na naszych oczach wyłania się obraz: pan Armitage patrzy na zegarek. Pan Armitage polewa wodą kamienie przed domem. Pan Armitage wyjmuje pocztę ze skrzynki. Najbardziej interesująca strona w naszym zeszycie to była ta ze zdjęciami, które zrobiłyśmy (udając, że naprawiamy łańcuch w moim rowerze), gdy sąsiad kąpał psa.

Patty brała udział w tym śledztwie, jednak bez entuzjazmu. Od pierwszej chwili, gdy zobaczyłyśmy pana Armitage'a, moja siostra jakby go broniła. Lubił psy. Tylko to miało dla niej znaczenie.

To zwykły człowiek, tłumaczyła. Nikomu nie robi krzywdy. Idę o zakład,

że jest po prostu smutny z powodu tego, co przydarzyło się jego żonie.

Patty robiła tu aluzję do mojego pomysłu, dlaczego panią Armitage widzimy tylko wieczorami, a i to bardzo rzadko.

Ktoś oblał jej twarz kwasem, zasugerowałam. Kiedyś była niewiarygodnie piękna, ale teraz nie chce, żeby ktokolwiek ją oglądał.

Ze wszystkich scenariuszy, które wymyślałam jako wytłumaczenie dziwnego zachowania państwa Armitage, mojej siostrze najbardziej przypadła do gustu teoria, że pani Armitage jest tragicznie oszpeconą ofiarą poparzenia kwasem, i było jej żal ich obojga.

Mnie jednak wciąż coś nie dawało spokoju, jeśli chodzi o zachowanie pary mieszkającej przy końcu ulicy. Prowadzenie zeszytu miało mi pomóc poradzić sobie z nieuchwytnym uczuciem związanego z nimi dyskomfortu.

A może chodziło o to, że w tamtym czasie tyle pytań w naszym życiu pozostawało bez odpowiedzi? Szukałyśmy niepodważalnych konkretów, aby wytłumaczyć niewytłumaczalne. Może miałam nadzieję, że jeśli zbierzemy wystarczająco dużo zwykłych danych na temat osoby, której zachowania nie rozumialiśmy – przeszukując zawartość kubła na śmieci pana Armitage'a, zapisując czas jego wyjścia do pracy i powrotu do domu oraz wszystko inne, co mógł zarejestrować mój aparat fotograficzny – to uda nam się pojąć sprawy, które uderzały nas jako dziwne. Byłyśmy wtedy zbyt młode, żeby wiedzieć, że poznanie faktów rzadko przynosi prawdziwe oświecenie.

Po kilku tygodniach od założenia zeszytu – nie natrafiłyśmy na nic ciekawego – nasze zainteresowanie dokumentowaniem poczynań pana Armitage'a stopniowo osłabło, aż pewnego dnia, gdy wzięłam zeszyt do ręki, zdałam sobie sprawę, że od ostatniego wpisu minął już prawie rok.

Odłożyłam go na półkę. Teraz, poza spacerami z psem i regularnymi wędrownkami na wzgórze, prawie nie widywałyśmy naszego sąsiada, i jeszcze mniej o nim myślałyśmy. O nim i o jego żonie.

Po pewnym czasie zorientowałyśmy się, że upłynęło już wiele miesięcy, od kiedy któraś z nas widziała panią Armitage, co skłoniło nas do konkluzji, że sąsiedzi pewnie się rozwodzą. Nie czułyśmy potrzeby zgłębiania tej historii.

Gdy Patty miała siedem czy osiem lat, wracała do domu z przechadzki po okolicy, podczas której pewnie szukała psów. Wtedy wyjątkowo jej nie towarzyszyłam. Dla Patty popołudnie beze mnie było jak niebo bez słońca.

Jak mi później opowiadała, niedaleko placu zabaw zauważyła piłkę do koszykówki. Leżała w krzakach, ale widać było jej poobcieraną pomarańczową powierzchnię i kilka ostatnich liter słowa „Wilson”. Patty podeszła, żeby się jej przyjrzeć.

Była ciut sflaczała, ale nadawała się do użytku. Patty podniosła ją i sprawdziła, czy jeszcze się odbija. Okazało się, że tak.

To był przełomowy moment w życiu mojej siostry. Myślę, że wcześniej chyba nigdy nie miała w ręku piłki do koszykówki. Teraz trzymała ją po raz pierwszy i podobało jej się to.

Nieopodal znajdował się kawałek asfaltu i słup z przymocowaną obręczą. Brakowało siatki, a tablica była przekrzywiona. Patty zaczęła kozłować i wycelowała piłkę w obręcz. Nie wpadła za pierwszym podejściem, powiedziała mi. Ale potem tak. Wiele razy. Później kozłowała piłkę przez całą drogę do domu.

Nazajutrz poszła do Helen i Tubby’ego. Przed przejściem na emeryturę Tubby był woźnym w szkole, dlatego miał wszelkie znane ludzkości narzędzia, w tym pompkę i igłę do napełniania piłki powietrzem. Po napompowaniu piłki Patty kozłowała jeszcze lepiej.

Potem opanowała kozłowanie za plecami i między nogami. Następnie nauczyła się odbijać piłkę o ścianę na przemian lewą i prawą ręką oraz koniuszkami palców. Gdy inne dzieci to zauważyły, prosiły ją, żeby z nimi zagrała. Na boisku moja siostra była zwinna i nieustraszona, a także zaskakująco agresywna jak na dziewczynkę, która poza boiskiem rzadko się odzywa czy rozrabia. Gdy ktoś pchnął ją tak, że upadła, co się czasem zdarzało, nigdy nie zdradziła żadnym gestem, że coś ją boli, choć na pewno bolało.

Największy talent Patty wykazywała głównie w rzucaniu do kosza. Tuż przed rzutem zastygała w miejscu. Parę sekund wcześniej miotła się po

boisku tak szybko, że nie można było za nią nadążyć, a tuż przed rzutem stawała bez ruchu. Następnie spoglądała w górę, skupiała wzrok na tylnej krawędzi kosza i zerknąwszy prędko w prawo lub w lewo, rzucała piłkę, nie spuszczać wzroku z obręczy aż do momentu, gdy piłka w nią wpadła, zdobywając punkty. Wtedy Patty odbiegała.

Gdy dzieciaki zobaczyły, jak moja siostra gra, chciały ją mieć w swojej drużynie. Nawet chłopcy, jeśli byli mądrzy. Jeszcze jedna rzecz, jeśli chodzi o Patty: mimo że na boisku była gwiazdą, nigdy nie zagarniała piłki tylko dla siebie. Nie odczuwała potrzeby, by zdobyte punkty przypisywać sobie. Była prawdziwą zawodniczką zespołową. Jednak na najszcześniejszą wyglądała chyba wtedy, gdy znajdowała się na boisku sama, tak jak tego pierwszego dnia – tylko ona i piłka, kozłowanie i rzucanie. Po tym dźwięku poznawałam, że moja siostra wraca do domu – po odgłosie piłki do kosza uderzającej o chodnik. Miarowym jak bicie serca.

Przez całą siódmą klasę czekałam, aż pojawi się krwawienie. W tamtym roku na pewno działy się też inne rzeczy, ale ja pamiętam tylko to. Budziłam się i wsuwałam rękę w spodnie od piżamy, żeby sprawdzić, czy coś się w nocy wydarzyło, przesuwałam ją po brzuchu, po moich nowych piersiach – niewielkich twardych wzgórkach – i po tym miękkim miejscu, gdzie wykielkowała kępka włosów łonowych, ale niczego więcej tam nie było.

Według mojej wiedzy, jako jedyna dziewczynka w klasie nie dostałam jeszcze okresu. Doszłam do tego drogą eliminacji, słuchając wszystkich tych dziewcząt, które rozmawiały o bólach menstruacyjnych lub stały wokół automatu z tamponami, wymieniając się opowieściami o katastrofach czy przyjęciach na basenie, przez które musiały przebrnąć, zakrywając pewne miejsca. Tylko ja nie miałam o czym opowiadać.

Gdy nadeszło lato i moje trzynaste urodziny, to, że jako jedyna z koleżanek nie zaczęłam jeszcze miesiączkować, przyćmiło wszystko inne. Od początku roku szkolnego zeszłej jesieni nosiłam w szkolnej torbie podpaskę. Żyłam w strachu, że stanę się jedną z tych dziewcząt, która wstaje z ławki, żeby podejść do tablicy i napisać na niej twierdzenie, i widać, że z tyłu na spódnicy ma czerwoną plamę. Może, jeśli ma przyjaciółkę, ta później coś jej powie. Bardziej prawdopodobne jednak, że wszyscy będą się

gapili i szeptali między sobą.

Moja siostra oznajmiła, że ma nadzieję, iż jej to nigdy nie spotka – to znaczy, że nie dostanie miesiączki. „Powodzenia”, rzekłam, jednak zaczęłam się martwić, że będę jedyną dziewczynką w historii naszej szkoły, która aż do jej ukończenia nie zobaczyła czerwonej plamy na majtkach.

To dziwne, że można tak czekać na okres. Kto by chciał, żeby sączyła się z niego krew? A może nawet płynęła strumieniem, bo właściwie co do tego nie miałam pewności.

Tylko że ja tego pragnęłam. Bo wszystkie dziewczęta już dostały, i było to coś, czym mogły się dzielić z pozostałymi. Ja byłam inna i bez tego. Uznałam, że jeśli będę mogła stać przy automacie z tamponami, trzymając się za brzuch, skarżąc się na bóle miesiączkowe, zacznę wreszcie pasować do koleżanek. Tymczasem wciąż nosiłam przy sobie tę samą nierozpakowaną podpaskę, która leżała na dnie mojej torby od tak dawna, że zdążyły się do niej przykleić okruchy z kanapek i kawałeczki czekolady z batoników, nosiła też ślady tuszu z długopisu i kłaczki z chusteczek higienicznych. Zaglądałam do majtek, ilekroć szłam do toalety. Bez efektu. Czułam się jak odmieniec, choć przecież nie pierwszy raz.

Nasza mama nie była osobą, z którą rozmawia się o takich rzeczach, ale musiała wiedzieć. Przecież prała nasze ubrania.

Ojciec, gdy nas odwiedzał, traktował mnie inaczej, jakbym była krucha i mogła się stłuc. Z Patty nadal dokazywał – klepał ją po pupie, rzucał jej piłkę, nie zważając na to, czy uderzy ją w brzuch, bo ona tylko się śmiała, podnosił ją (mimo że była już wysoka) i okręcał. W kontakcie ze mną wykazywał jakiś nowy, nieznany dystans i czasem miałam wrażenie, że przestał mnie znać.

Ojca chyba wytrącała z równowagi myśl, że dojrzewam. Umiał się obchodzić z małymi dziewczynkami i wiedziałyśmy, po wszystkich wizytach w Marin Joe's i innych miejscach, w których bywałyśmy razem z nim, że bez wątpienia umie się obchodzić z kobietami. W przypadku córki, która przestała być dzieckiem, chyba nie bardzo wiedział, co robić. To było do niego niepodobne, ale na to właśnie wyglądało.

Jedyną osobą, której o tym mówiłam, była moja siostra. Tylko z nią rozmawiałam o wszystkim, a ona tylko ze mną.

Wieczorami w naszym piętrowym łóżku (Patty na wyższym, ja niżej) słuchałyśmy muzyki z tranzystorowego radia i na tandetnym przenośnym gramofonie (Petera Framptona, Cata Stevensa, Lindy Ronstadt; mocniejsza muzyka, jak Led Zeppelin czy Lynyrd Skynyrd była zarezerwowana na dzień).

Szeptaliśmy całymi godzinami. Wydawało się, że nie ma tematu, którego nie mogłybyśmy poruszyć. Na co zdecydowałyby się Patty, gdyby mama nagle pozwoliła nam mieć psa: na słodkiego szczeniaczka, czy na starego psa ratownika, który naprawdę potrzebuje domu? Co się dzieje z ciałem po śmierci? A także – po obejrzeniu filmu *Szczęki* – czy chciałybyśmy nadal żyć, gdyby rekin odgryzł nam ręce i nogi. (Lub gdzie postawiłybyśmy granicę: dwie nogi, jedna ręka? Obie nogi? Jedna ręka, jedna noga? Rozważaliśmy każdy możliwy wariant).

Dyskutowałyśmy o Bogu (ja w niego nie wierzyłam, Patty tak) i o rozwodzie naszych rodziców – choć to było już tak dawno. Wiedząc, że ojciec nas zostawił, ale mieszka sam, snułyśmy przypuszczenia, co robi, gdy nie jest w komendzie i nie pracuje nad jakąś sprawą. Choć nigdy o tym nie mówił, nawet gdy go pytałyśmy, wydawał nam się typem mężczyzny, który musi mieć kobietę, i byłyśmy przekonane, że jest piękna. Usłyszałam kiedyś w rozmowie rodziców pewne imię, ale go o to nie zapytałam. Gdyby ojciec chciał nam coś powiedzieć, toby to zrobił, a poza tym wydawało mi się, że to będzie nielojalność wobec mamy.

W życiu naszej mamy nie było żadnych tajemnic. Od czasu rozwodu trwała pogrążona w bezdennym, zimnym, szarym smutku, jakby odejście ojca z jej życia pozbawiło ją resztek słońca. Nie miałyśmy wątpliwości, że nas kocha, ale zachowywała się jak ktoś cierpiący na zakaźną chorobę i bojący się, że jeśli za bardzo zbliży się do osób, które kocha, to kto wie, może je zarazi. Wracając do domu z biura, gdzie pracowała jako maszynistka (słowo „sekretarka” sugerowałoby wyższy status, niż sobie przyznawała), kupowała jedzenie, kiedy mogła, jechałyśmy do sklepu po ubrania do szkoły, jednak w odróżnieniu od innych dzieci byłyśmy przeważnie zostawione same sobie, w ciasnych tenisówkach, z zazwyczaj pustą lodówką, z krakersami, serem i zupą z puszki na obiad. Tylko nikły zapach dymu papierosowego dochodzący spod jej drzwi dawał nam znać, że jest tam w środku z jedną z książek z biblioteki.

Życie naszego ojca było bardziej skomplikowane. Istniała w nim tajemnicza Margaret Ann (której imię mama wykrzykiwała ostatniego wieczoru, gdy ojciec z nami mieszkał, a później już nigdy).

Były też te wszystkie inne kobiety. Zdarzało się, że Patty i ja spotykałyśmy się z ojcem i jakaś nieznana nam pani wołała go lub podchodziła do nas i wymieniali spojrzenie, które dawało nam do zrozumienia, że ona wie wszystko o rzeczach, o których my nie mamy pojęcia.

Czasem pytałam go, kto to był, a on odpowiadał: „Taka jedna znajoma”. Niekiedy dodawał, że pracuje w kwiaciarni, do której wstąpił (na pewno żeby kupić kwiaty dla jeszcze innej) lub w salonie samochodowym, gdzie zostawiał do przeglądu swoją alfę, albo że kiedyś kupił u niej buty. Raz była to sędzia w sprawie, w której zeznawał. Jednak sposób, w jaki na niego patrzyła na parkingu przed stacją benzynową, gdzie ją spotkaliśmy – poprawiała włosy i robiła taki gest, jak one wszystkie, dotykając szyi – sugerował, że jest bardziej kobietą niż sędzią.

Nie rozumiem, o co chodzi z tym całym seksem, wyznała kiedyś Patty.

Pewna nastolatka z domu przy naszej ulicy, do którego Patty dostarczała gazety, powiedziała jej kiedyś, że nasz ojciec jest sexy. To dało początek dyskusji o tym, co sprawia, że ktoś jest sexy, a potem, co ludzie robią razem w łóżku, w moim rozumieniu. Nie nasza mama, ale inni ludzie. Z całą pewnością ojciec.

Dlaczego ludzie uważają, że to jest fajne? – zapytała.

Jej wydawało się to głupie. Wolą grać w kosza.

Nie potrafiłabym wyjaśnić dokładnie skąd, ale z całą pewnością wiedziałam, że ludzie przywiązują do seksu dużą wagę. Zdaje się, że sprawia im przyjemność, choć również popycha do robienia szalonych rzeczy. Tak to wtedy widziałam. Doszłam do wniosku, że zrozumieć to lepiej, gdy już dostanę okresu. Tylko że mijały miesiące i się nie zjawiał. W końcu podpaska noszona przeze mnie w torbie prawie się rozleciała, więc ją wyrzuciłam i nie chciało mi się zastąpić jej nową.

Nasz ojciec miał wiele sekretów. Przepis na swój specjalny włoski sos

marinara, który obiecał mi zdradzić, gdy skończę dwadzieścia jeden lat. Miejsca, do których nas zabierał w weekendowe popołudnia. („Zobaczycie, mówił, przypinając nas pasami z przodu. Tylko nic nie mówcie mamie”). Jego słynny talent do wyciągania z przestępców przyznania się do winy i do odgadywania, czy jest nam smutno, czy się czegoś boimy. Wiedział, że jeden chłopak w szkole wyśmiewał się z zębów mojej siostry, jeszcze zanim mu o tym powiedziałyśmy. Miał też oczywiście talent do robienia pajęczków z naszych włosów. Dzięki temu wszystkiemu wierzyłyśmy, że nasz ojciec ma magiczne zdolności.

Wyczekiwałyśmy tych popołudni, gdy zajeżdżał pod nasz dom alfa – lub gdy pracował akurat nad jakąś sprawą, nieoznakowanym radiowozem (wtedy zawsze miał pistolet przytwierdzony do kostki i radio przy pasku od spodni) – i na półtorej godziny, jeśli zabierał nas na obiad, a czasem tylko na dziesięć minut, jeśli tylko tyle miał czasu, cały świat się rozjaśniał. Szczęście rozsadzało mi pierś i śmiałyśmy się z Patty tak bardzo, że bolały nas buzie.

W samochodzie ojciec zawsze miał nastawiony magnetofon. Gdy śpiewał Sinatra, tylko słuchał. (Kto by śmiał śpiewać razem z Frankiem?) Ale gdy był to Dean Martin, włączał się po angielsku czy włosku, wszystko jedno. *Mambo italiano, Ritorna-Me, Send Me the Pillow You Dream On...* I nasza ulubiona – *That's Amore*.

Ojciec oczywiście znał wszystkie słowa, ja i Patty też. Słyszałyśmy je tyle razy, ale pozwalałyśmy, żeby tylko on śpiewał.

Gdy cię księżyc zachwyca, krąży jak wielka pizza...

That's amore! – wołała Patty swoim dźwięcznym głosem.

Gdy nie możesz się skupić, w gwiazdy patrzysz jak głupi...

That's amore!

Po chwili zaczynałyśmy wymyślać własne słowa:

Gdy w środku cię skręca, jakbyś połknął tasiemca...

That's amore!

Gdy zaczynasz się jękać i chce ci się puścić bąka...

That's amore!

Śpiewałyśmy przez całą drogę do domu i jeszcze gdy ojciec zatrzymywał

auto na naszym podjeździe.

Och, dziewczynki! – mówił, podnosząc nas. Dwie miłości mojego życia.

I odjeżdżał. Gdy skręcał w kierunku autostrady, słyhać było jeszcze ostatnie nuty z magnetofonu. My zostawałyśmy na krawężniku, patrząc, jak jego samochód znika na końcu ulicy.

Nigdy nie wiedziałyśmy, kiedy przyjedzie następnym razem. Nie można się nawet było na niego o to gniewać – choć Patty później się gniewała.

Kiedy jest z nami, to nam rekompensuje cały ten czas, gdy go nie ma, tłumaczyłam jej.

Uważałam, że to byłoby zbyt wiele oczekiwać, że taki człowiek jak nasz ojciec będzie w normalny sposób zajmował się takimi dziewczynkami jak my. Nie mogłyśmy go zatrzymać dla siebie, tak samo jak nie można zatrzymać zachodu słońca czy morskich fal.

Nikt nie miał takiego ojca jak my. Był jak gwiazdor filmowy czy astronauta, jak ktoś, kogo pokazują w telewizji, kto siedzi na kanapie i gawędzi z Johnnym Carsonem. Cieszyłyśmy się, że jesteśmy jego córkami, a on przyjeżdża specjalnie, żeby się z nami zobaczyć. I mimo że kochało go wiele kobiet, my wiedziałyśmy, że on najbardziej na świecie kocha nas.

Byłyśmy jego największymi skarbami i nie miałyśmy wątpliwości, że tak będzie zawsze.

Lato 1979 roku. Miałam trzynaście lat i dwa miesiące i właśnie skończyłam siódmą klasę. Z nikim się nie przyjaźniłam, najukochańszą osobą była dla mnie siostra, a tuż za nią ojciec. Byłam też zakochana w Peterze Framptonie i Johnie Travolcie i miałam zamiar zostać pisarką, gdy dorosnę. W miarę możliwości również międzynarodowym szpiegiem, względnie pierwszą kobietą kierowcą wyścigowym. Przeczytałam cztery razy *Dziennik* Anny Frank, zaginając strony, na których Anna pisze o seksie i o złości na matkę, i pisałam pamiętnik, tylko że zamiast opowiadać o tym, co wydarzyło się naprawdę, wymyślałam różne historie. Ich głównymi tematami były tragiczne romanse i szalone przygody w miejscach, o których czytałam w „National Geographic”.

Na podstawie jedyne go małżeństwa, które miałam okazję obserwować

z bliska – krótkiego, smutnego związku moich rodziców – wyrobiłam sobie na temat tej instytucji niezbyt dobrą opinię. Małżeństwo miało dużą szansę skończyć się rozwodem, a rozwód złamał serce naszej mamie. Zabrał nam też ojca – nie tylko mamie, ale też mnie i mojej siostrze. Teraz on bez przerwy gdzieś gnał, zatrzymując się tylko na moment, żeby zabrać nas do Marin Joe's, śmigał przed naszym domem błękitną alfą romeo, a nam zapierało dech w piersiach.

Potem znów zniknął, żeby załatwić jakąś sprawę zawodową. W każdym razie nie było go z nami.

Małżeństwo kończyło się rozwodem i taką sytuacją jak nasza, co w przypadku mamy oznaczało, że już nigdy nie będzie szczęśliwa. Jeśli takie są konsekwencje małżeństwa, komu ono potrzebne? Wolałabym odjeżdżać niż być porzucaną. A poza tym zostanę pisarką. Będę zbyt zajęta, żeby wychodzić za mąż.

Nie chciałam nawet mieć dzieci. (Widok ciała Jennifer Pollack po urodzeniu Karla juniora dał mi sporo do myślenia, a zmienianie jego pieluch przypieczętowało moją decyzję). Odliczałam jednak lata do chwili, gdy będę na tyle dorosła, żeby móc się wyprowadzić z domu, znaleźć lepsze zajęcie niż praca opiekunki do dziecka i kupić sobie kabriolet, czarny, nie czerwony, jak wszyscy, którzy marzyli o kabriolecie. Przyszło mi też do głowy, że może zrobię sobie tatuaż, co w tamtych czasach nie było jeszcze tak popularne jak później. No i będę podróżowała po świecie, przeżywała przygody i zbierała materiały do książek. Czasem polecę do jakiegoś miasta, żeby spotkać się z czytelnikami, którzy będą stali w długich kolejkach po mój najnowszy bestseller, a gdy już będą mogli ze mną porozmawiać, będą mówili, że to najlepsza książka, jaką kiedykolwiek czytali, oprócz *Dziennika Anny Frank* czy *Zabić drozda*.

Skąd pani czerpie pomysły? – zapyta ktoś.

Gdy byłam młoda, odpowiem, robiłam wszystko, by życie wydawało się ciekawsze. Ja i siostra zawsze szukałyśmy powodów do ekscytacji, a jeśli ich nie było, to je wymyślałyśmy. Przychodziły nam do głowy historie tak prawdziwe, że w nie wierzyłyśmy.

Później coś wydarzyło się naprawdę. A wtedy gorzko tego pożałowałyśmy.

Był dwudziesty pierwszy czerwca, letnie przesilenie. Wakacje trwały już od tygodnia. Na liście przebojów królowała *My Sharona* zespołu Knack. W stacji radiowej, której słuchałam z Patty, didżeje grali ją jakieś sto razy dziennie. Poruszałyśmy ustami, udając, że śpiewamy, i tańczyłyśmy do niej w naszym pokoju, a potem też na wzgórzu, nago. Nie byłyśmy do końca pewne, jak rozumieć jej tekst, ale wyczuwałyśmy w nim zło.

Gdy zbliżały się moje trzynaste urodziny, odkryłam, że lubię, gdy z podniecenia szybko bije mi serce. Ponieważ nie miałam jeszcze kabrioletu, robiłam, co mogłam, żeby odtworzyć stan, w jakim może być ktoś, kto jedzie bardzo szybko drogą o ostrych zakrętach i stromych zboczach. Aby być na haju, nie używając narkotyków.

W moim przypadku te szaleństwa działały się głównie w mojej głowie, ale Patty była gotowa spróbować wszystkiego. Gdy zobaczyła na jakimś ogrodzeniu napis „Wstęp wzbroniony”, wdrapywała się na nie. Jeśli jakiś chłopak stwierdzał, że bałaby się zjechać na jego deskorolce z góry, wskakiwała na deskę. Ja byłam od obserwowania i wymyślania przygód.

Zbliżała się dwudziesta. Rano przetrząsnęłyśmy dom w poszukiwaniu drobnych, szukałyśmy pod poduszkami na sofie i w suszarce do bielizny. Udało nam się znaleźć całego dolara i osiemdziesiąt pięć centów drobnymi. Popołudnie spędziłyśmy w centrum handlowym, żeby popatrzeć na ciuchy (bez przymierzania, to by nie było w naszym stylu) i zjeść mrożony deser Slurpee. Gdy wróciłyśmy do domu, przez jakiś czas leżałyśmy na dolnym łóżku, słuchając płyty Rolling Stonesów *Sticky Fingers*, pogryzając rzodkiewki i bawiąc się zamkiem rozporoka Micka Jaggera, który ozdabiał okładkę płyty.

Na kolację zjadłyśmy spaghetti z puszki. Nie wytrzymało porównania z jakimkolwiek daniem przyrządzonym przez ojca, kiedy jeszcze dla nas gotował.

Potem rozsiadłyśmy się na kocu, gotowe do seansu pod gołym niebem, w porze *Brady Bunch*. Wtedy byłyśmy już trochę za duże na ten serial –

przynajmniej ja – poza tym znałyśmy wszystkie odcinki na pamięć, ale te seanse stały się naszą tradycją.

Był gorący wieczór najdłuższego dnia roku, więc słońce jeszcze nie zaszło, co utrudniało oglądanie telewizji u Helen. W dodatku wyglądało na to, że Helen tego wieczoru wybierze show Lawrence’a Welka, a to nie była dla nas dobra wiadomość. (Wciąż zmieniała kanały. Zdaje się, że wybierała momenty, w których pojawiał się jej ulubiony akordeonista).

Postanowiłyśmy więc przenieść koc w inne miejsce na wzgórzu, za dom Karla i Jennifer Pollacków, którzy niedawno sprawili sobie telewizor jeszcze większy od odbiornika Helen. Przenoszenie koca było naszą wersją zmiany kanału.

Serial właśnie się zaczynał – uśmiechały się do nas dobrze znane twarze całej rodziny Bradych ułożone w szachownicę – gdy nagle ekran na kilka sekund zrobił się czarny i czołówkę serialu zastąpił nowy obraz. Nie mogłyśmy odczytać słów na ekranie, ale wiedziałam z doświadczenia, że oznacza to, iż przerywają program, by podać wiadomość z ostatniej chwili.

Może wybuchł pożar lasu? – rzuciłam.

O tej porze roku zawsze istniało takie zagrożenie. Albo był zamach na prezydenta.

Następny obraz nas zaskoczył: ekran telewizora wypełniła twarz naszego ojca. Ubrany w sportową kurtkę i koszulę z krawatem, stał na podwyższeniu w sali pełnej reporterów.

Nasz ojciec. W telewizji! Prawie nie widywałyśmy go w prawdziwym życiu, a tu proszę, nagle jest na ekranie.

Oczywiście nie miałyśmy pojęcia, o czym mówi. Miał poważny wyraz twarzy, taki jak wtedy, gdy Patty złamała sobie rękę, usiłując zjechać z góry na pożyczonej deskorolce – a robiła to pierwszy raz w życiu. Nawet teraz, w takiej sytuacji, nie mogłam nie pomyśleć, że nasz ojciec jest bardzo przystojny. To, że występuje w telewizji, wydawało się właściwe, zupełnie jakby tam było jego miejsce.

Musiało stać się coś złego, szepnęła Patty. Może napad na bank, pościg samochodowy i katastrofa gdzieś na autostradzie 101?

Tylko że takimi przestępstwami zajmowała się najczęściej zwykła policja,

a nie ci z dochodzeniówki.

Po raz pierwszy zaczęłam żałować, że nie mamy kablówki, nie możemy oglądać telewizji jak normalni ludzie i nie wiemy, o czym mówi nasz ojciec. W tym przypadku wyobrażanie sobie, co mówi osoba na ekranie, było zupełnie niesatysfakcjonujące.

Zapukajmy do Pollacków i zapytajmy, czy możemy pooglądać, zaproponowała Patty. Tylko że wtedy dowiedzieliby się, że zaglądamy im przez okno, a poza tym do tej pory ojciec na pewno skończy wypowiedź i na ekran wróci serial o Bradych.

Mogłyśmy zapytać mamę, o co chodzi, ale nie chciałyśmy. Już dawno przekonałyśmy się, że w miarę możliwości najlepiej trzymać ją z dala od życia.

Siedziałyśmy tak, chłonąc widok naszego wysokiego, silnego, przystojnego ojca rozmawiającego z dziennikarzami. Nie wiedziałyśmy, o czym mówi, ale było jasne, że nie jest to nic dobrego.

Dokładnie w tej samej chwili usłyszałyśmy cichy dźwięk, jednak coraz głośniejszy, aż przeszedł w warkot niemal tuż nad naszymi głowami: w powietrzu unosił się helikopter.

Gdy skończyło się specjalne wydanie wiadomości, zabrałyśmy z ziemi koc, ale nie wróciłyśmy do domu, jak zazwyczaj zrobiłybyśmy o tej porze. Mimo że było już dość ciemno, mozolnie wspięłyśmy się na zbocze do miejsca, z którego szlak turystyczny – jeden z kilkudziesięciu – prowadził na szczyt góry Tamalpais, gdzie słychać było helikopter.

Z oddali dochodził dźwięk zakłóceń, najprawdopodobniej z policyjnego radia. Wciąż słyszałyśmy warkot silnika i czułyśmy podmuch wirujących łopat śmigła, który rozwiewał nam włosy. Na początku szlaku stali dwaj policjanci i rozmawiali z grupą ludzi z latarkami. Podeszłyśmy do nich.

Co się stało? – zapytałam. Patty trzymała koc i przytulała się do mnie. W takich sytuacjach to ja musiałam wykazywać inicjatywę.

Nie powinno was tu być, powiedział jeden z mężczyzn. Wczoraj zaginęła na szlaku dziewczyna.

Z początku traktowano ją jak uciekinierkę, jednak ktoś znalazł zakrwawioną skarpetkę. Zaapelowano do ochotników, żeby prowadzili

poszukiwania.

Może dopadł ją kojot? – wykrztusiła Patty. Co najmniej raz w roku ginął komuś kot czy pies i przez kilka dni w okolicy wisiały ogłoszenia z jego zdjęciem, obiecujące nagrodę wysokości pięciu dolarów. A potem rozchodziła się wiadomość, że na wzgórzu znaleziono kolejne rozszarpane ciało zwierzęcia. Mogła to być sprawka kojota. Rzadziej pumy, względnie kuguara.

Tata nie prowadzi śledztw w sprawie zwierząt, przypomniałam jej. Naszego tatę wzywają tylko wtedy, gdy dojdzie do morderstwa.

Następnego dnia znaleziono ciało Charlene Gray leżące w zaroślach chruściny jagodnej, tuż przy szlaku Steep Ravine, niedaleko miejsca, gdzie krzyżował się z Little Salmon Creek. Miała dwadzieścia jeden lat, właśnie skończyła studia na Uniwersytecie Stanowym San Francisco. Poszła rozchodzić nowe buty turystyczne, jak powiedział jej chłopak, żeby przygotować się do wyprawy szlakiem Pacific Coast Trail.

Szczegóły, które do nas dotarły – że była naga, tylko w jednej skarpetce, oczy miała zaklejone taśmą, i że znaleziono ją w pozycji klęczącej, jakby błagalnej – to nie były informacje, jakimi podzieliliby się z nami ojciec czy mama. Dowiedziałyśmy się tego wszystkiego na drugi dzień od dziewczynki z mojej klasy, Alison Kerwin, która wcześniej nigdy nie wykazywała chęci zaprzyjaźnienia się ze mną, ale zadzwoniła do mnie zaraz po konferencji prasowej – drugiej w ciągu doby z udziałem naszego ojca – na której oświadczył, że dziewczyna została zamordowana.

Alison była klasową gwiazdą jeszcze przed piosenką Elvisa Costello z jej imieniem w tytule. Ktoś w szkole rozpuścił pogłoskę, że to piosenka o niej – niektóre dzieci naprawdę w to uwierzyły.

Widziałam twojego tatę w telewizji, powiedziała Alison. Fajnie mieć ojca prawdziwego detektywa.

Nic nie odpowiedziałam, a ona ciągnęła:

Ten zabójca ją zgwałcił. Czasami takie świry uprawiają seks z kimś, kto już nie żyje, ale moja mama mówi, że gdy to zrobił, ona prawdopodobnie jeszcze żyła. Chyba można wykonać jakiś test, żeby stwierdzić, jak było

naprawdę, ale ty na pewno już to wiesz.

Wciąż milczałam, głównie dlatego, że nie miałam nic do powiedzenia.

Jeśli kiedykolwiek ktoś cię zaatakuje, mówiła Alison, trzeba zamknąć oczy. Wtedy nie będziesz wiedziała, jak on wygląda, więc nie uzna, że musi cię zabić. Ale na pewno ojciec też ci już o tym mówił, dodała. I udzielił mnóstwa innych rad, mogę się założyć. Ja bym się czuła zdecydowanie bezpieczniej, gdyby teraz ze mną był, bo ten bandyta przecież jest na wolności.

Nie powiedziałam jej, że tak naprawdę ojca z nami nie ma. Ani teraz, ani przed tym morderstwem. Jediną różnicą było to, że teraz mogliśmy go oglądać w telewizji.

Zadzwoił do nas nazajutrz. Telefon od ojca zawsze był dużym wydarzeniem.

Pewnie już wiecie, że coś się stało na wzgórzu, powiedział. Nie chcę was straszyć, ale wiem, że lubicie tam przebywać. Przez jakiś czas lepiej, żebyście tam nie chodzili.

Zawsze chodzimy na wzgórze, odrzekłam. Tam się bawimy.

Tylko ojcu mogłam się przyznać, że się „bawimy”. W szkole dziewczyny zwykle mówiły o „spędzaniu czasu razem”, jednak prawda była taka, że ani ja, ani moja siostra nie miałyśmy w szkole koleżanek. Miałyśmy tylko siebie i wciąż bawiłyśmy się razem. Przeważnie na wzgórzu.

Na razie musicie trzymać się z daleka od góry. Do czasu, aż przymkniemy tego faceta, powtórzył ojciec. Obiecuj, że będziecie się bawiły blisko domu.

Obiecałam, ale krzyżując palce. Nie było takiej możliwości, żebyśmy podczas tak długo wyczekiwanych wakacji całe dni siedziały w domu. Niektóre dzieci – jak na przykład Alison Kerwin i większość dziewczyn z mojej klasy – spędzały czas w centrum handlowym lub na basenie w ośrodku rekreacyjnym, chyba że wyjeżdżały na obóz albo z rodziną do Disneylandu czy nad jezioro Tahoe, ale Patty i ja musiałyśmy same zagospodarować sobie wakacje. Góra była naszym ulubionym miejscem.

Co mamy robić w domu, tato? – jęknęłam. Może miałam nadzieję, że zaprosi nas na jakiś czas do swojego mieszkania w mieście, choć wiedziałam,

że to mało prawdopodobne.

Możecie piec ciastka, chodzić do biblioteki, grać w Monopol, odparł. Jesteście inteligentne, coś sobie znajdziecie. Pomagajcie mamie. Nauczcie się alfabetu Morse'a.

Co ten bandyta zrobił tej dziewczynie? – chciałam wiedzieć. Czy to był ktoś w niej zakochany, a ona go rzuciła?

Lepiej nie myśl o takich rzeczach, Farrah, odparł ojciec.

Często mnie tak wtedy nazywał. Nie dlatego, że byłam podobna do Farrah Fawcett, tylko dlatego że Patty i ja lubiliśmy udawać, że jesteśmy aniołkami Charliego. Czasem, gdy udawałyśmy, że jakiś sąsiad jest tak naprawdę rabusiem albo szpiegiem, mówiłam do Patty: „Daj mu wycisk, Bree”, a ona pędziła jak strzała, choć oczywiście nigdy nie wypróbowała na nikim chwytów dzu-dzitsu, oprócz ojca i mnie.

Macie już jakiś trop? – zapytałam. Ojciec nie rozmawiał o prowadzonych przez siebie śledztwach, ale pytając, czułam się wyjątkowo, bo bliżej niego.

Nie nabijaj sobie tym głowy, dziecko, powiedział. Wystarczy, że ja się tym zajmuję. To nie dla ciebie.

Wiem, że go złapiesz, powiedziałam. Jak zawsze.

Nie chodźcie na tę górę, powtórzył.

Miejsce, w którym znaleziono ciało Charlene Gray, znajdowało się blisko naszego domu, po stronie góry uczęszczanej przez turystów, choć w tamtym czasie nie było ich jeszcze tak wielu jak później, gdy modne stały się wędrowki ze specjalnymi kijkami, w specjalnych butach i bluzach z oddychających materiałów. Wtedy w sobotę na szlaku spotkać można było może z pięć osób. A czasem tylko dwie.

Niecały kilometr dalej na naszej ulicy znajdował się jeden parking, a w połowie góry drugi, z posterunkiem straży leśnej. Jednak na szlaki – długie i tworzące rozległą siatkę – można było się też dostać za naszym domem. Dzień po znalezieniu zwłok w okolicy zjawili się dwaj policjanci i wypytywali mieszkańców naszego osiedla, czy dwa dni temu widzieli podejrzaną postać zmierzającą w kierunku szlaków lub z nich schodzącą. Najwyraźniej jednak nikt nie miał nic do powiedzenia.

Po tym jednym telefonie od ojca, kiedy to kazał nam trzymać się z dala od góry, przez wiele dni nie miałyśmy od niego wiadomości – nie oczekiwaliśmy ich zresztą, wiedząc, jak bardzo jest zajęty tą sprawą i jak rzadko dzwoni nawet wtedy, gdy nie prowadzi śledztwa. Od naszej sąsiadki, Jennifer Pollack, która wyszła na spacer z Karlem juniorem zaraz po tym, jak przesłuchała ją policja, dowiedziałyśmy się, że nie mają żadnego rysopisu, na którym mogliby się oprzeć. Jednak mężczyznę schodzącego samotnie z góry ktoś by chyba zauważył, więc opłacało im się wypytywać.

Nie umknęłoby to uwagi mojej i Patty. Prawdę mówiąc, wciąż o tym rozmyślałyśmy, gdy przyszła nam do głowy ta myśl: spędzamy na tej górze więcej czasu niż ktokolwiek inny. Może zabójca znał Charlene Gray i miał jakiś konkretny powód, żeby ją skrzywdzić, jednak zwróciłam uwagę Patty, że jeśli była przypadkową ofiarą, to mogłyśmy stać się nimi i my.

Przypuśćmy, że poszłybyśmy tamtego dnia szlakiem do posterunku straży leśnej albo odważyły się wejść do zagajnika eukaliptusowego niedaleko naszego domu, żeby pobawić się w prawdę czy wyzwanie albo w szpiegów, lub by pojeźdzać ze zbrocza na kawałku tektury, co lubiłyśmy robić o tej porze roku, gdy trawa robiła się brązowa i na tyle sucha, by się po niej ślizgać. Stał mi przed oczami obraz nas dwóch trzymających się za ręce

i zbiegających najszybciej, jak się da, z najbardziej stromego zbocza. Któraś z nas się potyka i upadamy jedna na drugą, tarzamy się i zaśmiewamy. Nagle podnosimy wzrok i patrzymy w twarz mężczyzny, który nam się przygląda.

Co byśmy zrobiły, gdyby nas złapał? Ojciec nauczył nas chwytów dżudzitsu, więc wiedziałyśmy, że wypróbowanym sposobem na wytrącenie napastnika z równowagi, przynajmniej na chwilę, jest kopnięcie go w krocze, ale może pozbierałby się w kilka sekund i znów zaatakował. Gdybyśmy nie dały rady wymierzyć silnego ciosu w grdykę mordercy – w naszym przypadku było to dość prawdopodobne – potrzebowałybyśmy więcej niż jednego kopniaka, by go powstrzymać.

Umiałyśmy szybko biegać i byłyśmy dwie. Ale gdyby dogonił jedną z nas? Na przykład mnie, bo Patty biegała szybciej?

Może obrzuciłabym go liśćmi trującego bluszczu? – podsunęła Patty.

Nie bała się wyzwania fizycznych, ale nie zawsze miała najlepsze pomysły.

Gdyby przytrzymał mnie za głowę, tobym go ugryzła, oświadczyłam. Była to taktyka, której nauczyłam się z *Aniołków Charliego*. A ty podeszłabyś od tyłu i walnęła go kamieniem.

I gdy byłby już nieprzytomny, pobiegłybyśmy do domu i zadzwoniły do taty, dodała Patty.

Za duże ryzyko, uznałam. W tym czasie facet mógłby się ocknąć i zwać.

To ty byś pobiegła, a ja bym go pilnowała, podsunęła moja siostra.

To było dla niej typowe: lekceważyć jakakolwiek myśl o niebezpieczeństwie.

Zabrałybyśmy mu ubranie, żeby się wstydził uciekać, wymyśliłam, choć czyjaś nagość nie była czymś, co mogłoby powstrzymać moją siostrę. A potem związałybyśmy go pnączami roślin.

Nie chciałabym oglądać jego gołego tyłka, powiedziała Patty. O innych – jeszcze bardziej intrygujących czy komicznych częściach ciała – jakoś nie mogła mówić, chociaż kiedy indziej (gdy obiekt naszego zainteresowania wydawał się dostatecznie seksowny) owszem, zastanawiałyśmy się nad nimi. Interesowałyby mnie na przykład związanie nago kogoś takiego jak Peter Frampton (albo, po obejrzeniu *Grease*, John Travolta) i uczynienie go naszym niewolnikiem.

Czasem musi się robić takie rzeczy w ramach obowiązków służbowych, uświadomiłam jej. Myślisz, że tata nigdy nie musiał robić czegoś tak ohydneho?

Aniołki nie musiały, ale w prawdziwym życiu było inaczej.

Gdybym powiedziała tacie, co się dzieje, przyjechałby bardzo szybko, ciągnęłam. Włączyłby syrenę w aucie i wezwał posiłki.

Wyobraziłyśmy sobie tę scenę: nasz ojciec w czarnej skórzanej kurtce, ze złotym zegarkiem błyszczącym w słońcu, zakłada mordercy kajdanki. Pozostali policjanci sprowadzają go z góry, ten powłóczy nogami, a z ust cieknie mu ślina. Mijając Patty i mnie, wypluwa jakieś przekleństwa, ale my tylko się śmiejemy.

Potem ojciec podnosi nas i się z nami kręci – z obiema naraz, bo jest silny. „Gdyby coś wam się stało...”, zaczyna, ale nie może nawet dokończyć zdania. „Co powiecie na spaghetti i klopsiki w Marin Joe’s?”

Siadamy przy naszym ulubionym stoliku w głębi sali, za nami na ścianie wiszą zdjęcia Tony’ego Bennetta, Giny Lollobrigidy i Anthony’ego Franciosy. Kelnerka oczywiście zna naszego ojca. „Masz ładne córeczki, Anthony, mówi. Lepiej miej na nie oko”. „Niechby tylko ktoś spróbował ich dotknąć, odpowiada ojciec i zapala papierosa. Będzie miał ze mną do czynienia”.

Dla dobra śledztwa, według „Marin Independent Journal”, śledczy Torricelli prawie nie wypowiadał się na temat szczegółów dotyczących morderstwa – jakie tropy odkryła policja, czy zabójca zostawił jakieś ślady. Jednak w tych pierwszych dniach po odnalezieniu zwłok ukazało się kilka artykułów o Charlene Gray, z jej zdjęciem na balu na zakończenie szkoły średniej i drugim, z bratem na meczu Giantsów, na którym mieli na głowach bejsbolówki założone daszkami do tyłu i trzymali w rękach hot dogi. Opublikowano również wywiad z jej chłopakiem – z początku prasa się nim interesowała, jednak prędko wyeliminowano go z grona podejrzanych – w którym mówił o zamiłowaniu Charlene do pieszych wędrówek, o jej uczniach w kościelnej grupie młodzieżowej, którą prowadziła, o muzyce, której słuchała (Carpentersi), i o jej kolekcji pluszowych misiów koala.

Gdy ją znaleźli, nie miała na sobie nic oprócz jednej skarpetki. W artykule nie wspomniano, czy na miejscu zbrodni znaleziono jej ubrania. W tekście cytowano naszego ojca, który wyjaśniał, że dla dobra śledztwa biuro szeryfa nie ma prawa zdradzać żadnych informacji na temat miejsca zbrodni.

Przez całe trzy dni po morderstwie w pobliżu naszego domu roiło się od policjantów. Rodzice z nami o tym nie rozmawiali, jednak wiedziałyśmy, po co tam są. Ojciec opowiadał nam kiedyś, jak należy zachowywać się na miejscu zbrodni – jeśli doszło do niej w domu, ważne jest, by nie przesunąć ani jednego mebla, nie ruszyć filiżanki stojącej na stole, niedopałka papierosa w popielniczce, czy nawet samego popiołu. Przełom w śledztwie, który doprowadzi detektywa do podejrzanego, może spowodować pojedynczy włos, a nawet rzęsa.

Gdy przybywam na miejsce zbrodni, mówił nam, najpierw nie robię nic. Stoję dłuższą chwilę i wszystkiemu się przyglądam. Wtedy jest jedyna okazja. Gdy ekipa techniczna zabierze się do pracy, wszystko się zmienia. Ja muszę zarejestrować w głowie, jak wyglądało to miejsce w chwili, gdy popełniono przestępstwo.

W tej chwili miejscem zbrodni było właściwie nasze podwórko. Choć wiedziałyśmy, że ojciec doskonale wykona swoje zadanie i zbierze dowody, wydawało się oczywiste, że powinnyśmy spróbować znaleźć coś na własną rękę. To wreszcie był moment aniołków Charliego.

Nie było sensu badać miejsca, w którym doszło do morderstwa. Ekipa techniczna z całą pewnością milion razy przeczesła ten skrawek ziemi i okolicę i niewątpliwie nadal badała każdy jej centymetr kwadratowy. My musiałyśmy przyjąć dla celów naszego śledztwa inną strategię.

Jak zwykle ja dowodziłam, a Patty była moją wierną towarzyszką.

Potrzebuję chwili spokoju, poinformowałam ją. Muszę się nad tym zastanowić.

Siostra zrozumiała, o co mi chodzi. Wchodziłam w moją własną strefę, zdecydowanie różną od strefy naszego ojca. Mniej skupioną na szczegółach materialnych, a bardziej na odczuciach. Ojciec szukał śladów w świecie zewnętrznym, ja zaglądałam w głąb siebie.

Miałam pewną zdolność, która do tamtego czasu ujawniała się zupełnie niespodziewanie: widziałam rzeczy, zanim się wydarzyły. Albo po tym, jak się wydarzyły, mimo że nie byłam ich świadkiem. To była umiejętność nadprzyrodzona. W każdym razie ja w to wierzyłam. Inni może wykazywali sceptycyzm, ale Patty nigdy w to nie wątpiła.

Przez całe moje życie – a przynajmniej od kiedy sięgałam pamięcią – pojawiały się w mojej głowie obrazy. Nazywałyśmy je z Patty wizjami. Widywałam zarówno osoby znajome, jak i ludzi, których nigdy nie spotkałam. Czasem jakaś scena z przeszłości rozgrywała się niczym film, ale tylko w mojej głowie. Innym razem przemykało mi przed oczami wydarzenie z przyszłości. Słyszałam jakiś głos, który mówił coś do mnie lub do kogoś innego, trochę jak w telefonach towarzyskich, gdzie można było podnieść słuchawkę i słuchać czyjeś rozmowy. Tylko że te rozmowy nie odbywały się przez telefon. Wchodziły prosto do mojej głowy.

Niekiedy było to tylko wrażenie: „Zaufaj tej osobie”. Albo: „Od niego trzymaj się z daleka”.

Mama uznawała i akceptowała ten mój dar. Rozumiała, że czasem rzucam uwagę lub komentarz, które wydają się sugerować, że mam dostęp do jakiegoś innego zmysłu poza tradycyjnymi pięcioma.

Jeszcze gdy byłaś mała, wiedziałas, kiedy zadzwoni telefon, mówiła mi. Czasem biegłaś do drzwi o jakiejś dziwnej godzinie i stawałaś przy nich, a za chwilę zjawiał się ojciec, mimo że to nie była jego zwykła pora powrotu do domu.

Raz, gdy chodziłam do trzeciej czy czwartej klasy, było trzęsienie ziemi. Nic wielkiego, ale dość, by z półki pospadały naczynia. Rano tamtego dnia powiedziałam mamie, że powinnyśmy je zdjąć.

Jeśli tego nie zrobimy, rozbije się twój niebieski kubek, dodałam.

Teraz, ilekroć używała tego kubka, na którego uszku wciąż widać miejsce po sklejeniu, wiedziałam, że przypomina sobie tamten dzień.

Kiedyś załatwiałam z mamą sprawunki. Gdy zostawiła mokasyny u szewca, zaczęłam płakać. Powiedziałam jej, że martwię się o Pete’a, szewca, który zawsze dawał mi cukierka.

Dwa dni później, gdy wróciłyśmy po buty, zobaczyłyśmy napis na

drzwiach, oznajmiający, że zakład został zamknięty. ŚMIERĆ W RODZINIE.

Nie miałam tych wizji bez przerwy ani nawet często, jednak w pewnych rzadkich momentach ogarniało mnie wrażenie, jakbym wpłynęła do innej strefy czasowej, późniejszej niż ta, w której aktualnie się znajdowałam, i ni stąd, ni zowąd widziałam coś tak wyraźnie jak zdjęcie w magazynie „Life”.

Jeśli chodzi o to, co mi się ukazywało, nie istniała żadna prawidłowość: mąż Helen, Tubby, dostaje ataku serca. Mama przynosi do domu lody czekoladowe. Przed domem Gunnersonów zatrzymuje się autobus marki Volkswagen i wysiada z niego ich syn hipis, którego nie było w domu przez dwa lata. (Faktycznie przyjechał dzień później i okazało się, że wysiadł z datsuna).

Widziałam w wyobraźni siebie, jak mijam gabinet dyrektora szkoły i spostrzegam płaczącą matematyczkę tydzień przed tym, jak okazało się, że zwalniana ją z pracy za kradzież portfela. Miałam wizję, że Patty przynosi do domu ptaszka, którego znalazła na wzgórzu, i tak się stało. Tamtego wieczoru zobaczyłam jeszcze jeden obraz: znajdujemy ptaszka w pudełku po butach, w którym go umieściła, i jest martwy. I rzeczywiście, nazajutrz rano leżał nieruchomo na posłaniu z trawy.

Częściej zdarzało się, że w mojej głowie pojawiał się obraz niezwiązany z niczym, co miałam przed oczami. Jechałam, na przykład, na rowerze z Patty albo ćwiczyłam na wuefie i nagle wiedziałam, co widzi ktoś inny – widziałam to oczami tego kogoś. Najbardziej niepokojące były chwile, gdy miałam wrażenie, że wchodzę do głowy osoby, której prawie lub w ogóle nie znałam, a nagle byłam świadoma jej myśli.

To mogło być coś tak banalnego jak to, że ktoś martwi się, że na czole wyskoczył mu pryszcz. Ale zdarzały się też poważniejsze rzeczy: patrzyłam na przeciętnie wyglądającego mężczyznę w supermarkecie, jak przeczesuje dłonią włosy, i wiedziałam, że za chwilę pójdzie do domu kobiety, która nie jest jego żoną, a której mąż wyjechał z miasta. Że pójdzie z nią do łóżka, ale mąż wróci wcześniej i ich nakryje. (Seks był wtedy w tle wszystkiego. Widziałam go wszędzie).

Obserwowałam jakąś nastolatkę w sąsiedniej alejce w centrum handlowym, po którym włączyłam się z siostrą, i wiedziałam, że w kieszeni

dżinsów ma lakier do paznokci, za który nie zapłaciła. Fioletowy. Zobaczyłam jakąś kobietę na przystanku autobusowym i wiedziałam: tydzień wcześniej poroniła. Jej mąż bardzo pragnął tego dziecka. To był chłopiec.

Ojciec nie lubił słuchać o moich wizjach. W pewnym sensie było to dla niego nietypowe, bo sam w dużym stopniu polegał na instynkcie – opierał się na wskazówkach, które nie pochodziły z jakiegoś konkretnego miejsca, tylko z przeczucia, że jest na właściwym tropie, co bardzo często okazywało się prawdą. Może jego postawa wobec moich doświadczeń brała się z tego, że nie chciał, bym była obciążona brzemieniem jakichś nadprzyrodzonych zdolności, które mogą ostatecznie przynieść mi smutek lub kłopoty, jak być może było w jego przypadku. (Nigdy o tym nie wspominał, ale czułam, że ojciec też miewa wizje, choć przypisuje je intuicji detektywa). A jeśli zajrzę w przyszłość i to, co zobaczę, mnie przerazi? Lepiej wierzyć, że to nieprawda.

Dlatego podawał alternatywne wyjaśnienia. Mówił na przykład, że od wielu dni przed trzęsieniem ziemi występowały pomniejsze wstrząsy. Szewc Pete był tak stary, że i tak niebawem by umarł. Jeśli ktoś często przewiduje, że za chwilę zadzwoni telefon, musi od czasu do czasu trafić.

Rachel jest bardzo spostrzegawcza, mówił do mamy, kiedy byli jeszcze razem. Kieruje się intuicją i ma bardzo rozwinięty zmysł obserwacji. To, nawiasem mówiąc, są cechy dobrego detektywa. Obserwowała moje zwyczaje tak uważnie, że z czasem zaczęła wyczuwać, kiedy mogę przyjść do domu, nawet jeśli nie wracam codziennie o tej samej porze.

Nie powiedziałam im wtedy o innym wydarzeniu, które ujrzałam, nim do niego doszło. O nocy, gdy mama znalazła w kieszeni ojca klucz i zrozumiała, do kogo należy. O płaczu, który słyszałam przez cienkie ściany naszego pokoju i cichym głosem ojca, który mówił niewiele i niczemu nie zaprzeczał. A potem zniknął, jeszcze tej samej nocy. Nie zobaczyłam w wizji twarzy tej kobiety, ale wiedziałam, że ma czarne włosy.

Ze wszystkich ludzi świadomych moich zdolności dostrajania się do miejsc poza tym, w którym się znajdowałyśmy, Patty była najbardziej niezachwiana w swoim przekonaniu, że są one autentyczne. W przeszłości rozważałyśmy możliwość wykorzystania mojego daru i kupienie szczęśliwego losu na loterię lub (gdybyśmy tylko znalazły kogoś, kto by nas

tam zabrał) zagranie na wyścigach. Wyjaśniłam jej jednak, że nie mogę go przywoływać, kiedy chcę. Nie jestem wrózką. Czuję się raczej jak użytkownik CB-radia kręcący pokrętłem i łapiący przypadkowe częstotliwości. Chwile, kiedy moje zdolności się ujawniają, zdarzają się spontanicznie i są poza moją kontrolą. Mogą się ujawnić w każdym momencie albo nie ujawnić wcale.

Jednak teraz postanowiłam odwołać się do swego daru, żeby odnaleźć zabójcę Charlene Gray i dopilnować, by wsadzili go za kratki – choć prawdopodobnie postanowiłam to zrobić raczej z chęci udowodnienia ojcu, jakie ma wspaniałe i pomocne córki i że jesteśmy świetnymi członkami jego ekipy. Wiedziałam, że będzie mnie kochał – nas kochał – niezależnie od tego, czy mu pomożemy rozwiązać tę sprawę, czy nie. Chciałyśmy jednak być kimś więcej niż jego ukochanymi córeczkami. Pragnęłyśmy być jego asystentkami, jego tajną bronią. Może już nigdy nie będziemy z nim mieszkały, ale okażemy się niezastąpione.

Tam, gdzie mieszkaliśmy, jedynymi przestępstwami, o których się słyszało – w każdym razie jeśli chodzi o łamanie prawa – były jazda pod wpływem alkoholu lub kradzieże w sklepach. Ojciec, pracując w mieście, często miał do czynienia z morderstwami, a raz, gdy był jeszcze policjantem z patrolu pieszego, został postrzelony podczas awantury domowej: mąż przyłożył pistolet do głowy żony, która trzymała na rękach ich wrzeszczące dziecko.

Zazwyczaj – jak w przypadku tego ostatniego – do przestępstw dochodziło w gronie ludzi, którzy się znali. Ponieważ morderstwa mnie interesowały i uważałam, że w przyszłości, jako pisarka, powinnam rozumieć, jak działa umysł przestępcy, poprzedniego lata śledziłam historię serii zabójstw kobiet w Nowym Jorku dokonanych przez mężczyznę, który nazywał siebie Synem Sama. Przez wiele tygodni ludzie w mieście byli tak przerażeni, że prawie nie wychodzili wieczorami z domów.

Gdybyś ty był w tamtej ekipie dochodzeniowej, dorwałbyś go, powiedziałam ojcu. Ja i Patty byłyśmy przekonane, że jest najsprytniejszym detektywem w Ameryce. A może i na świecie.

Nie zawsze najważniejszy jest śledczy, wyjaśnił nam. Czasem ma się do czynienia z zabójcą, który prawie nie zostawia śladów. David Berkovitz był taki. Wiecie, jak go w końcu złapali? Dzięki mandatowi za złe parkowanie.

Ty byś na pewno coś wymyślił, rzuciłam. Jak zawsze.

Coś wam powiem, rzekł ojciec, zapalając papierosa. To, że ta bestia chodziła sobie wolno, musiało doprowadzać wydział zabójstw w Nowym Jorku do szału. Tu giną kobiety, a oni nie mają na czym się oprzeć. Dla gliniarza nie ma nic gorszego.

Raz, gdy byłyśmy małe, ojciec zabrał nas do dzielnicy, w której dorastał, North Beach. Pokazał nam, na którym rogu znajdował się zakład fryzjerski jego ojca, gdzie mieszkała jego rodzina, gdzie matka wieszała pranie, zanim uciekła. Potem był już tylko on i jego tata.

W swojej dawnej dzielnicy wydawał się inny. Idąc po Columbus Street, maszerował z jakąś nerwową energią. Ludzie go tam znali, i to nie tylko kobiety. Kilku starszków pozdrowiło go po włosku.

Kurczę, kocham to miejsce, westchnął. Ludzie, którzy mnie znają od małego, nigdy by nie uwierzyli, że wyląduję w mieście, gdzie nie można nawet kupić przyzwoitych cannoli.

Nie wiedziałyśmy, co to takiego, więc milczałyśmy.

Wracając do domu, zatrzymaliśmy się w punkcie widokowym na południe od mostu Golden Gate. Przeszliśmy po nim – każda z nas trzymała ojca za rękę.

Komu przyszłoby do głowy, żeby pomalować most na czerwono? – zapytał ojciec. To jest wspaniałe w tym mieście. To i parę milionów innych rzeczy. Powiniennem częściej was tu przywozić, stwierdził.

Jednak poza kilkoma nocami, które po rozwodzie rodziców spędziłyśmy na składanym łóżku w jego mieszkaniu, prawie nigdy tego nie robił.

Pracując jako gliniarz w San Francisco, ojciec miał czasem do czynienia z okropnymi sprawami, ale po rozwodzie z mamą przyjął pracę w hrabstwie Marin. Zdawałyśmy sobie sprawę, że tęskni za ekscytującym życiem w mieście.

Dlatego wiedziałam, że teraz jest w jakimś sensie zadowolony, iż dla odmiany może popracować nad sprawą prawdziwego morderstwa. Był wściekły, że ktoś stracił życie, szczególnie że była to kobieta, w dodatku młoda, jednak w jego głosie, gdy informował nas przez telefon, że popełniono morderstwo, słyszałam też podniecenie. To była jedna z takich chwil, dla jakich nasz ojciec żył – wtedy najlepiej się spisywał – poza tym długo czekał na sprawę, która pozwoliłaby mu wykorzystać wszystkie zdolności. Jeśli kiedykolwiek miał okazać się bohaterem, mógł to zrobić właśnie teraz.

Gdzieś niedaleko za naszym domem, nie więcej niż półtora kilometra od nas, jakiś człowiek czai się w krzakach, czekając na dziewczynę niewiele starszą niż ja i moja siostra, żeby uprawiać z nią seks. Jest gotów nawet zabić. Może wciąż tam czyha? A może siedzi bezpiecznie w domu, przekonany, że mu się upiekło. Rozwalił się wygodnie w fotelu, takim jak fotel Helen, ogląda ostatnie doniesienia na temat morderstwa i myśli, jaki jest sprytny.

Tylko że teraz po piętach deptał mu detektyw Anthony Torricelli – śniady, szczwany jak lis i gibki jak jaguar – w czarnej skórzanej kurtce, którą zawsze

nosił, nawet gdy robiło się gorąco. Widziałam go teraz z papierosem w ręku, jak ślęczy nad poszlakami i wskazówkami, tropi tablice rejestracyjne i marki samochodów, przesłuchuje chłopaka ofiary lub jej byłych, pracowników stacji benzynowej i autostopowiczów, którzy mogli być w pobliżu w porze morderstwa, bada gipsowe odlewy śladów butów znalezionych niedaleko miejsca zbrodni. Jednak przede wszystkim, choć nigdy nie był typem turysty, na pewno bez końca przemierza szlaki tam i z powrotem, tam i z powrotem, szukając czegokolwiek – złamanej gałązki, włókienka z nogawki spodni – co mogłoby go naprowadzić na ślad zabójcy.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że mój ojciec go znajdzie.

Dwa dni po zamordowaniu Charlene Gray, Patty i ja wspięliśmy się na skałę na szczycie wzgórza w nadziei, że uda mi się nawiązać kontakt z duchem zmarłej dziewczyny, a tym samym zdobyć informacje na temat jej morderstwa. Patty niosła puszkę, którą pozbawiłyśmy zarówno wieczka, jak i dna. Choć moja siostra bała się ognia, jak zawsze była gotowa wypełnić moje polecenia, więc umieściła puszkę w ziemi i nasypała do niej suchej trawy, a ja zapaliłam zapałkę. Nie mając wielu innych możliwości do wyboru, Patty odśpiewała jedną zwrotkę pieśni *Kumbaya*.

Ja usiadłam w pozycji lotosu i zamknęłam oczy, układając palce tak, jak to widziałam w programie telewizyjnym, który czasem oglądała Jennifer Pollack, *Lilias, Yoga and You*. Nabrałam powietrza i zatrzymałam je w płucach. Powolny wydech i kolejny wdech.

Czułam zapach dymu z palącej się trawy i słyszałam oddech mojej siostry płytszy od mojego. Trochę dalej, nad głową, śpiew ptaków i słaby dźwięk męskich głosów nieco wyżej na szlaku. (Prawdopodobnie policjanci. Niedaleko, choć nie było ich widać. Szukali tego samego co my).

Długo tak siedziałam i czekałam. Czasem obrazy przychodziły do mnie niesamowicie wyraziste – obrazy tego, co się wydarzyło lub dopiero miało wydarzyć – ale tym razem niczego nie zobaczyłam. Niemal czułam, jak boli mnie mózg, tak bardzo starałam się znaleźć cokolwiek, co mogłoby stanowić jakąś wskazówkę.

Dziewczyna zawiązuje sznurówki, napełnia butelkę wodą, wyrusza na wędrówkę. Dziewczyna zatrzymuje się, żeby zastosować środek

odstraszający owady, poprawia pasek na manierce. Podchodzi do niej mężczyzna. Może pyta o godzinę? Albo czy może mu pożyczyć środek na owady. Ona sięga do plecaka.

Dziewczyna siedzi na kamieniu. Wyjmuje batonik z muesli. Upija łyk z manierki. Czuje, że chce jej się siku. Kieruje się do posterunku straży leśnej. Widzi mężczyznę.

Może on tamtego dnia żuł gumę? Przez cały czas, gdy to się działo, jego szczęki się poruszały. Może żucie gumy pozwalało mu nie myśleć.

„Chcesz gumę?” – pyta. „Cynamonowa. Moja ulubiona”.

Kiedyś, dawno temu, w sypialni rodziców znalazłam książkę pod tytułem *Radość seksu*. Były w niej rysunki nagich mężczyzn i kobiet. Gdy ojciec się wyprowadził, książka zniknęła, ale teraz, żeby uruchomić moją wizję, próbowałam przywołać te obrazy. Seks bez radości. Nic z tego.

Znowu ta guma. Po wszystkim chce się jej pozbyć. Gdy się ją trochę pożuje, guma zawsze zaczyna paskudnie smakować. Skończył z dziewczyną i nie będzie już potrzebował gumy. Będzie miał w ustach smak, jaki się ma, gdy żuje się za długo. Nieważne, jakie mogą być przy tej okazji skojarzenia.

Musimy pójść na posterunek straży leśnej, powiedziałam do Patty.

To była półgodzinna wędrówka pod górę, a słońce stało już wysoko, ale moja siostra nie narzekała, choć raz zapytała, czy mam może w kieszeni M&M'sy albo krakersy, a ja nie pamiętałam, żeby cokolwiek zabrać.

Zwykle spotykałyśmy na szlaku przynajmniej kilku turystów, ale tego dnia nie było nikogo. Gdy dotarłyśmy do posterunku, zauważyłyśmy policjanta rozmawiającego przez radio, jednak nie wyglądało na to, żeby trwała jakaś akcja poszukiwawcza.

Gdybyś chciała wypluć gumę w takim miejscu jak to, a nie chciałabyś śmiecić, to co byś z nią zrobiła? – zapytałam Patty.

Wrzuciła do sedesu?

Możliwe. Ja bym ją przylepiła pod kranikiem z wodą pitną.

Nachyliłam się nad kranikiem i przesunęłam palcem po metalowej osłonie pod spodem. Na pierwszej nie było niczego, ale Patty pokazała drugi kranik, obok męskiej toalety. (Męska toaleta. Jasne. Tam też mógł wstąpić).

Patrzyłam, jak sięga pod miskę z nierdzewnej stali i maca osłonę. Z wyrazu jej twarzy wywnioskowałam, że coś znalazła. Po chwili wręczyła mi kulkę gumy do żucia, szarawej, co miało sens. Tylko dziewczyny wybierają gumę truskawkową czy winogronową.

Nie pomyślałam, żeby zabrać plastikową torebkę, ale miałam w kieszeni papieraek po gumie do żucia, w który mogłam ją zawinąć.

Dobra robota, pochwaliłam Patty. Chociaż nie wiedziałyśmy, co z tym dowodem zrobić. A teraz umyj sobie ręce.

Zaczęłyśmy schodzić z góry. Słońce było już niżej na niebie i rzucało na zbocze złocistą poświatę, zakwitły już maczki kalifornijskie. W połowie drogi moja siostra zatrzymała się i padła na kolana w sposób, który był mi znany, bo robiła to na tym wzgórzu już ze sto razy. Badała kulkę odchodów sowy.

Wzięła małą, suchą, brązowoszarą grudkę i uniosła w moją stronę. Rozkruszyła ją, ukazując trochę futerka i cienkie jak gałązka fragmenty kostek. Dwoma palcami ujęła włoszek mniejszy niż rzęsa.

Mysz, stwierdziła. Na jej twarzy ciekawość mieszała się z żalem.

Czekał, aż umrze, żeby uprawiać z nią seks, powiedziałam.

On się boi kobiet. Dlatego najpierw musiał ją zabić.

Tym razem nie musiałam się starać, obraz sam się pojawił, wyraźny jak kawałki szkieletu myszy na dłoni mojej siostry.

Dłonie mężczyzny – grube, krótkie palce – zdejmują jej koszulę przez bezwładnie opadającą głowę, rozpinają jej spodnie. Gmerają w jej włosach łonowych.

Nie chciałam, ale następną scenę też zobaczyłam.

Słyszałam, jak on oddycha, z trudem, jak ludzie, którzy są bardzo starzy, mają nadwagę albo cierpią na rozedmę płuc czy astmę. Albo po prostu, gdy są zdyszani.

Paznokcie miał zadbane, zupełnie jakby zrobił sobie manikiur. Skóra gładka jak u człowieka nieprzywykłego do pracy fizycznej czy spędzania czasu na świeżym powietrzu. A jednak wdrapał się na tę górę. Minał to właśnie miejsce.

Wracałyśmy do domu w milczeniu – ja trzymałam rękę w kieszeni, ściskając kulkę gumy do żucia, moja siostra ze swoim skarbem, małąkami fragmentami szkieletu myszy pokrytymi futerkami.

Już od kilku tygodni planowałyśmy, że spędzimy weekend Czwartego Lipca z ojcem w mieście. Mieliśmy pójść do kina na *Obcego*, a potem na kolację. W czwartek przed długim weekendem zadzwonił, żeby nas poinformować, że z naszej wizyty nic nie wyjdzie. Problemy w pracy, powiedział. Nie mówił nic o morderstwie, ale wiedziałyśmy, że o to chodzi.

Nadal widywałyśmy go w telewizji, a do tego prawie codziennie ukazywała się jakaś jego wypowiedź w „*Marin Independent Journal*”, który Patty rozwoziła po domach. Teraz codziennie przynosiła do domu dodatkowy egzemplarz gazety i miałyśmy szansę zobaczyć jego nazwisko albo nawet zdjęcie.

Dla nas ojciec zawsze był jak gwiazdor filmowy, ale teraz stał się osobistością znaną w całym hrabstwie i w rejonie zatoki. Zawsze wyglądał na dzielnego oraz wzbudzającego zaufanie, gdy tak stał na podwyższeniu podczas konferencji prasowych, odpowiadając na pytania dziennikarzy. Mówił, że on i jego zespół robią wszystko, co w ich mocy, żeby namierzyć mordercę. Jeśli ktokolwiek ma jakieś informacje, które mogą pomóc (może ktoś był tamtego dnia na wzgórzu i widział kogoś podejrzanego, zapamiętał markę samochodu zaparkowanego przy drodze?), niech zadzwoni na gorącą linię wydziału zabójstw. On osobiście dopilnuje, żeby zbadano każdy trop. Poruszy niebo i ziemię.

Ileokroć pojawiał się w gazecie, wycinałyśmy jego zdjęcie i przypinałyśmy na tablicy w naszym pokoju, obok zdjęć gwiazd filmowych i muzyków rockowych. Między odtwarzaniem w kółko *My Sharona* i *Summer Love* włączałyśmy radio tranzystorowe, żeby posłuchać najnowszych wiadomości, wiedząc, że spiker zacytuje jakiś komentarz detektywa Torricellego dotyczący morderstwa na wzgórzu. Nasz ojciec stał się bohaterem hrabstwa. Nasze nazwisko było znane.

Czasem chodziłyśmy na basen w ośrodku rekreacyjnym parę kilometrów

od naszego domu. W odróżnieniu od większości dzieci z naszej okolicy nie miałyśmy karnetów, ale zawsze można było wślizgnąć się z większą grupą ludzi. Nie chodziłyśmy tam często, wiedząc, że to ulubione miejsce popularnych dzieciaków, a żadna z nas do nich nie należała. Ale przez cały tamten tydzień temperatura utrzymywała się w granicach trzydziestu kilku stopni, a poza tym policja odgrodziła taśmą dostęp do góry za naszym domem, w związku z czym nie mogłyśmy tam przebywać.

Dlatego pojechałyśmy rowerami na basen. Zamierzałyśmy trochę się ochłapać albo raczej popracować nad opalenizną. Mimo że było gorąco, nie zdjęłam koszuli, żeby nie pokazywać braku piersi.

Nie spodziewałyśmy się, że gdy tylko rozłożymy ręczniki, podejdzie do nas Alison Kerwin. Usiadła obok mnie i zaczęła zdzierać opakowanie z lodu.

Widziałam wczoraj twojego tatę w telewizji, rzuciła. Jest strasznie fajny.

Powiedziałam „dzięki”, choć wydało mi się dziwne dziękować komuś za to, że powiedział coś miłego o moim krewnym. Jakby to była moja zasługa.

Na pewno opowiada wam te wszystkie makabryczne szczegóły, których nie podają w gazetach, ciągnęła Alison.

Siedziała sobie w okularach przeciwsłonecznych na ręczniku, w sznurkowym bikini. Byłam wściekła, że mam tylko jednoczęściowy kostium z lumpeksu, który mama dostała od koleżanki z pracy. Z miejsca, gdzie siedziałam na trawie, widziałam stopy Alison, paznokcie miała pociągnięte perłowo-srebrnym lakierem. Wyglądało to na profesjonalną robotę. To był drugi raz od czasu morderstwa, gdy się do mnie odezwała. Wcześniej dostrzegła, że istnieję, tylko wtedy, gdy była dyżurną i musiała sprawdzić moją przepustkę do auli.

Na szyi miała ślady po ugryzieniach, oznajmiłam. I odciął jej jeden palec.

Tym razem nie miałam żadnych wizji, słowa po prostu wyszły przez moje usta z jakiegoś miejsca, którego nie mogłam rozpoznać. Wszystko wymyśliłam, choć to piosenka z jej imieniem podsunęła mi ten pomysł. Ta zwrotka, której ja i Patty nie rozumialiśmy, a w której Elvis Costello śpiewał o palcach w torcie weselnym.

Siostra spojrzała na mnie, ale nic nie powiedziała. Wiedziałam, że mnie nie wyda, i dlatego miałam jeszcze większe wyrzuty sumienia z powodu

tego, jak się czułam: wstydziłam się, że ją ze mną widzą. Chciałam, żeby była gdzieś indziej.

Ale nie mów nikomu, poprosiłam. Nie chcą, żeby gazety o tym pisały. Ludzie mogliby wpaść w panikę.

Alison skinęła głową.

Przyjdiesz później do mnie czy musisz się nią opiekować? – spytała. Wskazała Patty, która słuchała nas uważnie, choć niczego po sobie nie pokazywała.

Osiedle, na którym mieszkała Alison, znajdowało się przy polu golfowym, w dzielnicy o nazwie Peacock Gap. Żeby wrócić do domu z basenu, Patty musiałyby przejść sama na drugą stronę autostrady. Miała jedenaście lat i była wyrosnięta jak na swój wiek, ale ja wiedziałam, że boi się przechodzić przez tę drogę. Do tej pory zawsze trzymałam ją za rękę. Udawałyśmy, że gonią nas bandyci i do nas strzelają. To był jeden z naszych momentów aniołków Charliego. „Będę cię osłaniała, Bree!” – wołałam i puszczałyśmy się pędem.

Alison podnosiła się już z ręcznika.

Może przyjdą też jacyś chłopcy, dodała. Chyba Teddy Bascom. Wiesz, gdzie mieszkam, nie?

Moja siostra sama daje sobie radę, rzuciłam, choć nigdy wcześniej nie zostawiałam jej bez opieki. Patty nic nie powiedziała.

Ze wszystkich chłopaków w naszej klasie Teddy Bascom był najfajniejszy. Należał do najlepszych koszykarzy – a w każdym razie tych najbardziej się popisujących – ale jego głównym powodem do dumy było karate. Brał udział w zawodach na szczeblu stanowym i dostał nagrodę, co oficjalnie ogłoszono w szkole. Przeszedł mutację wcześniej niż inni chłopcy, a gdy podnosił ręce, by rzucić piłkę, widać mu było włosy pod pachami.

Raz w szóstej klasie pracowaliśmy w parze w pracowni biologicznej, robiliśmy doświadczenie na muszce owocowej. Wciąż pamiętałam jego uwagi o tym, jak muszki owocowe uprawiają seks, i dziwne wrażenie, jakie to na mnie zrobiło.

Mógłbym go zabić jednym kopniakiem, gdybym chciał, powiedział

o naszym nauczycielu biologii, panu Longu. To było w tym krótkim okresie, gdy pracowaliśmy nad doświadczeniem (pracowałam głównie ja), i pan Long oskarżył Teddy'ego, że nic nie robił, tylko podpisał się pod raportem, co było prawdą, ale ja nie miałam nic przeciwko temu.

Poza tym nigdy nie obracaliśmy się w tych samych kręgach.

Tamtego popołudnia w centrum rekreacji nie zmoczyłam włosów, wiedząc, że pójdę później do Alison Kerwin i że będzie tam Teddy Bascom. Patty chciała, żebyśmy się pobawiły w Marco Polo, ale powiedziałam, że nie jestem w nastroju. Po odejściu Alison poleżałam chwilę na ręczniku z książką *A Tree Grows in Brooklyn*, wciąż otwartą na tej samej stronie, nie chcąc, żeby wyglądało na to, że idę za nimi.

Chyba wpadnę do Alison, rzuciłam do siostry.

Myślałam, że wrócimy na górę szukać śladów, odrzekła Patty.

Gumę do żucia z naszej wyprawy, mającej na celu zebranie informacji, schowałyśmy w pudełku z biżuterią razem z zeszytem, który zaczęłyśmy prowadzić, podpisanym *Śledztwo w sprawie morderstwa*. Gdy zdobędziemy coś naprawdę dobrego, oddamy wszystko ojcu.

Nie możesz raz zrobić czegoś sama? – zapytałam. Jeszcze zanim to powiedziałam, wiedziałam, że jestem podła.

Patty nigdy nie krytykowała niczego, co robiłam. Była jak wierny pies, taki, który idzie za swoją panią w śnieżycę, mimo że wie, iż zamarznie na śmierć, albo wchodzi do płonącego budynku, żeby ją z niego wydostać lub zginąć razem z nią. Jednak teraz miała usta zaciśnięte w taki sposób, że wiadomo było, iż chodzi o coś więcej niż ukrycie wady zgryzu.

Nic ci się nie stanie, zapewniłam ją. Mama powinna wrócić za parę godzin.

Jakby to miało jakieś znaczenie. Widziałam po minie Patty, że nie jest zadowolona, ale odeszła.

Kerwinowie mieli lodówkę z dozownikiem kruszonego lodu i spiżarnię pełną napojów gazowanych. Nad łóżkiem Alison wisiał baldachim, a obok stała toaleta z mnóstwem przyborów do makijażu i małym metalowym drzewkiem na kolczyki. Tamtego popołudnia jednak siedzieliśmy w pokoju wypoczynkowym Kerwinów, w którym były pufy z kuleczkami w środku,

stół do ping-ponga i prawdziwa szafa grająca pełna singli. Okupowali ją chłopcy, wrzucając kolejne piosenki, a dziewczyny leżały na kanapie.

To musi być ekscytujące, mieć tatę detektywa, zagała jedna z nich, dziewczyna o imieniu Sage, której ojciec był właścicielem firmy produkującej pudła z tektury. Jakby się żyło w programie telewizyjnym.

Czy on nosi pistolet pod ubraniem? – zapytała Alison. Nawet w twojej obecności?

Kabury na szelkach noszą tylko gliniarze w serialach, wyjaśniłam. Prawdziwi policjanci noszą pistolet przy kostce.

Przynajmniej wiesz, że jesteś bezpieczna, odezwała się Soleil, najlepsza przyjaciółka Alison. Morderca nigdy nie odważy się zaatakować córki detektywa prowadzącego całe śledztwo.

Niekoniecznie. Mógłby ją wziąć jako zakładniczkę, żeby złożyć jakieś oświadczenie, zauważyła Alison. Na przykład: „Tylko spróbuj mnie ścigać, mam twoje dziecko”.

Powiedziałam, że się tego nie boję. Dziewczyny były zainteresowane morderstwem i na nim się skupiały. Ja byłam skoncentrowana na nich i martwiłam się, że zrobię coś nie tak, co było właściwie nieuniknione.

Czy twój tata uważa, że morderca wciąż jest w okolicy? – dopytywała się Soleil. Kiedyś, jeszcze w czwartej klasie, gdy przyszła do naszej szkoły, źle wymawiałam jej imię, choć teraz wszyscy wiedzieli, że oznacza ono po francusku „słońce”.

To tylko kwestia czasu, zanim on znów zaatakuje, powiedziałam. Gdy taki ktoś raz poczuje krew, zawsze wraca po więcej.

Trzy tygodnie po zniknięciu Charlene Gray dwudziestotrzyletnia Vivian Cole wyruszyła późnym popołudniem na pieszą wędrówkę po drugiej stronie góry Tamalpais w poszukiwaniu kwiatków, które suszyła i robiła z nich pocztówki. Zgłoszono jej zaginięcie. Ciało znaleziono na wzgórzu przy strumieniu na szlaku Matt Davis. Dowiedziałyśmy się o tym, bo Patty wpadła na naszą sąsiadkę Helen, gdy ta wynosiła śmieci.

Wasz tata musi mieć pełne ręce roboty, powiedziała Helen. Wszyscy liczą, że wsadzi tego bandytę za kratki.

W całym hrabstwie wciąż jeszcze przeżywano wieści o Vivian, gdy Daniella Carville i Sammi Raynor, najlepsze przyjaciółki jeszcze od podstawówki, które po wakacjach miały pójść do ostatniej klasy liceum, zaginęły gdzieś między parkingiem, na którym zostawiły rowery, a wschodnim szczytem pasma górskiego Bolinas. Wcześniej pobiegł tam brat jednej z nich i miał na nie czekać, bo zamierzali urządzić piknik, do którego nigdy nie doszło. Był drugi tydzień sierpnia i panował niemiłosierny upał.

Ciała znaleziono kilka godzin później, tuż po zachodzie słońca – dziewczyny zostały uduszone (i niewątpliwie zgwałcone), oczy miały zaklejone taką samą taśmą i były ułożone w identycznej klęczącej pozycji jak Charlene Gray i Vivian Cole. O tym ostatnim dowiedziałyśmy się, gdy któryś z reporterów na konferencji prasowej, znów prowadzonej przez naszego ojca, zawołał: „Dlaczego pana zdaniem on zmusza je do klęczenia?!”. Jakby mógł istnieć jakiś dobry powód.

Tym razem udało mi się obejrzeć konferencję prasową ojca w telewizji. Pilnowałam Karla juniora, bo Pollackowie pojechali po południu do miasta i zostawili go pod moją opieką. Domyślałam się z pewnych rzeczy w ich domu – z tego, że Karl Pollack już nie trzymał, jak dawniej, zapasu prezerwatyw w szufladce nocnej szafki i z wykresu na lodówce, na którym zapisana była temperatura z ostatnich siedmiu tygodni, a także z kartki ze zdjęciem uśmiechniętego niemowlaka przypominającej o wizycie u lekarza leżącej na kuchennym blacie – że Jennifer Pollack stara się o drugie dziecko.

Przygotowywałam Karlowi juniorowi lunch, gdy zadzwonił telefon. To

była matka Jennifer, która chciała powiedzieć córce, żeby włączyła telewizor. Gdy się przedstawiłam, wiedziała, kim jestem.

Kto by pomyślał! Twój tata jest teraz w telewizji, mówi o tych ostatnich morderstwach. Zamordowano kolejne dwie dziewczyny na tej górze, dasz wiarę? – powiedziała. Naprawdę mam nadzieję, że dorwie tego szaleńca, zanim znów na kogoś napadnie.

Już pierwsze morderstwo było wystarczająco straszne. Jednak, co nie było zaskoczeniem, wiadomości o trzech kolejnych w ciągu mniej niż sześciu tygodni sprawiły, że mieszkańcy hrabstwa wpadli w panikę. Matki zaczęły odwozić dzieci na basen (wszystkie oprócz naszej), zabroniły im jeździć tam na rowerach, a szlaki za naszym domem, gdzie w weekendy widywaaliśmy turystów, opustoszały praktycznie w ciągu jednego dnia.

Po pierwszym morderstwie można było jeszcze mieć nadzieję, że na nim się skończy, jednak gdy znaleziono zwłoki Vivian, a potem Danielli i Sammi, stało się jasne, że na naszej górze grasuje seryjny morderca (na górze i rozległej sieci szlaków, która rozciągała się na przestrzeni prawie osiemdziesięciu kilometrów). Skoro zabił już cztery młode kobiety, było bardzo prawdopodobne, że będą kolejne ofiary.

Media oczywiście zajmowały się tylko tą sprawą. Jedna z gazet, wykazując upodobanie do afektacji, ochrzciła zabójcę Wampirem ze Wzgórza.

Patrząc na ojca podczas konferencji prasowych i słuchając jego głosu, wiedziałam, pod jak wielką jest presją. Znów widać go było na ekranie – z bardzo poważnym i pełnym determinacji wyrazem twarzy, bardzo przystojny w tej swojej sportowej kurtce, z kruczoczarnymi włosami i baczkami, ścisnął dużymi dłońmi blat mównicy. Nie mogłam znieść tego, co się dzieje, ale strasznie mi się podobało, że jestem jego córką – i czułabym się tak samo, nawet gdyby efektem nie był mój nagły i niespodziewany awans w oczach Alison Kerwin i jej podobnych.

Rok wcześniej na pracach ręcznych, na zajęciach z ceramiki, zrobiłam medalion ze słowami *Najlepszy tata na świecie* i z otworem, przez który przewlekłam jedwabny sznureczek i wręczyłam mu na Dzień Ojca. Być może nie do końca był najlepszym tatą na świecie, ale obiecał, że zawsze będzie

nosił mój prezent. Gdy oglądałam go teraz na ekranie telewizora, wydawało mi się, że dostrzegam cień tego medalionu pod jego koszulą. Lubiłam myśleć, że codziennie, stając przed lustrem, zanim wyjdzie do pracy, zawiązuje sobie ten sznureczek na szyi.

Gdy słuchałam, jak wygłasza oświadczenie dla prasy, nie miałam wątpliwości, że już niedługo znajdzie mordercę – mój ojciec czarodziej, silniejszy niż jakikolwiek inny tata. Miałam wrażenie, że jego głos niesie obietnicę, że wszystko będzie dobrze.

Staję dziś przed mieszkańcami hrabstwa Marin, mówił, by zapewnić ich, że razem ze wszystkimi członkami naszej oddanej policji nie spocznię, póki sprawca nie stanie przed wymiarem sprawiedliwości. Znajdziemy go, a gdy to nastąpi, dopilnujemy, żeby trafił do więzienia na zawsze, tak by kobiety w tym hrabstwie i ci, którym ich los leży na sercu – czyli my wszyscy – mogli znów spać spokojnie.

Dziennikarze mieli tysiące pytań. Jakiej broni użył sprawca? Czy ktokolwiek widział jakąś podejrzaną osobę na wzgórzu tamtego dnia? Czy zabójca zostawił jakieś ślady – odciski butów, fragment odzieży? Czy istnieje jakiś związek między ostatnimi ofiarami a pierwszą z nich?

Tylko taki, że były to młode kobiety i – co wiedziałam z fotografii pokazywanych na ekranie – wszystkie miały ciemne włosy i były atrakcyjne.

Jeden z reporterów zapytał, jak ktokolwiek może się czuć bezpiecznie w hrabstwie Marin teraz, gdy seryjny morderca jest na wolności. Ojciec odpowiedział, że policjanci patrolują wszystkie szlaki turystyczne.

Jeśli ktoś chce spacerować dla przyjemności, dodał, niech robi to w większej grupie, najlepiej w towarzystwie mężczyzny. Mamy tu do czynienia z bezwzględny osobnikiem, najwyraźniej zdolnym do zamordowania dwóch kobiet naraz.

Biorąc pod uwagę, że w ciągu kilku tygodni zostały zamordowane cztery dziewczyny, odezwała się jakaś kobieta, nie możemy nie zapytać, czy policja traktuje te zbrodnie z odpowiednią powagą?

Mam dwie córki, odparł mój ojciec. Nie trzeba mi przypominać, jak pilną sprawą jest ujęcie tego człowieka i przywrócenie bezpieczeństwa na wzgórzu.

To o nas wspominał w telewizji – o Patty i o mnie. Poczułam przypływ dumy, słysząc, jak ojciec mówi o nas w taki sposób. Myślał o nas i się o nas troszczył. Spośród wszystkich ojców, spośród wszystkich policjantów – nawet spośród wszystkich śledczych – wybrali właśnie naszego ojca, żeby stanął w tym miejscu i uspokoił wszystkich, bo on był najsilniejszy i najlepszy. I był tylko nasz.

Przy szlakach ustawiono znaki: ZAMKNIĘTE NA MOCY ZARZĄDZENIA WYDZIAŁU ZABÓJSTW HRABSTWA MARIN. DO WIADOMOŚCI TURYSTÓW: KORZYSTANIE ZE SZLAKÓW NA WŁASNE RYZYKO.

Ulica Morning Glory Court nie była połączona z naszą górą żadnym szlakiem. Góra wznosiła się po prostu za naszym domem i żadna siła nie zmusiłaby nas do trzymania się od niej z daleka. Zwłaszcza teraz, gdy wreszcie zaczęło się tam dzieć coś ciekawego.

Gdy patrzę na stare zdjęcia mamy, widzę, że była bardzo ładna, miała szczupłą figurę, wąskie kostki i rozwiane ciemne loki. Znając ojca – mężczyznę ekstremalnie wyczulonego na urodę, o ujmującej zdolności znalezienia czegoś pięknego w niemal każdej kobiecie, którą spotkał – nie dziwię się, że zaczął z nią rozmowę pierwszego dnia, gdy się poznali. On pracował w brygadzie remontującej ulice, naprawiał koleinę właśnie wtedy, gdy ona podjechała na rowerze. Spadły jej okulary, a on je podniósł. Podniósł i wyczyścił.

Wracała do domu z miejsca, które już wtedy było jej ulubionym – z biblioteki. Miała dwadzieścia jeden lat, nigdy jeszcze nie całowała się z chłopakiem i uwielbiała czytać. Od trzech lat oszczędzała pieniądze na studia. Ojciec miał lat dwadzieścia pięć i pracował w dwóch miejscach, a wieczorami uczęszczał do szkoły policyjnej. Stojąc na chodniku, trzymając w ręku jej okulary, zaczął śpiewać.

Gdy się dowiedział, że nazywa się Lilian, ułożył piosenkę o jej imieniu.

Ten romans nie trwałby dłużej niż kilka tygodni, gdyby mama nie zaszła w ciążę. Właściwie to mógłby się skończyć, jeszcze zanim to odkryła. Wiem, że pojechała wtedy autobusem do jego domu, zapukała do drzwi, została przyjęta przez jego włoskiego ojca i się przedstawiła. Mimo nieśmiałości mama zawsze miała silne poczucie sprawiedliwości i była pryncypialna, gdy chodziło o właściwe postępowanie.

Ojciec nie był typem unikającym odpowiedzialności. Ich ślub – w kościele, ze względu na rodziców, ale skromny, bo budżet był niewielki – został wyznaczony na koniec listopada 1963 roku. Jak się okazało, na dzień po zamordowaniu Kennedy’ego. Ojciec naszej mamy nie żył już wtedy od lat, ojciec taty miał umrzeć na atak serca następnej wiosny. Babcia ze strony mamy, która na nocnym stoliku zawsze trzymała zdjęcie Kennedy’ego, była ubrana na czarno i przez całą ceremonię płakała.

Nie wiem, z jakiego powodu płakała w tamtym dniu bardziej, powiedziała nam mama. Chyba z obu naraz.

Oczy naszej mamy pozostały suche.

Nigdy nie ufałam temu człowiekowi, powiedziała.

Przypuszczam, że miała na myśli Kennedy'ego, choć tę uwagę można było też zinterpretować inaczej. Jeszcze zanim wszystkie te historie o zdradach Kennedy'ego wyszły na jaw, ona o nich wiedziała. Zawsze czuła sympatię do Jackie, twierdząc, że się z nią identyfikuje, choć trudno byłoby znaleźć dwie kobiety, które miałyby ze sobą mniej wspólnego.

Skoro w drodze było dziecko, plan pójścia na studia upadł. Trzy miesiące później poroniła.

Nasi rodzice mogli się wtedy rozstać, jednak coś się zmieniło. Choć wcześniej mama marzyła o studiach, a ojciec myślał tylko o wielkiej karierze miejskiego detektywa, w żałobie i szoku potrafili myśleć tylko o kolejnym dziecku.

Mama zapisała się do szkoły sekretarek i dostała pracę maszynistki. Ojciec skończył akademię policyjną i wstąpił do policji mniej więcej wtedy, gdy mama znowu zaszła w ciążę. Ze mną. Patrząc na zdjęcia, które miała z tamtego okresu – jedno przedstawiające ich razem w tramwaju, inne ją w sukience ciążowej, a jego z dłonią na jej brzuchu, uśmiechniętego od ucha do ucha – doszłam do wniosku, że to musiał być czas, kiedy rodzice byli naprawdę szczęśliwi.

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień dotyczy tego, jak wspaniale ojciec wyglądał w mundurze – błyszcząca odznaka, lśniące buty, czapka, którą zakładał mi na głowę, okręcał na palcu albo podrzucał i łapał zupełnie bez wysiłku. Mimo że tak doskonale wyglądał w mundurze, zawsze chciał być śledczym w cywilu.

Jeśli chodzi o cywilne ubrania, nawet w tamtym okresie, gdy zarabiał niewiele, regularnie chodził do krawca, żeby wszystko pasowało jak ulał: czarna skórzana kurtka, która podkreślała jego szerokie ramiona, wąską talię i biodra, buty z najmiększej skóry, koszula z bardzo dobrej bawełny, a czasem z jedwabiu. Spodnie miał idealnie wyprasowane (prasowanie było, oprócz gotowania, jedną z prac domowych, którymi się zajmował). Włosy miał czarne i lśniące jak moje buciki do stepowania, i sam je sobie strzygł. Robił to doskonale – nauczył się tego od ojca, który był fryzjerem męskim.

Nie pamiętam narodzin mojej siostry, bo gdy się pojawiła na świecie, nie miałam jeszcze dwóch lat. To wtedy przeprowadziliśmy się do hrabstwa

Marin do domu przy Morning Glory Court. Krajobraz naszego dzieciństwa tworzyły też restauracja Marin Joe's, do której ojciec zabierał nas na tiramisu, i cudowny most Golden Gate z nieprawdopodobnie czerwonymi promieniami przecinającymi ciemną, wzburzoną wodę zatoki San Francisco. Po jednej jego stronie było wspaniałe miasto, po drugiej nasza góra.

Wcześniej to miasto kojarzyło się z niebezpieczeństwem, a nasza strona mostu pozostawała bezpiecznym azylem. Tamtego lata, w 1979 roku, wszystko się zmieniło.

To, że ojciec był mężem naszej mamy – kiedy jeszcze był – nigdy nie przeszkadzało mu okazywać zainteresowania innymi kobietami. Więcej, nie starał się tego ukrywać nawet przed nami. Nigdy nie uważał, że jego uznanie dla płci pięknej jest czymś, czego należy się wstydić. Taki był i wszyscy powinni to po prostu zaakceptować. A nawet go za to kochać.

Gdy byliśmy w towarzystwie naszego ojca, bez przerwy wpadałyśmy na jakieś obce kobiety, które najwyraźniej dobrze go znały. Albo tak im się wydawało.

Raz, gdy szłam z ojcem ulicą – do jego biura w centrum miasta – jakaś kobieta wzięła go za Deana Martina (w każdym razie tak twierdziła, ale może to był jej sposób na nawiązanie rozmowy). Nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na dziewczynkę w skautowskim mundurku, którą trzymał za rękę (nawet jeśli zwróciła, to jej nie powstrzymało), zaczęła opowiadać długą historię o tym, jak widziała go kiedyś – Deana – z Sammym i Frankiem w Las Vegas, dokąd pojechała z mężem na rocznicę ślubu. Teraz jest rozwódką, poinformowała mojego ojca z błyskiem w oku, który tak dobrze znałam. I to jego spojrzenie.

Pozwolił jej zrelacjonować wszystkie szczegóły wyprawy do hotelu i kasyna Sands, nie tylko uważnie słuchając, ale też dając do zrozumienia, jak to miał w zwyczaju, że nikt nigdy nie opowiadał mu bardziej zajmującej historii. Ojciec na ogół nie przerywał kobietom. Gdy skończyła, zapytał ją, czy pracuje w show-biznesie.

Pomyślałem, że musi pani być tancerką, rzekł. Jest coś takiego w pani ruchach... Nie ma nic bardziej atrakcyjnego w kobiecie niż zgrabna sylwetka.

Nie można mu było nie uwierzyć, nawet gdy mówił coś, co w ustach kogoś innego brzmiałoby jak wyuczona kwestia. Miał w sobie jakąś niesamowitą szczerość. Ojciec mógł wejść do pierwszego z brzegu baru i zawsze spotykał tam kogoś znajomego, a nawet jeśli nikogo tam nie znał, poznawał w pięć minut. Mężczyźni stawiali ojcu drinki i częstowali go papierosami. Kobiety bezwstydnie go kokietowały. Częściowo dlatego, że był przystojny, ale nie tylko. Był typem mężczyzny, który kocha kobiety, a taki typ nie występuje w przyrodzie tak często, jak można by pomyśleć.

Była jednak kobieta, która znaczyła dla niego więcej niż pozostałe, choć ani Patty, ani ja nie potrafiłyśmy ocenić, o ile więcej.

Pierwszy raz usłyszałam jej imię i krzyk, który przeszył mrok jak wycie zranionego zwierzęcia i sprawił, że zadrzałyśmy z siostrą w łóżkach w noc, gdy mama kazała ojcu się wynosić.

Już nigdy nie wracaj! – krzyknęła za nim w ciemność.

Nie wrócił.

Margaret Ann. Chyba przez rok od tamtej nocy jej imię w ogóle nie było wymawiane. A potem nagle się pojawiło.

To była jedna z naszych sobót. Ojciec przyjechał po nas alfą romeo, którą kupił po tym, gdy się od nas wyprowadził. Samochód był używany, kupił go od kumpla z policji, któremu urodziło się dziecko i nagle dwuosobowe auto przestało być praktyczne. Naszego ojca jednak to, że miał dwie córki, nie powstrzymywało przed wożeniem nas nim. Po prostu przypinał nas pasem na jednym siedzeniu. Byłyśmy wystarczająco chude.

Tamtego dnia zabrał nas na plażę i rozstawił zestaw do gry w bocce. (Który ojciec robił coś takiego? Tylko nasz). Teraz wracaliśmy autostradą. Z magnetofonu płynęło *Volare*. Ja siedziałam od strony dźwigni zmiany biegów tak blisko ojca, że czułam jego wodę po goleniu i mogłam bawić się gęstymi ciemnymi włoskami na jego przedramieniu.

Pomyślałam sobie, że w drodze do domu może wstąpimy do Margaret Ann, rzucił. Wypowiedział jej imię, jakby była starą znajomą. Nie potrzeba żadnych wyjaśnień. Margaret Ann.

W tamtej chwili poczułam coś takiego, co być może czuje mysz polna tuż

przed tym, nim dorwie ją jastrząb. Nie zapytałam: „Kto to jest Margaret Ann?”. Wyglądało na to, że powinnam wiedzieć.

Mieszkała na osiedlu nad laguną gdzieś w Corte Madera. Był tam basen i kort tenisowy, z czego wywnioskowałam, że musi być bogata. Tamtego dnia, kiedy ją poznałyśmy, miała na sobie sukienkę i szpilki, choć było południe, i pachniała jaśminem.

Gdy weszliśmy, miała przygotowane ciasteczka i napój Kool-Aid już rozlany do szklanek z kolorowymi plastikowymi słomkami, takimi, jakie zawsze chciałam kupić, ale mama mówiła, że to wyrzucanie pieniędzy.

Była bardzo ładna – szczupła, o długich, ciemnych włosach, które spływały jej na plecy w taki sposób, w jaki nigdy nie układały się włosy matek naszych koleżanek. Po drodze ojciec pouczył nas, żebyśmy nie pytały Margaret Ann, czy ma dzieci.

Widzicie, dziewczynki, to dla niej drażliwy temat, wyjaśnił. Margaret Ann nie ma dzieci.

Ale za to miała kolekcję lalek siedzących w szklanej witrynie w salonie i pozytywkę, która grała melodię z *Doktora Żywago*, jak nam powiedziała, a także drzewko cytrynowe z prawdziwymi cytrynami i małego pieska wyglądającego jak mieszaniec dwóch ras, które nigdy nie powinny były się mieszać, o łaciatej sierści – pewnie zatykała jej odkurzacz. Oczywiście Patty przez całą wizytę trzymała pieska na kolanach.

Ona ma twoje oczy, Tone, powiedziała Margaret Ann, wskazując na mnie, gdy usiedliśmy przy stole. Wiedziała, że ojciec lubi kawę z trzema łyżeczkami cukru, nie musiała pytać.

Graliśmy w karty i ja wygrałam, choć wydawało mi się, że Margaret Ann specjalnie się nie stara. Chciała nam pomalować paznokcie i przyniosła srebrną tackę z lakierem w czterech różnych kolorach. Pragnęłam, żeby mi je pomalowała, ale wiedziałam, że to nie spodoba się mamie.

Żadnego lakieru, powiedziałam do Patty.

Wyglądała na zawiedzioną, ale nie protestowała.

Możecie sobie wybrać po jednej lalce, dziewczynki, powiedziała Margaret Ann. Obejrzałyśmy je sobie dokładnie w witrynie. Tak dokładnie, że oddech Patty zaparował szkło.

Tym razem oferta była zbyt atrakcyjna, żeby się opierać – nawet dla Patty, która nie należała do miłośniczek lalek.

Nie musicie się spieszyć z decyzją, dodała Margaret Ann. Wybierzcie sobie, które chcecie.

Wyszła z naszym ojcem do drugiego pokoju. Dochodziła stamtąd muzyka, lekko ochryply kobiecy głos śpiewał jakąś wolną piosenkę. Podjęcie decyzji było trudne i zajęło nam trochę czasu. Nie mogłam się zdecydować, czy wziąć hiszpańską tancerkę ze złotymi zdejmowanymi bucikami czy pasterkę z miniaturową owieczką. Patty podobała się lalka-dzidziuś, choć ja próbowałam namówić ją na inną, żebyśmy mogły wymieniać się ubrankami. Potem włączyliśmy telewizor i oglądałyśmy kreskówki. Siedziałyśmy na fioletoworóżowej kanapce z haftowanymi poduszkami i obejrzałyśmy całe dwa programy, zanim oni wrócili i ojciec powiedział, że czas już jechać do domu. Przy pożegnaniu Margaret Ann dziwnie długo nas przytulała.

W samochodzie ojciec zaciągnął się papierosem i zapytał:

Jak wam się podoba Margaret Ann?

Jest fajna.

Ale nie tak ładna jak mama, dodała Patty, choć wszyscy wiedzieliśmy, że to nieprawda.

Bardzo jej się spodobałyście, rzekł tata. Pewnie było jej trochę smutno, gdy patrzyła na takie dwie wspaniałe dziewczynki jak wy i myślała, że sama nie ma córeczki. Ale była też bardzo zadowolona, że ją odwiedziłyście.

Jest miła, przyznałam. Ponieważ tak było, a ja czułam się dezorientowana i nielojalna wobec mamy, która nigdy nie dawała nam napoju Kool-Aid.

Możemy częściej u niej bywać, rzucił ojciec. Jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Patty zdjęła pieluchę lalce, którą wybrała, założyła ją, zdjęła i tak jeszcze ze sto razy przez całą drogę powrotną. W tamtym czasie chyba dopiero pojawiły się zapięcia na rzepy. Patty nigdy wcześniej takich nie widziała. Niepokoiłam się, co mama powie na te lalki.

Następnym razem może zrobi nam lodowe kanapki, rozmarzyła się Patty. W domu nigdy ich nie dostajemy.

Oczywiście miałam rację. Mama zobaczyła lalki, gdy tylko weszliśmy do domu, choć planowałam, że schowamy je szybko pod łóżko. W nietypowy dla siebie sposób czekała na nas na schodkach.

Idźcie do swojego pokoju, poleciła. Muszę porozmawiać z waszym ojcem.

I tak podsłuchiwałyśmy.

Przekroczyłeś granicę, Anthony, stwierdziła mama. Rób sobie, co chcesz, ale nie wciągaj do swoich intryg dzieci.

Muszę zrobić coś ze swoim życiem, odpowiedział on. Ty też powinnaś. Chcę się ożenić z Margaret Ann.

Milczenie mamy było straszniejsze od słów.

Zrób to, a twoje córki nigdy ci nie wybaczą, powiedziała.

Ojciec nigdy niczego się nie bał. Ale bał się naszej mamy. A jeszcze bardziej bał się stracić mnie i moją siostrę.

Zadzwoiłam do niego następnego dnia rano, na numer jego miejskiego mieszkania, ale go nie było, i teraz już wiedziałam, dlaczego nigdy go tam nie ma. Był u Margaret Ann. Zrozumiałam: kiedy nie był z nami, był z nią, czyli przez większość czasu.

Gdy w telefonie ojca włączyła się automatyczna sekretarka, miałam dla niego gotową wiadomość:

Jeśli kiedykolwiek będziesz miał jakieś inne dzieci, oprócz Patty i mnie, krzyknęłam do słuchawki, już nigdy się do ciebie nie odezwę!

Wampir ze Wzgórza działał cuda dla mojej pozycji towarzyskiej. Gdy w czerwcu Alison zaczęła mnie zapraszać, robiła to sporadycznie, ale wkrótce obowiązywała niepisana umowa, że prawie codziennie po południu spotykam się z dziewczynami na basenie, a potem idziemy do domu jednej z nich. Nastawiałyśmy radio (wciąż *My Sharona*, co dwadzieścia minut, na zmianę z *Bad Girls* Donny Summer i *Do You Think I'm Sexy* Roda Stewarta). Czytałyśmy horoskopy i próbowałyśmy się malować, ale w końcu zawsze gadałyśmy o morderstwach. Czułam się teraz w obowiązku – co było chwilami uciążliwe, ale stanowiło również ciekawe wyzwanie dla kogoś, kto jak ja chciał zostać pisarką – wymyślać coraz to nowe, mrożące krew w żyłach strzępy informacji z pierwszej ręki na temat zbrodni, znane jedynie garstce detektywów z wydziału zabójstw i mnie. (No i grupie dziewczyn, ale wszystkie obiecały dochować tajemnicy).

Pomalował jej usta szminką, mówiłam. Gdy już ją zabił.

Położył przy niej martwego kotka. I żywego węża.

Zostawił wiadomość, że odda się w ręce policji, jeśli do San Francisco przyjedzie Olivia Newton-John i pójdzie z nim do łóżka.

Teraz chodziłam na basen prawie codziennie i prawie zawsze szłam potem z innymi dziewczynami do domu Alison. Czasem wpadał tam Teddy Bascom. Chociaż nie zwracał na mnie uwagi, wystarczało mi, że przebywam z nim w tym samym pomieszczeniu.

Chyba mu się podobasz, powiedziała kiedyś Alison z uśmiechem. Nie mogłam zapomnieć tych słów i prawdę mówiąc, wcale nie chciałam.

Moja siostra przestała chodzić ze mną na basen.

Po co? – pytała. W ogóle ze mną nie rozmawiasz, gdy tam jesteśmy.

Myślałam, że fajnie będzie poznać jakichś ludzi, odpowiadałam. Też byś się mogła z kimś zaprzyjaźnić.

Ale obie wiedziałyśmy, że to nieprawda. Patty spędzała popołudnia beze mnie, ćwicząc rzuty do kosza albo wycinając zdjęcia, żeby wklejać je do

swojego zeszytu z ulubionymi psami. Nasza sąsiadka, pani Gunnerson, zatrudniła ją, żeby grała w grę planszową Candy Land z jej opóźnioną umysłowo córką Clarą. Patty pozwalała Clarze wygrywać.

Patty wypowiadała się ostro o osobach pokroju Alison Kerwin i – choć nigdy o tym nie wspominała – wiedziałam, że o Teddym Bascomie też nie ma najlepszej opinii. Obserwowała go na boisku do koszykówki i mówiła, że gra nieczysto. Zawsze roztrącał dzieciaki łokciami i przetrzymywał piłkę, gdy powinien podać ją dalej, tylko po to, by wykonać wspaniały rzut. Gadał też o dodżo, gdzie trenował karate, albo o jakimś turnieju, w którym brał udział. Twierdził również, że łowca talentów orzekł, że powinien pojechać do Hollywood, żeby zrobili mu parę zdjęć. Może zostać drugim Bruce'em Lee.

Mimo wszystko moja siostra tak całkiem mnie nie skreśliła. Gdy wracałam do domu od Alison czy ze spotkania z Teedym, Patty zawsze czekała na mnie na chodniku przed domem.

W głowie mi się nie mieści, że chce ci się spędzać tyle czasu z tymi tępakami, mówiła. Nie widzisz, że to banda głupków?

Pytała mnie, czy moim zdaniem istnieje jakakolwiek inna przyczyna zainteresowania Alison moją osobą, poza nagłym pojawieniem się w telewizji naszego ojca jako prowadzącego śledztwo w sprawie zabójstw. Przyznałam, że prawdopodobnie nie ma innego powodu. A co do Teddy'ego Bascoma, myślałam teraz o nim przez większość czasu, chociaż gdy Patty zapytała, czy według mnie jest fajnym facetem, znów musiałam się z nią zgodzić, że raczej nie.

A jednak tamtego lata żyłam odwiedzinami u Alison. Aby zagwarantować sobie, że nie przestanie mnie zapraszać, regularnie wymyślałam różne rzeczy, które opowiadałam jej i pozostałym – rzekomo poufne informacje o śledztwie wydobyte od ojca, choć prawda była taka, że ostatnio prawie się ze mną nie kontaktował.

Facet zostawił na miejscu zbrodni pluszowego misia, mówiłam. Z wyprutymi wnętrznościami.

Przed odejściem z miejsca zbrodni się wysikał.

Wypił jej krew.

Popołudniami udawałam, że jestem fajną i popularną trzynastolatką, ale gdy wracałam do domu, do Patty, znowu byłyśmy szalonymi, dziwacznymi dziewczynkami, tak jak wcześniej, i docierało do mnie, że pomysły mojej siostry i przygody, które razem wymyślałyśmy, są o wiele ciekawsze niż rozrywki Alison i jej paczki.

Moja siostra zadała mi obcesowe pytanie: jeśli popularność polega na tym, że siedzi się i czeka, aż wyschnie lakier na paznokciach, albo słucha, jak Teddy Bascom opisuje każdy swój chwyt na jakimś turnieju w Vallejo, a niepopularność otwiera takie możliwości jak huśtanie się na pnączu winorośli zwisającym z drzewa, robienie gwiazd na zboczu góry, siedzenie z siostrą we wraku ciężarówki z paczką czipsów, pisanie opowiadań w zeszytach, a potem czytanie ich siostrze na głos i zmuszanie jej, żeby śmiała się tak głośno, by słyszeli ją aż u podnóża góry – to co takiego fajnego jest w byciu popularną albo okropnego w byciu niepopularną?

Ja jednak wybierałam Alison – dziewczynę kradnącą ze sklepu lakier do paznokci i rysującą złośliwe karykatury chłopaka z naszej klasy, który miał na głowie ślady po porodzie kleszczowym. Wybierałam dziewczynę, która na sto procent wyśmiewałaby się z mojej siostry. Teraz prawie codziennie chodziłam do jej domu. Zazwyczaj po tych popołudniowych spotkaniach odwoziła mnie któraś z matek – tych ładnych, normalnych matek, które nie chodziły w kółko do biblioteki, nie paliły papierosów w sypialni, i w ogóle nie tkwiły przez cały czas w sypialni (bo krzątały się w kuchni, gotując obiad, jak powinny robić matki).

Gdy wracałam do domu, siostra czekała na mnie na schodkach.

Myślałam, że już nigdy nie wrócisz, mówiła, gdy szłam ścieżką. Nie zdarzało się, by okazywała złość. Tylko zadowolenie, że mnie widzi.

Może pojechałybyśmy w sobotę autobusem na most Golden Gate powrzucać do wody butelki z wiadomościami? – proponowała.

Mogłyśmy też rozwiesić w okolicy ogłoszenia, że wynajmiemy się w charakterze klaunów na kinderbale. Czasem kupowałyśmy parę balonów napełnionych helem, wpuszczaliśmy sobie hel do ust i dzwoniłyśmy do ludzi. (Co im powiedzieć, to był nieważny szczegół, można go było dopracować później). Wysyłałyśmy zgłoszenia do programu *Supermarket Sweepstakes* – teleturnieju, w którym drużyny uczestników biegały po

supermarkecie, wrzucając do wózków towary, by osiągnąć przy kasie jak najwyższą sumę. Gdyby nas wybrano, dostałybyśmy tyle produktów spożywczych, że nasza mama nie musiałaby się martwić, za co zrobić zakupy przez cały rok, nie mówiąc o nagrodzie pieniężnej.

No i oczywiście zawsze miałyśmy naszą górę, miejsce zakazane przez rodziców, od kiedy zaczęły się morderstwa, ale takie coś nigdy wcześniej nas nie powstrzymywało. Co kilka dni brałyśmy puszkę i rozpałyśmy niewielkie ognisko, Patty śpiewała swoją pieśń, zamykałyśmy oczy i zawodziłyśmy monotennie. Wciąż miałam nadzieję, że przyjdzie do mnie wizja, jednak nigdy nie przestałyśmy szukać twardych dowodów.

A może w ten weekend wymkniemy się w nocy, gdy mama pójdzie już spać, weźmiemy latarki i urządzimy sobie biwak niedaleko miejsca ostatniej zbrodni? – zaproponowała Patty.

I co dalej?

Możemy wziąć twój aparat i zrobić zdjęcia.

A jeśli morderca tam będzie? Jeśli nas zauważy?

Będziemy cicho.

Mama by nas zabiła.

I co z tego?

To by była prawdziwa ironia losu, stwierdziłam.

Ale faktycznym powodem, dla którego nie mogłam urządzić tej zasadzki z siostrą, było to, że zostałam zaproszona do Alison na przyjęcie z nocowaniem. Nie byłam już tylko koleżanką popularnych dziewcząt. Byłam jedną z nich.

Nigdy się tak nie zachowywałaś, rzekła moja siostra z wyrzutem. Co się z tobą stało?

Ty tego nie rozumiesz, odparłam. Nie jesteś jeszcze nastolatką.

Skoro zrobiła się z ciebie taka wielka nastolatka, odezwała się na to Patty tonem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałam – mógł wziąć się tylko z tego, że tamtego lata czuła się odtrącona przez osobę, którą kochała najbardziej na świecie – to dlaczego wciąż jeszcze nie masz okresu?

No tak. Mój wielki, wstydlivy sekret, pytanie, które zadawałam sobie

każdego dnia. Mogłam się odgryźć, powiedzieć coś o jej zębach, ale tego nie zrobiłam.

Nie chciałam tego powiedzieć! – krzyknęła.

Wyglądała na osłupiałą i zaszokowaną. Nigdy w życiu nie powiedziała mi nic złośliwego, choć ja robiłam jej to wiele razy.

Tym pytaniem, tak dla mnie palącym jak pytanie o tożsamość Wampira ze Wzgórza, trafiła jednak w dziesiątkę: czułam lęk, że nigdy nie stanę się kobietą. I przerażenie, że jednak się nią stanę.

Na początku sierpnia przysłała kolejna fala upałów. Karl Pollack wrócił wcześniej z pracy i siedział na trawie bez koszuli, patrząc, jak Karl junior biega w kroplach zraszacza. Gunnersonowie urządzali sobie grilla, a kawałek dalej pan Marcello mył samochód.

Siedziałam na schodkach przed domem i kartkowałam ostatni wakacyjny numer „Seventeen” pełen ciuchów, które tej jesieni będzie nosiła Alison, a ja nie. Patty kozłowała piłką na podjeździe. Wtedy zobaczyłyśmy psa pana Armitage’a pędzącego ulicą od strony zaułka. W pysku trzymał coś, co wyglądało jak noga kurczaka, a może but.

Sekundę później pojawił się ścigający go pan Armitage. Nie należał do dobrych biegaczy, więc brakowało mu tchu, a odległość między zasapanym właścicielem a pieskiem wciąż się zwiększała.

Pies zniknął gdzieś koło domu Helen. Pan Armitage stał i przyciskał rękę do piersi. Przez chwilę myślałam, że wybuchnie płaczem.

Od czasu gdy Patty i ja dokonałyśmy ostatniego wpisu w naszym zeszycie, minęły dwa lata i od tamtej pory żadna z nas nie zwracała uwagi na to, co dzieje się w ich domu, poza sporadycznymi uwagami mojej siostry na temat psa i naszą wspólną opinią, że z jakiegoś powodu pani Armitage chyba się wyprowadziła.

Musicie mi pomóc, wysapał ciężko pan Armitage. Ponieważ zawsze trzymał się z boku, dopiero wtedy po raz pierwszy w życiu usłyszałam jego głos.

Otworzyłem na chwilę drzwi, żeby wynieść śmieci, i wtedy Petra się wydostała, tłumaczył, wciąż dysząc. Muszę jej pilnować jak oka w głowie. Nie umie sama wrócić. Boję się kojotów, wyznał.

Nie musiał nam tego tłumaczyć.

Patty nie myślała długo. Już jej nie było. Puściła się pędem ulicą w kierunku szlaku, tam, dokąd pobiegł pies. Nie było czasu, żeby ktokolwiek jej przypomniał, że nie wolno nam tam chodzić. Teraz zerwał się pan Pollack i pani Gunnerson. Ale Patty zniknęła nam z oczu.

Nawet bez motywacji w postaci złapania psiego uciekiniera moja siostra biegła szybko, ale tamtego dnia po prostu pofrunęła. Pięć minut później – może prędzej – była z powrotem z Petrą w ramionach.

Nie wiem, jak ci dziękować, wysapał pan Armitage.

Gdy ją niosłam, czułam na piersi, jak bije jej serduszko.

Patty wręczyła psa panu Armitage, choć wiedziałam, że ma ochotę jeszcze go potrzymać.

Widać było, że się boi, dodała. Chciała wrócić do domu, ale nie wiedziała jak.

Chcę ci się jakoś odwdzińczyć, powiedział sąsiad.

Wyjął portfel i zaczął wyciągać banknot dziesięciodolarowy. Nie było to coś, czego Patty chciałaby za uratowanie zwierzaka.

Może mogłabym zabierać ją czasem na spacer? – zapytała.

Nikt nigdy nie chodzi z Petrą oprócz mnie, odpowiedział pan Armitage, nie wspominając o swojej nieobecnej żonie. Ale może przyjdiesz jutro do mnie, przygotuję piwo imbirowe z lodami i ciasteczka z masłem orzechowym. I wtedy o tym porozmawiamy, a Petra będzie miała okazję lepiej cię poznać. Może to i dobrze, żeby od czasu do czasu pobyła jednak z kimś innym. Może faktycznie mogłaby wyjść z kimś, gdy ja jestem w pracy... Gdybyś była zainteresowana.

Patty oczywiście była.

Będziemy to musieli dokładnie omówić, dodał. Ta psinka jest dla mnie wszystkim.

Następnego dnia Patty poszła do domu Armitage'ów, żeby zapoznać się lepiej z Petrą. I z panem Armitage'em.

Choć nasz początkowy entuzjazm, jeśli chodzi o zbieranie informacji o naszym sąsiedzie, już dawno osłabł, to, że moja siostra zyska dostęp do jego domu (i do samego pana Armitage'a), w połączeniu z tajemnicą otaczającą miejsce pobytu pani Armitage, zainspirowało mnie do odkurzenia naszego śledztwa na temat „sekretnego życia Alberta Armitage'a”. Choć ostatnio moje myśli zajmował głównie Wampir ze Wzgórza i Teddy Bascom,

sprawa Armitage'a miała większe szanse na rozwiązanie. W odróżnieniu od śledztwa w sprawie mordercy – policyjne taśmy i barykady wciąż uniemożliwiały zbliżenie się do miejsca zbrodni – ta sprawa rozwijała się lub już się rozwinęła tuż obok nas, na Morning Glory Court.

Zdjęcia pana Armitage'a, które zrobiłam polaroidem, zanim straciłam zainteresowanie tym przedsięwzięciem, nie dostarczyły nam informacji o jego charakterze. Poza zdjęciami, tym, że woli białe kamienie od trawy i ma psa, jedyna konkretna informacja, którą zdobyliśmy o naszym sąsiedzie, pochodziła z magnesu na lodówkę. Była to reklama szkoły tańca towarzyskiego, miejsca jego pracy, a magnes podarował Pollackom, sąsiadom, którym pilnowałam dziecka. Jednak teraz, gdy moja siostra nawiązała z nim bezpośredni kontakt, wyglądało na to, że możemy wreszcie dotrzeć do sedna sprawy – zadając mu po prostu kilka pytań.

Patty idealnie nadawała się to tego zadania, nie tylko dlatego, że została zaproszona do domu Armitage'ów. Wzbudzała zaufanie, co wcale mnie nie dziwiło. Było w niej coś, co nie pozwalało wyobrazić sobie, że mogłaby dopuścić się oszustwa.

Jak zwykle ja wyłożyłam jej nasz plan. Gdy pan Armitage otworzy, Patty wyjaśni, że przygotowuje pewien raport i ma nadzieję, że będzie mogła zadać mu kilka pytań. Tu pojawiał się kolejny ryzykowny aspekt naszej pracy detektywistycznej: trwały wakacje, więc nie można było powiedzieć, że to do szkoły, a poza tym, na jaki temat mogłaby pisać raport (może do szkoły letniej? – zasugerowałam), że potrzebna była rozmowa z panem Armitage'em? Wiedzialiśmy o nim tak niewiele, że nie miałyśmy tematu wywiadu dla Patty. Raport o ludziach, którzy wrywają trawę z ogródka i zastępują ją betonem? Czy o ludziach, którzy jeżdżą do pracy autobusem?

To Patty wymyśliła powód. Powie, że przygotowuje raport o psach. Może lepiej zawęzić temat: o małych pieskach.

Gdy już zaprosi ją do środka, ona zada niezbędne pytania, wyciągając od niego tyle szczegółów, ile tylko się da. Na przykład pełne imię i nazwisko, datę urodzenia i skąd pochodzi. Imiona rodziców, miejsce pracy, hobby. Gdzie poznał żonę i kiedy ona się urodziła. I oczywiście jej imię.

Prawdziwym celem naszej misji było oczywiście wypytanie o panią Armitage, uważałam jednak, że należy połączyć to z kilkoma innymi

pytaniami, mniej podchwytliwymi, ponieważ nie wzbudzi to podejrzeń pana Armitage'a, bo nie zostanie zadane jako jedyne. (To było podobne do mojej metody kupowania podpasek w drogerii. Robiłam to, mimo że jeszcze nigdy nie dostałam okresu, po to, żeby być przygotowaną i nie musieć pytać o to mamy. Razem z podpaskami wkładałam do koszyka co najmniej trzy inne artykuły – spinki do włosów, pinezki, ołówki – drobiazgi, bo pieniądze zawsze stanowiły problem, jednak na tyle różne, żeby kasjerka, która mogła też okazać się młodym kasjerem, nie zwróciła uwagi na ten jeden podejrzany zakup).

Muszę zapytać o Petrę, przypomniała mi Patty. To główny temat mojego raportu.

Ponieważ to Patty była miłośniczką psów, zapytałam, jakie ma sugestie. Czego ktoś chciałby się dowiedzieć o psie?

Od czego zacząć? Tak wiele rzeczy ją interesowało. Co pies lubi jeść, czy ma ulubioną zabawkę, jak znosi kąpiel. Czy Petra została wysterylizowana, a jeśli nie, to czy będzie kiedyś miała szczeniaki? Trudno było sobie wyobrazić suczkę o rozmiarach Petry mającą małe, ale gdyby miała, na pewno byłyby urocze. Patty znowu zapytałaby mamę, czy może mieć psa. Choć obie znałyśmy odpowiedź.

Tracisz wątek, napomniałam ją. Nie dostaniesz szczeniaka. Musisz się skupić na pytaniach.

Możesz go zapytać, dlaczego woli małe pieski od dużych, podsunęłam. I czy taniej jest mieć małego pieska, bo pewnie o wiele mniej je. Ale chodzi głównie o to, by sprowadzić rozmowę na temat żony pana Armitage'a. I to tak, żeby się nie zdenerwował.

To była kolejna rzecz, o której Patty musiała pamiętać podczas rozmowy. Chociaż ważne było, żeby robiła notatki, nie powinna zapisywać żadnych uwag dotyczących bezpośrednio aspektu życia pana Armitage'a, który wzbudzał naszą największą ciekawość: tajemniczej nieobecności jego żony. Gdyby przypadkiem zrobił się podejrzliwy, chciałam dopilnować, by w razie czego w jej notesie zobaczył tylko takie rzeczy jak jego data urodzenia i miejsce pracy, które nie wprawiają go w zakłopotanie. Wszystko, co powie o swojej żonie, Patty będzie musiała zapamiętać i zapisać później, po powrocie do domu.

Nie była specjalnie zadowolona z tego pomysłu z wywiadem.

Czuję się jak szpieg, wyznała.

No bo go szpiegujesz, uświadomiłam jej. To właśnie robią detektywi.

Niechętnie przystąpiła do realizacji zadania. Zapukała do drzwi – tak samo jak wiele razy wcześniej, gdy bawiłyśmy się w dzwonienie i uciekanie, tylko że tym razem, gdy pan Armitage podszedł do drzwi, nie uciekła. Weszła do domu.

Okazało się, że przyrządził dla niej piwo imbirowe z lodami i ciasteczka domowej roboty, owsiane z rodzynkami. Pokazał jej kolekcję porcelanowych piesków – nie tylko małych, ale różnych ras. Wyjaśnił, że tak naprawdę chciałby mieć dużego psa, ale ponieważ dwa razy do roku lata do rodzinnego domu w Ohio, żeby odwiedzić rodziców, a nie jest zwolennikiem zostawiania psa w budzie, musi mieć pieska na tyle małego, żeby móc go wziąć do samolotu.

Podczas wywiadu wyszedł na jaw jeden niezwykły fakt. W salonie wisiał oprawiony plakat tancerza, przystojnego młodego mężczyzny z nagą piersią, w rajtuzach, który trzymał nad głową kobietę. Gdy Patty zapytała, czy pan Armitage jest wielbicielem baletu, poinformował ją, że fotografia przedstawia jego samego w młodości. Gdy jeszcze mieszkał w Ohio, przez kilka lat był członkiem trupy tanecznej w Cincinnati.

Jak widzisz, teraz już niewiele tańczę, powiedział, klepiąc się po brzuchu. Ale wciąż uwielbiam chodzić na przedstawienia baletowe w San Francisco.

Tamtego popołudnia, kiedy Patty przeprowadzała wywiad z panem Armitage'em, była w jego domu tak długo, że zaczęłam się martwić. Wreszcie, prawie po godzinie, się pojawiła. Kucnęła, żeby pogłaskać psa na pożegnanie. Pan Armitage powiedział jej, że rzadko się zdarza, by Petra lizała kogoś po twarzy i machała ogonem jak do Patty.

Do zobaczenia wkrótce! – zawołał za nią, gdy wychodziła. Cieszę się, że mogłem pomóc.

Później, w domu, przepisując informacje do zeszytu i przyklejając kilka kosmyków sierści, które zostały na jej spodniach, na stronie zatytułowanej *Próbka sierści psa podejrzanego* Patty wyraziła nadzieję, że może uda jej się lepiej poznać naszego sąsiada.

Chyba jest w moim typie, stwierdziła. Nieśmiały w stosunku do ludzi, ale nie do psów.

A co z jego żoną? – zapytałam. Nie zapytałaś o nią?

Nie doszliśmy do tego punktu.

Pokazał mi sztuczkę, której nauczył Petrę, dodała. Gdy nastawia pewną płytę z arią operową, Petra też śpiewa. Nie śpiewa naprawdę, ale staje na tylnych łapach i wydaje różne dźwięki.

Miałaś zapytać go o żonę...

Pomyślałam, że to może być drażliwy temat. Ale poza tym on wydaje się zupełnie zwyczajny. Miły i pogodny.

Niektórzy ludzie mają ukrytą ciemną stronę, oznajmiłam. Nie nazywałoby się to ciemną stroną, gdyby nie istniała jasna. I tę właśnie ci pokazał.

Może twoją ciemną stroną jest krytykowanie pana Armitage'a, burknęła Patty. Mimo że on nigdy nie zrobił ci nic złego.

To było jedno z tych popołudni, gdy szłam do Alison. W poprzedni weekend wybrała się z mamą do miasta – czyli do San Francisco – gdzie zatrzymały się w hotelu i poszły kupować „wyprawkę” do szkoły. Dziś Alison miała pokazać nam swoje nowe ciuchy i może pozwolić niektóre przymierzyć. A więc znów miałam zostawić Patty samą. Ostatnio robiłam to coraz częściej.

Źle się z tym czułam, nie dlatego, że moja siostra się skarżyła, bardziej dlatego, że się nie skarżyła.

Też mogłabyś sobie znaleźć jakieś koleżanki, namawiałam ją. Na pewno w piątej klasie jest mnóstwo dzieciaków, które chciałyby cię zaprosić.

Tak naprawdę nie byłam tego pewna. Gdy spędzałyśmy czas tylko we dwie, siostra potrafiła być niesłychanie zabawna, jednak nieśmiałość, gdy miała do czynienia z innymi ludźmi, utrudniała jej zawieranie przyjaźni. Na boisku do koszykówki szalała, goniąc za piłką. Poza nim przy innych prawie nie otwierała ust.

Jednak tamtego popołudnia, gdy wróciłam od Alison z torbą ubrań, które dała mi, bo już ich nie potrzebowała, Patty nie czekała na mnie w zwykłym

miejscu na schodkach ani nie ćwiczyła rzutów do kosza. Nie było jej też z tyłu na podwórku, choć nie wydawało mi się prawdopodobne, by poszła sama na wzgórze. Nie było jej również w naszym pokoju. Jej rower stał na podjeździe, piłka też tam leżała.

Zaczynałam się martwić, gdy zobaczyłam, że idzie ulicą od strony ślepego zaułka. Poza pewnym dniem rok temu, kiedy ojciec przyszedł na jej mecz koszykówki, tuż przed momentem, gdy wykonała idealny wrzut, nie pamiętałam, kiedy Patty była w takiej euforii.

Była wysoka i miała tendencję do garbienia się i chodzenia ze spuszczoną głową – ojciec, który uważał, że prawidłowa sylwetka to podstawa, zawsze ją za to krytykował. Jednak tamtego dnia szła jak modelka na wybiegu, tyle że nie demonstrowała ubrań, a suczkę pana Armitage'a, Petrę.

Pan Armitage płacił Patty pięćdziesiąt centów dziennie, ale nie to było dla niej ważne. Gdyby miała pieniądze, sama by mu zapłaciła.

Musisz bardzo uważać, ostrzegł ją. Ten pies to całe moje życie.

Petra miała sześć lat. Na jej pyszczku widniała brązowa plama w kształcie serca, a ogona prawie nie było, w wyniku pomyłki hodowcy, który jej go obciął. Z tej przyczyny pan Armitage dostał ją po niższej cenie, jednak dla niego była bezcenna.

To był pierwszy dzień okresu próbnego. Nie trwał długo, bo było jasne dla wszystkich (dla pana Armitage'a, Patty i Petry), że to układ idealny. Patty przyszlaby po Petrę i w porze lunchu, gdyby to było możliwe.

Kilka dni później przypomniałam Patty o naszym projekcie i zeszytce, w którym notowałyśmy dane na temat sekretnego życia Alberta Armitage'a. Ale ona była już teraz zainteresowana czymś innym, dlatego jeśli nawet wpisywała coś do zeszytu, informacja dotyczyła czegoś uroczego, co zrobiła Petra, albo jakiegoś mało znanego faktu o Jack Russell terierach.

Choć darzyła psa wielką miłością, coraz bardziej lubiła też pana Armitage'a. Nadal był tajemniczy, jednak mimo że wciąż miałam obsesję na punkcie zniknięcia jego żony – i tego, że nikt nigdy nie wspomniał, iż w ogóle z nim mieszkała – moja siostra jakby zupełnie o tym zapomniała, a w każdym razie odsuwała tę myśl na rzecz przyjaźni, która zawiązała się między nimi z powodu wspólnej namiętności do Petry.

Raz Patty przelotnie zasugerowała, że mogłybyśmy przedstawić pana Armitage'a naszej mamie jako potencjalny obiekt romantycznego zainteresowania, jednak nawet ona zdawała sobie sprawę, że taki związek nie ma racji bytu. Tak naprawdę chciała tylko mieć gwarancję, że Petra zostanie w naszym życiu na zawsze.

Skoro nie mogła mieć własnego psa, zadowalała się wyprowadzaniem Petry.

Po tym jednym incydencie, rok po odejściu ojca, nigdy już nie słyszałam, żeby wspominał o poślubieniu Margaret Ann. Jednak świadomość, że ona istnieje i że dużo dla niego znaczy, nie zniknęła, zawsze była w tle. Wciąż pamiętałam, jak szybko ojciec wbiegł na schodki prowadzące do mieszkania Margaret Ann w dniu, gdy nas jej przedstawił. Jak przeczesał grzebieniem czarne włosy, czekając, aż otworzy drzwi, a ona natychmiast mu je rozwichrzyła.

Zabrał nas do niej jeszcze tylko kilka razy.

Nie mówcie nic mamie, prosił, zatrzymując auto na parkingu przed domem Margaret Ann. Był błękitny, ze skrzynką petunii w oknie, a z tyłu widać było lśniąca taflę basenu. Wyobrażałam sobie, jak wszyscy czworo – Patty, ja, ojciec i Margaret Ann – skaczemy z trampoliny i sączymy napoje z papierowymi parasolkami. I zaraz potem miałam wyrzuty sumienia.

Uszyła nam identyczne sukienki. To był powód tej wizyty. Wybrała dokładnie taki materiał, jaki strasznie nam się podobał: lekko błyszczącą turkusową bawełnę z żółtymi kotkami rozwijającymi kłębki włóczki. Sukienki miały duże kieszenie i szerokie szarfy, które można było zawiązać z tyłu w wielką kokardę, tak że wyglądałyśmy jak prezenty.

Co one mają z nimi zrobić, Maggie? – zapytał ojciec z uśmiechem, gdy je włożyłyśmy. Gdy był z Margaret Ann, jego twarz miała inny wyraz, i nawet Patty, która nie cierpiała sukienek, wyglądała na szczęśliwą.

Nie mogłam się powstrzymać, tłumaczyła się Margaret Ann. Zobaczyłam ten wzór i wydał mi się taki zabawny.

Potem zdjęłyśmy sukienki i powiesiłyśmy w szafie u niej w mieszkaniu, obok jej pięknych sukienek – tak innych od wszystkiego, co nosiła mama.

Włożyliśmy je tylko dwa razy, gdy ojciec i Margaret Ann w którąś sobotę zabrali nas na minigolfa do Santa Rosa, i drugim razem, na wczesny lunch w hotelu Flamingo, gdzie pływałyśmy z nimi w basenie. Margaret Ann miała na sobie białe bikini i twierdziła, że ojciec wygląda jak Rock Hudson. Później naładowałyśmy sobie na talerze tyle bułeczek, że Patty zwymiotowała w samochodzie na swoją sukienkę, a także na sukienkę Margaret Ann, która była biała jak jej bikini.

Myślisz, że się tym przejmuję, kochanie? – spytała, gdy Patty zaczęła ją przeproszać. Sukienki nie są ważne. Ważni są ludzie.

Nie mówcie o tym mamie, dodał ojciec.

Ale same dobrze to wiedziałyśmy.

Pod koniec sierpnia doszło do kolejnego morderstwa. Tym razem ciało znalazł strażnik leśny, który przerzedzał krzewy. Sally Jansen, lat dwadzieścia dziewięć, była niezależną dziennikarką, która przyjechała z Sacramento, żeby zrobić zdjęcia naszej góry. Miała nadzieję, że sprzeda historię o Wampirze ze Wzgórza jakiemuś czasopismu. Obok niej znaleziono aparat fotograficzny z rolką filmu w środku – były na nim zdjęcia jej ciała. Najwyraźniej zrobione przez zabójcę, który, jak wcześniej, dołożył starań, aby nie zostawić żadnych odcisków palców.

Pięć morderstw. Zero dowodów. (Wiedziałam to z rozmowy z ojcem, który zadzwonił, żeby wyjaśnić, dlaczego znowu musi odwołać nasze weekendowe spotkanie).

Jesteście już bliscy złapania go? – zapytałam.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszałam długie westchnienie. Być może ojciec wypuszczał dym papierosowy z ust.

Ten facet jest sprytny, odparł. Gdy ten bałagan się skończy, dodał, zabiorę was do Włoch.

Pojedziemy tylko we trójkę? – zapytałam.

Tak.

Po piątym morderstwie jeszcze rzadziej miałyśmy kontakt z ojcem, widywałyśmy go głównie w telewizji i w gazetach. Wpadł do nas tuż przed weekendem poprzedzającym Święto Pracy. To była jedna z tych krótkich wizyt, które mama nazywała gościnnym udziałem. Miał prezenty dla nas obu – kurtkę Adidasa dla Patty i naszyjnik dla mnie.

Ostatnio mam w pracy małe urwanie głowy, powiedział i była to właściwie jedyna aluzja do śledztwa w sprawie Wampira od pierwszego telefonu, kiedy to zakazał nam chodzić na górę.

Ale pamiętajcie, że nawet gdy do was nie przychodzę, bez przerwy o was myślę.

Żebyś wyglądała super na boisku do koszykówki, Patty Cakes,

powiedział, zasuważąc zamek błyskawiczny kurtki Patty.

A co do ciebie, Farrah, wręczył mi pudełko z naszyjnikiem, to jest rok, w którym uświadomisz sobie, jaka jesteś piękna. Masz urodę, która nie rozkwita od razu. Ale już jesteś blisko. Jeśli jakiś chłopak będzie chciał się do ciebie zbliżyć, najpierw będzie miał ze mną do czynienia, dodał. Wszyscy niedługo tego zapragną. Tylko nie marnuj czasu na kogoś, kto na ciebie nie zasługuje.

Ojciec nigdy nawet nie słyszał o Teddym Bascomie. Więc skąd wiedział?

Zaczęła się szkoła. Miałyśmy nowe stroje, kupione na wyprzedaży w JCPenney. Mama uparła się, że podetnie Patty grzywkę. Wyszła tak krótka, że wyglądała jak frędzelki na podkładce pod talerz i odsłaniała szerokie różowe czoło. Gdy Patty zobaczyła się w lustrze, zaczęła płakać. Mama nie miała ani trochę talentu ojca do obcinania włosów.

Nie jest tak źle, pocieszałam siostrę. Odrośnie.

Ale nie pozwoliłam mamie podejść do siebie z nożyczkami, tak że Patty wiedziała, co naprawdę myślę.

Mimo niefortunnej fryzury Patty i moich džinsów z przeceny pierwszego dnia po wakacjach cieszyłyśmy się wśród kolegów z klasy dużą popularnością. W każdym razie ja. Alison Kerwin wyjechała z rodziną nad jezioro Tahoe, więc od tego ostatniego morderstwa się nie kontaktowałyśmy. Teraz podeszła do mnie na pierwszej lekcji i powiedziała, żebym usiadła razem z nią podczas lunchu. W porównaniu z moim starym miejscem w stołówce był to zdecydowany awans.

Chciała wiedzieć, czy mój ojciec ma jakiś nowy trop.

Nawet jeśli to ściśle tajne, żadna z nas nie piśnie słówka, zapewniła. Jak Bożię kocham!

Tak jak o tych śladach po ugryzieniu, dodała Soleil, choć o tym powiedziałam przed wakacjami tylko Alison, prosząc ją, by nikomu nie mówiła. I o rajstopach.

Tak u niej wyglądało „kochanie Bożi”.

Sama nie wiem, zwróciłam się do Soleil. Ojciec kazał nam przysiąc, że nie

będziemy o tym z nikim rozmawiały. Pewne informacje są tajne.

Idę o zakład, że chodzi o seks, co? – Alison nie dawała za wygraną. Na pewno zmuszał swoje ofiary do jakichś świństw, zanim je udusił?

Może wystarczy, że powiem, iż zanim zabił tę ostatnią, musiała żałować, że nie umarła wcześniej, powiedziałam tajemniczo.

Czasem szczegóły, które się zataiło, były bardziej okropne niż te, które się zdradziło. Zresztą, mimo że miałam bujną wyobraźnię, ostatnio brakowało mi pomysłów.

Dużo rozmawiałyśmy o chłopcach. Najmniejszym strzępkim informacji o chłopaku, który podobał się którejś z nas, dzieliłyśmy się z całą paczką. Chodziło na przykład o takie rzeczy, że ten chłopak spojrział na jedną z nas, a inny chyba próbował się już golić, bo wyglądał, jakby się zaciął. Któraś wyrażała opinię o skarpetkach, jakie tego dnia włożył Vincent. Inna zauważyła, że podczas lekcji historii, gdy pani Brennan wywołała do odpowiedzi Larry’ego Odegarda, chłopaka tak niepopularnego jak wcześniej ja, załamał mu się głos i zaczął mówić na jednej oktawie, po czym przeskoczył do innej. Gdyby ktoś zobaczył, jak się z tego śmieję, nigdy by nie zgadł, że jeszcze kilka miesięcy temu te same dziewczyny mogły równie dobrze wyśmiewać się ze mnie.

O rzeczach wstydliwych nie rozmawiałyśmy, choć trochę uwagi poświęcałyśmy początkom problemów z cerą – jedynej skazie na urodzie Alison – i próbach ukrycia ich przy użyciu korektora. Alison miała cały arsenał takich środków.

Teddy Bascom postanowił, że będziesz jego dziewczyną, zdradziła mi. Powiedział, że Heather ma za duży tyłek, a ty jesteś bardziej sexy.

Wiesz, kto jeszcze jest sexy? – zapytała Soleil z ustami pełnymi tuńczyka, wskazując mnie. Jej ojciec. Gdy pokazywali go wczoraj wieczorem w wiadomościach, moja mama stwierdziła, że gdyby przestał być detektywem, mógłby mieć własny program w telewizji. Orzekła, że jest tak seksowny jak Paul Michael Glaser^[4].

Gdy to mówiła, ja wciąż nie mogłam ochłonąć po wiadomości o Teddym. To, co mówiły o moim ojcu, wzbudzało we mnie dziwnie mieszane emocje. Dumę, ale trochę i zażenowanie. Prawdę mówiąc, nie chciałam, żeby

koleżanki uważały, że mój ojciec jest sexy. Z drugiej strony zdawałam sobie sprawę, że nigdy nie zostałam zaproszona do ich stolika ani nie znalazłabym się po szkole na wielkim łóżku Alison z tymi dziewczynami – no i nigdy nie zwróciłabym na siebie uwagi Teddy’ego Bascoma – gdyby nie mój ojciec i sprawa Wampira ze Wzgórza.

Patty nigdy nie była świadkiem tych naszych rozmów. Teraz, gdy chodziłam do ósmej klasy, jadałam lunch w stołówce mieszczącej się w innym budynku. Ale gdy widziałyśmy się po szkole, na przystanku autobusowym, moja siostra miała taką minę, że wiedziałam, iż mnie przejrzała. Nie była zła, tylko zawiedziona i smutna. Jak pies, który nawet gdy go uderzysz, i tak przyniesie ci gazetę.

Teraz siadałam w autobusie razem z Alison i Soleil. Jechałyśmy albo do Alison, albo do Soleil, albo do Heather. Zwykle dołączali do nas inni. Leżałyśmy na łóżku Alison i puszczałyśmy płyty albo przymierzałyśmy ciuchy lub oglądałyśmy coś w małym przenośnym telewizorku należącym tylko do Alison i stojącym na jej komodzie. Jadłyśmy krakersy z masłem orzechowym albo nachos (mimo że dziewczyny ciągle się odchudzały), czasem zamawiałyśmy pizzę na wynos i nawet nie musiałyśmy płacić, bo rodzice Alison mieli w tej pizzerii otwarty rachunek.

Zazwyczaj któraś z matek odwoziła mnie do domu w porze kolacji. (A w każdym razie w porze ich kolacji, bo moja i Patty przypadała o różnych porach albo wcale). Wtedy matki tak samo jak córki wypytywały mnie o ojca i o śledztwo, które prowadził.

Powiedz ojcu, że wszyscy o nim myślimy, powiedziała raz pani Kerwin. Śpię spokojniej, gdy wiem, że to on tropi tego potwora.

Zawsze prosiłam podwożącą mnie matkę koleżanki, żeby wysadziła mnie na rogu, bo nie chciałam, by widziała nasze podwórko z zeschniętą trawą i zepsutymi drzwiami do garażu.

Stąd pójdę już na piechotę. Uśmiechałam się. Po drodze wyjmę pocztę ze skrzynki.

Patty czekała na mnie przed domem. Mama czasem była w domu, czasem nie, ale tak czy inaczej, znajdowałam Patty na podjeździe w starych rozlatujących się tenisówkach, odbijającą piłkę.

Byłoby mi w pewien sposób łatwiej, gdyby mnie oskarżała albo robiła

złośliwe uwagi, lecz ona milczała. Zapytała tylko raz, czy Alison ma jakieś zwierzątko, a poza tym nie rozmawiałyśmy o tym, jak ona mieszka ani co tam robimy.

W takim domu powinni mieć psa, stwierdziła, gdy opowiedziałam jej o gigantycznym akwarium, które rodzice Alison mają w salonie. Może pudła albo setera irlandzkiego. Rasowego.

Moja siostra wolała kundelki, ale oni mogliby mieć przynajmniej pudła.

Nieważne. Najistotniejszą rzeczą w moim świecie tamtego dnia była wiadomość dotycząca Teddy'ego Bascoma. Według Alison zasłużyłam sobie na jego aprobatę. W tamtej chwili pytanie, czy on zasłużył na moją, w ogóle nie przyszło mi do głowy.

Tamtej jesieni, gdy gazety codziennie pisały o pięciu niezakończonych śledztwach, a przy szlakach stały znaki ostrzegawcze, praktycznie nikt już nie wybierał się na wędrówki po naszej górze. Jednak nie można było przecież odgrodzić całego świata zewnętrznego. Wydział zabójstw ostrzegał i zakazywał, potencjalne ofiary zaczęły chodzić innymi ścieżkami, jednak wydawało się, że morderca, niczym zmutowany wirus, przystosowuje swoje metody do nowej sytuacji i poszerza pole działania.

Zwłoki szóstej kobiety, Willi DePaul, znaleziono nad jeziorem Phoenix w trzecim tygodniu września. Była starsza niż pozostałe – miała trzydzieści sześć lat – ale tak jak one była ładna i miała długie ciemne włosy, a jej ciało znaleziono o zmierzchu.

Mówiłem jej, żeby tam nie szła, lamentował jej mąż w rozmowie, którą puszczali kilka dni później w radiu. Powiedziała, że Buster potrzebuje trochę ruchu.

Pies wrócił sam do domu, skomlać. Dlatego policja wiedziała, gdzie jej szukać.

W gazecie nie było zbyt wielu szczegółów dotyczących tego, co zabójca zrobił Willi DePaul, jednak autor artykułu donosił, że zwłoki zostały znalezione „w pozycji podobnej do tej, w której znajdowano poprzednie ofiary”, i że „użył taśmy klejącej” – zrozumieliśmy, że oczy Willi, podobnie jak oczy innych kobiet, które zabił Wampir, zostały zaklejone taśmą, w jego charakterystycznym stylu. Wspomniano także o „pewnych innych szczegółach stanu, w jakim były zwłoki”. Ojciec wyjaśnił dziennikarzowi, że ponieważ trwa śledztwo, nie może ujawnić nic więcej. W artykule cytowano anonimowego informatora z wydziału zabójstw, który zdradził, że zabójca zabiera część ubrania każdej z ofiar jako swego rodzaju pamiątkę. Co to było, nie mógł powiedzieć. Dla dobra śledztwa.

Jeszcze raz próbowałam przywołać jakąś wizję, jednak obrazy, które pojawiały się w mojej głowie, były zbyt niejasne, żeby stanowić jakies wskazówki. Właściwie to nie miałam pewności, czy są prawdziwe, czy wymyślone, jak historie, które opowiadałam Alison i jej paczce.

Wyobrażałam sobie mężczyznę stojącego nad ciałem kobiety. Myślałam o tym, że słyszę jego powolny i ciężki oddech. Usiłowałam wywołać obraz tych części ubrania – bluzki? majtek? biustonosza? – które zabójca zabierał i włączał do swojej kolekcji. Jednak nie widziałam nic, co mogłabym podrzucić ojcu, żeby pomóc mu rozwiązać sprawę.

Wiedząc, jak dużo ma teraz na głowie, nie dzwoniłam do niego do pracy – i nie lubiłam też dzwonić do domu – bo mogła odebrać Margaret Ann, ale bardziej dlatego, że najprawdopodobniej nikt by nie odebrał. Nie chciałam myśleć, że ojciec przebywa w mieszkaniu pięknej kobiety, która pachnie jaśminem. Wściekało mnie, że gdzieś tam jest osoba znająca naszego ojca tak dobrze jak ja i Patty.

Teraz widywałam go głównie w telewizji, gdy odwiedzałam Alison lub pilnowałam dziecka państwa Pollacków. Jednak widząc go podczas paru wizyt, które nam złożył, stwierdziłam, że ta sprawa go wykańcza.

Wtedy nadeszła wizja. Widziałam w niej ojca, nie mordercę. Zobaczyłam go siedzącego na wzgórzu obok ciała Willi DePaul i przeczesującego palcami włosy. Z szacunku dla ofiary nie zapalił przy niej papierosa. Ale potem palił dużo. Jednego za drugim.

Widziałam go w czarnej skórzanej kurtce, znów na wzgórzu, jak chodzi tam i powrotem, tam i z powrotem po miejscu zbrodni, szukając śladów. Wydawało mi się, że wiem, o czym myśli.

Przez całe życie uważał się za obrońcę kobiet, ale teraz kobiety ginęły jedna po drugiej, niejako na jego dyżurze. (Cztery... pięć... sześć...). Choć tak bardzo się starał, nie był ani trochę bliżej schwytania mordercy niż w czerwcu, gdy stał nad zwłokami pierwszej ofiary. Zadręczał się tym. Widziałam to na jego twarzy, więcej, czułam to. Ze wszystkich wizji, które miałam do tej pory, ta była najbardziej wyraźna, jednak nie mogło to pomóc mojemu ojcu w złapaniu Wampira. Musiałabym zobaczyć twarz mordercy.

Nocami, wpatrując się w listewki łóżka Patty nad moją głową, usiłowałam go przywołać. Próbowałam sobie wyobrazić, gdzie jest teraz, dokąd zamierza się udać. Widziałam jednak tylko pusty ekran, jak na naszym zepsutym telewizorze. Gdy się go włączyło, nie było widać nic prócz śnieżenia.

W domu, w nocy, presja, żeby znaleźć mordercę, tłumiła wszystkie inne uczucia. Widziałam twarz ojca w telewizji, napiętą i pełną niepokoju. Jego koszula (dotąd zawsze idealnie wyprasowana) była wymięta.

W szkole myślałam o Teddym Bascomie. Podczas lekcji geometrii patrzyłam na drugi koniec klasy i widziałam, jak siedzi po męsku: nogi szeroko, krocze wystawione na widok publiczny. Przyglądałam się włoskom na jego karku, ale jednocześnie wiedziałam, że on ledwie mnie zauważa.

Wciąż jeszcze nie dostałam okresu i byłam całkiem albo prawie płaska. Teraz jednak wydawało mi się, że seks jest wszędzie dookoła mnie – w przebieralni na basenie, w pokoju wypoczynkowym Alison, w sypialni Karla i Jennifer Pollacków, na których łóżku czasem siadałam w te wieczory, gdy pilnowałam ich synka, wyobrażając sobie, jak próbują tu spłodzić dziecko.

Mieszały mi się różne obrazy: rysunki wesołego animowanego jajeczka i plemnika z filmu, który pokazywali nam na lekcji higieny, przechodziły w przerażające, ale i fascynujące rysunki z *Radości seksu* z sypialni moich rodziców. (Mężczyzna z brodą. Kobieta z włosami pod pachami. Penis, na którego nie chciałam patrzeć, ale patrzyłam).

Seks był w takim samym stopniu częścią świata jak powietrze i jego zanieczyszczenie. Już nie taki, jak przedstawiał go film poglądowy puszczany na zajęciach z higieny, cenny, piękny i intymny. Tamtego lata seks stał się dla mnie czymś brzydkim i trującym, wystawionym na pokaz na pierwszych stronach gazet, które każdego popołudnia roznosiła moja siostra. Seks był niebezpieczny, a potencjalnie nawet zabójczy. Do tego jakimś pokrętnym zrzędzeniem losu pojawił się w miejscu, które zawsze najbardziej kochałam – na naszej górze.

Po tym jak skończyło się małżeństwo moich rodziców, w stosunkach między nimi zaszło coś dziwnego. Nie nazwałabym ich przyjaciółmi, jednak od czasu do czasu, późną nocą – wracając z pracy, a może, kto wie, jadąc do niej – ojciec wpadał do nas i razem z mamą palili w kuchni papierosy i rozmawiali. Mimo dawnych ran (a niewymawiane imię Margaret Ann wciąż wisiało gdzieś nad ich głowami) wyglądało na to, że udało im się zachować jakiś rodzaj więzi. Może byli niczym para znużonych żołnierzy, którzy

przeżyli wojnę, siedzieli w tych samych okopach i nie pragnąc już przeżywać na nowo starych bitew, odnaleźli pociechę w świadomości, że spędzili razem młode lata i pamiętają te same okropne chwile rozlewu krwi. Choć w przypadku moich rodziców rany odniosła głównie mama, a ich sprawcą był ojciec.

Był taki czas, kiedy mama nie mogła na niego patrzeć, ale chyba od tamtej pory wydarzyło się mnóstwo innych okropnych rzeczy, a może minęło wystarczająco dużo lat, żeby to się zmieniło. Po pierwsze, mama nie miała zbyt wielu towarzyszy do rozmowy – może nawet nikogo. Po drugie, a może przede wszystkim, ona jedyna spośród tych, którzy go znali, nie uważała go za bohatera, co musiało być dla ojca pewną ulgą. Tylko gdy siedział z nią w naszym starym salonie, mógł wreszcie przyznać się do tego, że czuje się nieudolny, bo nie potrafi znaleźć mordercy, który terroryzuje całe hrabstwo.

Tamtej jesieni przychodził częściej. Nie popołudniami, lecz nocami, gdy Patty i ja byłyśmy już w łóżkach. Bez powodu, chyba tylko po to, żeby się wygadać czy zwierzyć z tajemnic śledztwa. Czasem było już po północy, ale dla naszej mamy nie stanowiło to problemu. Z domu wychodziła wyłącznie do pracy i wydawało się, że nigdy nie śpi. W jej pokoju zawsze paliło się światło.

Sądziła, że śpimy – Patty zwykle spała, jednak mnie budziły głębokie westchnienia ojca. Potem następował znajomy rytuał zapalania papierosów, przygotowywania drinków. Brzęk lodu w szklankach. Pstrykanie zapalniczki.

Wyglądasz na zmęczonego, zauważała mama. To brzmiało jak kwestia żony. W takich momentach przez chwilę pozwalałam sobie udawać, że wciąż są małżeństwem i że głosy, które słyszę, dochodzą z sypialni mamy, gdzie leżą obok siebie, a nie opierają się o zielony laminowany blat ze szklaneczkami do soku pełnymi whisky.

Zadrezczam się tą sprawą, mówił ojciec.

Jakbyśmy o tym nie wiedziały.

Siedziałam skulona na podłodze przy drzwiach i podsłuchiwałam. Miałam nadzieję, że ojciec powie mamie coś więcej o tym, jak przebiega śledztwo. Nie dlatego, że nazajutrz w stołówce chciałam podzielić się tym z Alison i jej paczką, bo dla nich mogłam coś wymyślić, ale dla siebie, żeby wiedzieć.

Ten facet zdejmuje z nich ubrania i układa je starannie przy zwłokach,

opowiadał ojciec.

Znowu zapalniczka. Kolejny lucky strike.

Gdy je znajdujemy, mają na sobie tylko buty, ciągnął. I tę cholerną taśmę na oczach. Nie powinienem o tym mówić, ale czasem zwyczajnie nie mogę się powstrzymać.

Mnie to nie przeszkadza, zapewniała mama. Nie chcę tylko, żebyś mówił o tym przy dziewczynkach.

Nie rozgłaszamy tego poza wydziałem, zaznaczał ojciec. Ale wiesz, co on im zabiera, gdy już skończy?

Zawahał się.

Wstrzymałam oddech.

Sznurówki.

Mama milczała. Wiedziała, że nie musi się odzywać. Tylko słuchać.

To wygląda tak, jakby chciał wziąć sobie coś na pamiątkę, opowiadał ojciec. Jakiś drobiazg, żeby mu je przypominał. A ja, jak ten idiota, szukam po całym hrabstwie jakiegoś faceta z cholerną kolekcją sznurówek.

Nadszedł październik, a z nim zmiana czasu, więc teraz wcześniej robiło się ciemno. Przez okna domów przy Morning Glory Court – wszystkich oprócz tego należącego do pana Armitage’a – widziałyśmy teraz niebieską poświatę z telewizorów, gdy sąsiedzi przy całej ulicy słuchali najnowszych wiadomości o Wampirze ze Wzgórza.

Patty wyszła rozwozić gazety. Normalnie byłabym u Alison, ale dziewczyny pojechały z którąś z matek do miasta zrobić sobie pedicure, a potem zjeść kolację w Pier 41. Powiedziałam im, że nie pojedę, bo jestem zajęta, choć prawdziwą przyczyną był brak pieniędzy.

Leżałam na łóżku, przerzucając kartki biografii Amelii Earhart, którą czytałam już dwa razy, gdy usłyszałam warkot samochodu ojca. Błękitna alfa zatrzymała się przed naszym domem. Ojciec wysiadł i wyglądał jak gwiazdor występujący gościnnie w serialu *Fantasy Island*.

Jak zwykle podczas tych rzadkich okazji, gdy ojciec nas odwiedzał, czułam, że na jego widok serce chce mi wyskoczyć z piersi. Nic – ani to, że

Teddy Bascom zwrócił na mnie uwagę, ani zaproszenie na nocleg do Alison, ani pozytywna opinia Patty o moim opowiadaniu – nie było tak ekscytujące jak odwiedziny ojca, nieważne jak krótkie.

Patrzyłam, jak zamyka drzwiczki auta, podziwiałam jego swobodny, naturalny krok, gdy szedł pewnie ścieżką do domu, przeczesując palcami włosy.

Jest twoja siostra? – zapytał.

Rozwozi gazety.

Mam tylko minutkę. Pomyślałem, że dobrze mi zrobi, gdy was zobaczę. Poprawię sobie humor.

Usiadł koło mnie.

Wiesz, że zawsze będę was kochał. Nic nigdy tego nie zmieni. Cokolwiek by się stało, to jest ustalone na zawsze.

Spojrzałam na niego. Przez chwilę wydawało mi się, że chce mi coś powiedzieć. On chyba też tak myślał.

Nieważne, co się stanie, chcę, żebyście miały co do tego pewność. Zawsze będziecie moimi córeczkami.

Wiem, zapewniłam go.

Czasem coś mi nie wychodzi.

Nieprawda. Wcale nie.

Nigdy was nie opuszczę, powiedział.

I już go nie było.

Kilka tygodni przed Halloween Alison wydała przyjęcie. W pokoju wypoczynkowym, na żółtym winylowym siedzisku, gdy w radiu jak zwykle leciała *My Sharona*, Teddy Bascom mnie pocałował.

Myślałam, że to będzie fajniejsze. Mimo że się na tym nie znałam, odniosłam wrażenie, że istnieją lepsze style całowania niż ten, który zaprezentował Teddy. Intensywnie pracował językiem i przyciskał mi go do dziąseł w sposób, który przypominał mi wizytę u dentysty, tylko że po wszystkim nie trzeba było niczego wypluć. Momentami wydawało mi się, że Teddy całuje mnie tylko po to, żeby mnie czymś zająć, podczas gdy jego ręka wślizguje się pod moją koszulę. Prawda jednak była taka, że wstydziłam się tego, że niewiele tam znajdzie. Całowałam się z nim, ale przez cały czas patrzyłam na ścianę i wiszący na niej plakat z *Grease*.

Wkrótce już codziennie obściskiwaliśmy się z Teddym Bascomem, przeważnie w pokoju wypoczynkowym Alison, ale też po lekcjach na tyłach szkoły i przy boisku do koszykówki, i w zasadzie wszędzie, gdzie tylko mieliśmy okazję się spotkać.

Wtedy jeszcze nie orientowałam się, czy jakiś chłopak jest naprawdę mną zainteresowany, czy ma ochotę złapać mnie za biust, a może po prostu chce złapać za biust którąkolwiek z dziewczyn. Teraz w co najmniej trzy popołudnia w tygodniu chodziłam po szkole do Alison, a w inne dni do ośrodka rekreacyjnego, by popatrzeć, jak Teddy gra w kosza. Czasem towarzyszyła mi Patty. Tak naprawdę sama chciałaby zagrać, jednak mimo że dałaby sobie z tymi chłopakami radę (zmyliłaby obrońcę, wykonując „pompkę”, a gdyby wyskoczył w górę, przebiegłaby obok niego szybko jak wiatr i ułokowała piłkę w koszu), nigdy by się nie zgodzili, żeby do nich dołączyła.

A już na pewno nie Teddy. Był bardziej pewny siebie niż inni chłopcy w jego wieku i nie zwracał uwagi na nikogo poza sobą. Jednak mnie strasznie się podobało, że jest taki fajny, a co więcej, ponieważ byłam jego dziewczyną – a przynajmniej dziewczyną, z którą „spędzał czas” – udzieliło mi się trochę tej jego fajności.

Zachowywał się jak ktoś, kto wie, że cokolwiek się stanie, on da sobie z tym radę. Jediną taką osobą, jaką znałam, był ojciec, chociaż jego opanowanie brało się z opiekuńczości, natomiast Teddy'ego z pragnienia rywalizacji.

Teddy Bascom w niczym nie przypominał mojego ojca. Nie wydawał się zainteresowany tym, żebym czuła się wyjątkowa czy piękna, żebym czuła cokolwiek. Jeśli chodzi o Teddy'ego, zawsze miałam niejasne uczucie, że dzieje się coś, czego tak naprawdę nie rozumiem. Istniały jakieś tajemnice, które chciałam odkryć. Gdy zadało mu się jakieś pytanie, Teddy nie odpowiadał, co sprawiało, że człowiek myślał, iż chłopak musi być naprawdę zajęty, choć być może jemu po prostu nie chciało się gadać.

A może to, że ktoś pragnął usłyszeć jego odpowiedź, było wystarczającym powodem, żeby Teddy milczał? Miałam wrażenie, że czerpie satysfakcję z poczucia, iż ma kontrolę. Im bardziej bezceremonialnie kogoś traktował (jak na przykład mnie), tym wyraźniej zaznaczał swoją władzę. Misją życiową Teddy'ego Bascoma, jeśli w ogóle ją miał, było zadowalanie samego siebie.

Teddy i ja mieliśmy więc wspólny cel: uszczęśliwianie Teddy'ego.

Jeszcze przed morderstwami nauczycielka angielskiego w siódmej klasie dała nam zadanie, które zainspirowało mnie do zrobienia dla odmiany czegoś pozytywnego. Mieliśmy wybrać osobę, którą podziwiamy, i przeprowadzić z nią wywiad na temat jej pracy. Niewątpliwie częściowo dlatego, żeby spędzić z nim trochę czasu, wybrałam ojca.

Powiedziałam mu, że chcę porozmawiać o dochodzeniach, które prowadzi. Był to bardzo szeroki temat, dlatego ojciec zaproponował, żebyśmy zawęzili go do przesłuchania podejrzanego. Jako szef wydziału zabójstw w naszym hrabstwie ojciec miał reputację najlepszego policjanta, jeśli chodzi o wyciągnięcie z podejrzanym przyznania się do winy.

Zabrał mnie na ten wywiad do Marin Joe's. Wzięłam przenośny magnetofon.

A zatem, detektywie Torricelli... – zaczęłam. Próbowałam mówić jak ktoś w telewizji, na przykład Barbara Walters. Jest pan ekspertem od policyjnych

przesłuchań. Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego jest to tak ważny aspekt pracy policjanta?

Bardzo chętnie, panno... panno... jak się pani nazywa?

Torricelli, odpowiedziałam. Ojciec zawsze mnie rozśmieszał.

Cóż za zbieg okoliczności! Ja też się tak nazywam. Może mamy jakichś wspólnych krewnych we Włoszech?

To bardzo możliwe. A więc, jeśli chodzi o przesłuchania...

Tak, tak, wiem, że jest pani bardzo zajęta osobą, panno Torricelli. Nie chcę zajmować pani zbyt dużo czasu.

Dlaczego są one takie ważne?

Chodzi o to, zaczął ojciec, że najpierw poświęca się całe tygodnie lub miesiące na wyśledzenie sprawcy. Setki godzin z życia policjantów i policjantek, żeby zakuć faceta w kajdanki, no i wreszcie go mamy. Ale nie możemy ani przez minutę sądzić, że to koniec zadania. Nie, bo brakuje zasadniczego elementu, czyli przyznania się do winy. Nie ma pani pojęcia, ile razy w historii spraw, które zgłębiałem, winny mężczyzna lub kobieta zostali puszczeni wolno – na ulicę, żeby prawdopodobnie nadal terroryzować społeczeństwo – z tego prostego powodu, że przesłuchujący policjant nie zdołał zmusić ich do przyznania się do winy.

Dlaczego ktoś miałby się przyznać do winy, skoro wie, że jeśli nie puści pary z ust, zostanie wypuszczony? – spytałam.

Taka jest ludzka natura, odrzekł ojciec. Każdy żalosny frajer, z którym miałem kiedykolwiek do czynienia, jest dumny ze swoich przestępstw. Wie, że złamał prawo i że społeczeństwo chce go za to ukarać. Prawdopodobnie wie też, że zrobił źle. Ale jest trochę jak pies, który zrobił kupę na dywan i chce ci ją pokazać. Jakby to było wielkie osiągnięcie. Tak naprawdę robiąc to, pokazał coś wszystkim. W pewnym sensie jest dumny, że zyskał naszą uwagę. Podoba mu się, że chcemy go słuchać. Ma powód, by mówić. Wie pani, że są punki, które malują graffiti na budynkach, mostach i tak dalej, i się podpisują? Robią coś, czego nie wolno robić. Chodzi o to samo. O dumę. A właściwie o arogancję.

Jednak przesłuchanie podejrzanego to nie kaszka z mleczkiem, mówił ojciec. Bynajmniej. Większość przestępców, których miał „przyjemność”

przesłuchiwać, to były sprytnie sukinsyny – przeprasza mnie za język. Morderca nie chce spędzić reszty życia za kratkami, tylko dlatego że musi się pochwalić, iż obrobił bukmachera czy zastrzelił matkę, bo o jeden raz za dużo kazala mu pozbierać skarpetki. Dlatego dobre przesłuchanie wymaga znajomości psychologii.

No dobrze, pierwsza rzecz, ciągnął. Wprowadzamy tego oferme do pokoju i sadzamy na ławce. Nie ma tam niczego wygodnego. Niczego zachęcającego. Naszym zadaniem jest wytrącić gościa z równowagi. Ani na chwilę nie pozwolić mu zapomnieć, kto tu rządzi. Ławka powinna być twarda. Ważne jest oświetlenie. Musi być mocne. Ostre. Akustyka w pokoju przesłuchań może doprowadzić człowieka do szału, ale właśnie tak ma być. Facet słyszy każde pstryknięcie zapalniczki. Szurnięcie krzesła po podłodze przyprawia go o ból głowy.

Gdy ojciec mówił o swojej pracy, zachodziła w nim zmiana. Używał słów, których normalnie nigdy by nie wypowiedział przy mnie czy mojej siostrze. Był wtedy w innym świecie. Pewnie w pokoju przesłuchań.

Każdy śledczy ma swój styl. Ale jedno wiemy wszyscy: trzeba wytrącić gościa z równowagi, przykręcić mu śrubę. Można go przykuć kajdankami do krzesła. Można zapalić jednego papierosa, drugiego, i pozwalać mu patrzeć, wiedząc, że oddałby wszystko za dymka. Gdy będzie chciał się wysikać, musi poprosić. Może mu pozwolimy, może nie. A teraz powiem pani, co ja zawsze robię, jeszcze zanim wprowadzę gnoja do środka...

„Gnoja”. Nie napisałam tego w wypracowaniu, ale takiego słowa użyłam.

To zwykle niewielki pokoik, ale ja wypełniam go od podłogi po sufit szafkami na dokumenty. Na każdej szufladzie każdej szafki wypisuję dużymi literami nazwisko jego ofiary. Lub nazwiska ofiar, jeśli było ich więcej. Że niby mamy tak dużo dowodów przeciwko niemu, że zebrała się cała ściana szafek. To mu napędza porządnego stracha.

Zapytałam, co tak naprawdę znajduje się w tych szafkach.

Wielkie nic. Czasem nic na takiego kogoś nie mamy. Zwyczajnie go ogłupiamy. Ale on już się poci.

Czy to nie jest niezgodne z prawem? – zapytałam. Jak kłamstwo? Czy to nie jest po prostu podłe?

Czy mam pani przypominać, dlaczego on się w ogóle znalazł w tym pokoju? Mówimy tu o draniu, który zgwałcił kobietę albo poderznął jej gardło. Względnie wpakował w jakiegoś biedaka zapas ołowiu za zawartość kasy, w której były jedno- i pięciodolarówki. Nie mam specjalnych wyrzutów sumienia, jeśli zranię od czasu do czasu jego uczucia.

Czasem zabieram mu pasek. Albo sznurówki. Po kilku godzinach, jeśli odmawia współpracy, postanawiam, że zjem sobie stek na kolację, a jego tam zostawiam, na tej twardej ławce, w kajdankach. Potem zjadam jeszcze smaczny deser. Nie ma pośpiechu. Ten facet nigdzie się nie wybiera. Jeśli się zmoczy albo coś gorszego, to nie mój problem.

Ojciec się rozkręcił. Już nawet nie musiałam zadawać mu pytań. Mówił sam.

Gdy wracam, gość jest jak kot, który drapie, żeby go wypuścić, bliski obłądu. O mało nie narobił w portki. Gdy wchodzę, czuje, że jadłem smaczne mięso na kolację. Do tego papieros. On musi zapalić, a ja mu nie pozwalam.

W tym miejscu znów mogę stać się miły. Zmieniam postawę o sto osiemdziesiąt stopni. Teraz jestem jego bratem. Kumplem. Choć wciąż to ja kontroluję sytuację, co do tego nie ma wątpliwości. Jeśli będzie współpracował, mogę być dla niego miły. On pragnie mojej aprobaty. Teraz jestem dla niego najważniejszy. Poza tym widzi, że z kieszeni wystaje mi paczka fajek. I aż woła do niego.

„Uprawiałeś jakiś sport w szkole, stary?” – pytam go. Choć patrząc na niego – na miękki brzuch, opadające ramiona – widzę, że inni grali w piłkę, a on najwyżej stał przy straganie z napojami. Ja jestem tym napastnikiem ze szkolnej drużyny, który nigdy nie wiedział, jak taki facet jak on ma na imię. On mnie naśladuje, rozumie pani? Ja jestem tym dużym facetem w skórzanej kurtce. W takim momencie mogę mu położyć dłoń na ramieniu. Zwracam się do niego pełnym imieniem, żadnych zdrobnień, żadnych ksywek. Rozmawiamy jak facet z facetem.

Zapytałam ojca, czy kiedykolwiek krzyczy na przestępców. Czy naprawdę się wścieka? Obrzuca ich obelgami?

Krzyk nie działa, wytłumaczył mi. Chce pani znać prawdę o tym facecie? Mama biła go w dzieciństwie tak, że zapamiętał na całe życie. Musimy go złamać delikatnie. Stopniowo kruszyć tę zbroję. Może po długim czasie

zapropnujemy mu papierosa. Ja mam do tego specjalną zapalniczkę zippo i zapalam mu jednego, jakbyśmy byli starymi kumplami. Teraz on myśli: ten policjant nie jest na mnie aż tak wściekły. Mówisz mu: „Słuchaj, stary, rozumiem cię. Jedno spojrzenie na tę dziewczynę i widać było, że to podpuszczalska. Pewnie sama się prosiła”.

Pamiętam wyraz twarzy ojca, gdy mi o tym opowiadał. Nie zauważył, że restauracja już prawie opustoszała. Ludzie zjedli lunch i wyszli, ale było jeszcze za wcześnie na kolację. Kelnerka przy kasie czytała horoskop.

Zabiegasz o jego względy jak o względy dziewczyny, którą podrywasz w barze, powiedział. To też uwodzenie, tylko innego rodzaju.

Byłam mała, ale wiedziałam, że właściwie nie powinnam słuchać, jak ojciec opowiada mi o uwodzeniu. Jednak on jakby nie wiedział, że tam jestem. Pewnie nie znałam jeszcze wtedy tego słowa, ale ojciec wyglądał tak, jakby był w transie.

„Opowiedz mi, co się wydarzyło”, proszę faceta. Może szepczę mu to do ucha. Przysuwam się tak blisko, że czuje mój oddech na twarzy. Może czuje też ode mnie drinka. Chciałby się też napić tej whisky co ja.

„Gdy powiesz prawdę, poczujesz się o wiele lepiej, mówię. Taki uroczy tyłeczek, nic dziwnego, że chciałeś się do niego dobrać?”

Wtedy on mówi, że tak, podał jej ogień. Może postawił drinka, ale nic więcej. No, może dotknął jej włosów. Ale to nie jest wbrew prawu. To co, że położył rękę na jej szyi. Ludzie tak robią. Nawet sam prezydent. Może nie Jimmy Carter, ale Kennedy na pewno.

Ojciec nie skończył jeszcze mówić.

Gdy doprowadzę go do miejsca, gdy przyznaje, że doszło do kontaktu fizycznego, mam go. Przekroczył już granicę. Nawet jeśli zaczyna się wycofywać, czuje, że jest już za późno. Teraz może tylko obwiniać ofiarę, i będzie to robił. „Dała mi popalić, mówi. Mocno do mnie startowała. Potem zaczęła mnie wyzywać. Nie uwierzy pan, jak głośno wrzeszczała. Bębenki mi pękały, człowieku”. Wtedy zaczął pogrywać z nią trochę ostrzej, żeby się uspokoiła. Każdy by tak zrobił.

W tym miejscu mojego wywiadu ojciec wrócił do rzeczywistości – do świata z niedokończonym pucharkiem tiramisu, popielniczką pełną

niedopałków i kelnerką, która rzuciła:

Nie musisz płacić, Tony.

I ze mną, nagrywającą to wszystko na magnetofon.

No i tak właśnie prowadzi się przesłuchanie, Farrah, zakończył ojciec.

Była noc. Patty oddychała miarowo nad moją głową, Cat Stevens śpiewał *Oh, baby, baby, it's a wild world*, a ja leżałam w ciemności. Coraz częściej to właśnie wtedy przychodziły do mnie obrazy.

Myślałam o tym, że wuefistka powiedziała dziś, że jeśli ma się bóle menstruacyjne, można się zwolnić z zajęć, i ja oświadczyłam, że mam. Wiedziałam, że teraz będę musiała zapisać, kiedy się zwolniłam, i prowadzić kalendarzyk, choć nie miałam okresu. Przyszło mi do głowy, że może nie miesiączkuje, bo jestem na coś chora. Mam białaczkę albo guza mózgu.

Myślałam o ojcu, o tym, jaki był wychudzony dziś na zdjęciu w gazecie. Myślałam o Teddym Bascomie i o zamordowanych dziewczynach, o płodzie sarny, o sępach i o parzących się koniach.

Potem próbowałam myśleć o czymś miłym. Przywołałam obraz ojca siedzącego na kanapie. Ja i moja siostra przytulamy się do niego, oglądając *Rockford Files*, a mama stoi w drzwiach z miską popcornu i choć raz wygląda na prawie szczęśliwą. Potem Margaret Ann (to już inny obraz) otwiera szklane drzwi witryny z lalkami i mówi: „Wybierzcie sobie, które chcecie”. Chciałam się zatrzymać na tej scenie, ale obraz przesunął się do złej części historii. Mama znajduje klucz do mieszkania Margaret Ann. Ojciec wychodzi z domu z jedną walizką. Wsiada do auta, rusza. Światła reflektorów znikają na końcu ulicy.

„Twoje córki nigdy ci tego nie wybaczą”.

Wtedy wszystkie te obrazy zniknęły, ale to też nie było dobre. Bo pojawił się Wampir ze Wzgórza.

Przez ostatnie tygodnie próbowałam przywołać jedną z moich wizji. Tej nocy mi się udało, ale tego pożałowałam.

Siedziałam w samochodzie. Nie był to samochód ojca ani mamy, choć wyglądał na trochę zdezelowany, tak jak jej.

Na podłodze leżały opakowania po fast foodzie i plastikowy breloczek ze zdjęciem nagiej kobiety – całej, oprócz głowy – o wielkich piersiach i czerwonych światełkach w miejscu brodawek, które zapalały się, gdy nacisnęło się guzik z tyłu.

Z miejsca, w którym siedziałam, widziałam jego dłonie owijające sznurówkę wokół nadgarstka. Wiązały ją i odwiązywały. Twardą końcówką sznurówki, tą powleczoną plastikiem, dłubał sobie w zębach.

Mimo że przednia szyba była cała zaparowana, widziałam, co się dzieje na chodniku. Obok samochodu przechodziło dwoje młodych ludzi, chłopak położył rękę na piersi dziewczyny, podobnie jak ręka Teddy'ego Bascoma zawsze w końcu lądowała na mojej, choć w przypadku tej pary jego dłoń miała na czym wylądować.

Wiedziałam, o czym myśli morderca. Że jemu nigdy nie uda się pomacać w taki sposób dziewczyny. W każdym razie, nie żywej. Nie bez struny zaciśniętej wokół szyi.

Para stanęła pod latarnią i zaczęła się całować, ale nie tak jak Teddy Bascom całował mnie. To był prawdziwy namiętny pocałunek dwojga ludzi, którzy za sobą szaleli i nie mogli się doczekać, kiedy wrócą do domu i coś z tym zrobią. To może nawet była miłość.

I tu najgorsze, jeśli chodzi o mężczyznę w samochodzie: on był dla nich zupełnie niewidoczny. Nie wiem skąd, ale to wiedziałam.

Wargi miałam suche i spierzchnięte, a w ustach kwaśny posmak, jakby zbierało mi się na wymioty. Zmuszałam się, żeby myśleć o jakimś pozytywnym drobiazgu: dzinsach, o których odłożenie poprosiłam w sklepie, a od których kupna dzieliły mnie już tylko dwa wieczory pilnowania dziecka sąsiadów. O Soleil mówiącej, że zaprosi mnie do swojej rodziny w Sonomie, gdzie pojeździmy na koniach. O tym, że Teddy Bascom (to akurat była fantazja) bawi się moimi włosami i szepcze: „Jesteś taka piękna”, choć na jawie mówił: „Zdejmij tę bluzkę”.

Teraz widziałam rękę sięgającą do spodni. Zaczęła się poruszać w górę i w dół – oczy wpatrzone były w całującą się parę. Usłyszałam głośny oddech. Coraz głębszy i szybszy. A w końcu długie, przeciągłe westchnienie.

Jego palce otworzyły schowek w aucie i wyjęły rolkę taśmy klejącej. Kluczyk w stacyjce, wsteczny, i samochód wjechał na autostradę. Radio nastawione było na stację grającą country. Piosenka Kenny'ego Rogersa. Skąd znałam słowa?

Widziałam stopy – jedną na pedale gazu – w czarnych mokasynach,

świeżo wypastowanych. To nie były buty do pieszych wędrówek, ale ja wiedziałam, dokąd jedzie ten samochód. Znałam te czerwone wieże majaczące w świetle księżyca. Jechał w stronę mostu Golden Gate, na północ, w kierunku naszej góry.

Następnego dnia było Halloween. Wieczorem moja siostra w kostiumie klauna leżała wyciągnięta na podłodze naszej sypialni, sortując słodycze. Ja wyszłam przed dom i usiadłam na schodkach, żeby patrzeć, jak ostatnie dzieciaki wloką się do domu z torebkami słodyczy w rękach – łupami zebranymi po domach. Na całej naszej ulicy migotały płomienie świec w dyniowych latarniach, rzucając pomarańczową poświatę na podwórka i schodki od frontu. Usłyszałam, że u nas w domu dzwoni telefon i wróciłam do środka. Z trzech osób tu mieszkających tylko do mnie mógł ktoś dzwonić.

To pewnie Alison, wykrzywiła się Patty.

Okazało się, że tego dnia doszło do kolejnego, siódmego morderstwa na wzgórzu. Kelly Cunningham, dwudziestotrzyletnią fryzjerkę z Cotati – której postanowieniem noworocznym było schudnąć dwadzieścia kilogramów dzięki wędrówkom po górze pięć razy w tygodniu, niezależnie od pogody – znaleziono zgwałconą i uduszoną w gaju eukaliptusowym przy wschodnim szczycie góry Tamalpais, z taśmą na oczach. Obok leżał papierek po batoniku Snickers. Alison powiedziała mi, że w telewizji nie zdradzili zbyt dużo, ale mogłam się założyć, że była naga, tylko w butach. Z których wyciągnięto sznurówki. I że znów nieprędko zobaczę ojca.

Teraz nie było już osoby, która nie słyszałaby o Wampirze ze Wzgórza. W „San Francisco Chronicle” napisano tylko: *W. z W. znów atakuje*. Nie potrzeba było żadnych wyjaśnień.

„Marin Independent Journal” opublikował artykuł, w którym znalazły się rozmowy z mieszkańcami z okolicy – z rodzicami, nauczycielami, radną miejską, biznesmenami, właścicielem restauracji – wszystkim pytano, jak te morderstwa wpłynęły na ich życie. Konkluzją artykułu było, że cała ludność hrabstwa Marin odczuwała niepokój, jeśli nie przerażenie. *Co tu się w ogóle dzieje?* – zacytowano wypowiedź jednej kobiety. *Płacę podatki. Gdzie jest*

policja, gdy jej potrzebujemy?

Była także rozmowa z klientką Kelly Cunningham, ostatniej ofiary. *Osiągnęła już więcej niż połowę tego, co chciała*, mówiła kobieta. *Już zaczynała nosić rozmiar czterdzieści dwa. Nawet ją zapytałam, czy jest sens nadal biegać po tej górze, ale ona tylko powiedziała, że nie można przestać żyć.*

A jednak przestała.

Listopad. Teraz policja patrolowała naszą dzielnicę – Daffodil, Honeysuckle, Morning Glory Court – główne ulice wiodące na wzgórze od miejsca, w którym mieszkaliśmy. Obserwacją objęto również parking, gdzie piechurzy zostawiali samochody. U Pollacków, co zauważyłam, gdy pilnowałam Karla, w szufladce stolika nocnego, gdzie wcześniej trzymali żel nawilżający i zapas prezerwatyw, pojawił się nowy przedmiot: mały różowy rewolwer kaliber czterdzieści pięć, kupiony niewątpliwie przez Karla dla Jennifer jako ochrona przed seryjnym mordercą, który wciąż pozostawał na wolności.

Na wzgórzu nie pojawiali się już hipisi, ani w ubraniach, ani bez, zniknęli też turyści. Każda z dziewczyn, z którymi jadałam lunch w stołówce, dostała od rodziców biper – to były czasy przed telefonami komórkowymi – żeby matki mogły je zlokalizować i zmusić do zadzwonienia do domu, gdy szły do centrum rekreacyjnego lub galerii handlowej.

Patty i ja nie miałyśmy biperów. Tak jak wcześniej, nasza mama większość dnia spędzała w pracy lub w bibliotece, a po powrocie do domu w swojej sypialni. Podobnie jak ojciec, kazała nam się trzymać z dala od góry, a my zapewniłyśmy ją, że będziemy.

Jednak prawda była taka, że nie bałyśmy się Wampira. Nie bawiłyśmy się jak dawniej na wzgórzu tylko dlatego, że po raz pierwszy życiu spędzałyśmy długie godziny osobno, daleko od naszych ulubionych miejsc. Z powodu mojej świeżo nabytej popularności nie wracałam już do domu zaraz po szkole, jak kiedyś. Nawet w weekendy przeważnie trzymałam się z dziewczynami, włączając się po centrum handlowym lub siedząc na ławce w dodžo i oglądając treningi karate Teddy'ego.

Jednak to nie ja, a moja siostra znalazła sobie inne i bardziej absorbujące zajęcia niż przygody na wzgórzu w moim towarzystwie. Jeszcze niedawno to ja miałam wrażenie, że ją porzucam, a teraz wyglądało na to, że to Patty wybrała inne rozrywki.

Ćwiczyła pilnie rzuty do kosza, zawsze starała się być lepsza. Ale tamtej jesieni chodziła do pana Armitage'a, który powierzył jej klucz do swojego domu – chował go pod doniczką z kwiatami – więc Patty mogła wchodzić do środka popołudniami, kiedy on był w pracy, bawić się z Petrą i zabierać ją na spacer.

Nawet gdy była w domu, często mówiła o psie.

Wiesz, co jest w niej uroczone? – zapytała mnie pewnego popołudnia. Petra nie wie, że jest malutka. Gdy spacerujemy i mijamy innego psa, nawet dużego, takiego jak golden retriever czy malamut, ona szczeka, jakby chciała mnie bronić. Pan Armitage mówi, że gdy miał zajęcia w szkole tańca, czasem zabierał Petrę ze sobą, bo nie chciał zostawiać jej samej. Musiał jednak przestać, bo gdy z kimś tańczył, była zła. Robiła się zazdrosna.

Nie wiem, co bym poczęła, gdyby pan Armitage się wyprowadził, mówiła. Nie zniósłabym, gdybym nie mogła już widywać Petry. A pan Armitage też jest miły.

Ale to dziwak, prychnęłam. Kiedyś miał żonę, teraz nie ma. I czy ktoś słyszał kiedyś o mężczyźnie, który zawodowo uczy tańca?

Wiesz, co ja myślę? Wszyscy są dziwakami. Tylko nie zawsze wiesz, co u kogoś jest dziwaczne, ale każdy coś takiego ma, odrzekła Patty.

Na podstawie wyników w koszykarskiej drużynie junierek – świetnego podawania, rzucania i pracy nóg – moja siostra została zaproszona na testy kwalifikacyjne do drużyny koszykarskiej Catholic Youth Organization. Było to osiągnięcie, którego żadna szóstoklasistka nie miała do tej pory na koncie. Ćwiczyła do tych testów i spędzała czas z dziewczynami z drużyny i z trenerkami, które się nią zainteresowały. Jedna z nich grała kiedyś w pierwszej lidze koszykówki w Indianie i brała nawet udział w sprawdzianie kwalifikacyjnym do nowo sformowanej Zawodowej Ligi Koszykówki Kobiet. Teraz była już za stara na profesjonalną karierę, ale twierdziła, że

w przypadku mojej siostry wszystko jest jeszcze możliwe.

Zawodowa koszykówna, mówiła podekscytowana Patty. Byłabym jak Larry Bird i Magic Johnson! Spełnienie moich marzeń.

Może w Europie? – zasugerowałam. Ja marzyłam o podróżach, jednak mojej siostrze chodziło wyłącznie o grę.

Wyobraź sobie, jak by to było, móc grać w kosza codziennie, z najlepszymi zawodnikami! Tego bym chciała najbardziej na świecie.

Mogłam jej wtedy powiedzieć, jak wielką przyjemność sprawia mi mój nowy tryb życia, jak uwielbiam chodzić do Alison i włączyć się z Teddym. Ale tego nie powiedziałam. Bo to nie była prawda.

Prawda była taka, że uważałam Alison i jej paczkę za nudziarzy. Może to, co wymyślałyśmy z siostrą, nie było cool, za to było ciekawsze. Patty uwielbiała psy, koszykówkę i przygody na wzgórzu. Alison uwielbiała buty, lakiery do paznokci, przeglądanie się w lustrze i łożenie po sklepach.

Najnudniejszy z tego wszystkiego był Teddy Bascom, którego zainteresowania sprowadzały się do *Space Invaders*, pizzy i migdalenia się. Poza tym jednym razem, gdy Patty zapytała, co o tym sądzę, nie zadawałam sobie pytań typu „czy lubię się z nim całować”. Wiedziałam tylko, że robienie tego nadaje mi jakąś wartość i status towarzyski niepodobny do niczego, czego do tej pory zaznałam. To, że Teddy Bascom w ogóle chciał się ze mną całować, sprawiało, że czułam się ważna, i to właśnie powiedziałam Patty.

Dla mnie zawsze byłaś ważna, odparła.

Była taka gra, w którą graliśmy u Alison – „lekka jak piórko, sztywna jak deska”. Wychodziła tylko wtedy, gdy była wystarczająca liczba osób – co najmniej sześć – ale przeważnie tyle było. Dom Alison był ulubionym miejscem spotkań niewątpliwie dlatego, że oboje jej rodzice pracowali w mieście (jedno jako chirurg plastyczny, drugie jako adwokat) i prawie nigdy nie było ich w domu.

Jedna osoba kładła się płasko na podłodze, a pozostałe ją okręzały. Im ciemniej w pokoju, tym lepiej, o co u Alison było nietrudno, bo żaluzje trzymałyśmy zasunięte i nie zapalałyśmy światła. Każda z nas wkładała

koniuszki dwóch palców pod ciało dziewczyny leżącej pośrodku. Następnie ta, która znajdowała się najbliżej jej głowy, układała zdanie mówiące, jak zmarła. Na przykład: „Zginęła w wypadku samochodowym w wieku trzynastu lat” albo „Matka jej nie kochała, więc nakarmiła ją trutką na szczury”.

Później reszta powtarzała to zdanie wiele razy. W ciemności, gdy słyszałyśmy te słowa, patrząc na nieruchomą koleżankę, strasznie się bałyśmy.

Nie wiem, jakie rodzaje śmierci paczka Alison wymyślała, zanim zaczęła się seria morderstw na wzgórzu, bo przyjęli mnie do siebie dopiero potem, ale ilekroć brałam udział w tej zabawie, ulubioną przyczyną śmierci było uduszenie przez mordercę na wzgórzu.

Obściskiwaliśmy się z chłopakiem, przyszedł morderca i udusił ich oboje, brzmiała jedna wersja. Miała czternaście lat.

Skończyła zaledwie dwanaście lat, ćwiczyła układ cheerleaderek, gdy Wampir ze Wzgórza zgwałcił ją i zamordował, mówiła inna. Zdjął z niej ubranie i zostawił jej w rękach pompony.

Czasem, gdy w zabawie brał udział chłopak, modyfikowałyśmy nieco scenariusz:

Jechał stopem do centrum handlowego, jakiś facet zgodził się go podwieźć, on zobaczył na przednim siedzeniu strunę od fortepianu i wtedy facet powiedział: „Teraz muszę cię zabić”.

Gdy już powtórzyliśmy to zdanie wystarczająco dużo razy, wracaliśmy do słów, które brzmiały jak refren: „Lekka jak piórko, sztywna jak deska”. Jediną osobą, która ich nie wypowiadała, była ta odgrywająca trupę, bo przecież nie żyła.

I tu zdarzało się coś niesamowitego. Po wszystkich tych latach nadal nie rozumiem, jak to się mogło dziać, jednak działo się za każdym razem po dłuższym skandowaniu.

Choć każda z nas dotykała ciała leżącej dziewczyny tylko dwoma palcami, udawało nam się unieść ją z podłogi. Te z nas, które ją podtrzymywały, miały wrażenie, że jej ciało nic nie waży.

Unosiło się nad podłogą tylko przez kilka sekund, jednak było to

niesamowite. Gdy położyłyśmy koleżankę i włączyłyśmy światło, wybuchałyśmy niekontrolowanym śmiechem, ściskając się i głośno krzycząc. Robiłyśmy sobie tacos albo otwierałyśmy paczkę czipsów, czując wilczy głód. Ktoś nastawiał muzykę – im głośniejsze, tym lepiej.

Później, w domu, opowiadałam wszystko Patty.

Daj spokój, oni zrobią z ciebie wariatkę, skwitowała.

Przysięgałam jej, że tak było. Raz sama odgrywałam rolę zwłok. Nie upuścili mnie. Unosiłam się w powietrzu.

– Jeśli samo całowanie się z chłopakiem robi z człowiekiem coś takiego, to nie chcę myśleć, co się dzieje podczas uprawiania seksu.

Czytałam kiedyś książkę *Pamiętna noc* o katastrofie „Titanica”. Niektórzy okropni mężczyźni wyrzucali kobiety i dzieci z szalup ratunkowych i sami do nich wskakiwali, żeby się uratować. Czytając tę historię, wiedziałam, co zrobiłaby moja siostra: wyskoczyłaby z łódki, żeby oddać mi swoje miejsce.

Byłyśmy podobne z wyglądu, a jednak się różniłyśmy. Wiedziałam, że jestem uważana za tę ładniejszą – co dla większości brzydszych siostr byłoby powodem do żywienia urazy, jednak nie dla Patty, którą moja uroda poniekąd napawała dumą, podobnie jak moje uzdolnienia literackie. Jeszcze zanim tak nagle wystrzeliła w górę i stała się gwiazdą koszykówki, ona była typem sportowca, a ja typem mola książkowego i intelektualistki. Patty czasem się ze mną droczyła o to, jak długo potrafię stać przed lustrem w naszej sypialni, przeglądając się i przymierzając ciuchy. Ona nigdy nie zwracała uwagi na to, co wkłada. Ustawiała się przed lustrem z innego powodu: by ćwiczyć zamach przed rzutem lub wsad do kosza.

Ponieważ ja lubiałam dyrygować, a ona zawsze słuchała moich poleceń – i zawsze przystawała na moje propozycje – dość wcześnie wymyśliłam, że będziemy się bawiły w szkołę: ja będę nauczycielką, a Patty moją uczennicą.

Gdy byłyśmy małe, kazałam jej siadać na podłodze i dawałam okropne zadania, które wykonywała bez szemrania. („Oderwij dwadzieścia kwadracików papieru toaletowego i na każdym narysuj kupę innego kształtu. Napisz literę A sto razy lewą ręką”). Jedyne problemy: nie potrafiła jeszcze liczyć do stu). Dzięki tej zabawie w szkołę Patty dość wcześnie umiała

czytać, a gdy ktoś ją chwalił, szybko wyjaśniała, że to ja ją nauczyłam.

Kiedy nasi rodzice byli jeszcze razem, znalazłam na toalecie ojca policyjne kajdanki i przyszło mi do głowy, żeby przykuć przegub Patty do mojej kostki. Kajdanki się zatrzasnęły, zanim uzmysłowiłam sobie, że najpierw trzeba poszukać kluczyka, ale nigdzie go nie było. Musiałyśmy trwać w tej dziwacznej pozycji – ona pełzała za mną, przykuta za przegub – aż, wiele godzin później, ojciec wrócił z pracy.

Nie było tak źle, Rach, szepnęła do mnie Patty, gdy nas uwalniał. Udawałam, że jestem twoim pieskiem.

Gdyby jej dać do wyboru różne rozrywki, choćby najbardziej ekscytujące (aczkolwiek nikt nas nigdy nie stawiał przed takim wyborem), za każdym razem, z jednym tylko wyjątkiem, Patty wybrałaby moje towarzystwo. Jako że wychowywałyśmy się w dość specyficznych warunkach – mniej pilnowane niż którekolwiek znane mi dzieci lub takie, o których słyszałam, i pozbawione nawet wątpliwej jakości edukacji, jaką zapewniała telewizja – byłyśmy bardziej dojrzałe i samodzielne niż nasi rówieśnicy, a jednocześnie beznadziejnie naiwne. Co dziwne, ja nawet bardziej niż moja siostra.

A z drugiej strony coś takiego: z nas dwóch to Patty, nie ja, potrafiła spojrzeć krytycznie na naszego ojca i surowo go ocenić, gdy widziała, że mama czuje się zraniona. O pewnych rzeczach – na przykład o tym, że ojciec jeździ alfą, ale nigdy nie dał jej pieniędzy na wyprostowanie zębów – moja siostra nie mówiła nic. Ale wykazywała coraz bardziej krytyczną postawę wobec tego, że ojciec nie pomaga finansowo mamie, a przede wszystkim, że wciąż powtarza, iż do nas przyjedzie i nie dotrzymuje obietnicy. Stopniowo zaczęła traktować ekscytację, która towarzyszyła jego krótkim wizytom, z pewnym sceptycyzmem, podczas gdy ja uznawałam jego nieobecność za potwierdzenie, jaki jest ważny. Jednak Patty nie traciła nadziei, że ojciec zdoła przyjść na któryś z jej meczów i zostać na nim przez wszystkie cztery kwarty.

Jest bardzo zajęty przy śledztwie, tłumaczyłam jej.

Usprawiedliwiasz go, wytknęła mi kiedyś.

A ty jesteś wredna.

Kocham go, rzekła Patty. Ale nasz ojciec to nieudacznik.

Po tym, jak to powiedziała, cały następny dzień nie odzywałyśmy się do siebie. Nie poszłyśmy na nasz tradycyjny seans telewizyjny na wzgórzu za domem Helen. Tego wieczoru, gdy wróciłam do domu – nie było mi przyjemnie samej, włączyłam się po ulicy, tęskniąc za siostrą – weszłam do naszej sypialni i zobaczyłam biegnącą przez środek pokoju taśmę maskującą i napis: „Zakaz wstępu”.

Jednak to Patty przerwała milczenie, gdy leżałyśmy potem po ciemku w niezręcznej ciszy.

Już nigdy więcej tego nie róbmy, dobrze? – odezwała się.

Dobrze.

Nie widziałam w ciemności jej twarzy, ale widziałam ją w wyobraźni. Patty miała takie oczy – musi na nie być jakaś nazwa, ale nigdy jej nie poznałam – w których widać biało wokół całej tęczy, co czasem sprawiało wrażenie, jakby nie patrzyła na człowieka, ale wwierała się w niego wzrokiem. Miała ogromną zdolność docierania do prawdy.

Jestem twoją najlepszą przyjaciółką na świecie, dodała.

Wiem.

Moja siostra została niekwestionowaną gwiazdą drużyny juniorek. Środkowym pomocnikiem.

Tamtej nocy, gdy leżałyśmy w łóżkach, a Linda Ronstadt śpiewała nam w ciemności *Some say a heart is just like a wheel; if you bend it, you can't mend it*, zwierzyłam się Patty, że Teddy Bascom zdjął mi koszulę i dotykał moich sutków. Teraz ona chciała wiedzieć, co się wtedy czuje.

Chciałaś, żeby Teddy robił ci te rzeczy, czy raczej czułaś, że powinnaś chcieć? – spytała.

Zastanowiłam się. Odpowiedź była trudniejsza, niż mogło się wydawać.

On na pewno ma seksapil, zaczęłam. To jest coś, czym emanują niektórzy chłopcy, jak zapach, ładny zapach. Jak woda kolońska. Myślę, że nasz ojciec to ma, tylko że w dorosłej wersji.

Patty zażądała, żebym to rozwinęła. Ona jeszcze nie doświadczyła skutków niczyjego seksapilu, choć bardzo podziwiała Larry'ego Birda, ale to

na pewno nie miało nic wspólnego z jego wyglądem.

Masz takie uczucie... Zamyśliłam się. W twoim ciele jest takie miejsce, o którym wcześniej nie wiedziałaś. Jak pokój, do którego weszłaś i włączyłaś światło. Będąc w nim, czujesz dyskomfort, ale nie chcesz wyjść.

Ja się tak czuję, gdy zagram nieczysto, wtrąciła Patty. Czuję mrowienie na całym ciele. Jakby świat zniknął i nie było niczego oprócz mnie i kosza.

Nie miałam pewności, czy istnieje podobieństwo, ale postanowiłam tego nie komentować.

Myślisz, że mama czuła coś takiego do taty? – zapytała.

Długo zastanawiałam się nad odpowiedzią. Przez cały ten czas, obserwując ojca w towarzystwie innych kobiet, właściwie nigdy nie myślałam o nim i o mamie, gdy jeszcze byli młodzi. Nigdy nie myślałam o tym, że nasi rodzice się całowali albo że byli w sobie zakochani.

Myślę, że tak, odpowiedziałam. Zobacz tylko, jak się zachowują przy nim te wszystkie inne.

On ją zawiódł, stwierdziła Patty. Nie dotrzymał obietnicy.

Zawsze obwinałam mamę o to, że nie utrzymała ojca przy sobie. Do tej pory postrzegałam ją jako tę, która zaważyła sprawę – utraciła go nie tylko dla siebie, ale też dla nas. To ją uważałam za przegraną. A teraz moja siostra sugerowała, że było inaczej, że to ojciec, nie mama, był tym słabym.

On już taki jest, odrzekłam. Taki typ, z którym każda pragnie być. Czego ty chciałaś? Żeby tu został, strzygł trawnik i wynosił śmieci?

Tak, powiedziała Patty już spokojnie. Tak, właśnie tego chciałam. To mają robić ojcowie. Jeśli dom jest tam, gdzie my, owszem, oczekiwałam, że będzie z nami.

Tuż po Dniu Kombatanta zniknęła kolejna dziewczyna – numer osiem. Tym razem stało się to w lesie Muir, tuż za centrum turystycznym, ale w zarośniętym miejscu, gdzie na leśnym poszyciu leżało kilka zwalonych starych sekwoi, które niewątpliwie posłużyły mordercy za kryjówkę, gdy zaczął się na swoją ofiarę.

Nazywała się Naomi Berman, miała osiemnaście lat i pochodziła z Nowego Jorku. Przyleciała do San Francisco z matką zaledwie dzień wcześniej, bo po południu miała odbyć rozmowę kwalifikacyjną na Uniwersytecie Stanforda. Dla zabicia czasu matka zapisała je obie na wycieczkę po hrabstwie Marin. To była ostatnia wyprawa w tym dniu. Przewodnik dał uczestnikom wycieczki czterdzieści pięć minut na spacer po lesie, ale matka została w autobusie, bo cierpiała z powodu choroby lokomocyjnej. Gdy Naomi nie wróciła po godzinie, przewodnik zawiadomił strażnika leśnego.

Godzinę później inny strażnik znalazł jej ciało. Nie pytałam, bo i tak nikt by mi nie odpowiedział, jednak na pewno znalazł ją nagą w pozycji jak do modlitwy, z oczami zaklejonymi taśmą i bez sznurówek.

Tamtej nocy, leżąc w łóżku, nie mogłam przestać myśleć o tym morderstwie. Zmuszałam się do myślenia o wszystkich rzeczach, które uwielbiałam robić razem z siostrą – przymierzanie w centrum handlowym ciuchów, na które nigdy nie będzie nas stać, wyprawy na naszą górę, leżenie na trawie, rozmowy o planach na przyszłość, gdy ona będzie grała w Lidze Koszykówki Kobiet, a ja będę podróżowała po świecie i zbierała materiały na temat międzynarodowego szpiegostwa do moich książek. Leżenie na łóżku z baldachimem w domu Kerwinów z Alison i innymi, przeglądanie magazynu „Seventeen” i wybieranie, którą z modelek chciałybyśmy być.

Gdy zasnęłam, obudziła mnie kolejna z moich wizji. Zobaczyłam ciało brązowowłosej dziewczyny, leżącej na mchu z zadartą spódnicą, bez majtek. Wokół jednej dłoni miała okręcony naszyjnik trochę podobny do takiego, jaki nosiła koleżanka Alison, Heather, i aparat fotograficzny. W pobliżu zobaczyłam coś jeszcze: małego pieska z czerwoną obrozą obsikującego drzewo.

Mimo że bardzo chciałam zobaczyć twarz mordercy, nigdy nie pojawiała się w tych scenach, choć dostrzegałam jego dłonie, stopy i raz, to było okropne, penisa. Jednak przeważnie, niezależnie od tego, jak długo ten film rozgrywał się w mojej głowie, widziałam twarz dziewczyny w ostatnich chwilach życia patrzącej na zabójcę. To był okropny widok, do tego taki, który nie mógł nijak pomóc mojemu ojcu w schwytaniu mordercy.

Ale obecność psa mogła okazać się pomocna. Nie było to dużo, jednak mogło stanowić jakiś trop. Być może właściciel psa – gdyby udało nam się go odnaleźć – widział coś tamtego dnia. A może to on był mordercą?

Wiedziałam, że trudno mi będzie wyjaśnić znaczenie moich wizji ojcu, jednak tym razem czułam się zmuszona spróbować. Zadzwoiłam do niego do pracy.

Muszę rozmawiać z detektywem Torricellim, oznajmiłam. Jestem jego córką.

Po minucie usłyszałam ojca.

Farah! – wykrzyknął. Wszystko w porządku?

Muszę z tobą porozmawiać. Proszę, przyjeźdź po mnie, musimy dokądś pojechać, żeby porozmawiać.

Co się dzieje, skarbie? Chodzi o jakiegoś chłopaka? Skrzywdził cię?

Nie mogę o tym mówić przez telefon. Muszę się z tobą zobaczyć.

Zjawił się na Morning Glory Court po dziesięciu minutach. Jak zawsze otworzył mi drzwi auta. („Każdy chłopak, który nie otwiera ci drzwi, zasługuje na to, żebyś ty pokazała mu drzwi”, tak nam zawsze mówił. „Tak powinno być, dodawał, uważając, żeby nie przytrzasnąć mi palców. Zawsze o tym pamiętaj”).

W samochodzie, w drodze do Marin Joe's, ojciec milczał. Wiedziałam, że czeka, aż usiądziemy przy naszym stoliku. Ja też czekałam.

Normalnie uciąłby sobie pogawędkę z kelnerką i może zatrzymał się na chwilę przy kilku stolikach, by przywitać się ze znajomymi, a przynajmniej z tymi, którzy go znali. Tamtego dnia jednak skierował się prosto do naszego kącika. Poprosił kelnerkę, żeby podała nam to co zawsze.

No dobrze, powiedział, gdy postawiła przed nim kawę, a przede mną kakao. Mów.

Milczał przez minutę. Znał moją historię od lat, wiedział, że twierdzę, iż wiem pewne niewyjaśnione rzeczy, chociaż do tej pory wizje, o których mu opowiadałam, nigdy nie były szczególnie niepokojące. Jednak on, jako jedyny z całej rodziny, utrzymywał, że nie jest to jakiś szósty zmysł ani nadprzyrodzony dar, tylko dobrze rozwinięty zmysł obserwacji połączony z ponadprzeciętną wyobraźnią.

Miewam ostatnio takie wizje... – zaczęłam. Powiedziałam, że od kilku miesięcy widzę w głowie obrazy zamordowanych dziewcząt. Czasem po tym, gdy morderstwo zostało popełnione. Czasem tuż przed. W żadnej z tych wizji nie zobaczyłam mordercy, jednak widziałam wyraz twarzy ofiar, gdy one go spostrzegły i uświadamiały sobie, co za chwilę im zrobi. W ostatniej wizji pojawił się pies.

Jako śledczy chwytający się każdego tropu w tym momencie ojciec mógł mnie poprosić, żebym powiedziała coś więcej, i może gdybym nie była jego córką, tak by postąpił. Tymczasem on zmienił się na twarzy. Miała wyraz, jakiego chyba nigdy nie widziałam: twardy i nieugięty. Jak drzwi nie tylko zamknięte, ale wręcz zaryglowane. Gdybym go nie znała, pomyślałabym, że jest na mnie zły, ale ja wiedziałam, że się martwi.

W tej chwili przestań, nakazał mi. Nie chcę więcej słyszeć takich rzeczy, skarbie.

Gdybyś ustalił, czyj był ten pies, mogłoby ci to pomóc, przekonywałam. Może ktoś widział go tamtego dnia.

Znalezienie mordercy to moje zadanie, nie twoje, przerwał mi. Ty masz po prostu być dzieckiem. Chodzić do szkoły. Mieć koleżanki. Poznawać chłopców – ale ostrożnie. Opiekować się mamą i siostrą. Śledztwo zostaw swojemu staruszkowi.

Nic nie rozumiesz, irytowałam się. Wiem rzeczy, które mogłyby ci pomóc zakończyć śledztwo.

Nie chcę więcej o tym słyszeć, Farrah, powiedział stanowczo ojciec. Wierz mi, takie rzeczy mogą cię zniszczyć, jeśli im pozwolisz.

Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

Wyrzuć z głowy te śmieci, rzekł. Inaczej zjedzą cię żywcem.

Codziennie chodziłam do szkoły, jednak rzadko uważałam na to, co mówią nauczyciele. Głowę miałam nabitą mordercą, ojcem i Teddym Bascomem. Oni zajmowali wszystkie moje myśli. W tamtym roku szkolnym moje oceny – które nigdy nie były spektakularne – spadły poniżej mojej tradycyjnej średniej cztery minus.

Wydawało się, że mamie to nie przeszkadza. W młodości marzyła o pójściu do college'u, gdzie studiowałaby anglistykę lub bibliotekoznawstwo, ale już dawno zapomniała o wszelkich ambicjach, a teraz wyglądało na to, że nie oczekuje, iż jej córki będą miały jakieś aspiracje. Może myśl o pragnieniu czegoś, czego nie mogła nam dać, była zbyt smutna, a może doszła do wniosku, że jeśli nie będziemy miały marzeń, unikniemy rozczarowań.

W odróżnieniu od wielu znajomych dzieci Patty i ja nigdy nie odczuwałyśmy presji ze strony naszej mamy – ani ojca – żeby wyróżniać się w szkole. Mama nigdy nie sprawdzała nam zadań ani nie dopytywała się o konkrety. Uwielbiała książki, ale chyba nie widziała związku między uczeniem się z nich a siedzeniem w klasie. I właściwie miała rację.

Niezależnie od tego, jaka była tego przyczyna, dni, gdy dostawałyśmy kartki z wykazem ocen – większość dzieci z naszej klasy czekała na nie z lękiem, a tylko kilkoro triumfowało – dla nas były takie same jak inne. Przeważnie podrabialiśmy podpis mamy pod czwórkami, trójkami i sporadycznie dwójkami na naszych kartkach, chociaż gdybyśmy poprosiły, bez problemu by je podpisała, może nawet nie zadając sobie trudu przyjrzenia się ocenom i towarzyszącym im uwagom nauczycieli.

Ja wiem, jakie wy jesteście, mawiała. Nie potrzebuję nauczycieli, żeby mi to uświadomili.

Czasem zaliczałam pozytywnie pracę domową, innym razem nie. Jeśli tak, nie czułam jakiejś szczególnej potrzeby, by zgarniać nagrody – chodziło mi głównie o to, by nie zwracano na mnie uwagi. Właściwie nigdy nie pokazałam żadnemu nauczycielowi moich opowiadań, choć pisałam je bez przerwy. Moje pisanie nie miało nic wspólnego ze szkołą i z nauczycielami i nic nie znaczyło, jeśli nikt mnie nigdy nie zauważył.

Dlaczego więc tak bardzo zależało mi na zdobyciu sympatii Teddy'ego, który nigdy nie okazał mi życzliwości, a nawet szczególnego zainteresowania? No, ale mnie zależało.

Nasz związek, jeśli można to w ogóle tak nazwać, charakteryzował się przewidywalnym bezwładem. W stołówce siadywałam z Alison i jej paczką, co było zaszczytem, jakiego nie dostąpiłam nigdy wcześniej, i jak sądzę, mogącym zostać w każdej chwili odwołanym, jednak gdy Teddy dał mi sygnał, że chce, bym usiadła koło niego, szłam, choć rzadko się do siebie odzywaliśmy.

Codziennie po siódmej lekcji Teddy czekał na mnie przy mojej szafce i szliśmy razem na przystanek autobusowy, również nie zamieniając więcej niż kilka słów. Wtedy nie potrzebowałam już zaproszenia do Alison, bo było oczywiste, że wszyscy do niej idziemy, chyba że Teddy miał tego popołudnia trening – wtedy mówił mi, o której godzinie – nie po to, by zapytać, czy przyjdę, bo uznawał to za coś oczywistego. Zawsze obejmował mnie w pasie, ale raczej nie na znak uczucia, jak uczyniłby to mój ojciec, a bardziej po to, by popychać mnie w kierunku, który wybrał, jak urządzenie sterujące w grze wideo.

On sterował. Ja szłam za nim.

Co się z tobą stało? – pytała Patty. Zamieniłaś się w zombie, a wszystko przez jakiegoś głupka.

Ponieważ zawsze mówiłam Patty wszystko, zwierzyłam jej się, że teraz Teddy codziennie zdejmuje mi bluzkę. Jak również biustonosz – choć zrobiwszy to, nie znalazł pod nim zbyt wiele. Patty stwierdziła, że jej zdaniem nie wygląda na zbyt miłego faceta. Wiedziałam, że ma rację.

Mimo to codziennie chodziłam do Alison i czułam większą presję niż wcześniej, żeby zdejmować nie tylko bluzkę, ale i spodnie. Do tej pory nie chciałam tego robić, jednak było mi coraz trudniej mu się sprzeciwić. Gdy przychodził chłopak Alison, Chase, znikali w jej sypialni, a gdy wreszcie się z niej wyłaniali, ona miała potargane włosy i opuchnięte usta. Soleil i Heather, kiedy przychodzili chłopcy, zazwyczaj szły do domu albo udawały się do kuchni, żeby piec ciasteczka albo topić ser na nachos. Ja zostawałam w pokoju wypoczynkowym sama z Teddym.

Niczego w jego podejściu nie można było nazwać romantycznym, a ponieważ byłam córką swego ojca – który przypominał mi na każdym kroku, że jestem piękna, wspaniała, doskonała – czułam się rozczarowana. Nie chodzi o to, że wierzyłam we wszystko, co mówi ojciec, ale zakładałam, że chłopcy powinni mówić takie rzeczy lub chociaż od czasu do czasu rzucić jakiś komplement, choćby taki, że podoba im się twój sweterek.

Teddy wybierał podejście praktyczne.

Cześć, mała, rzucał, moszcząc się na pufie, po czym klepał się po kroczu, żeby było wiadomo, czego chce.

Siadałam mu na kolanach. On mnie obejmował – gestem właściciela.

Widziałś mój rzut na treningu do kosza z połowy boiska w pierwszej kwarcie?

Był super, mówiłam, choć go nie zauważyłam.

Pocierał moją nieistniejącą lewą pierś. W ciągu kilku sekund przechodził do guzików bluzki.

Może byś to zdjęła? – proponował.

Więc zdejmowałam. Zanim doszliśmy do tego etapu, najbardziej martwiłam się tym, że Teddy zobaczy mój idiotyczny sportowy biustonosz. Mama kupiła mi go kilka miesięcy temu, ale bardziej przypominał coś dla czwartoklasistki – kawałek spandeksu rozciągnięty na mojej klatce piersiowej jak bandaż – niż styl innych dziewczyn, tych, które już miały okres i rozwinięte piersi.

Teddy nie miał zbyt dużo czasu, żeby to zauważyć, bo teraz od razu zdejmował mi biustonosz, nie przyglądając się ani jemu, ani mnie. Wyraz jego twarzy przy tej czynności – zawzięty, zdecydowany, rzeczowy – przypominał mi minę pana Pollacka, gdy usiłował uruchomić kosiarkę.

Możesz mnie tutaj dotknąć, mówił, kładąc moją rękę na swoim kroczu. Domyślałam się, że to przywilej, chociaż nie byłam pewna, co robić, gdy moja dłoń już się tam znalazła. Ale on ocierał się o mnie, więc okazało się, że nie muszę robić nic.

Przypomniała mi się okładka płyty *Sticky Fingers* z rozporkiem Micka Jaggera i zamkiem błyskawicznym, którym bawiłyśmy się z siostrą. Teraz, gdy moja dłoń spoczywała na prawdziwym rozporku, a od środka rozpierał

go prawdziwy penis, mogłam tylko stwierdzić, że to już wcale nie wydaje się zabawne.

Objął ustami jeden z moich sutków i zaczął go intensywnie żuć. Do tej chwili milczałam, ale teraz krzyknęłam głośno.

Kręci cię to, nie, mała? – zapytał. *Never gonna stop. Give it up.* W radiu znów ta piosenka.

Pomyślałam o Wampirze ze Wzgórza.

Tak jak się tego obawiałam, Teddy zaczął rozpinać rozporek. Wyjął penisa. Nie chciałam na niego patrzeć.

Trzymaj. Weź go do ręki.

Nakrył moją rękę swoją, poruszając tam i z powrotem. Oddychał ciężko, ale inaczej, niż gdy grał w kosza. Jego wolna ręka pozostała na moim sutku. Potem jęknął, a ja poczułam, że mam w ręku coś mokrego. Teddy rozwalił się na siedzisku i leżał nieruchomo. Poczulałam nieznaną zapach. Dłoń miałam lepką i nie wiedziałam, w co ją wytrzeć. Chyba by mu się nie spodobało, gdybym wytarła ją w jego koszulę.

Gdy drużyna junierek Patty po raz pierwszy grała mecz na własnym boisku i ojciec zapewniał ją, że przyjdzie, ona ogłosiła to całej drużynie. Ale mu się nie udało.

Podczas kolejnego meczu widziałam, jak Patty rzuca szybkie spojrzenia na trybuny – szukała jego twarzy, lecz jej nie znalazła. Ilekroć brała potem udział w meczu, mówiła, że ojciec jest prawdopodobnie zbyt zajęty, więc pewnie i w tym dniu nie da rady przyjść, jednak ostatecznie zawsze go wypatrywała.

Był taki dzień, niedługo przedtem, zanim zaczęły się morderstwa, gdy Patty i ja jeździłyśmy na rowerach po okolicy i natknęłyśmy się na jego charakterystyczne alfa romeo w kolorze metalicznego błękitu, zaparkowane przed jakimś domem kilka przecznic dalej. Mieszkał tam przyjaciel naszego ojca Sal, kumpel z pracy w North Beach, szef naszej ulubionej restauracji Marin Joe's, do której ojciec zabierał nas z okazji urodzin albo po prostu dlatego, że wydawało mu się, że to dobry dzień na talerz minestrone. Dawniej odwiedzałyśmy Salę razem z ojcem. Rozprawiali o dawnych czasach, a ojciec podcinał Salowi włosy. Nadal to robił od czasu do czasu, choć teraz niewiele zostało do podcinania.

Widząc jego samochód tamtego dnia, Patty była podekscytowana.

Tata na pewno przyjdzie do nas, gdy już podetnie Salowi włosy, powiedziała. Założę się, że zabierze nas potem na tiramisu.

Ja byłam tego mniej pewna, jednak zatrzymałam te wątpliwości dla siebie. Po powrocie do domu Patty się przebrała i usiadła przed domem, żeby czekać na niego z piłką do koszykówki, bo może ojciec będzie miał ochotę porzucić trochę do kosza na podjeździe Marcellów. Dopiero w porze kolacji dała za wygraną i wróciła do domu. Mama, widząc to, nie powiedziała ani słowa.

Jeśli chodzi o Patty, może sprawiła to jej rosnąca świadomość, jak dobra jest w sporcie – na tyle dobra, że za każdym razem zdobywała najwięcej punktów dla drużyny, a trenerzy z innych szkół przychodzili, żeby oglądać jej grę – w każdym razie w tamtym roku coś zaczęło się w niej zmieniać, nie nagle, ale stopniowo, w miarę kumulowania się różnych rozczarowań. Nigdy

nie przestała adorować ojca, jednak dla niej przestał być tym wielkim bohaterem, jakiego ja wciąż z niego robiłam. W oczach Patty on był raczej jak kochany spaniel, który nie przestaje sikać na dywan i gryźć tapicerki, choć mówi mu się, żeby tego nie robił.

Miałyśmy na wzgórzu ulubione miejsce, stary zardzewiały wrak ciężarówki, do którego chodziłyśmy regularnie przez lata, żeby się tam ukrywać, jeść krakersy z masłem orzechowym, czytać książki i wymyślać historie.

To ojciec pokazał nam to miejsce. Wrócił kiedyś z pracy z jakimś pakunkiem – powiedział nam, że to coś ważnego. Choć nigdy nie był typem turysty, zabrał nas wtedy na szlak. Towarzyszyła temu atmosfera niecierpliwości i przygody, a gdy ja (nie moja siostra) zaczęłam po drodze opadać z sił, wydzielał nam kawałki suszonej wołowiny.

Kto wie, jak ojciec odkrył tę ciężarówkę. Gdy później wracałam pamięcią do tamtego dnia, przyszło mi do głowy, że może zaprowadziła go tam kiedyś jakaś kobieta. Zobaczyłam w wyobraźni jego i Margaret Ann, jak leżą na resztkach siedzeń, popijają wino z butelki i się całują.

Najwyraźniej ciężarówka była zaplanowanym przez ojca celem naszej wyprawy. Trochę oczyścił ją z zewnątrz, położył na masce swoją skórzaną kurtkę i nas na niej posadził. Wyjął pakunek – coś owiniętego nie w ozdobny papier, jak prezent urodzinowy, lecz w brązowy, w jaki owijają się mięso lub pakuje gwoździe – i powoli odwiązał sznurek.

W środku znajdował się pistolet. Nie na naboje, wyjaśnił ojciec, choć w pewnym sensie prawdziwy. Był to pistolet pneumatyczny. A w niewielkiej plastikowej torebeczce kilkaset sztuk śrutowych kulek.

Nie mówcie o tym mamie, zastrzegł. Powiedziałyby, że jesteście na to za małe. No i miałyby trochę racji.

Oznajmił, że nauczy nas strzelać. Lepiej nauczyć się tego porządnie niż próbować na własną rękę i narobić szkody.

Spędziłyśmy tamto popołudnie, strzelając śrutem do karoserii wraku ciężarówki. Ojciec był z nami przez cały czas, klęczał tak, żeby jego twarz znajdowała się na wysokości naszego wzroku, obejmował nas,

przytrzymał nasze ramiona, żeby się nie trzęsły, gdy unosiliśmy pistolet do strzału i naciskałyśmy spust. Mama uznałaby to za niedopuszczalne, jednak on tak to zorganizował, jak nas zapewniał, że nie było mowy, byśmy zrobiły sobie lub komuś krzywdę.

Nie znałam żadnej innej dziewczynki w naszym miasteczku, w ogóle nikogo innego, kto by miał takiego ojca. To, że nam ufał, czyniło nas godnymi zaufania.

Zanim strzelicie, tłumaczył, musicie uświadomić sobie, że wasze serce bije, poznać jego rytm, usztywnić ramię. Musicie słuchać, jak oddychacie. Przed naciśnięciem spustu wstrzymajcie oddech.

Teraz myślę, że ojciec prawdopodobnie już wtedy wiedział, że długo z nami nie pomieszka. Mimo iż mama jeszcze go nie wypędziła, wiedział, że zmierza w jakimś innym kierunku, podobnie jak my. Może czuł potrzebę, by, zanim odejdzie, coś nam zostawić. Właśnie to.

Twoja siostra będzie przechowywała pistolet dla was obu, zwrócił się do Patty. To ona zdecyduje, kiedy będziesz na tyle duża, by sama go wyjmować. Jeszcze nie teraz. Wystarczy, że wiesz, że go macie.

Nauczył nas też innych rzeczy: nigdy nie trzymajcie pistoletu naładowanego. Nigdy nie sięgajcie po niego, gdy jesteście wściekłe czy zdenerwowane. Nie wolno go pokazywać koleżankom ani z nikim o nim rozmawiać.

Z takiego pistoletu nie można nikogo zabić, tłumaczył, ale można kogoś pozbawić oka, gdybyście chciały albo musiały. Z bliskiej odległości i przy pewnym celu.

Z mojego doświadczenia wynika, ciągnął, jakby mówił do siebie, że dziewczyny strzelają o wiele lepiej niż chłopcy. Może uważniej słuchają. Może chcą sprawić przyjemność tatusiowi.

W tym na pewno miał rację. Niczego więcej nie pragnęliśmy. Nawet Patty, która patrzyła na ojca bardziej krytycznie niż ja, nigdy nie przestała pragnąć tego, by go zadowolić.

Pozwolił mi nieść pistolet w drodze powrotnej z góry – bez śrutu – a gdy się żegnaliśmy, patrzył, jak chowam go pod kurtkę. Śrut miałam w kieszeni. Ukryłam pistolet w głębi naszej szafy, w miejscu, do którego matka nigdy nie

zaglądała. Więcej o tym nie rozmawialiśmy.

Przez lata często wracałyśmy do ciężarówki, choć nigdy po to, by ćwiczyć strzelanie do celu z ojcem, człowiekiem, który, z wyjątkiem pajęczków, specjalizował się w tym, że wszystkie wspaniałe rzeczy robił z nami tylko raz. Któregoś lata zostawiłyśmy w ciężarówce koc i poduszki, zapas landrynek, kilka wyświechtanych komiksów z serii *Betty and Veronica*, talię kart i zaczytany egzemplarz książki Jennifer Pollack o fantazjach seksualnych, *Mój tajemny ogród*. Spędzałyśmy tam czasem całe popołudnie, grając w karty i czytając.

Gdy tam siedziałam, zawsze przypominał mi się ojciec – nie tylko dlatego, że kabina ciężarówki, w której urządziłyśmy sobie kryjówkę, była podziurawiona przez nas śrutem. (Czasem, gdy kwitły polne kwiaty, wsadzałyśmy je w te otwory dla dekoracji).

Raz i tylko raz, gdy siedziałyśmy w naszej ciężarówce, zauważyłyśmy dwoje ludzi, którzy kochali się na polanie tuż za nami. Kucnęłyśmy i obserwowaliśmy ich, zasłaniając usta, żeby nie było słyhać naszego śmiechu. Czułyśmy się jak szpiedzy. Dobry widok na tę parę miałyśmy dzięki dziurom po kulkach, które zrobiliśmy pistoletem podarowanym przez ojca, tuż przed tym, nim się wyprowadził.

Niedziela, wczesny ranek. Patty właśnie się ubierała, bo miała wyjść na spacer z psem, ja leżałam na łóżku, pisząc coś w zeszycie (od czasu, gdy zaczęłam zadawać się z paczką Alison, prawie tego nie robiłam), gdy znów usłyszałyśmy helikoptery nad naszą górą. Wyszłyśmy na dwór. Gazeta Helen leżała jeszcze przed drzwiami jej domu i mogłyśmy przeczytać nagłówek: *Zgłoszono zaginięcie turystki. Wampir znów uderzył*.

Po południu znaleziono ciało Annette Kostritsky, szesnastolatki, która dopiero w ten weekend wróciła w rodzinne strony. Do szkoły średniej chodziła za granicą i nic nie wiedziała o zabójstwach.

Zwłoki znaleziono na szlaku Bolinas, razem ze zwłokami dziecka, które towarzyszyło jej tamtego dnia – Bunny Simpson, dziewięcioletniej dziewczynki z zespołem Downa, którą Annette opiekowała się jeszcze od czasów gimnazjum.

Był już koniec listopada, od ostatniego morderstwa minęło pięć miesięcy. Śmierć dwóch dziewcząt zwiększała liczbę ofiar do dziesięciu. Teraz w hrabstwie Marin nie można było nigdzie pójść, nie czując ciągłego niepokoju, który był jak brzęczenie linii wysokiego napięcia czy szum wiatru fenowego Santa Ana.

Nazajutrz leżeliśmy u Alison na jej łóżku z miską popcornu. Przez bitą godzinę rozmowa skupiała się na bólach menstruacyjnych – temacie, którego się obawiałam, bo nie miałam nic do powiedzenia. Było to dziwne, zważywszy, jakie historie wymyślałam o morderstwach Wampira. Gdy ktoś włączył różowy przenośny telewizorek Alison i ekran wypełniła twarz mojego ojca, poczułam ulgę.

Jednak nastroje wśród dziennikarzy zadających mu pytania od ostatniej konferencji prasowej uległy radykalnej zmianie. Grupa obywateli, którzy skrzyknęli się pod hasłem „Zwróćcie nam naszą górę”, wyrażała oburzenie z powodu klęski śledczych. Ojciec, stojący na podwyższeniu, mówił, że prosi gubernatora o nadzwyczajne środki, żeby podwoić liczbę policjantów patrolujących wzgórza. Przez kilka tygodni, od kiedy ostatnio go widzieliśmy, jakby się postarzał: miał zapadnięte policzki, a między szyją i otaczającym ją kołnierzykiem widziałam lukę, jakby nie miał ciała albo mięśni, żeby wypełnić tę przestrzeń. Mój ojciec – człowiek, który zawsze podkreślał, jak ważna jest wyprostowana sylwetka – garbił się nad mikrofonem. Widząc go teraz, trudno było uwierzyć, że kiedyś ludzie brali go za Deana Martina.

Mimo nagłośnienia tych morderstw, mówił, wciąż znajdują się osoby, które upierają się, by wchodzić na szlaki, a my nie mamy aż tylu ludzi, by ich wszystkich chronić. To zbyt duży obszar. Po prostu nie można być wszędzie i wszystkiego ogrodzić.

Słuchając go, poczułam coś w rodzaju dreszczy. W jego głosie był ton, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Niemal błagalna nuta. Jeszcze nie przyznanie się do porażki, ale prawie.

Miał jeden trop, o którym mógł powiedzieć publicznie. Choć nadal brakowało świadków samych zbrodni, jakaś kobieta zgłosiła się na policję i podała opis człowieka, którego dostrzegła niedaleko miejsca ostatniego przestępstwa, wsiadającego do czerwonej toyoty corony. Nie wyglądał na

turystę, twierdziła, i miał dziwny wyraz oczu. „Jakby czegoś łaknął”, tylko tak potrafiła to określić. Grafik policyjny pracował z nią teraz nad portretem pamięciowym ewentualnego podejrzanego.

Następnego dnia portret opublikowano w gazecie. Nie można było przejść paru metrów ulicą, nie widząc tego rysunku przyklepionego do słupów telegraficznych. W szkole ktoś przykleił go na drzwiach szatni dziewcząt z dopiskiem: *Podobny do pana Eddy’ego, nie?* – co odnosiło się do dyrektora szkoły. Jedna dziewczyna z mojej klasy powiedziała na angielskim, że człowiek z portretu przypomina jej faceta matki, którego nigdy nie lubiła. Ktoś inny uważał, że to aktor występujący w reklamie materaców. Inna dziewczyna twierdziła, że to taki jeden, któremu pilnowała kiedyś dziecka, a gdy odwoził ją do domu, położył jej rękę na udzie.

Tamtego wieczoru ojciec przyjechał do nas, zanim poszłyśmy spać. Choć raz.

Mimo iż często przyjeżdżał późno w nocy, żeby wypić drinka i zapalić papierosa z mamą, od kiedy złożył porządną wizytę Patty i mnie, minął prawie miesiąc, a jeszcze więcej czasu od dnia, gdy jedliśmy we trójkę tiramisu przy naszym stoliku w Marin Joe’s. Wiedząc, jaka jest sytuacja, nie spodziewałyśmy się, że przyjedzie, i nawet moja siostra przestała pytać, czy moim zdaniem niedługo się pojawi.

Jak zwykle, gdy go zobaczyłam, poczułam się, jakby w moją stronę skierowano jaskrawy reflektor i nagle znalazłam się w kręgu ciepłego światła. Najlepsze ze wszystkiego były te dni, kiedy ojciec przyjeżdżał specjalnie po to, żeby się z nami zobaczyć.

Miał na sobie skórzaną kurtkę i czarne buty. Choć bardzo zeszczupłał i wyglądał na zmęczonego, nadal był przystojny.

Moje dziewczynki, uśmiechnęły się i zapaliły papierosa, jesteście balsamem dla moich oczu.

Zostałam środkowym napastnikiem w nowej drużynie, pochwaliła mu się Patty. Była już wysoka, ale gdy wszedł na ścieżkę prowadzącą do naszego domu, skoczyła mu w ramiona tak samo jak zawsze i przez chwilę myślałam, że ojciec jej nie utrzyma.

Mimo że Patty ostatnio wyrażała się o nim krytycznie, kiedy stał w naszym salonie i się z nami kręcił, obie pragnęłyśmy wyłącznie tego, żeby

ta chwila trwała wiecznie.

Trzymała teraz głowę na jego ramieniu i mierzwiła mu włosy. Ja też bardzo chciałam to zrobić, ale bardziej chciałam tego dla niej, mojej tyczkowatej siostry z wystającymi zębami, która przez cały sezon wypatrywała za nim oczy na meczach w nadziei, że któregoś dnia może się pojawi, żeby zobaczyć jej popisowy wrzut. Albo w ogóle jakikolwiek manewr.

Wszyscy w szkole gadają tylko o tym Wampirze, odezwała się, pocierając dłonią jego policzek, który domagał się golenia.

Chciałam ją uciszyć. Ojciec nigdy tego nie powiedział, ale obie wiedziałyśmy, że nie lubił, gdy rozmawiamy o jego śledztwach. A już szczególnie o tym.

Powiedz im, żeby pilnowali swoich zadań domowych, Patty Cakes, odparł. Jak tam twoja drużyna?

Wygraliśmy w dogrywce. Ja zdobyłam dwadzieścia siedem punktów!

Powinienem być tam wtedy być, skarbie, westchnął. Może następnym razem.

Chcesz się przywitać z mamą? – zapytałam. Zrobiłyśmy ciasteczka.

To nie były tradycyjne ciasteczka, bo znowu zepsuł nam się piekarnik, ale ostatnio wymyśliłyśmy przepis, który nie wymagał pieczenia. Składały się głównie z roztopionej czekolady – stare batoniki stopione na kuchence i obtoczone w wiórkach kokosowych, które dostałyśmy od Jennifer Pollack.

Chciałbym zostać dłużej, ale muszę wracać do pracy, powiedział z żalem.

Wiem, że go złapiesz, rzekła stanowczo Patty, gdy wsiadał do samochodu.

Stałyśmy na chodniku i patrzyłyśmy, jak odjeżdża.

Nie udało mu się przyjechać na mecz mojej siostry w ten piątek. Wyczuwałam jej napięcie na boisku, gdy znowu go wypatrywała.

Potem Patty przestała czekać, aż ojciec przyjdzie na mecz. Powiedziała, że wie, iż nigdy nie uda mu się przyjść. Wtedy zamordowano już kolejną dziewczynę, Robin Burke, dwudziestopięcioletnią turystkę. Ciało znaleziono na zalesionym odcinku parku pięćdziesiąt kilometrów na północ, jakby na

dowód, że nie da się zamknąć wszystkich szlaków, a morderca zawłaszcza coraz większy obszar. W tym coraz bardziej mój umysł.

Podczas przerwy na Święto Dziękczynienia zostałam zaproszona na weekend do domu Alison nad jeziorem Tahoe. Miałam wyrzuty sumienia, że zostawiam mamę i Patty same, ale Patty miała mecz, a mama nigdy nie szukała niczyjego współczucia.

Jestem właśnie w połowie doskonałej książki, powiedziała. Wezmę kąpiel i sobie odpocznę. Mam szczęście, że nie muszę przez cały dzień stać przy kuchni i piec indyka.

Jak się okazało, pani Kerwin też nie musiała. Cały świąteczny obiad został dostarczony w plastikowych pojemnikach, łącznie z sosem żurawinowym.

To prawdziwe błogosławieństwo, że teraz są ci zawodowi kucharze, którzy robią wszystko za nas, tylko lepiej, mówiła. I jeszcze z dostawą.

Powiedzmy sobie szczerze, indyk babci pozostawiał trochę do życzenia, orzekł pan Kerwin, wkładając sos do kuchenki mikrofalowej.

Mogłabym im wymienić kilka osób, które i tak wołałyby wersję babci. Zaczynając od Patty i ode mnie. Uwielbiałyśmy te sceny w serialu *Waltons*, gdy babcia i wszyscy inni brali się ostro do roboty, urządzali wielką ucztę, modlili się i śpiewali pieśni, a później, już w łózkach, wołali jeden do drugiego „dobranoc!”. W naszym domu nic takiego nigdy nie miało miejsca.

Na święto przyjechała babcia Alison, Bernice. Mieszkała na Florydzie. Była chudą kobietą o nienaturalnie napiętej skórze. Wyglądała jak matka Alison, którą zbyt wiele razy przepuszczono w wysokiej temperaturze przez suszarkę. Alison nazywała ją Suszonym Mięsem, ale za jej plecami.

Przy kolacji Bernice podjęła temat śledztwa w sprawie Wampira ze Wzgórza.

A więc, Rachel, masz dla nas jakieś nowe tropy? – zapytała. Wszystkie moje koleżanki chciałyby się dowiedzieć, dlaczego twój ojciec jeszcze nie schwycił tego potwora. Są śmiertelnie przerażone, że następna może być któraś z nas.

Miałam ochotę zauważyć, że ten morderca nie wybiera pomarszczonych starych wieźm. Poza tym nie działa raczej na terytorium West Palm Beach.

Nasz ojciec bardzo ciężko pracuje nad tą sprawą, zapewniłam.

Wstałam, żeby posprzątać ze stołu, mając nadzieję, że ktoś zmieni temat. Bernice zapaliła papierosa.

Mówię tylko, że niektórzy gadają, że policja powinna się bardziej starać, rzuciła. Gdyby tak położył łapę na mojej córce czy wnuczce... Uchowaj Boże.

Najstraszniejsza jest świadomość, że to może być każdy, wtrąciła się Alison. Możemy go mijać na ulicy i o tym nie wiedzieć. To może być ojciec twojej przyjaciółki albo twój nauczyciel.

Możemy zmienić temat? – poprosiła pani Kerwin. Dobra wiadomość jest taka, że mają teraz portret pamięciowy i kobietę, która zgłosiła, że widziała czerwoną toyotę.

Mój ojciec ustala teraz właścicieli wszystkich toyot w tym kolorze, starszych niż pięć lat i zarejestrowanych w stanie Kalifornia, bo jest szansa, że jedna z nich może należeć do osoby o kryminalnej przeszłości, oznajmiłam.

Miałam nadzieję, że to zrobiło na nich wrażenie.

Trzydzieści cztery tysiące toyot corona. Tyle musieli sprawdzić. I najprawdopodobniej nic im to nie da, podobnie jak pozostałe tropy.

Jechaliśmy na rowerach do ośrodka rekreacyjnego na sprawdzian kwalifikacyjny do żeńskiej drużyny koszykarskiej Catholic Youth Organization, gdy spotkałyśmy Alison.

Patty przez cały sezon konsekwentnie zdobywała najwięcej punktów dla swojej drużyny junierek. Niedawno przełamała remis i dzięki niej drużyna wygrała w ostatnich sekundach gry – był to jeden z wielu meczów, na którym miała nadzieję, że zobaczy ojca, ale tak się nie stało.

Jednak drużyna CYO oznaczała o wiele większą rywalizację i ogromny krok w koszykarskiej karierze mojej siostry. Stare tenisówki miała tak przetarte, że jakaś dziewczynka z przeciwnej drużyny zapytała ją, czy kupuje ciuchy na wysypisku śmieci. Wtedy sięgnęłam do mojego funduszu na dzinsy, żeby kupić Patty dobre sportowe buty, które tamtego dnia miała na sobie po raz pierwszy.

Jeśli chodzi o dzinsy, wróciłam do punktu wyjścia. A właśnie nadchodziła Alison w dokładnie takich spodniach, na jakie oszczędzałam.

Widziałam wczoraj wieczorem waszego tatę w telewizji, poinformowała nas. Mój tata mówi, że chcą go zastąpić kimś innym, bo wciąż nie złapał Wampira.

Oszalałaś! – wykrzyknęła Patty. Wszyscy wiedzą, że nasz tata jest najlepszym detektywem w Kalifornii.

Ja tylko powtarzam, co powiedział mój. Pomyślałam, że może chciałybyście to wiedzieć.

Prawdę mówiąc, my też zeszłego wieczoru oglądałyśmy ojca w telewizji – widziałyśmy go, ale nie słyszałyśmy, bo większość jego ostatniej konferencji prasowej obserwowaliśmy przez okno Helen.

Później, w łózkach, rozmawiałyśmy o tym. W postawie ojca widocznego na ekranie telewizyjnym zeszłego wieczoru była jakaś niepewność, której nigdy wcześniej z nim nie kojarzyłam. Przez ułamek sekundy, gdy obserwowałam, jak mówi, wyobraziłam sobie, że te same wiadomości ogląda morderca i zauważa, tak jak my, jakieś nowe zgarbienie ramion detektywa Torricellego, zmarszczki na twarzy, których nie pamiętałam. Jeśli Wampir ze

Wzgórza widział wczoraj, jak wygląda nasz ojciec, mógł triumfować.

Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, ojciec wyglądał jak zwykły człowiek, a nie jak bohater.

Za to Patty dostała się do drużyny CYO.

Kilka dni później to znowu przyszło – uczucie, które nawiedzało mnie, mniej więcej od kiedy zaczęły się morderstwa. Teraz je rozpoznawałam – przerażona tym, co miało się stać, jednocześnie wiedziałam, że powinnam mu ulec i szukać wskazówek, które mogłyby zasugerować tożsamość mordercy.

Widziałam chudą dziewczynę starającą się coś złapać, może kamień, ale chwytającą tylko garść ziemi.

Rzucała się. Ostatnie wierzgnięcie, a potem już nic.

Słyszałam, że jego oddech staje się coraz płytszy. Widziałam, jak sięga ręką do paska jej szortów. Wyjmuje jej z nogawki jedną nogę, nie ma po co męczyć się z dwiema. Zsuwa jej majtki, widzi sznureczek od tamponu i pociąga.

To, co stało się później, sprawiło, że ukryłam twarz w poduszce. Spojrzałam w dół i zobaczyłam penisa w stanie erekcji, coś, co widywałam tylko u psów i koni, które parzyły się na naszej górze.

Wbijał się raz po raz w jej ciało. Miałam wrażenie, że w tle słychać piosenkę *My Sharona: Always get it up... for the touch of the younger kind*. Dźwięk perkusji. A może odgłos bicia serca.

Szybciej, szybciej. *When you gonna give it to me... Give it to me...*
Koniec.

Potem zobaczyłam, jak jego palce rozpinają jej bluzkę i zsuwają ją z ramion. Obracał bezwładne ciało – kobieta leżąca na ziemi nie stawiała oporu. Bardzo powoli, z pewnym szacunkiem, jakiego nigdy by jej nie okazał, gdyby żyła, rozpiął i zdjął jej biustonosz.

Uniósł go i pogładził koronkę. Przyłożył materiał do policzka. Nie widziałam jego twarzy, ale usłyszałam długi, powolny wydech, który brzmiał jak westchnienie. Potem zabrał się do jej sznurówek.

Zaginęła kolejna dziewczyna. Ciało znaleziono w krzakach niedaleko szlaku w Point Reyes, pięćdziesiąt kilometrów w górę wybrzeża. Morderca poszerzał obszar działania – szanse na powstrzymanie go były tak samo niewielkie jak zahamowanie wycieku ropy lub skażenia atmosfery po stopieniu się rdzenia reaktora w elektrowni jądrowej, do czego doszło w tym roku na Three Mile Island.

Ojciec pracował bez wytchnienia. Znałyśmy jego numer do biura, jednak nie trzeba nam było tłumaczyć, że nie możemy zawracać mu głowy telefonami. Wydział zabójstw uruchomił gorącą linię i ludzie zalewali policję informacjami dotyczącymi potencjalnych podejrzanych, choć do tej pory nie przyniosły one niczego konkretnego oprócz frustracji i znużenia. Jeśli o mnie chodzi, już więcej nie próbowałam opowiadać ojcu szczegółów moich coraz częstszych wizji.

Ofiarą Wampira – dwunastą – była dziewiętnastoletnia biegaczka długodystansowa Lexi Shaw. Biegała w Berkeley na Uniwersytecie Kalifornijskim, ale teraz trenowała do Maratonu Bostońskiego w nadziei, że zdobędzie miejsce w olimpijskiej reprezentacji USA. Jej rodzice i trener, słysząc, że nie przestała biegać po szlakach w hrabstwie Marin, błagali ją, żeby trzymała się tras w pobliżu uniwersytetu, ale ona tylko się z tego śmiała.

Jeśli ktokolwiek spróbuje mnie zaczepić, potrafię mu uciec, oświadczyła i wyruszyła na przebieżkę późnym popołudniem na początku grudnia.

Wieczorem w dniu, w którym znaleziono jej zwłoki, ojciec przyjechał porozmawiać z mamą. Wszedł do naszego pokoju, żeby ucałować nas na dobranoc, a potem zasiadł w swoim fotelu w kuchni, żeby zapalić z mamą papierosa, co było teraz ich regularnym zajęciem. Patty i ja miałyśmy spać.

Ale oczywiście nie spałyśmy. Kucnęłyśmy przy drzwiach, starając się usłyszeć jak najwięcej. Najpierw dotarło do nas grzechotanie lodu w szklankach. Mama naląła ojcu whisky i sądząc z odgłosów, sobie też.

Niewiele już robi na mnie wrażenie, Lilian, zaczął. To niekoniecznie jest dobre, ale po kilkunastu latach w policji człowiek tak ma. Jednak gdy zobaczyłem dziś ciało tej dziewczyny, w tej samej cholernej pozycji co inne, z taśmą na oczach i bez sznurówek, miałem ochotę wymiotować. Była taka chudziutka. Ani grama zbędnego tłuszczu. Piersi płaskie jak u chłopaka. Ten skurwysyn zdjął jej buty do biegania i położył obok. Bez sznurówek.

Dorwiesz go, Anthony, powiedziała mama. Prędzej czy później musi popełnić błąd i zostawić jakiś trop.

Prędzej czy później może i tak, Lil, odparł ojciec. Tylko ile dziewcząt zabije wcześniej? Ile jeszcze razy będę musiał zapukać do jakichś nieszczęślików i powiedzieć im, że nie mają już córki? Albo o jedną mniej. Nie wiem, jak ci ludzie mogą w ogóle żyć, wstawać rano z łóżka, westchnąć. Gdyby coś takiego przydarzyło się którejś z naszych dziewczynek, rzuciłbym się z mostu. A przedtem rozdarłbym tego, kto to zrobił, na strzępy, gołymi rękami.

Wiem, odpowiedziała mama.

Problem w tym, że najpierw musiałbym go znaleźć.

Potem już niczego nie słyszałyśmy. Wyobrażałam ich sobie, jak siedzą w mroku, paląc papierosy. Jedyнным dźwiękiem, jaki do nas dochodził, było pstrykanie zapalniczki ojca.

Przed ostatnią falą morderstw gadanie o tej sprawie trochę ucichło, ale teraz znowu dzieciaki w szkole codziennie mówią o Wampirze. Siedzieliśmy w sali do cichej nauki, wkuwając symbole pierwiastków chemicznych lub strugając ołówki, przebieraliśmy się w szatni przed wuefem i wiedzieliśmy, że on tam jest, zaledwie parę kilometrów stąd – na którymś ze szlaków, czai się w cieniu, czeka, aż jakaś nieznajoma ciemnowłosa kobieta z przytroczoną do pasa saszetką, niosąca butelkę wody, nadejdzie ścieżką i popełni błąd, wdając się z nim w rozmowę. Albo po prostu nie będzie uciekała wystarczająco szybko.

Może nawet wcześniej ją śledzi i w którymś momencie wyprzedza. Może się zatrzymuje, gdy spotkają się na ścieżce, żeby pokazać jej jastrzębia lub królika. Może pyta, czy ona ma środek odstraszający owady. Może udaje, że skręcił kostkę, a wtedy ona pochyla się, żeby ją obejrzeć.

Moim zdaniem on żuje gumę i ją częstuje. Albo ma ze sobą psa. Może to właśnie pies usypia czujność dziewczyny. „Ładny piesek”, mówi i kuca, żeby go pogłaskać.

Wiem, co się dzieje potem, nie z tego, co opowiadał nam ojciec, ani z seriali takich jak *Starsky i Hutch* czy *Kojak*, oglądanych przez okno

sąsiadów, ale z o wiele bardziej przerażających scen rozgrywających się w mojej głowie nocą, gdy leżę w łóżku. *Such a dirty mind.*

Ręce w kieszeniach. Ręce uniesione. Struna od fortepianu wokół jej szyi. *Good-bye, world.*

Grube palce zsuwające jej majtki. Sięgające do rozporka.

A później: taśma na jej oczach. Sznurówki. Żuje końcówkę jednej z nich, wracając tym samym szlakiem. Pogwizduje.

Jeszcze później: przed telewizorem. Widzę, jak włącza wiadomości. Mówią o nim, a ekran wypełnia zdjęcie ofiary.

Jest sławny.

Teraz codziennie podczas lunchu dziewczyny rozmawiają o Wampirze. A gdyby tak przyszedł do nich, gdy już będzie ciemno, i próbował wejść przez okno? Co byś zrobiła, gdybyś obudziła się którejś nocy, a on stałby nad twoim łóżkiem z drutem w rękach, jakby robił kocią kołyskę, tylko że opuszczałyby drut w stronę twojej szyi, a gdybyś chciała krzyknąć, wołać rodziców, z twojego gardła nie wydobyłyby się żaden dźwięk?

A gdybyś wracała ze szkoły i podszedłby do ciebie – gdzieś między przystankiem a domem – jakiś mężczyzna i zapytał o drogę, a potem złapał cię i zaciągnął w krzaki? Albo powiedział, że przeprowadza ankietę na temat szamponu czy batoników z muesli i chciałby zadać ci kilka pytań? I szust! Już cię ma.

Najpierw seks. Potem śmierć.

Rozmowy chłopców, przynajmniej gdy wiedzieli, że ich słyszemy, szły w innym kierunku, dotyczyły aktów bohaterstwa, brawurowych pościgów i ujęcia sprawcy na własną rękę. Niektórzy mówili o zorganizowaniu zasadzki na tego faceta. Gdy go zobaczą, od razu go poznają. Na pewno wygląda na wrednego typu. Otoczą go i zwiążą. Zrobią z niego hamburgera.

Dziewczyny, z którymi jadłam lunch, nigdy nie brały pod uwagę stawienia czoła zabójcy. Widziały się jako potencjalne ofiary, bezbronne w jego rękach, gdyby – zupełnie przypadkowo – postanowił je zaatakować.

W tym momencie każdy mężczyzna, szczególnie jeśli wyglądał trochę

dziwnie, był kwalifikowany jako potencjalny morderca. Do tej kategorii pasował nawet jeden z dostawców pizzy.

Widziałyście, jak na mnie patrzył, gdy podawał mi rachunek? – zapytała Soleil pewnego wieczoru, gdy dostawca wyszedł z domu Alison. Jakby sobie wyobrażał, jak wyglądam bez ubrania.

I ten trądzik. Żadna dziewczyna nie umówiłaby się z nim na randkę. To pewnie dlatego zaczają się na kobiety na wzgórzu. Jest zdesperowany, dodała Heather.

Moja mama mówi, żeby nie ufać nikomu, kto ma uszy, których płatki łączą się z bokiem twarzy, zamiast opadać w dół, odezwała się inna dziewczyna.

Miała na imię Delia. Alison ostatnio zaczęła ją zapraszać, najprawdopodobniej dlatego, że Delia miała brata bliźniaka, w którym Alison się podkochiwała. Dostawca pizzy miał właśnie takie uszy.

Pomyślcie, że to mógł być on! – wykrzyknęła Alison. Stał tutaj – drzwi do domu były otwarte, a ja szukałam długopisu, w krótkich spodenkach i białych skarpetkach!

To miało zasugerować Delii, że może powinien przyjść tu jej brat, żeby nas w razie czego bronić.

Powinnyśmy powiedzieć o nim twojemu ojcu, zwróciła się do mnie Alison. Mógłby kazać go śledzić. Jego odciski palców są na pudełku.

A jeśli zostawił coś dziwnego na pizzy? – podsunęła Soleil.

Masz na myśli truciznę?

Coś gorszego. Wiesz, co robią chłopcy, gdy myślą o seksie. Mógł potem trysnąć tym na pizzę, zanim nam ją przyniósł.

Ale jesteś obrzydliwa. Alison się skrzywiła.

Mimo wszystko zjadłyśmy tę pizzę. Jednak zamknęłyśmy się na klucz i otworzyłyśmy dopiero wtedy, gdy zjawili się chłopcy – Chase, Todd i oczywiście Teddy. Ten ostatni przyszedł po mnie.

Chłopcy już są! – zawołała Alison, gdy usłyszałyśmy, jak wchodzą i domagają się pizzy.

Jakby to oznaczało, że jesteśmy bezpieczne.

Jechaliśmy rowerami nieznaną nam drogą, dość daleko od naszej tradycyjnej trasy, gdy zobaczyliśmy samochód ojca zaparkowany na poboczu. Nie tego nieoznakowanego chevroleta, którym jeździł w pracy, tylko alfę romeo. Na ten widok jak zwykle serce podskoczyło mi w piersi.

Było wczesne popołudnie. Osiedle mieszkaniowe po drugiej stronie ulicy wyglądało inaczej niż to, do którego zabrał nas kilka lat temu, żeby odwiedzić Margaret Ann, ale przyszło mi do głowy, że ona teraz musi tutaj mieszkać. Przypomniałam sobie witrynę z lalkami, fioletoworóżową kanapkę z haftowanymi poduszkami, drzewko cytrynowe i pozytywkę. Wciąż słyszałam płytę Dusty Springfield, którą puszczała, gdy ją odwiedzaliśmy. Ojciec często słuchał jej w samochodzie, była na niej piosenka o wiatrakach i ta, którą uwielbiała Patty: *Just a little lovin'... early in the morning...*

Na tym osiedlu też był basen, choć, o ile pamiętałam poprzedni, ten wyglądał na o wiele bardziej zaniedbany. Do takich miejsc ludzie przeprowadzają się z tych lepszych, gdy im się nie powiedzie.

Poszukajmy go, zaproponowała Patty. Mimo że była krytyczna w stosunku do ojca, tak samo jak mnie zawsze podniecała ją myśl, że go zobaczy.

Możemy udawać, że jesteśmy harcerkami zbierającymi zamówienia na ciastka i pukać do drzwi, zasugerowałam. Albo po prostu poczekać, aż wyjdzie.

Byliśmy dobre w ukrywaniu się. Ciągłe się przed kimś chowałyśmy – dzwoniąc i uciekając sprzed drzwi Helen, oglądając telewizję przez okna sąsiadów. Teraz wydawało się to ryzykowne. Nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć, co tu się dzieje.

Pewnie pracuje nad jakąś sprawą, uznała Patty. Nie będziemy mu przeszkadzały. Tylko się przywitamy.

Pamiętasz tę kobietę, która częstowała nas herbatą w porcelanowych filiżankach, i napój Kool-Aid z parasolkami? – zapytałam. Tę od lalek?

Margaret Ann, szepnęła Patty.

Wciąż pamiętała jej imię, mimo iż żadna z nas od bardzo dawna go nie wymawiała.

Przypomniałam sobie siebie z Patty na kwiciastej kanapce Margaret Ann, kreskówki, napój ze słomką, śpiew kobiety o ochrypłym głosie i wyraz twarzy Margaret Ann, gdy wyszła z naszym ojcem z drugiego pokoju. Choć ostatnio tak często rozmyślałam o Teddym, nie znałam takiego pragnienia, a miały jeszcze upłynąć całe lata, zanim przyszło mi go doświadczyć. Jednak widziałam je w oczach ojca i Margaret Ann.

Chodźmy do domu, powiedziałam. Może gdy tu skończy, wpadnie do nas. Ale obie wiedziałyśmy, że tak się nie stanie. I miałyśmy rację.

W nocy po znalezieniu Pauli Fernandez śnił mi się Wampir ze Wzgórza. Tamtego dnia nie widziałam się z Alison, więc nie wiedziałam, jakie szczegóły ujawniono prasie, ale w nocy, w łóżku, zobaczyłam tę scenę. Zobaczyłam kobietę na szlaku w ostatnich chwilach jej życia.

Tym razem nie była to sportsmenka. Przyszła do parku Samuela P. Taylora w poszukiwaniu kota, który uciekł przez okno auta, gdy stała na stacji benzynowej w West Marin. Jechała na nocną zmianę do domu opieki w San Anselmo i zamierzała zostawić kota u weterynarza, bo rano miał zostać wykastrowany. Była już spóźniona do pracy, ale nie mogła przecież zostawić zwierzaka.

W moim śnie Paula stała na ścieżce niedaleko od wejścia do parku. Miała na sobie różowy pielęgniarzki uniform i białe buty. W ręku trzymała dużą czarną torbę. Otworzyła puszkę kociej karmy, którą wyjęła z torby z zakupami w samochodzie, w nadziei, że zapach może wywabi zwierzę z kryjówki.

Ale przywabiła Wampira.

Leżąc na wąskim łóżku tamtej nocy, słuchając równego oddechu siostry, znów doznałam tego okropnego uczucia. Nie chciałam, żeby mnie nawiedzało, ale z drugiej strony pragnęłam się czegoś dowiedzieć. Doszłam do wniosku, że w takich momentach mam dostęp do szczegółów tych przestępstw, których nie zna nikt w całym wydziale zabójstw. Wydawało mi się, że mam obowiązek utrzymywać ten obraz, choćby był nie wiadomo jak

przerażający, na wypadek gdyby miał on ujawnić coś, co może pomóc mojemu ojcu złapać mordercę.

Nie widziałam twarzy Wampira, tylko plecy. Stał w zagajniku obok stołu piknikowego, dookoła rosły eukaliptusy i wilgotny mech. W strumyku kumkały żaby, a przez korony drzew przeświecały ostatnie promienie słońca.

Czy może widział jej kota?

Kotek, uśmiechnął się. Koteczek. Podoba mi się twój uniform.

Oczywiście wiedziałam, co będzie dalej. Jeśli musiałam to zobaczyć, chciałam, żeby przypominało film w kinie lub w telewizji, który oglądałabym jako widz, jak wtedy, gdy siedziałyśmy na zboczu góry owinięte kocem i oglądałyśmy telewizję przez okno Helen. Miałam ochotę zmienić kanał. Oglądać coś innego. Wszystko, tylko nie to.

Patrząc na wyraz jego twarzy, kobieta domyśliła się, co się dzieje, bo krzyknęła:

Madre mia! Santos viene!

I jeszcze coś po hiszpańsku – może to była modlitwa, choć nie miałam pewności, bo nie znałam tego języka.

Chciałam wyskoczyć z łóżka i wspiać się na górę do siostry, ale nie zrobiłam tego. Mimo że byłam bardzo senna, przyszło mi do głowy, że powinnam poszukać czegoś, co pomogłoby mojemu ojcu złapać przestępcę.

Czarne mokasyny. Stalowy drut owinięty wokół grubych palców. Gdzieś z boku wśród liści odezwało się jakieś zwierzę. Kot? A może pies?

Nie widziałam jednak twarzy Wampira. Podchodził do kobiety w uniformie, trzymając rozciągnięty drut. Oddychał ciężko. *My... my... my... M... M... M... M... My Sharona.*

Jedynym sposobem, żeby to się skończyło, było obudzić się, ale wcześniej zobaczyłam, jak zakleja oczy kobiety taśmą, sięga do jej torebki, wyjmując szminkę i różaniec.

Różaniec założył jej na szyję, a szminką napisał na skórze słowo, które widziałam kiedyś na graffiti w tunelu pod autostradą 101, choć nie wiedziałam, co znaczy.

Put.

W tygodniu przed Bożym Narodzeniem Wampir znów zaatakował. Ofiarą była Tanya Pope, lat dwadzieścia jeden, studentka pedagogiki. Zbierała próbki mchu, które chciała wykorzystać w pracy wakacyjnej dla pierwszoklasistów – mieli budować terrarium. Na prezent dla rodziców.

Nasi sąsiedzi usiłowali podtrzymać świąteczną atmosferę. Wszędzie dookoła, na froncie każdego domu przy naszej ulicy, oprócz naszego, widniały świecące postacie świętego Mikołaja z reniferami, z okien sączyła się muzyka, widać też było migoczące choinki, a pod nimi sterty prezentów. Ludzie nosili czapki mikołajowe lub sztuczne rogi, wołali „Wesołych świąt!” i dawali sobie nawzajem cukierki w biało-czerwone paski, po czym wślizgiwali się do domów i zamykali drzwi na klucz.

W sobotę przed Bożym Narodzeniem Jennifer Pollack zorganizowała przyjęcie kolędowe dla sąsiadów. Wiedziałyśmy, że nasza mama nie pójdzie, ale Patty i ja ubrałyśmy się na czerwono i zielono (Patty założyła czerwony nos renifera Rudolfa) i poszłyśmy do Pollacków na zabawę.

Każdy miał przynieść jakiś prezent. Długo szukałyśmy w domu dwóch przedmiotów, które nie byłyby zepsute. W końcu zdecydowałyśmy się zapakować butelkę soli do kąpieli, znalezioną w szafce w łazience, i różową ramkę do zdjęć, którą mama dostała w pracy na Gwiazdkę kilka lat temu, ze zdjęciem Jaclyn Smith. Wyjęłyśmy je i włożyłyśmy na jego miejsce fotkę Micka Jaggera.

Widać było, że z okazji świąt wszyscy starają się zachowywać radośnie, ale przychodziło im to z trudem – nie dało się zapomnieć o tym, że znaleziono zwłoki młodej nauczycielki, niedaleko miejsca na wzgórzu, gdzie ja i Patty widziałyśmy dwoje nagich ludzi.

Karl Pollack nalewał grzane wino. Dla dzieci był przewidziany podobny napój, tylko bez alkoholu. Jennifer Pollack, w swetrze z wyhaftowanymi jagodami ostrokrzewu i dzwoneczkami, które pobrzękiwały przy każdym jej ruchu, rozdawała wszystkim śpiewniki i czapki Mikołaja.

Teraz, gdy w okolicy panuje takie napięcie, uznaliśmy, że to dobry czas, by ogłosić sąsiadom, iż spodziewamy się drugiego dziecka, oznajmiła. Nie chcieliśmy z tego robić wielkiego halo, dopóki nie minie pierwszy tryestr. Ale stwierdziliśmy, że sąsiadom przydadzą się dobre wiadomości.

Wygląda więc na to, że w lecie będziesz miała kolejnego klienta do

pilnowania, Rachel. – Karl Pollack uśmiechnął się do mnie.

Tamtej nocy bardzo padało, ale pan Pollack zebrał kilka golfowych parasolek, żeby nas osłonić, gdy szliśmy ulicą, śpiewając kolędy. Przed niektóre domy wychodziły dzieci w piżamach i ich rodzice. Gdy dotarliśmy do domu Helen, poczęstowała nas ciasteczkami własnej roboty.

Dajcie trochę waszemu ojcu, powiedziała. Ostatnio tak źle wygląda w tej telewizji, że przydałoby mu się trochę przytyć.

Dawniej mama zawsze stawiała małą, srebrną, sztuczną choinkę upstrzoną dekoracjami domowej roboty, takimi jak elf z szyszki sosnowej – którego zrobiłam w roku, gdy należałam do zuchów – gwiazda Patty z patyczków od lizaków i dwie ozdoby z pierwszych Gwiazdek, mojej i Patty, jednak w tym roku jakoś tego nie zrobiła, a ojciec, który dawniej zawsze zawoził nas do miasta, żebyśmy zobaczyły choinkę na Union Square, teraz wydawał się przygnieciony ciężarem nierozwiązanych spraw.

Tydzień przed Bożym Narodzeniem w centrum administracyjnym w miasteczku odbyła się kolejna demonstracja, której uczestnicy domagali się rozwiązania problemu Wampira ze Wzgórza. (Czy ktokolwiek naprawdę mógł pomyśleć, że nie to było celem?) Na niektórych transparentach wymieniano naszego ojca jako winnego temu, że kobiety nadal są mordowane na szlakach, zupełnie jakby był częścią jakiegoś spisku wymierzonego przeciw kobietom.

Kiedy mu się przyglądałam podczas Wigilii, gdy klęczał z nami na podłodze, a my zawieszałyśmy gwiazdkowe pończochy, wydawało mi się, że głosy kobiet pikietujących komendę w połączeniu z lamentami matek, którym przynosił wieści o zamordowanych córkach, i z krzykami mordowanych dziewcząt, które słyszał w wyobraźni, utworzyły w jego głowie coś w rodzaju koszmarnego, nieustannie powtarzającego się rytmu. Sama męczyłam się z takimi „pętlami” – wizje morderstw nawiedzały mnie prawie co noc, a płyty Cata Stevensa czy Crosby, Stills i Nash, które puszczałam na adapterze, nie mogły ich zagłuszyć. Słyszałam tylko jedną piosenkę, czy puszczała ją w radiu, czy nie – *My Sharona*. Obrazy ofiar, które pojawiały się w mojej głowie, były coraz straszniejsze i wyraźniejsze, choć oprócz obecności małego psa w jednej scenie, nigdy nie zauważyłam

niczego, co mogłoby służyć jako wskazówka i przyczynić się do ujęcia zabójcy.

Trudno mi było odnaleźć spokój ducha, ale wiedziałam, że ojcu jest o wiele trudniej. Ledwie słyszałam, co mówił do mamy podczas późnonocnych wizyt, ale zrozumiałam, że już prawie przestał sypiać.

Znałam go tak dobrze, że wiedziałam, jak musi się czuć. Ojciec był prawdziwym romantykiem, najbardziej szarmanckim mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam. Gdyby żył w średniowiecznej Europie, na pewno zostałby rycerzem. W dzisiejszym świecie mógł zostać tylko policjantem.

Dla mężczyzny, który przez całe życie uważał się za bohaterskiego obrońcę kobiet, stale rosnąca liczba ofiar i to, że nie mógł złapać mordercy (niemożność to inaczej impotencja; w tym kontekście słowo wydaje się ciekawe, choć przyszło mi to do głowy wiele lat później), były osobistym piekłem.

Był styczeń. Siedziałam na łóżku z Alison i Soleil w domu Alison. Oglądałyśmy coś w jej różowym telewizorku i jadłyśmy zapiekanki. W jakimś magazynie z wiadomościami historii zamordowanych dziewcząt poświęcono całą godzinę. Ich twarze tworzyły na ekranie kolaż – jak w czołówce serialu *Brady Bunch*. Ponury głos podawał nazwiska i wiek każdej z nich. Potem pokazano montaż złożony z innych zdjęć i materiałów filmowy z ich dzieciństwa, przyjęć urodzinowych, uroczystości ukończenia szkoły.

„Macie pojęcie, jak to jest, gdy na progu staje policjant i mówi, że wasza córka została zamordowana?” – mówiła kobieta na ekranie. Miała oczywiście na myśli mojego ojca. To na nim ciążyło brzemie tych wizyt, dokądkolwiek się udawał. Lekkość, z jaką wbiegał po dwa stopnie do domu Ann Margaret, zniknęła.

Kobieta w telewizji na pierwszy rzut oka wydawała się spokojna, ale głos miała piskliwy, szyję nienaturalnie sztywną, i spojrzenie, jakby właśnie wyszła z ciemnej szafy na palące słońce – wydawało mi się, że za moment zacznie krzyczeć. Kamera pokazała ją siedzącą przy stole zastawionym oprawionymi fotografiami jej córki – Tanyi Pope, ostatniej ofiary zabójcy.

„Najwyższy czas, żeby się do tego wzięli policjanci, którzy znają się na rzeczy – mówiła. To trwa już sześć miesięcy, a oni nie są ani trochę bliżej ujęcia mordercy niż na początku”.

Twój ojciec musi się paskudnie czuć, rzuciła Alison, sięgając po kolejnego misia-żelka bez cukru. Bo to on kieruje tym śledztwem, no i w ogóle.

Ten morderca nie zostawia żadnych śladów, odrzekłam. Poza tym wiesz, co zostawia w ciałach ofiar.

Miałam na myśli spermę, choć nigdy nie wymówiłabym tego słowa na głos.

Żadne z rodziców mi o tym nie powiedziało, jednak wiedziałam o gwałtach: pisały o tym gazety, mówili ludzie, miałam też wizje. Ostatnio widywałam w nich nie tylko morderstwa, ale właśnie gwałty.

Zaledwie rok wcześniej nauczycielka wuefu pokazała nam film pod tytułem *Jak zmieniają się nasze ciała*, z animowanymi rysunkami jajników przypominających giętkie słomki i zmian w macicy w ciągu cyklu menstruacyjnego. Przy akompaniamencie optymistycznej muzyki dziarskie plemniki i jajeczka spotykały się jak para starych przyjaciół w jakimś anonimowym miejscu, które mogło być szkolnym korytarzem, i łączyły w coś, z czego powstaje dziecko.

„Już od chwili twoich narodzin, mówił narrator, twoje ciało zawiera skarbnicę niezapłodnionych jajeczek. Zapas na całe życie. Gdy dostajesz okresu, to znak, że jajeczka są już zdolne do zapłodnienia. Teraz w twoim ciele może powstać dziecko”.

Dla wszystkich pozostałych dziewczyn z mojej klasy okres był już czymś dobrze znanym. Ja czekałam na niego od tak dawna, że doszłam do wniosku, iż z moim ciałem coś jest nie tak.

Przynajmniej nigdy nie zostaniesz nastoletnią matką. Patty jak zawsze starała się dostrzegać jasną stronę. Gdybyśmy były katoliczkami, mogłybyś wstąpić do klasztoru.

A w ogóle to, ciągnęła, nigdy nie rozumiałam, co jest takiego super w tym, że masz krew na majtkach. Moim zdaniem jesteś szczęściarą.

Już nie wiedziałam, kim jestem, oprócz tego, że odmieńcem. Seria morderstw zaczęła się mniej więcej w tym samym czasie, gdy już wszystkie

dziewczyny opowiadały o swoich miesiączkach, dlatego w jakiś niepokojący sposób te dwie rzeczy – zabijanie młodych kobiet i to, że nie mogłam doczekać się miesiączki – w mojej głowie się łączyły. Miałam wrażenie, że płodność niesie niebezpieczeństwo.

Na tym etapie życia nie znałam zbyt wielu przykładów czułych i pełnych miłości relacji między kobietą i mężczyzną czy między chłopakiem i dziewczyną. Nasi sąsiedzi, Pollackowie, byli dla siebie mili, ale, jak w przypadku rodziców z serialu o Bradych i rodziców z większości seriali, miało się wrażenie, że w ich relacji chodzi głównie o zajmowanie się domem i ogrodem, synkiem i dzieckiem w drodze, chodzenie do pracy i do supermarketu – bez widocznych przejawów namiętności. Nie było widać, żeby uprawiali seks, mimo że ciąża Jennifer Pollack była tego dowodem.

Gdy Karl Pollack późnym wieczorem wręczał mi pieniądze za pilnowanie dziecka, odprowadzał mnie trzy domy dalej do podjazdu przed naszym domem i stał jeszcze chwilę, patrząc, czy wchodzę bezpiecznie do środka, a potem wracał do siebie. Czasem myślałam, że to prawie jak zakończenie randki, a przynajmniej mojego wyobrażenia randki, tylko bez pocałunku na dobranoc. Raz, zanim doszliśmy do mojego domu, pan Pollack, strząsając ze mnie jakiegoś robaka, musnął przypadkiem moją pierś. (A jeśli zrobił to specjalnie? Może nie było żadnego robaka, tylko po prostu chciał mnie dotknąć?) Wyobraziłam sobie wtedy, że Karl Pollack gwałtownie przyciąga mnie do siebie i pochyla się, żeby mocno pocałować mnie w usta. Nie jak Teddy Bascom, ale długo i głęboko. I w tej fantazji oddawałam mu pocałunek.

Gdy odchodził, czasem próbowałam wymyślić, co może się dziać, gdy wraca do domu. Wyobrażałam sobie ich dwoje razem – Karla i Jennifer – nago. Pragnęłam wyobrazić sobie dla odmiany jakąś ładną scenę, jednak miałam w głowie pustkę. Widziałam tylko konie parzące się na wzgórzu i słyszałam wycie kojotów; słyszałam też dźwięki, jakie w sypialni Alison wydawał jej chłopak Chase, i Teddy, rozwalony na kanapie, zdyszany i trzymający mnie za włosy. Może niektórzy czerpali z tego przyjemność, ale gdyby człowiek nie wiedział, co robią, takie odgłosy mogła wydawać ofiara morderstwa.

Przy moim doświadczeniu życiowym przychodził mi do głowy tylko jeden obraz dwojga ludzi, którzy patrzyli na siebie z miłością i namiętnością,

a nie z gniewem, nie z rozpaczą, nieufnością, rozgoryczeniem czy rezygnacją. Ludzi, którzy wyraźnie pożąдали siebie nawzajem, u których zwykle dotknięcie wywoływało falę rozkoszy. To był obraz mojego ojca i Margaret Ann.

Myślę, że będziecie się teraz widywać o wiele częściej, powiedział do mnie i do Patty tamtego dnia w samochodzie.

Ale tak nie było. Oczywiście wiedziałam dlaczego. To ja wszystko zepsułam.

W ośrodku rekreacyjnym urządzano kiermasz walentynkowy. Postanowiłyśmy z Patty pójść i trochę się rozejrzeć.

Jeden chłopak z mojej klasy, Raymond – z którym nigdy nie rozmawiałam – sprzedawał popcorn, ciasteczka czekoladowe i kulki z dmuchanego ryżu pomalowane na różowo. Zbierał pieniądze na wycieczkę swojej drużyny skautowskiej do Waszyngtonu, na którą chcieli się wybrać w przyszłym roku w lecie. Miałam nadzieję, że mnie nie zauważy, ale niestety.

Ojciec pokazał mi dziś w gazecie list do redakcji, oznajmił. Ktoś napisał, że powinni wywalić waszego ojca i zatrudnić kogoś, kto będzie się znał na tej robocie. Pomyślałem, że powinniście o tym wiedzieć.

Ludzie są głupi, skwitowała Patty.

Mój tata mówi, że powinni w to włączyć FBI, dodał inny chłopak stojący przy straganie. Najwidoczniej jeszcze jeden skaut. W FBI mają komputery i w ogóle. Prawdziwych ekspertów od przestępstw, którzy wiedzą, co robić.

Czułam, że Raymond na mnie patrzy. Tak naprawdę to wiedziałam, że patrzy na moją klatkę piersiową, i zrozumiałam, że jest zainteresowany tym, czego tam nie ma: moimi piersiami.

Próbowałam myśleć o tym, co powiedziałyby mi ojciec. Nie pozwól, żeby jakikolwiek chłopak cię obrażał. Jednak nigdy nie wyjaśnił, jak powinniśmy zapobiec czemuś takiemu.

Wtedy przemówiła moja siostra, tym swoim zaskakująco stanowczym i silnym głosem, który potrafił nieść się przez całe boisko:

Nasz ojciec mógłby zgnieść twojego małym palcem, gdyby tylko zechciał,

wycedziła. Powiedz swojemu, żeby sobie zbadał wzrok.

To było niezłe. Ciekawe, czy Patty pamiętała, że ojciec Raymonda jest okulistą, czy po prostu udało jej się trafić.

Aha, rzucił chłopak. A powiedział ci ktoś kiedyś, żebyś sobie kupiła aparat na zęby?

Podczas lunchu znów siedziałam naprzeciwko Alison, która jak zwykle jadła surowe warzywa. Miało jej to pomóc osiągnąć figurę modelki, co mogłoby się stać, gdyby nie maczała każdej marchewki w dipie z sera pleśniowego. Dziewczyny gadały o zbliżającym się szkolnym balu, na który dziewczęta zapraszają chłopców. Ja powinnam zaprosić Teddy'ego Bascoma, ale to by oznaczało, że uważam go za mojego chłopaka, a mimo całego naszego obściskiwania się nie byłam pewna, czy naprawdę nim jest.

Po ostatnim morderstwie znaleźli ślady butów, oznajmiłam. Mój ojciec uważa, że pomoże mu to ustalić, jakie buty nosi morderca. Po deszczu było sporo błota, ale mimo wszystko udało im się zrobić odcisk.

To akurat choć raz było prawdą. Wiedziałam to od ojca, który zjawił się u nas poprzedniego wieczoru, gdy Patty i ja szłyśmy spać, żeby powiedzieć nam „dobranoc” i wypić z mamą drinka. Teraz to już była tradycja.

Zaczynałam zauważać, że moje informacje na temat sprawy Wampira już nie robią takiego wrażenia na dziewczynach w szkole jak kiedyś. We wrześniu Alison wręcz spijała słowa z moich ust, jednak teraz pozycja mojego ojca jako szefa wydziału zabójstw dla nikogo w szkole już się nie liczyła.

Znalezienie śladu podeszwy to naprawdę dobra wiadomość, brnęłam, nie doczekawszy się reakcji na poprzednią wypowiedź. Mój ojciec mówi, że ten facet jest tak sprytny, że to chyba, do tej pory, ich najlepszy trop.

Kilka miesięcy temu to oświadczenie wywołałoby lawinę pytań. Teraz nikt nie zareagował.

Pożałowałam, że w ogóle się odezwałam. Gdy wcześniej wymyślałam różne rzeczy na temat śledztwa, nigdy nie miałam poczucia winy. Teraz nagle poczułam się nie w porządku, ujawniając coś, co było prawdą, a nawet mówiąc po prostu o czymś, czym podzielił się ze mną ojciec. Tamta chwila

należała tylko do nas, aż do tego lunchu. A moje chwile z ojcem były zbyt cenne, żeby rozmawiać o nich w szkole.

Poprzedniego wieczoru przyszedł do naszej sypialni, żeby powiedzieć „dobranoc”. Dawno nie śpiewał nam którejs z ulubionych piosenek, ale teraz, usiadłszy na brzegu mojego łóżka, nawet nic nie mówił, tylko zaskakująco długo siedział w ciszy i mroku.

Patty zasnęła. Byliśmy tylko we dwoje, więc zapytałam go – czego nigdy nie robiłam – jak idzie śledztwo.

Nie potrafię ci skłamać, kochanie. Jest źle, westchnął. Ale możliwe, że teraz nastąpi jakiś przełom.

To wtedy opowiedział mi, że zrobili gipsowy odcisk śladu buta i że to pierwszy dobry trop, jaki mają od wielu tygodni.

Przyniosłem wam worek gipsu, dodał. Pomyślałem, że możecie zrobić z Patty coś fajnego, na przykład odciski swoich dłoni, a potem podarować je swojemu staruszkowi, żeby je sobie postawił na biurku w pracy.

Jaki on ma numer buta? – zapytałam. Miałam na myśli zabójcę.

Nie nabijaj sobie tym gnojkiem głowy, Farrah. Ojciec pogłaskał mnie po włosach. Wiem z doświadczenia, że gdy już raz do niej wejdzie, nie chce wyjść. To nie jest dobre dla zdrowia psychicznego.

No i co wtedy powiedział twój tata? – zapytała Alison, maczając kolejną marchewkę w dipie z sera. Zabrzmiało to, jakby była bardziej znudzona niż autentycznie zaciekawiona. Są bliscy schwywania go?

Gdy ten facet raz wejdzie ci do głowy, nie chce wyjść, powtórzyłam słowa ojca. Choć przecież obiecałam sobie, że będę już siedziała cicho. Jest jak wirus.

Albo jak w tym starym filmie *Egzorcysta*, dodała Soleil. Człowiek może zostać opętany.

Ale twój tata nie jest opętany, co? – zapytała Heather. Tak żeby oczy uciekały mu pod czaszkę, a z ust wypływała jakaś maź?

On jest zawodowcem. Policjanci wiedzą, jak się przed takim czymś bronić. Mój tata wie, jak sobie z tym radzić, żeby go to nie zniszczyło, powiedziałam.

Miałam nadzieję, że to prawda.

Ojciec nie był opętany, ale z nadejściem marca wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat. Wydawał się nie tylko zmęczony, ale znudzony, nigdy wcześniej go takim nie widziałam. Niektóre z tych zmian były tak niezauważalne, że nikt poza Patty i mną nie zdołałby ich wychwycić: ciężkie kroki na schodach, to, że nie przyniósł nam gardenii i czekolady w jego ulubione święto – walentynki. Strasznie schudł, jak nigdy wcześniej, a gdy podwoził mnie do szkoły, widziałam po przepełnionej popielniczce, że bardzo dużo pali. Raz tamtej zimy, gdy wziął mnie za rękę, żeby ogrzać ją chuchaniem, zauważyłam, że końce palców ma żółte od papierosów. Minęło bardzo dużo czasu, od kiedy jechaliśmy razem jego alfą z otwartymi oknami i odsuniętym szyberdachem, śpiewając na całe gardło *Volare*.

Raz u Alison zobaczyłam go w telewizji. Właśnie dostarczono nam pizzę do pokoju wypoczynkowego i rzucaliśmy się odrywać kawałki.

Od paru miesięcy nie było nowych morderstw na wzgórzu, może dlatego, że padało. Ponieważ deszcz miał niebawem ustać, a zabójca wciąż był na wolności, grupa obywateli wywierała nacisk na gubernatora, żeby przedsięwziął jakieś kroki w celu zapewnienia bezpieczeństwa w okolicy. Któryś z dziennikarzy poprosił mojego ojca o komentarz na temat postępów w śledztwie. Ale żadnych postępów nie było.

Siedziałam w salonie u Alison, a Heather malowała mi paznokcie u nóg. Ojciec stał przed mikrofonem i wyglądał jak na zdjęciu reklamowym „przed” zaaplikowaniem preparatu regenerującego. Skóra na jego twarzy obwisła, miał podpuchnięte oczy. Znając go i wiedząc, jak szczyił się swoim wyglądem, najbardziej przeraziłam się stanem jego włosów. Zwykle strzygł je sobie sam, tak regularnie, że nawet się nie zauważało, że są podcięte. Tym razem wyglądał, jakby złapał byle jakie nożyczki i ciachnął, nie zwracając sobie głowy zerkaniem w lustro.

A jeśli ten facet nadal będzie chodził i mordował ludzi? – odezwał się chłopak o imieniu Rich, nie kierując tego pytania do nikogo konkretnego.

Ja sobie załatwię pistolet, odezwała się Soleil, która nigdy nie była zbyt

bystra.

Ja namówię rodziców, żebyśmy przeprowadzili się do Los Angeles, rzekła Heather. Tam przynajmniej jest lepsza pogoda.

Moglibyśmy stworzyć brygadę antyterrorystyczną i patrolować szlaki z nunczako, zaproponował jeden z chłopaków. Następny kretyn.

Ja milczałam. Co mogłam powiedzieć? Okropne było to, że gdy teraz na niego patrzyłam, wolałabym, żeby nikt nie wiedział, że śledczy Anthony Torricelli jest moim ojcem. Może i byłam córką człowieka mianowanego obrońcą kobiet z hrabstwa Marin, ale skoro te kobiety wciąż były mordowane, jakie nam to wystawiało świadectwo?

Teddy Bascom uznał, że nadszedł czas, żebym się z nim przespała. Zakomunikował mi to – bynajmniej nie w romantyczny sposób, bardziej w stylu „Hej, zróbmy to” – pewnego popołudnia u Alison, po naszej tradycyjnej sesji: pierś, dłoń, lepka wilgoć.

Alison i Chase to robią, argumentował. Wszyscy to robią, gdy już chodzą ze sobą tak długo.

Nigdy nie rozumiałam, dlaczego ludzie używają terminu „chodzić ze sobą”. My z Teddym bez przerwy siedzieliśmy w pokoju wypoczynkowym Alison.

Trzyście lat to za wcześnie, zaprotestowałam, choć zbliżały się moje czternaste urodziny. (Czternaście lat. I wciąż nie miałam okresu). Mogłam przytoczyć całą garść innych powodów, szczególnie ten, że nie chciałam uprawiać seksu (tak naprawdę nie chciałam robić też tych wszystkich innych rzeczy, które robiliśmy przez cały czas), ale powiedziałam tylko tyle.

To, że nie idziemy na całość, nie jest dobre dla mojego zdrowia, stwierdził urażony Teddy. U facetów jest tak, że jeśli zbyt długo są niezaspokojeni, nawet jeśli mają wytryski, może im to zaszkodzić na jądra.

Nie wiedziałam, dlaczego to ja mam pilnować, żeby z jądrami Teddy’ego Bascoma wszystko było w porządku. On się jakoś nie przejmował moimi piersiami, a ja już zaczynałam się martwić, że jeśli dłużej będzie je tak maltretował, to się rozciągną i zaczną obwisać, jak u naszej mamy. Ale tego też mu nie powiedziałam. Powtórzyłam tylko, że trzyście lat to za wcześnie. A potem, nie dlatego, żeby zrobić wrażenie na Teddym, ale bardziej dla siebie i dla tej niewielkiej pociechy, jaką mogło mi przynieść wypowiedzenie tych słów na głos, dodałam: Mój ojciec by nie chciał, żebym to robiła.

Przecież mu nie powiesz.

On i tak będzie wiedział.

To była prawda, nie dlatego, że ojciec przypadkiem był śledczym, ale ponieważ tak bardzo mnie kochał, a jako że na ogół był nieobecny, odwiedzając nas, zauważał każdy szczegół. Wiedziałam, że gdybym zaczęła

uprawiać seks z Teddym Bascomem, coś by się we mnie zmieniło i ojciec natychmiast by to wychwycił.

Przez całe życie powtarzał nam, że jesteśmy wyjątkowe.

Wasi mężczyźni muszą traktować was jak księżniczki, bo inaczej będą mieli ze mną do czynienia, mawiał.

Gdy o tym pomyślałam, półożąc na kanapie z Teddym, który leżał na mnie, zaczęłam płakać.

O Jezusie, Teddy przewrócił oczami, teraz będzie ryczeć.

Nie szlochałam. Nie wydawałam żadnych dźwięków. Ale po twarzy płynęły mi łzy.

Nie do wiary! – wykrzyknął. Powinienem natychmiast z tobą zerwać.

To dobry pomysł, odparłam i uświadomiłam sobie – choć aż do tej chwili nie przyszło mi to do głowy – że nie chcę już spędzać popołudni na kanapie i pozwalać, żeby Teddy Bascom szarpał moje małe, smętne piersi i ocierał się penisem o moje dzinsy. W ogóle nie miałam ochoty być w tym pokoju ani z Teddym, ani z Alison, ani z jej paczką. Chciałam być w domu z moją siostrą.

Chyba już pójdę, mruknęłam.

Dom Alison w Peacock Gap stał po drugiej stronie autostrady. Na rowerze wróciłabym do siebie w piętnaście minut, ale piechotą było kilka kilometrów, a padał tak rześisty deszcz, że nie było nic widać.

Wiedziałam, jak bardzo ojciec jest zajęty śledztwem, ale może dlatego, że właśnie o nim myślałam, pragnęłam go zobaczyć bardziej niż kiedykolwiek. W kieszeni miałam parę dziesięciocentówek. Wystarczyło na rozmowę telefoniczną.

Odebrała jedna z jego zastępczyń. Gdy powiedziałam, że jestem córką detektywa Torricellego, natychmiast mnie połączyła. Przeprosiłam, że przeszkadzam mu w pracy.

Nic nie jest ważniejsze, gdy potrzebuje mnie jedna z moich dziewczynek, odpowiedział.

Zapytałam, czy mógłby po mnie przyjechać. Powiedziałam, że stoję przy

sklepie 7-Eleven przy autostradzie.

Już jadę, usłyszałam.

Zwykle jeździłyśmy jego alfą, ale tym razem przyjechał służbowym samochodem. Nieoznakowanym, jako że był śledczym, a nie zwykłym policjantem.

Och, Farrah! – wykrzyknął na mój widok. Kto cię skrzywdził? Powiedz mi, jak on się nazywa.

Pojechaliśmy koło piaskarni do miejsca, gdzie, gdy Patty i ja byłyśmy młodsze, tata uczył nas jazdy na rowerach, i gdzie kiedyś urządziliśmy sobie piknik z Margaret Ann. Tata rozstawił tam grę w bocce, która należała do jego ojca. Margaret Ann zabrała roztwór do puszczenia baniek mydlanych i nauczyła nas piosenki po francusku. To wtedy powiedziałam ojcu, że nie chcę już spędzać z nią czasu. Chciałam, żebyśmy byli tylko we trójkę, jak dawniej.

Szkoda, że musisz wciąż pracować, westchnęłam.

Gdy już przyskrzynimy tego zabójcę, zrobię sobie urlop. Zabiorę ciebie i Patty do Włoch.

Ojcowie naszych kolegów zaproponowaliby pewnie Disneyland. Nasz mówił o Wenecji.

Tato, czy boisz się czasem, że Wampir ze Wzgórza może spróbować dopaść ciebie? – zapytałam. Jeśli się dowie, że jesteś na jego tropie.

Potrafię o siebie zadbać, skarbie. O siebie i o moje dziewczynki też.

Nie wspomniał o pistolecie, ale wiedziałam, że ma go na kostce pod spodniami. Pistolet tkwił tam nawet teraz, gdy rozmawialiśmy w samochodzie, choć to nie obecność broni sprawiała, że czułam się przy ojcu bezpiecznie.

Położyłam mu głowę na ramieniu. Ponieważ siedzenia zajmowały całą szerokość auta, mogłam przytulić się do niego tak jak kiedyś w naszym starym kombi, gdy moja siostra i ja byłyśmy małe. Zapalił papierosa i pogładził mnie po głowie.

Przykro mi, że między waszą mamą a mną się nie ułożyło, rzekł. To

wspaniała kobieta. Nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić.

Zamierzałam zapytać, co z Margaret Ann, ale nie mogłam tego wydusić. Cokolwiek zaszło, było sprawą ich dwojga.

Myślisz, że jeszcze kiedyś się z kimś ożenisz? – zapytałam. Bardziej wprost nie mogłam tego zrobić.

Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie poślubiłaby takiego ponuraka jak twój staruszek. Zaśmiał się. A poza tym nie mam czasu być czyimś mężem. Za pierwszym razem wszystko schrzaniłem. Uznałem, że powinienem się wycofać, zanim zepsuję jeszcze więcej.

Jeśli o nas chodzi, to wszystko jest w porządku, zapewniłam go, mimo że tak nie było.

Przepraszam, że ostatnio rzadko do was przyjeżdżam. Westchnął. Przez cały sezon widziałem tylko jeden mecz twojej siostry.

Nie szkodzi, odparłam, choć myślałam co innego. Patty nie była beksą, ale wiedziałam po wyrazie jej twarzy, co czuła, gdy jej drużyna wygrała półfinały, co zapewniało jej miejsce w decydujących rozgrywkach, a ona rozglądała się po trybunach i widziała tylko ojców innych dzieci.

Kto by pomyślał, że na naszych szlakach zaczną grasować seryjni zabójcy, co? Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby ludzie trzymali się z dala od wzgórz, ale drań działa na coraz większym terenie, a kobiety wciąż tam przychodzą. Myślą, że jeśli w saszetkach przytroczonych do pasa mają gwizdek i scyzoryk, to im to pomoże. Zupełnie jakby nasze ostrzeżenia nie odnosiły się do nich.

Siedzenie w milczeniu z ojcem nigdy nie było krępujące. Wdychałam jego zapach zmieszany z wonią tytoniu i wody po goleniu. Gdy tamtego dnia przyglądałam się jego twarzy – już nie tak przystojnej jak kiedyś, ale twarzy, którą kochałam – przyszło mi do głowy pytanie: A co bym zrobiła, gdyby umarł?

Nie mogłam sobie wyobrazić świata bez ojca.

Żeby zmienić temat, zapytałam go, dlaczego chciał zostać policjantem. Pozwoliłam sobie na krótką fantazję, jak by to było, gdyby wykonywał inną pracę. Gdybym miała jednego z tych ojców, którzy wracają do domu o siedemnastej trzydzieści z teczką w ręku. Takiego, który gra w warcaby

i kolekcjonuje znaczki, a nie zabiera dzieciaka na podwójny seans filmów z Bondem od siedemnastu lat. To oczywiście byłby zupełnie inny człowiek. Nie on. A więc nieważne.

Może naoglądałem się za dużo filmów, odrzekł. Spodobała mi się wizja bycia bohaterem. Obrony niewinnych obywateli przed przestępcami. Ratowania kobiet, które zadały się ze złym facetem. Problem w tym, że gdy człowiek jest zajęty zbawianiem świata, może stracić z oczu własną rodzinę.

Zgasił papierosa. Choć raz nie zapalił od razu następnego. Siedział tak, głaszcząc mnie po głowie, i nagle poczułam tuż przy czaszce mocne szarpnięcie, tak szybkie, że nie zdążyło zboleć.

Ojciec splatał dla mnie pajęczka, czego nie robił dla żadnej z nas od bardzo dawna, od czasu sprzed morderstw. Gdy skończył, położył mi go na ramieniu – osiem odnóży wyczarowanych jakimś cudem z mojego jednego czarnego włosa. Wyglądał jak prawdziwy.

Powiedz ode mnie temu dupkowi, Farrah – temu, przez którego płakałaś – że jeśli jeszcze raz cię skrzywdzi, do końca życia będzie mu się śniła w koszmarach moja twarz, ostrzegł ojciec.

Włożył kluczyk do stacyjki i ruszyliśmy.

Był kwiecień. Pogoda już powinna robić się ładna, jednak każdego ranka budził nas szum deszczu. W ogóle nie przestawało padać. W poprzednich latach zdarzało się przynajmniej kilka dni, kiedy wychodziło słońce, żeby dać nam chwilę oddechu, ale tej wiosny wyglądało na to, że całe światło słoneczne skończyło się w grudniu i nie wiadomo było, kiedy powróci.

W ciągu pierwszych miesięcy po rozpoczęciu się serii morderstw świadomość, że na wolności przebywa seryjny zabójca, nie zniechęciła amatorów górskich wędrówek, jednak teraz na wzgórzu mało kto się pokazywał, częściowo ze strachu, ale na pewno też ze względu na pogodę. Minęły prawie cztery miesiące i nie znaleziono żadnych nowych zwłok. Był to najdłuższy okres bez morderstw, od kiedy Wampir zaczął atakować.

Jednak mojemu ojcu daleko było do odetchnięcia z ulgą. W odróżnieniu od innych nie wyczekiwał końca pory deszczowej, wiedział bowiem, że gdy znów wyjdzie słońce, pojawią się turyści i najprawdopodobniej również zabójca.

Kilka rodzin zamordowanych kobiet utworzyło grupę o nazwie Matki dla Sprawiedliwości. Żądały, żeby sprowadzić specjalną grupę ekspertów z zewnątrz. Ponieważ do większości morderstw doszło w parkach narodowych, zaangażowało się również FBI. Niedawno pewni znaczący obywatele, w tym kilku radnych, razem z delegacją grupy Zwróćcie Nam Naszą Górę, zaczęli się domagać, by sprawę przejęli agenci federalni. Według Matek dla Sprawiedliwości miejscowy wydział zabójstw, którego szefem był śledczy Anthony Torricelli, za długo popisywał się nieudolnością.

Znałyśmy opinię naszego ojca o FBI: była to banda zbyt wysoko opłacanych facetów w garniturach, z wymyślnymi gadżetami, którzy latają sobie po kraju, zatrzymują się w drogich hotelach, facetów, którzy nigdy w życiu się nie spocili ani nie trzymali w ręku pistoletu. Czy któryś z nich spędziłby cały dzień, objeżdżając giełdy używanych samochodów razem z dziewiętnastoletnim autostopowiczem, który widział stary model czerwonej toyoty na parkingu nieopodal miejsca niedawnej zbrodni, w nadziei, że zobaczą podobne auto? Czy członkowie grupy do zadań specjalnych siedzieliby na kanapie z matką Tanyi Pope, oglądając wszystkie jej zdjęcia

z dzieciństwa? Czy chodziliby po sklepach obuwniczych, szukając jakiegoś powiązania z odciskiem podeszwy buta, który być może – tylko być może – należał do zabójcy? Czy słuchaliby nagrania ośmioletniej Kelly Cunningham śpiewającej *Side by Side* podczas konkursu w trzeciej klasie?

Ojciec wpadał do nas teraz prawie co wieczór, żeby wypić kawę, lub częściej whisky, z naszą mamą. Być może to, że nie czuł się zmuszony, by ją uwodzić, tak jak te wszystkie inne kobiety (mama i tak nie dałaby się nabrać), pozwalało mu utrzymywać chyba jedyną naprawdę uczciwą relację z kobietą. Jeśli zaś chodzi o mamę, tak bardzo izolowała się od ludzi, że był jej najbliższym przyjacielem.

Niemal co noc słyszałam, jak rozmawiają w kuchni – syczenie ekspresu do kawy, pobrzękiwanie lodu w szklankach. Ojciec chyba przestał odróżniać dzień od nocy, a mama sypiała tak krótko, że było jej wszystko jedno, o której godzinie on przyjeżdża. W ogóle nie gasiła światła.

Zatrzymywał się u nas w drodze do swojego mieszkania, a może w drodze do biura w komendzie, gdzie wciąż miał mnóstwo papierkowej roboty. Trzeba było sprawdzić kilka tysięcy czerwonych toyot corona, a do ich listy dołączyła zupełnie inna marka i model auta, które mogło należeć do sprawcy: zielony fiat z wiszącym na wstecznym lusterku odświeżaczem powietrza w kształcie drzewka. Widziano, jak taki samochód ruszał pędem z parkingu w dniu morderstwa w Point Reyes.

Leżąc nocą w łóżku, miałam ochotę powiedzieć ojcu, że ja też wiem parę rzeczy o zabójcy. (Że ma czarne mokasyny. Grube palce. I być może psa). Ale wiedziałam, że kazałby mi przestać o tym myśleć.

Powinieneś się trochę przespać, Anthony, słyszałam głos mamy.

Mógłbym się położyć, ale na zaśnięcie raczej nie ma szans, odpowiedział.

Usłyszałam stuknięcie zapalniczki o stół i głęboki, ochryply kaszel, który teraz był nieodłączną częścią ojca, tak jak kiedyś śpiewanie.

Musisz pójść z tym do lekarza, stwierdziła mama.

Nie mogę nic zrobić, póki nie usłyszę, jak na przegubach tego gnoja zatraskują się kajdanki. Jeśli ktoś kiedyś zasługiwał na krzesło elektryczne, to na pewno on. Potem może znowu zacznę żyć. Zabiorę dziewczynki do Włoch. Przyrządę pyszną zapiekankę z bakłażanów.

Może najpierw pomyśl, żeby przestać tyle palić, poradziła mama. Choć ja nie jestem akurat odpowiednią osobą, by ci to wypominać.

Moja pozycja towarzyska w szkole się zmieniła – bynajmniej nie na lepsze – po zerwaniu z Teddym i jednoczesnym zakończeniu moich relacji z Alison, Soleil i ich paczką. Już nie byłam kimś, kogo się nie zauważa. Teraz byłam tą, której się unika.

Na początku ósmej klasy z powodu tego, kim był mój ojciec, stałam się sławna, teraz jednak ten sam fakt plus świadomość, że ta sprawa ciągnie się tak długo, wywołał efekt zupełnie przeciwny. Nikt nie miał mi już nic do powiedzenia, gdy mój ojciec wygłaszał oświadczenie dla prasy. Nikt już nie mówił, że wygląda jak Sean Connery. I tak bym tego nie usłyszała, bo teraz lunch jadałam samotnie.

Jednak mój problem towarzyski miał głębsze korzenie. Nie chodziło tylko o to, że jestem córką detektywa, który nie schwytał Wampira ze Wzgórza. Chodziło o Alison, Soleil i tę niewielką paczkę dziewczyn, które jakimś cudem przyjęły mnie do swego kręgu zaledwie kilka miesięcy temu, a teraz bardzo szybko usunęły mnie z niego tak nieodwołalnie, jakby nigdy nie wiedziały, jak się nazywam. Nie musiały mnie nawet informować o zmianie mojego statusu. Było to coś, co wyczułam już w poniedziałek rano po tym, jak powiedziałam Teddy'emu Bascomowi, że nie będę uprawiała z nim seksu. Spojrzenie, jakie rzuciła mi Alison, gdy weszłam do klasy, wystarczyło, bym zrozumiała, przy którym stoliku nie będę już więcej siadała w porze lunchu. Ona oczywiście uprawiała seks ze swoim chłopakiem, prawdopodobnie już od dłuższego czasu. To, że ja dokonałam innego wyboru (o czym już zapewne wiedzieli wszyscy w naszej klasie), musiała odebrać jako krytykę jej zachowania.

A może – co było prawdopodobne – szczegóły naszego zerwania z Teddym, podane do wiadomości publicznej, nie były prawdziwe? Teddy nie był przyzwyczajony do tego, że dziewczyna mu odmawia, bardzo możliwe więc, że ogłosił, iż to on zerwał ze mną. Może nawet opowiadał, że jestem łatwa. Albo zdesperowana. Bardzo możliwe, że teraz cała ósma klasa uważała mnie za dziwkę.

Niezależnie od tego, co dokładnie o mnie mówili, efekt był wyraźny. Po

szkole jechałam autobusem do domu. Teraz, o ironio, to moja siostra była zajęta, bo chodziła na treningi koszykówki. Miałam mnóstwo wolnego czasu i nic do roboty oprócz myślenia o Wampirze i o moim wybrakowanym ciele, przez które pozostawałam zawieszona między dzieciństwem a kobiecością. Nigdy nie czułam się bardziej samotna i nieszczęśliwa.

W ciągu wszystkich tych miesięcy, gdy spędzałam popołudnia u Alison, bardzo rzadko jeździłam na rowerze, ale pewnego dnia – wyjątkowo bezdeszczowego – wytarłam mojego starego schwinna z kurzu i napompowałam koła.

Wyruszyłam, nie mając w głowie żadnego konkretnego celu. Po prostu pedałowalam, żeby zabić czas, prawie nie zauważając, dokąd jadę. Po prostu przed siebie.

Jednak jakimś cudem znalazłam się znowu w Peacock Gap. Nie miałam zamiaru tam jechać, choć może przywiodła mnie w to miejsce tęsknota – pamięć o tych wszystkich popołudniach na łóżku Alison z Soleil, Heather i resztą dziewczyn, gdy jadłyśmy pizzę i zwierzałyśmy się sobie z tajemnic, prawdziwych lub wymyślonych.

Pedałowalam pod górę, mijając domy, w których automatyczne zraszacze podlewały nienaturalnie zielone trawniki – nieważne, że tej zimy i wiosny non stop padało – i meksykańskich ogrodników, którzy się nimi opiekowali. Tutaj drzwi wszystkich garaży otwierały się i zamykały automatycznie. To była dzielnica Alison i Soleil.

Droga wiodła wzdłuż terenów rekreacyjnych i pola golfowego, dalej obok kortów tenisowych, gdzie zobaczyłam grupę dziewczyn mniej więcej w moim wieku w atrakcyjnych strojach, rozgrywających jakiś turniej. Nieopodal, przy stolikach w cieniu parasoli, siedziały przyglądające im się matki.

W przeszłości często zazdrościłam tym dziewczynom – strojów do tenisa, raket, uroczych, życzliwych matek, tak innych od mojej, tak zaangażowanych we wszystko, co robią ich córki i gotowych w każdej chwili kupować im ciuchy i zawieźć, gdzie trzeba. Spróbowałam być jedną z takich dziewczyn i przez chwilę (ku obrzydzeniu mojej siostry) może nawet jedną z nich przypomiinałam.

Ale to już była przeszłość.

Zsiadłam z roweru, żeby przyjrzeć się scenie na korcie, właśnie w chwili, gdy najwyraźniej skończyła się rozgrywka tenisowa dziewczyn w moim wieku. Jedna z nich podeszła do siatki, żeby uścisnąć dłoń drugiej, a ich matki zaczęły zbierać dość spory dobytek: przekąski, sweterki, emulsje do opalania, aparaty fotograficzne, którymi uwieczniały grę, puszki z piłkami tenisowymi i zapasowe rakiety, na wypadek gdyby coś się stało z tymi, których córki używały podczas meczu.

Zauważyłam pewien drobiazg: matka dziewczyny, która wygrała, schowała wszystkie te dodatkowe rakiety do specjalnej torby. Wtedy przy stoliku pojawiła się jej córka i podała jej raketę, którą właśnie skończyła grać. Matka wręczyła córce napój izotoniczny i sweter. Dziewczyna ruszyła kilka kroków przed matką, a matka – niosąca lodówkę turystyczną, torebkę, piłki tenisowe i dużą torbę z raketami – poszła za nią. Dziewczyna niosła tylko okulary przeciwsłoneczne.

I wtedy stało się coś dziwnego: poczułam przyływ miłości do osoby, o której nie myślałam zbyt często, do mojej pozornie zaniedbującej swoje obowiązki mamy, która nigdy nie mówiła mi, w co mam się ubrać, nie zabierała mnie do pedikiurzystki ani nie zachęcała, żebym zapisała się do cheerleaderek. W tej chwili siedziała prawdopodobnie w bibliotece i szukała książek jakichś nieznanymi hinduskich guru albo poezji Sylvii Plath. Nieważne, gdzie była, tamtego dnia wydało mi się cudowne, że ona po prostu zostawia mnie i Patty wybór. Mimo że często był on inny od tego, czego oczekiwała.

Zeszłego roku na Gwiazdkę dostałam tabliczkę *ouija* do seansów spirytystycznych. Ponieważ deszcz nie ustawał i na oglądanie filmów przez okna sąsiadów było za mokro (nie dostawałam też zaproszeń do Alison), spędzałam wieczory z siostrą. Po jej treningu siadałyśmy po przeciwnych stronach kuchennego stołu i dotykając palcami krawędzi plastikowego wskaźnika, zadawałyśmy pytania dotyczące naszego życia i świata. Gdy miałyśmy świeczki, zapalałyśmy je.

Podczas naszej pierwszej sesji Patty zdołała nawiązać kontakt z członkami rodziny Fletcherów, którzy zmarli z głodu, przeprawiając się przez przełęcz Donner, i w końcu zostali zjedzeni przez współtowarzyszy – dziwne, bo

właśnie ten temat omawiali w tym roku w szóstej klasie. Gdy Patty zapytała panią Fletcher, czy ma coś do powiedzenia, kobieta odpowiedziała serią spółgłosek, które – przy odrobinie wyobraźni – układały się w słowa: „Następnym razem zostańcie w domu”.

W ciągu kolejnych tygodni przeszliśmy do bardziej aktualnych tematów, takich jak wyniki Patty w koszykówce (czy jej drużyna wygra turniej?) i płęć dziecka pani Pollack. Korciło mnie, by zapytać, kiedy, i czy w ogóle, dostanę okres, ale za bardzo bałam się odpowiedzi. Gdy zerwałam z Teddym Bascomem, Patty zapytała tabliczkę, czy jeszcze kiedyś się z nim zejdę.

„W życiu. To palant”, poinformowała nas tabliczka, a przynajmniej tak twierdziła Patty.

Czy kiedyś będę grała w Lidze Kobiet? – zapytała.

„TRNJ. INTNSW” – Trenuj. Intensywnie.

Tabliczka zatrzymała się nad słowem „tak”.

Najlepiej było zacząć od wezwania, prosząc jakiegoś ducha, żeby skontaktował się z nami z tamtego świata, z miejsca, w którym przebywają zmarli. Czasem nikt nie był dostępny. Może wszyscy udali się do innych dziewczynek, które robiły to samo co my?

Pewnego wieczoru poczułam szczególnie palącą potrzebę wyjęcia tabliczki. Tym razem zastałyśmy jakiegoś ducha, który miał ochotę na rozmowę.

Przedstawiła się jako Zara. Zginęła w wypadku samochodowym około dziesięciu lat wcześniej, niedaleko autostrady 101. Zapytałam ją, czy słyszała o wyczynach Wampira ze Wzgórza.

Wiadomości przesyłanych do naszej tabliczki z tamtego świata (jeśli w ogóle stamtąd pochodziły) nigdy nie było łatwo rozszyfrować. Pojawiało się wiele dodatkowych liter albo były one pomieszane. Osoba odbierająca komunikaty musiała mieć sporą inwencję, żeby je zrozumieć.

Przewidując ten problem, wyposażyłam więc moją siostrę w blok biurowy i długopis, żeby zapisywała litery, które pokazywał wskaźnik. Tym sposobem łatwiej było rozgryźć, co próbuje nam powiedzieć ten ktoś, kto znajduje się po drugiej stronie – na przykład Zara. Jednak to, co ukazało się jako odpowiedź na pierwsze pytanie, było bardzo wyraźne.

Tabliczka przesunęła się do słowa „tak”. Nasz duch odpowiedział, że słyszał o Wampirze.

„FJOOFIRQY TU. ZMN TRZZ” – ofiary tu ze mną teraz.

Super! – ucieszyła się Patty. Teraz możemy zapytać te dziewczyny, kto je zabił.

„ZLCZLWKJJ” – zły człowiek.

RSGSX.

Pierwsze litery były niezrozumiałe. Ale nie dwie ostatnie. „Seks”. Chciał od nich seksu.

Czy możesz powiedzieć coś więcej? – zapytałam. Ile on ma lat? Jakiego koloru ma włosy? Musimy wiedzieć, kim jest, żeby nasz ojciec mógł go aresztować.

„NIIMX WLS” – nie ma włosów.

„CHCSKSC. WSKK” – chce seksu. Wysoki.

Znaczenie niektórych liter pozostawało niejasne, ale tę część zrozumiałam.

Spojrzałam przez stół na siostrę, jej koniuszki palców dotykały moich – wyraz zaskoczenia na jej twarzy oznaczał, że mocno się koncentruje.

Wskaźnik znowu zaczął się poruszać.

„PS. KT. PS.” Tym razem Patty nawet nie musiała sięgać po długopis, żeby zapisać litery. Zrozumiałam i bez tego.

Wskaźnik napisał „pies”, to oczywiste. W tym wszystkim był jakiś pies. A ja widziałam psa w mojej wizji. W dniu zamordowania Naomi Berman w Muir Woods.

Wtedy wskaźnik znieruchomiał. Siedziałyśmy w ciemnej już kuchni, nie dotykałyśmy tabliczki, tylko oddychałyśmy ciężko.

Co twoim zdaniem miała na myśli Zara? – odezwała się Patty. Może on ma zamiar następnym razem zabić psa?

Wszyscy zawsze się zastanawiali, jakim cudem Wampirowi udawało się uśpić czujność tych kobiet, gdy do nich podchodził. Dlaczego, widząc mężczyznę zbliżającego się do nich na szlaku, wiedząc o wszystkich poprzednich morderstwach, nie rzucały się do ucieczki?

Może, jak sugerowała moja wizja, Wampir ze Wzgórza miał psa?
Uroczonego, małego psiaka.

Był piątkowy wieczór – jak zwykle deszczowy. Żeńska drużyna junierek Catholic Youth Organization grała przeciwko drużynie St. Vincent w mistrzostwach sezonowych. Poprzedniego dnia ukazała się w gazecie wiadomość na temat tego meczu. Pisano w niej głównie o mojej siostrze jako o najmłodszej zawodniczce drużyny, która zdobywa dla niej najwięcej punktów. *Tej zawodniczce warto się przyglądać*, tak napisał dziennikarz. W artykule wyjawiono, kim jest ojciec Patty. Nasze nazwisko było teraz dobrze znane w całym hrabstwie, choć to, że ludziom kojarzyło się z serią morderstw, nie napawało nas dumą.

Wycięłam artykuł o Patty i przyczepiłam do naszej tablicy razem ze zdjęciem, na którym moja siostra wykonywała właśnie niesamowity rzut za trzy punkty. Na zdjęciu Patty miała ten swój zaskoczony wyraz twarzy i szeroko otwarte oczy, jakby piłka przeszła przez obręcz w jakiś magiczny sposób. Gdy wycinałam tę notatkę, pominęłam ostatni akapit, w którym wspomniano o ojcu, ale Patty go widziała.

Wiadomo było, że nasza mama raczej nie chodzi na mecze, Patty przestała też mieć nadzieję na przybycie ojca, nie mówiąc już o podwiezieniu jej do hali. Dlatego też, jak często się zdarzało, na mecz zawiózł nas pan Armitage. Mimo że ja nie kryłam się z tym, iż uważałam, że pan Armitage jest dziwakiem, moja siostra w ciągu tych wielu miesięcy wyprowadzania jego psa i regularnych odwiedzin, podczas których rozmawiali o Petrze przy ciasteczkach i piwie imbirowym z lodami, zaprzyjaźniła się z nim.

Ponieważ był to ważny mecz, zjawily się wszystkie dzieciaki z naszej szkoły, a wśród nich Teddy Bascom, który udawał, że mnie nie widzi. Razem z przyjaciółką Alison, Violet, opierał się o ścianę, a każde z nich trzymało rękę w kieszeni drugiego. Nie zrobiło to na mnie wrażenia.

Trudniej było mi patrzeć na święte dziewczyn, z którymi przyszła Alison – oczywiście Soleil, Heather i inne, znane mi z wielu godzin spędzonych na malowaniu sobie nawzajem paznokci w pokoju wypoczynkowym Alison. Wyglądało na to, że dla nich już nie istnieję.

Jak leci? – rzuciłam do Alison, przechodząc obok sektora trybun,

w którym się usadowiły. Właściwie nie miałam im nic do powiedzenia. Nie chciałam tylko zachowywać się jak ktoś, kto się czegoś wstydzi. „Nie pozwól, by źle cię traktowano”.

Fajne masz dzinsy, odpowiedziała ona. Wcale nie były nowe, a kiedy jeszcze były, zostały kupione w K-Marcie.

Siedziałam sama na moim zwykłym miejscu, wysoko na trybunach, skąd mogłam obserwować siostrę, nie będąc na tyle blisko niej, żeby odczuwać jej stres lub przekazywać jej swoje zdenerwowanie. Patty nie mogła znieść jednej rzeczy: gdy musiała siedzieć na linii bocznej, szczególnie jeśli nie dostała po prostu przerwy na odpoczynek, tylko zeszła z boiska za przekroczenie limitu przewinień, a najgorzej było (tak jak w tej chwili), gdy jej drużyna przegrywała kilkunastoma punktami. Strasznie cierpiała, że nie może być na boisku i przechwytywać piłki. Patty była nieśmiała w innych życiowych sytuacjach, ale na boisku, gdy raz przejęła piłkę, była niczym bezdomny pies walczący o kość.

Z miejsca, w którym siedziałam, po drugiej stronie boiska dostrzegłam kobietę, siedzącą niemal tak wysoko jak ja, i podobnie jak ja samotną. Nie wyglądała na niczyją matkę. Przede wszystkim nie miała fryzury jak typowa matka, włosy spływały jej poniżej ramion, ale nie tylko o to chodziło. Matki podczas meczu koncentrowały się na swoich grających dzieciach. Ta kobieta wydawała się skupiać uwagę na drzwiach do hali, jakby dla niej istotna akcja miała się rozegrać tam, a nie na boisku.

Była osobą, która wyróżnia się w tłumie. Emanowało z niej jakieś napięcie i dawało się wyczuć, że to, iż jest w tej sali, dużo dla niej znaczy, choć nie z tego samego powodu co dla pozostałych.

Skądś ją znałam, ale dopiero w trzeciej kwarcie przypomniało mi się skąd.

Od kiedy widziałam ją po raz ostatni, minęło pięć lat. To była Margaret Ann, kobieta, dzięki której twarz mojego ojca rozjaśniała się w taki sposób, jakiego nie widziałam nigdy wcześniej ani później. Kobieta, obok domu której przejeżdżaliśmy z ojcem, nawet się nie zatrzymując. On tylko patrzył w jej okno. Kobieta, z powodu której nasza mama oświadczyła, że jeśli ojciec kiedykolwiek ponownie się ożeni, jego córki nigdy mu tego nie wybaczą.

Gdy usłyszałam te słowa, uwierzyłam w nie.

Mój ojciec też.

Margaret Ann wciąż była bardzo ładna – widziałam to nawet z tej odległości – ale teraz nosiła okulary i chyba trochę przytyła. W czasach, kiedy jeszcze ją odwiedzałyśmy, ojciec mawiał, że jest taka szczupła, że mógłby objąć ją dłońmi w talii, ale to chyba nie mogło być prawdą.

Margaret Ann. Nie miałam wątpliwości, co robi na meczu mojej siostry. Na pewno nie przyszła kibicować.

Była na tym meczu z tego samego powodu co ja – miała nadzieję, że będzie tu mój ojciec. Przyszła nawet niekoniecznie po to, żeby z nim porozmawiać, ale by pobyć tam, gdzie on, pooddychać tym samym powietrzem. Jedno spojrzenie na nią i to wyczułam: pragnęła go zobaczyć tak samo jak my. Choćby miało to trwać tylko chwilę.

Zjawił się w trakcie czwartej kwarty, właśnie wtedy, gdy moja siostra wykonywała rzut wolny. Udał jej się, oczywiście, i zdobyła dla swojej drużyny, CYO Warriors, jeden punkt przewagi nad rywalkami z Saintsów. Przez całą pierwszą połowę Patty nie przestawała zerkać na trybuny i szukać go wzrokiem w tłumie, ale teraz już dała za wygraną i skupiła się wyłącznie na grze.

Mimo że w tym sezonie wypatrywała go tyle razy, nie byłam pewna, czy widziała, jak wśliznął się na miejsce w ostatnim rzędzie, wysoko na trybunach, czy zobaczyła kwiaty, które trzymał na kolanach, a które miał jej wręczyć po meczu. Jeśli nawet ktoś siedzący obok zauważył, że wszedł – był przecież człowiekiem, w którym obywatele hrabstwa Marin, przynajmniej przez jakiś czas, pokładali wszystkie nadzieje i wierzyli, że złapie Wampira ze Wzgórza. Teraz jednak obwiniano go o to, że mu się to nie udało, choć nikt nie dał tego po sobie poznać. Był po prostu zmęczonym kibicem koszykówki, sądząc po bukiecie, pewnie czyimś tata, który wyglądał, jakby miał wielką ochotę zapalić.

Margaret Ann go zauważyła. Mimo że siedziałam daleko, widziałam, jak się wyprostowała, gdy wchodził na trybuny, i dotknęła ręką włosów. Zdjęła okulary. Założyła je. Znowu zdjęła. Patrzyła na boisko, jednak wiedziałam, że jest skupiona na ojcu.

Przez wszystkie te miesiące moje myśli zajmował człowiek, którym nie

chciałam zaprzętać sobie głowy, jednak tamtego wieczoru, przynajmniej przez chwilę, wyobraziłam sobie, jakby to było być Margaret Ann. Jej usta się nie poruszały, ale wiedziałam, że się modli. „Spójrz w moją stronę, Tony. Jestem tutaj”.

Nie zauważył jej. Patrzył na boisko, na którym szalała moja siostra. Dwa razy w ciągu minuty złapała odbitą piłkę i ją odrzuciła, zdobywając punkt. Popędziła w przeciwną stronę boiska, żeby znów przejąć piłkę, wsadziła ją do kosza tak, że ta nawet nie dotknęła tablicy, poprowadziła ją po boisku, wykonała rzut spoza linii i podała do zawodniczki ze swojej drużyny, która zdobyła punkt.

Ta dziewczyna zawsze trafia, powiedział jakiś mężczyzna siedzący obok mnie.

To córka tego detektywa, wyjaśniła jego żona. Pisali w gazecie.

Mogłaby nauczyć ojca paru rzeczy, prychnął mąż. Dziewczyna wie, jak walczyć o swoje.

Przyglądałam się ojcu przez szerokość boiska – wyobrażałam sobie, co widzi teraz Margaret Ann, jeśli, jak się domyślałam, od dawna się nie spotykali. Że bardzo schudł. Że posiwiął. Przygarbił się. Że na jego twarzy maluje się znużenie.

Jednak domyślałam się, że dla Margaret Ann te rzeczy nie istnieją. Dla niej mój ojciec wciąż był najprzystojniejszym mężczyzną w hrabstwie Marin, któremu nadal nie można się było oprzeć. Dopingowała teraz drużynę mojej siostry, ale myślała tylko o nim.

A on, siedząc samotnie na trybunach, wpatrzony w Patty, w ogóle się tego nie domyślał.

„Spójrz. Spójrz. Spójrz”, mówiłam do niego, choć tylko w myślach. Jest tu ktoś, kto kocha cię najbardziej na świecie. Kobieta, która nadal wierzy, że to ty zawiesiłeś księżyc na niebie. Nawet ja to widziałam. Mimo że kiedyś mnie to złościło, teraz byłam zadowolona, że tak jest.

Odezwał się brzęczyk. Siedemdziesiąt osiem do sześćdziesięciu pięciu dla drużyny Warriors. Ojciec wstał i z różami w ręku zaczął schodzić z trybun na boisko, żeby odszukać Patty.

Wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Na chwilę odwrócił wzrok od

zawodników na boisku i spojrzał na trybuny, gdzie przez cały czas siedziała Margaret Ann. Miał taką minę, jakby doznał wstrząsu elektrycznego. Zesztywniał, zmienił się na twarzy i przez chwilę byłam pewna, że ją zobaczył.

Jednak Margaret Ann już nie było. Gdy spojrzałam na miejsce, na którym siedziała, było puste.

Zostaliśmy już tylko my. Pojechaliśmy do domu alfą, ja z siostrą ściśnięte na jednym siedzeniu, Patty z pucharem na kolanach, bo nie chciała postawić go na podłodze.

Świetnie grałaś, Patty Cakes, pochwalił ją ojciec.

Inaczej się gra, gdy się wie, że patrzy ktoś, na kim ci zależy, odpowiedziała ona.

Przez chwilę myślałam, że mu powiem.

„Nie zgadniesz, kogo widziałam na meczu...”

Tylko co dalej? Nie potrafił wymyślić dalszego ciągu pięć lat temu, więc tym bardziej nie zrobi tego teraz. Myśl o niej tylko by go zasmuciła. O ile bezustannie nie napawała go smutkiem.

Kiedyś byłyby to dobry moment na nastawienie *That's Amore*, jednak dziś wracaliśmy do domu w ciszy. Siostra ścisnęła puchar. Towarzyszył nam tylko szum wycieraczek ścierających deszcz z przedniej szyby.

W tamtym roku mieliśmy najbardziej deszczową zimę od bardzo dawna i w odróżnieniu od innych lat deszcz nie ustał nawet pod koniec kwietnia. Jednak wszyscy wiedzieli, że lepsza pogoda kiedyś nadejdzie, a gdy mgła wreszcie opadnie i na wzgórze wróci słońce, prawdopodobnie wróci także Wampir.

Dawniej kwiecień był miesiącem, gdy zaczynały się przygotowania do dorocznego musicalu w amfiteatrze na naszej górze. Zawsze około Wielkanocy ogłaszano, który musical będzie wystawiany tego lata. Jednak w tamtym roku zapadła decyzja, że w związku z morderstwami żadnego spektaklu nie będzie. Nie wypadało stepować i śpiewać wesołych piosenek na wzgórze tak blisko miejsca, w którym popełniono brutalne zbrodnie. Byłby to brak szacunku dla ofiar, co więcej, byłoby to niebezpieczne. Nawet gdyby ludzie mieli ochotę wspiąć się na górę, by zobaczyć przedstawienie, zachęcanie ich, żeby wracali na szlaki, gdy zabójca wciąż jest na wolności, oznaczało szukanie guza.

Zabójca musiał się tym upajać. Na pewno tak było. Czułam to, wiedziałam, że śledzi wszystkie doniesienia i że deszczowe miesiące, podczas których nie mógł grasować na wzgórze, sprawiły, że zrobił się niespokojny. Z całą pewnością ekscytował się, oglądając wiadomości, słuchając dziennikarzy opisujących rosnącą desperację policji, wynikającą z niemożności schwytania zabójcy, i widząc ziarniste zdjęcia swoich ofiar, pojawiające się co chwila na ekranie.

Charlene Gray. Lexi Shaw. Naomi Berman. Kelly Cunningham. Willa DePaul. Znałam ich nazwiska na pamięć, a także szczegóły każdego morderstwa i rysy ich twarzy. Szczegóły znałam nie tylko z podsłuchanych w środku nocy rozmów rodziców i strzępków informacji, które podawały gazety, czy plotek rozpowszechnianych przez Alison, kiedy byłyśmy „przyjaciółkami”. Nie, o arogancji i niewątpliwym poczuciu triumfu mordercy wiedziałam z tego, co rozgrywało się w mojej głowie.

Wiedziałam, że lubi siadać przed telewizorem i patrzeć, jak mój ojciec wchodzi na podwyższenie i informuje dziennikarzy, że nie ma im nic nowego do powiedzenia. Wiedziałam, że zauważa jego przygarbione ramiona, to, że

schudł. Wiedziałam, że sprawia mu przyjemność, iż to on jest sprawcą tego wszystkiego, co ogląda w telewizji, łącznie z mizernym wyglądem śledczego Anthony'ego Torricellego.

Widziałam w głowie, jak zabójca stoi przed kuchenką mikrofalową w kuchni pełnej pudełek po pizzy i wyjada pudding czekoladowy prosto z pojemnika. Sprawdza prognozę pogody, nie mogąc się doczekać dnia, kiedy wreszcie znowu wyjdzie na wzgórze ze struną z fortepianu.

Telewizor był włączony. Znowu o nim mówili. I po raz kolejny przez ekran przewijały się zdjęcia zamordowanych kobiet.

Przyglądał się twarzom swoich ofiar patrzących na niego z telewizora, przypominał sobie, jak błagały, żeby pozwolił im żyć, kiedy struna, którą zaciskał wokół ich szyi, odcinała im dopływ powietrza.

Otworzył szufladę. Wyjął jedną ze swoich cennych sznurówek. Podłubał w zębach jej końcówką.

Na ekranie telewizora dziennikarz wciąż coś gadał – teraz o specgrupie – ale zabójca już nie słuchał. Wyobrażałam go sobie jako jakieś zwierzę, jako rekina w *Szczękach* przecinającego taflę wody. Albo sępa, który krąży nad zboczem góry, dostrzega małe martwe zwierzątko i ma wtedy tylko jeden cel.

Dopaść je.

Usiadłam na łóżku, włączyłam światło i zobaczyłam plakat Petera Framptona, nowy puchar mojej siostry, róże wstawione do słoika. Zdjęcie moje i Patty w tramwaju. Pudełko na biżuterię z przeżutą gumą.

Zrozumiałam, że on niebawem wróci.

Na urodziny ojca – „zmiana kodu na czwórkę z przodu”, jak to określiła jedna z kelnerek w Marin Joe's – Patty i ja zrobiłyśmy mu tiramisu.

Nie miałyśmy przepisu, ale znałyśmy podstawowe składniki. Biszkopty, serek mascarpone, wiórki czekolady, mnóstwo bitej śmietany.

W drodze do domu zatrzymałyśmy się w supermarkecie, żeby kupić produkty. Gdy skończyłyśmy przyrządzać deser, przykryłyśmy go folią i ułożyłyśmy w koszyku rowerowym Patty. Dawno nie składałyśmy ojcu wizyt na komendzie w centrum administracyjnym miasteczka. Nie mogłyśmy

się doczekać, kiedy wręczymy mu nasze tiramisu.

Do centrum miałyśmy trzy kilometry, przez większą część drogi jechało się autostradą, po której śmigają samochody. Gdy dotarłyśmy na miejsce, niebo było prawie ciemne, ale po budynku jak zwykle kręcili się ludzie – mężczyźni w garniturach, pewnie wychodzący z sądu, urzędnicy, mieszkańcy, którzy przyszli obejrzyć plany swoich posiadłości czy zapłacić podatek. No i policjanci.

Wjechałyśmy windą do biura ojca na pierwszym piętrze, niedaleko sal sądowych, gdzie odbywały się procesy przestępców. Gdy byłyśmy małe, mama czasem nas tu przyprowadzała, żebyśmy zjadły z ojcem lunch w stołówce.

Ten budynek został zaprojektowany przez słynnego człowieka, Franka Lloyda Wrighta, objaśniła nam. Niektórym bardzo się nie podobał jego nowoczesny wygląd, ale ja go lubię.

W tamtych czasach ojciec trzymał na biurku zdjęcie nas trzech – mamy, Patty i mnie. Teraz było tam tylko zdjęcie moje i Patty. No i wielka sterta papierów, stos tekturowych teczek, dwa telefony, kilka kubków z resztkami zimnej kawy i popielniczka, która wyglądała na nieopróżnioną od tygodnia, choć mogły w niej być niedopałki tylko z tego dnia. Na ścianie za ojcem wisiały rzędem fotografie uśmiechniętych młodych kobiet. Wszystkie miały ciemne włosy i spoglądały z ufnością w przyszłość. Ofiary morderstw.

Nagle poczułyśmy, że chyba nie powinno nas tu być.

Przywiozłyśmy ci niespodziankę, powiedziałam. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Jak się tu dostałyście? – zapytał. Jego głos brzmiał chropawo, wcześniej taki nie był.

Na rowerach, odrzekła Patty. Jechałyśmy autostradą, ale trzymałyśmy się pobocza, więc samochody były daleko od nas.

Nie ważcie się tego powtarzać! – krzyknął ojciec. Odwiozę was do domu.

Zrobiłyśmy dla ciebie deser, odezwała się cicho Patty. Tiramisu.

Wiedziałam, że ojciec stara się wyglądać na szczęśliwego i podeksytowanego. Ale zerkał też na zegarek.

Dostawa specjalna od Betty Crocker i Julii Child, zażartował. Czym sobie

zasłużyłem na takie szczęście?

Czy później przygotują tu przyjęcie dla ciebie? – chciała wiedzieć Patty. I dla innych policjantów?

Ostatnio nie jesteśmy raczej w nastroju do zabawy, westchnął ojciec. Chodźcie, wrzucimy wasze rowery do bagażnika.

Gdy wyszliśmy na dwór, miałam próbkę tego, jak wygląda teraz życie ojca.

W ciągu pół godziny, które spędziłyśmy w komendzie, zebrał się niewielki tłumek dziennikarzy z notatnikami i magnetofonami, kilku miało mikrofony i kamery. Gdy dostrzegli ojca, rzucili się w jego stronę.

Widział pan już to oświadczenie prasowe, detektywie Torricelli?! – zawołał jeden z nich. Kilka rodzin ofiar wystosowało skargę na brak postępów w pracy wydziału zabójstw hrabstwa Marin. Apelują do gubernatora o powołanie agentów FBI, aby przejęli śledztwo w sprawie Wampira.

Czy potrafi pan przewidzieć, jak porażka pańskiego śledztwa wpłynie na szanse szeryfa na reelekcję? – To był inny głos, natarczywy, wybijający się ponad gwar.

Czy to prawda, że gubernator wezwał pana, żeby wyrazić swoje zaniepokojenie? Czy petycja obywateli miała z tym coś wspólnego?

Czy może pan wyjaśnić, dlaczego wasz wydział wciąż nie podał nazwiska ani jednego podejrzanego o te morderstwa?

Jaka jest pana reakcja na zarzuty, że to pański wydział jest pośrednio odpowiedzialny za śmierć tych kobiet?

Początkowo, gdy ojciec zobaczył dziennikarzy, próbował ich zignorować i iść dalej. Jednak w końcu zatrzymał się przed jednym z mikrofonów. Gdy przemówił, w jego głosie brzmiało napięcie, którego nie było, gdy po raz pierwszy rozmawiał z nimi na temat morderstw.

Nadal odczuwam wyłącznie dumę z pracy wykonywanej przez wydział zabójstw naszego hrabstwa, odpowiedział głosem bez wyrazu, jak automat. Z całą pewnością jesteśmy w stanie współpracować z władzami federalnymi

i mamy nadzieję, że nasz wysiłek przyczyni się wreszcie do oddania osobnika odpowiedzialnego za te zbrodnie w ręce sprawiedliwości. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

Czy to pańskie córki?! – krzyknął ktoś. Jakaś kobieta.

Ojciec odwrócił się gwałtownie i przez moment kamery skupiły się na mnie i na Patty.

Rozległa się kakofonia głosów. („Kakofonia” – słówko, które poznaje się w ósmej klasie).

A gdyby to któraś z pańskich córek dostała się w jego ręce?

Z innej strony pytanie:

Jak mają na imię?

I jeszcze:

Która z nich to ta koszykarka?

Możesz na mnie spojrzeć, kochanie?! – krzyknął ktoś do mnie. Mężczyzna z aparatem fotograficznym. Błysk. Potem kolejny.

To, co nastąpiło później, rozegrało się jak w zwolnionym tempie. Ojciec uniósł rękę i przez sekundę myślałam, że uderzy tego mężczyznę, ale jego dłoń nie zwinęła się w pięść, tylko rozcapierzył palce, żeby zasłonić obiektyw. Poczułam na plecach jego szerokie ramię. Przycisnął nasze twarze do swojej kurtki, odwrócił od fleszy, wydając dźwięk, który przypominał ryk zwierzęcia.

Nigdy więcej tego nie rób! – krzyknął do mężczyzny z aparatem. Niech ci nigdy, przenigdy nawet nie przejdzie przez myśl, żeby pokazać twarz mojego dziecka w telewizji.

Minutę później siedzieliśmy w samochodzie i wracaliśmy autostradą 101 do naszego domu przy Morning Glory Court.

Nie musiałeś się tak wściekać, gdy mówiłeś o mnie do tych dziennikarzy, odezwałam się. Zachowywałeś się bardzo nieprzyjemnie.

Wściekałem się, bo naprawdę byłem wściekły, Farrah, odparł. Dziennikarze nie mają prawa pokazywać waszych twarzy w telewizji. To nie tylko nieetyczne, ale też niebezpieczne.

Ojciec nie powiedział wtedy nic więcej, ale widziałam po jego minie,

o czym myśli. Ja również byłam świadoma, co to oznacza.

Morderca lubił oglądać telewizję. Szczególnie kiedy mówiono o nim.

Wampir ze Wzgórza zdążył już uznać naszego ojca za wroga. Teraz dowiedział się, że detektyw Torricelli ma dwie córki. Wiedział też, jak wyglądają.

Jako że w domu Armitage'ów najwyraźniej nie było telewizora, który mogłybyśmy oglądać przez okno, sama nie wiem, co zaniósł mnie z Patty tamtego wieczoru do ich zaułka. Czasem lubiliśmy po prostu patrzeć na gwiazdy, a ta ślepa uliczka przy końcu Morning Glory Court – pozbawiona drzew i niezastłonięta innymi dachami czy antenami telewizyjnymi – stanowiła najlepsze miejsce do obserwowania nieba. Do tego deszcz, który dręczył nas od miesiący, wreszcie ustał.

Byliśmy poza domem później niż zwykle. Na niebie wisiał zaledwie cieniutki okrawek księżyca, co sprawiało, że my byliśmy mniej widoczne, a wnętrza mijanych przez nas domów bardziej.

W salonie państwa Armitage'ów nie paliło się światło, jednak w sypialni, której okno było niemal tak duże jak w salonie i wychodziło na zbocze góry, wyraźnie widziałyśmy postać na wpół ubranej osoby. Kobiety.

Najpierw myślałyśmy, że to pani Armitage rozbiera się do snu. To nas zaniepokoiło, zważywszy, że od kiedy widziałyśmy ją ostatnio, minęło wiele miesięcy. Podczas żadnego z popołudni, które Patty spędziła w ich domu, pan Armitage nie wspomniał ani słowem o żonie, a Patty – uznawszy, że nie są po rozwodzie, lecz w separacji – nigdy nie zapytała swojego pracodawcy, co się stało z jego żoną.

A teraz ona stała w sypialni. Znów w kapeluszu. Widocznie nosiła go nawet we wnętrzach. Na toaletce leżała ta sama duża brązowa torebka. Przez oparcie krzesła przerzucona była ta sama sukienka w kropki. Kobieta pewnie szykowała się do snu. Choć trudno było sobie wyobrazić, że pan Armitage uprawia seks, może jednak tak było.

Dopiero po chwili zrozumiłyśmy, że osoba, którą widziałyśmy przez okno, nie zdejmuje ubrania, jak można by się spodziewać o tej porze, tylko je wkłada.

I wtedy zorientowałyśmy się, że choć ta osoba ma zamiar ubrać się w sukienkę, nie jest to pani Armitage. To był pan Armitage, który stał przed lustrem, zapinał biustonosz, a potem zaczął wkładać rajstopy.

Patty i ja zamarłyśmy na zboczu góry, patrząc, jak wkłada kolorową sukienkę przez głowę i wsuwa ręce w rękawy. Trudno określić dlaczego, ale wydawało się, że jego ruchy różnią się od ruchów kobiety wykonującej tę samą czynność. Zwłaszcza gdy przeszedł do kolejnego punktu – gdy to dziwnie krzepkie ramię sięgnęło do pleców, by zasunąć zamek, a duża dłoń wygładziła spódnicę na szerokich, męskich pośladkach, które, jak już zrozumiwałyśmy, należały do pana, a nie pani Armitage.

Nie wiem, jak długo tam stałyśmy. Gdy pan Armitage się ubrał, stał przed lustrem, przestępując z nogi na nogę i unosząc ramiona, poruszając nieco biodrami i przechylając głowę na jedną, później na drugą stronę, wciąż w kapeluszu przystrojonym wisienkami. Wyglądało to trochę tak, jakby tańczył, choć nie miałyśmy pewności, czy gra jakaś muzyka. I tak byśmy jej nie słyszały. Być może był umalowany, ale nie mogłyśmy tego dostrzec, bo widziałyśmy go od tyłu.

Sukienka. Buty. A na jego głowie, jak dekoracja na torcie, mały słomiany kapelusz – ten sam, który nosił podczas wieczornych wypraw z psem – ozdobiony wstążką i kiścią wisienek. Stojąc przed lustrem, poprawiał jego rondo.

Myślisz, że jego żona o tym wie? – wyjąkała Patty.

Nie ma żadnej żony, głuptasie, prychnęłam. Tylko on.

Patty milczała przez chwilę, przetrawiając moje słowa.

Po co on to robi?

Nie miałam na to odpowiedzi. Jednak żyłam już na tyle długo, by wiedzieć, że ludzie robią wiele rzeczy, które pozornie nie mają sensu. Na przykład nasz ojciec palił mnóstwo papierosów, choć mówiłyśmy mu, że to szkodzi na płuca. Mama co wieczór wracała do domu i znikła w swojej sypialni ze stertą książek z biblioteki. A teraz to: nasz siwiejący i łysiejący sąsiad przebierał się w damskie ciuszki. Jak coś takiego zrozumieć?

Moja siostra widziała to inaczej.

Wielkie mi co. Wzruszyła ramionami. Na pewno mnóstwo ludzi dokładnie

w tej chwili robi w swoich domach dziwne rzeczy. Tylko ich nie widzimy.

Dziwne? – powtórzyłam. Tak o tym myślisz?

Może on chciałby mieć dziewczynę, ale nie ma? – zastanawiała się Patty. A może po prostu chciałby być kobietą.

Trzymaj się od niego z daleka, ostrzegłam ją. To psychol. Nie powinnaś tam więcej chodzić.

Nie rozumiem, o co to całe zamieszanie. Wkładanie babskich ciuchów nikomu nie robi krzywdy.

Stałyśmy jeszcze przez chwilę w ciemności, usiłując jakoś ogarnąć tę scenę. Pan Armitage w lustrze. Gwiazdy. Zarys góry na tle rozświetlonego księżycem nieba i wycie kojota w oddali.

Trzeba się bać tych, którzy chcą zdejmować ubrania z dziewcząt, a nie tych, którzy sami je wkładają, podsumowała moja siostra.

Poza tym, jakie miałam prawo orzekać, że trzeba się trzymać od kogoś z daleka, skoro w ciągu kilku ostatnich miesięcy wszystkie popołudnia spędzałam w zatęchłym starym pokoju wypoczynkowym, pozwalając się poniewierać Teddy'emu Bascomowi?

Później przyjechał ojciec. Była druga, może trzecia nad ranem.

Wyglądasz okropnie, jęknęła mama.

Wiedziałem, że tak będzie, gdy tylko deszcz ustanie, wykrztusił ojciec. Dziś rano znaleźliśmy kolejną ofiarę.

Usłyszałyśmy jego głos – choć bardzo słabo – wstałam z łóżka i kucnęłam obok drzwi. Zawsze zajmowałam taką pozycję, żeby lepiej ich słyszeć. Po raz pierwszy, od kiedy zaczęły się te morderstwa, to, co brzmiało w głosie ojca, przypominało rozpacz.

Nie mogę o tym rozmawiać z nikim oprócz ciebie, Lil, szepnął.

Znaleźli ją na wzgórzu? – spytała mama.

W Tennessee Valley. Na skarpie. Przyszła tam para młodych ludzi, żeby obejrzeć wschód słońca. To oni ją znaleźli. Wszyscy myślą, że najgorsze jest oglądanie zwłok, ciągnął. Nie twierdzę, że to przyjemny widok. Jednak najgorsze przychodzi później, kiedy trzeba zawiadomić rodzinę.

Tego zadania nie zlecał innym pracownikom wydziału zabójstw, chociaż mógłby. Gdy mordowano młodą kobietę, mój ojciec czuł, że to on, jako prowadzący śledztwo, powinien zapukać do drzwi jej rodziny.

Rodzice Jean-Marie Doucette nie żyli. Jej matka zmarła, gdy ona i jej siostra były małe, a ojciec przegrał walkę z rakiem kilka miesięcy wcześniej. Tego dnia mój ojciec pojechał do Ukiah, gdzie mieszkała jej starsza siostra z mężem i dziećmi.

Dziwne, ale wiedziała, kim jestem, zanim otworzyłem usta, opowiadał ojciec. A przecież nie mieszka w okolicy, więc w jej stronach nie mówi się zbyt wiele o Wampirze ze Wzgórza. Jednak wystarczyło, że spojrzała na mnie, gdy stanąłem w progu – nie miałem munduru i nawet nie wyciągnąłem odznaki – i zaczęła krzyczeć: „Zabił Jeannie, tak?! Wiedziałaś, od wczoraj miałam przeczucie, że coś jej się stało”. I upadła na podłogę.

Słuchając go, wyobrażałam sobie, jak by to było usłyszeć taką wiadomość o jednym z moich rodziców czy o Patty. Gdybym kiedykolwiek miała podobną wizję, chyba bym jej nie zniosła.

Przycisnęłam ucho do drzwi, wstrzymując oddech, żeby jego dźwięk nie zagłuszał głosów rodziców. Głos mamy był cichy, jednak mogłam rozróżnić słowa.

Robisz, co w twojej mocy, Anthony, tłumaczyła mu. Usłyszałam grzechotanie lodu w czyjejsz szklance. Nalewanie nowej porcji. Nikt nie może mieć do ciebie pretensji, że go nie złapano.

Powinienem był zabezpieczyć to urwisko, jęknął.

I wtedy rozległ się dźwięk, jakiego nie słyszałam nigdy wcześniej, bardziej wytrącający z równowagi niż syrena karetki pogotowia lub straży pożarnej, czy wycie kojota w nocy. Ten dźwięk wydawał nasz ojciec. Nie był to wprawdzie płacz, ale coś bardzo podobnego.

Zawiodłem te kobiety. Zawiodłem wszystkich, których kocham najbardziej na świecie, Lilian. Łącznie z tobą.

Mama coś mu na to odpowiedziała, ale tak cicho, że niczego nie usłyszałam. Trudno mi sobie jednak było wyobrazić słowa, które mogłyby pocieszyć ojca tamtej nocy.

Gdy odjechał, leżałam na dolnym łóżku, wpatrując się w listewki łóżka Patty nade mną, słuchając jej cichego, krzepiącego oddechu, i zastanawiałam się, czy nie wspiąć się po drabince i nie położyć obok niej. Z zewnątrz znów dochodziło wycie kojota – jak zwykle przy nowiu. Zadrżałam. Miałam wrażenie, że cała reszta świata rozpada się na kawałki, a ja pragnęłam uchwycić się mocno jedynej osoby, która na pewno nie zniknie.

Przez całe życie uważałam, że to ojciec jest tym, kto nas uratuje, lecz teraz uzmysłowiłam sobie, że to on potrzebuje naszej pomocy.

Szczegóły poznałyśmy nazajutrz, czytając pierwszą stronę „Marin Independent Journal”. Jean-Marie Doucette, lat dwadzieścia siedem, przyszła na plażę, na którą prowadził szlak Tennessee Valley, tuż przed zachodem słońca. W dzieciństwie ojciec zabierał tam ją i jej siostrę. Wróciła, by rozsypać jego prochy nad Pacyfikiem.

W gazecie nie napisano o tym zbyt dużo, ale z dziwnie sformułowanych wypowiedzi jej siostry wynikało, że co do prochów ojca między córkami musiała istnieć jakaś różnica zdań, w której rezultacie Jean-Marie przebyła cały szlak od parkingu Tennessee Valley do urwiska, gdzie najwyraźniej zastał ją morderca.

W momencie, gdy ją złapał, Jean-Marie jeszcze nie zdążyła rozsypać prochów z klifu. Zawierający je pojemnik został znaleziony jakiś metr od jej ciała, razem z egzemplarzem powieści *Mewa*. Zabójca nie zainteresował się książką, lecz niewątpliwie zabrał ofierze sznurówki.

W nocy, gdy leżałam w łóżku, to znów się pojawiło. Ścierpła mi skóra i poczułam jakby dreszcz gorączki. Potem pokazała się seria różnych obrazów przesuwających się w mojej głowie jak film i wszystko inne przestało istnieć – piętrowe łóżko, Cat Stevens, szum lodówki, pohukiwanie sowy, posapywanie mojej siostry.

Dziewczyna stała na klifie w Tennessee Valley – w miejscu, do którego również nas zabierali rodzice, gdy byliśmy małe. Kiedyś znajdował się tam stary fort; w skale nadal wydrążone były bunkry o ścianach pokrytych graffiti – tam pewnie przychodziły nastolatki palić trawkę i uprawiać seks.

June kocha Billy’ego. Vic i Pam, ’72. Seth jest homo. Teraz zobaczyłam, że to nie ja tam stoję. Była to młoda kobieta – właściwie dziewczyna – o długich brązowych włosach związanych w koński ogon, w workowatej bluzie. Nie widziałam jej twarzy, bo była odwrócona plecami. Patrzyła w stronę oceanu.

Niżej, szlakiem, szedł w jej stronę jakiś mężczyzna. Dostrzegł ją jeszcze na plaży i wybrał spośród innych (matka z niemowlęciem w nosidełku na piersi, mąż rzuca psu piłkę tenisową; kobieta i mężczyzna trzymają się za

ręce; kobieta siedzi samotnie na kłodzie wyrzuconej przez wodę, też ładna, ale blondynka, w dodatku o bardzo krótkich włosach). Jean-Marie była tą, za którą poszedł szlakiem, i teraz już prawie dotarł do miejsca, gdzie stała. Gdy się do niej zbliżał, jego kroki były ciężkie. Odcinał jej drogę odwrotu.

Trzymała coś w ręku, jakiś pojemnik. Prochy ojca, które siostra zabroniła jej tam rozsypać. Mimo że były sobie bliskie, w tej kwestii się nie zgadzały.

Dziewczyna spoglądała na mętne, szare fale oceanu. Gdzieś daleko na horyzoncie wypływał w morze zbiornikowiec. Westchnęła tak, jakby uchodziło z niej całe powietrze, pojedynczą sylabą: „Ach”.

Bo zobaczyła trzy delfiny – podpłynęły do brzegu na tyle blisko, że widziała ich śmieszne delfinie pyski, które wyglądały, jakby zwierzęta się uśmiechały.

Nie chciałam na to patrzeć, ale musiałam.

Byłam świadoma, że mężczyzna trzyma w ręku naprężony drut. Podszedł do Jean-Marie, uniósł drut nad jej głową i przybliżył do szyi. Pociągnął mocno do siebie.

Zdołała wydać tylko jeden dźwięk – choć równie dobrze mógł to być skrzek mewy – nieludzki, bardziej ptasi.

Widziałam, jak drut zaciska się wokół jej szyi. Widziałam dłonie mężczyzny. Dziewczyna odpychała go rozpaczliwie, a przynajmniej próbowała. I znów ręce mężczyzny ciągnące ją za włosy, jakby kowboj trzymał mocno lejce. Ona usiłowała wierzgać, ale on był od niej silniejszy.

Para z niemowlęciem w dole na plaży na moment spojrzała w górę. Wydawało się, że coś usłyszeli. Słońce jednak świeciło im w oczy, więc odwrócili wzrok. Nie było słychać nic oprócz ryku oceanu i skrzeczenia mew. Poza tym dziewczyna nie wydała już więcej żadnego dźwięku, bo odcięto jej dopływ powietrza.

Para z dzieckiem zawróciła.

To samo zrobił morderca, który stał plecami do mnie.

Znów zobaczyłam czarne buty schodzące z urwiska. Zupełnie nie pasowały do takiego miejsca.

Zobaczyłam też samochód. Chyba ciemnoniebieski, ale trudno było to stwierdzić w zapadającym mroku. Zobaczyłam rękę, która włożyła klucz

do stacyjki, i but na pedale gazu. Grube palce włączające radio. Znowu ta piosenka, *My Sharona*. Śpiewał razem z radiem: *Always get it up... for the touch... of the younger kind*.

Usiadłam na łóżku, spuściłam stopy na podłogę i wstałam. Rozejrzałam się po pokoju.

I wtedy ujrzałam coś tak wyraźnie jak twarz Mike'a Brady'ego na ekranie telewizora przez okno Helen. Tak dokładnie jak twarz Teddy'ego Bascoma w pokoju wypoczynkowym Alison Kerwin, pochylającego się, żeby rozpiąć mi bluzkę. Jak moją własną twarz w lustrze, przed którym teraz stałam, dygocząc.

To była twarz mordercy.

Dotarło to do mnie, gdy leżałam i gapiłam się na listewki łóżka siostry, słuchając jej oddechu i głosu Cata Stevensa z płyty. I wtedy nagle wszystko stało się jasne i oczywiste. Nie rozumiałam, dlaczego zajęło mi to tak dużo czasu.

To pan Armitage był Wampirem ze Wzgórza.

KREĆCISZ MNIE,
STRASZNIE MNIE KREĆCISZ

Oto, czego nauczyłam się w ciągu czterdziestu czterech lat życia na temat trzynastolatek. Zdobyłam to doświadczenie, sama będąc kiedyś trzynastolatką, potem siostrą trzynastolatki oraz koleżanką, a później ekskoleżanką całej ich grupy.

Trzynastoletnie dziewczynki żyją w dwóch różnych światach. Funkcjonują jak obywatelki dwóch różnych krajów lub mieszkanki dwóch różnych planet. Choć różnią się one tak bardzo jak Papua Nowa Gwinea od Chorwacji czy Merkury od Saturna, trzynastolatki przemieszczają się między nimi z taką łatwością jak z jednej strony mostu Golden Gate na drugą (i to nawet nie w godzinie szczytu) czy z North Beach na Morning Glory Court. A jeśli się zastanowić, to nawet jeszcze swobodniej.

Trzynastolatka wciąż jest dzieckiem, któremu sprawia frajdę podpalenie trawy w puszcze, ekscytującym się widokiem sąsiada, który, otworzywszy drzwi na dźwięk dzwonka, nie znajduje nikogo, tylko słyszy szelest w krzakach. Trzynastolatka naprawdę wierzy, że nie może wyjść za Johna Travoltę tylko dlatego, że on ma już dziewczynę, że obcięcie włosów przez Petera Framptona to tragedia i że gdy zadzwoni do niej pewien konkretny chłopak – czy nawet dziewczyna – to jest to najcudowniejsze wydarzenie w jej życiu. Trzynastolatki wierzą, że ich ojcowie są bohaterzy, a macochy wredne. Wierzą w słowa piosenek i w rady innych trzynastolatek, i w to, że pierwszego chłopaka, w którym się zakochają, będą kochały do końca życia.

Ich ciała (a przynajmniej moje w tym wieku) bardziej przypominają ciała chłopców niż kobiet. Jednak w tych dziewczęcych ciałach coś się dzieje, coś innego niż w ciałach chłopców czy mężczyzn. Oczywiście rosną im piersi. Zaczyna się krwawienie. Tęsknota za dotykiem może wydawać się dziewczynce w tym wieku paląca jak ogień.

I jeszcze te wszystkie jajeczka – zapas na całe życie, jak uczą ją w szkole – zmagazynowane w jajnikach już od chwili narodzin, czekające, aż reszta jej ciała dojrzeje, by mogły się w niej rozwijać. Trzynastolatka wie, że jej ciało może już stworzyć dziecko. Tylko co by z nim zrobiła? Przecież ona jeszcze czasem bawi się lalkami. Jest jednak zafascynowana tą swoją nową zdolnością. A trochę przerażona.

Trzynastolatka nienawidzi swojej matki. Uwielbia ojca. Nienawidzi ojca. Uwielbia matkę. Jak tu żyć?

Trzynastolatki są duże i małe, chude i grube. I takie, i takie. Ani takie, ani takie. Mają gładką, idealną cerę, a czasem przez jedną noc z ich twarzami robi się coś strasznego. Mogą płakać nad martwym ptaszkiem, a sprawiać wrażenie nieczułych na pogrzebie któregoś z dziadków. Są wrażliwe. Są podłe. Błyskotliwe. Tępe. Brzydkie. Piękne.

Teraz o seksie: seks jest obrzydliwy, przerażający i chce się myśleć tylko o nim. Trzynastolatka nie chce myśleć o seksie. Myśli wyłącznie o seksie.

Dla niej wszystko jest dramatem. Odczuwa wszystko dziesięć razy intensywniej niż dziesięcio- czy piętnastolatka. Gdy pojawia się okres – albo, jak w moim przypadku, gdy się nie pojawia – staje się posiadaczką najpotężniejszego sekretu. Jak można chodzić sobie jak gdyby nigdy nic, gdy wypływa z człowieka cała ta krew? Nikt nic nie mówi. Tylko ona o tym wie.

Zagląda do szuflad u ludzi, którym pilnuje dziecka, szukając akcesoriów związanych z seksem – zdejmuje opakowanie z prezerwatywy i nadmuchuje ją jak balon, po czym wpycha do kieszeni, żeby zniszczyć dowód. A gdy w któryś piątkowy wieczór znajdzie interesującą bluzkę czy sukienkę należącą do pracodawczyni (lub, co bardziej prawdopodobne, coś z bielizny), może ją nawet przymierzyć.

Kłamie. Pewnego dnia mówi koleżance w szkole, że jest pierwszym na świecie dzieckiem z próbówki. (Podciągnęła majtki wysoko nad talię, więc gdy unosi bluzkę, pokazuje gładką skórę. „Widzisz, nie mam pępka”. Koleżanka jej wierzy, bo też jest trzynastolatką).

Wysłała liścik (naturalnie anonimowo) do niepopularnego kolegi z klasy, w którym pisze, że wie, iż zmoczył się w autobusie, gdy wracali ze szkolnej wycieczki – tak bardzo jest wredna. Jest też jednak zdolna do wielkiej życzliwości. Podczas tej samej wycieczki usiadła obok dziewczynki z porażeniem mózgowym, tej, która się ślini.

Trzynastolatka ma specjalne zdolności. Ta sama dziewczynka, która wierzy w wiadomości przesyłane przez tabliczkę *ouija* lub w deklarację przyjaźni kogoś, kto następnego dnia w stołówce przejdzie obok niej bez słowa, może też w pewnych momentach być mądra jak dorosła kobieta albo nawet filozof. Choć właściwie to nie jest mądrość, a bardziej pierwotna

zdolność, której nie posiadał nikt inny, dar odczuwania – bo u niej czucie dominuje nad wszystkim innym – który za kilka lat, albo nawet miesięcy, stanie się odległym wspomnieniem.

Gdy odwołuje się do tej swojej mądrości – a dzieje się to nieregularnie, jeśli w ogóle – jest to inna wiedza od tej, którą nabyły jej matka i babka, pochodząca z doświadczenia wielu lat życia na tej planecie. Wiedza, jaką mają trzynastolatki, pochodzi raczej z innej galaktyki, z jakiegoś innego zmysłu poza tradycyjnymi pięcioma, a może z nadzwyczajnego wyostrenia pięciu zmysłów. Nie jest jeszcze osłabiona ani stłumiona, jak często zdarza się później. (Gdy dopada ją rutyna codziennego życia. Gdy uczy się tłumić intensywne uczucia, znieczulać zakończenia nerwowe, żeby tylko jakoś przeżyć dzień).

Wiedza, którą ma trzynastolatka, przypomina zdolność psów do odbierania wysokich dźwięków lub widzenie kształtów niewidocznych bez trójwymiarowych okularów – dar, jaki może mieć niewidomy, który wie, kiedy ktoś wchodzi do pokoju, nawet jeśli robi to bezszelestnie. Wie też, kim jest ta osoba i czy można jej ufać.

Jednak ona, trzynastolatka, ufa też wielu ludziom, którym ufać nie powinna.

W swoim pomieszanim świecie łącznie wszystkiego, co proste, dlatego fascynują ją teksty piosenek, gwiazdy muzyki pop, znane marki, horoskopy. Tęskni za bohaterami i za łajdakami, a skoro żadni się nie zjawiają, tworzy ich sobie albo przydziela ich role najbardziej oczywistym kandydatom. Może to być model z kart czasopisma „Seventeen” lub czołowy zawodnik drużyny Boston Celtics. Piosenkarz, którego płytę zna na pamięć (wszystkie piosenki; udaje, że śpiewa, stojąc przed lustrem). Pełna poświęcenia zakonnica karmiąca głodujące dzieci w Afryce. Anna Frank. Amelia Earhart. Aniołki Charliego.

Ta dziewczynka pragnie wielkich dramatów i ryzyka, a gdy życie jej ich nie zapewnia, stwarza sytuacje, w których może je znaleźć. Wystarczy sprzeczka z koleżanką lub rozpuszczenie plotki, że chłopak, który chodzi z nimi na wiedzę o społeczeństwie (nie znosi go; myśli tylko o nim), kocha się w innej trzynastoletniej koleżance, do której ona żywi równie sprzeczne uczucia.

Z wyjątkiem bardzo rzadkich przypadków trzynastolatka ma takie zdolności przez bardzo krótki czas – kilka miesięcy, może nawet kilka dni albo tylko raz w życiu. Jednak w którymś momencie – między dwunastym a trzynastym lub trzynastym a czternastym rokiem życia, gdy jest tyle nowych rzeczy, a w jej ciele krążą substancje chemiczne tak mocne jak narkotyki – doznaje genialnego i niewytłumaczalnego olśnienia, bardziej intensywnego niż kiedykolwiek w całym przyszłym życiu, gdy osiągnie już wiek zwykle równoznaczny z dojrzałością i mądrością. (Jeśli taki wiek w ogóle istnieje. Wtedy nic już nie jest tak wyraźne i bezwzględne jak w wieku trzynastu lat).

I tu pojawia się problem: dziewczynka widzi to, co realne, ale dostrzega też rzeczy, które nie są niczym innym jak tylko wytworami jej nadaktywnej trzynastoletniej wyobraźni.

Czasami instynkt, z którego ona skwapliwie korzysta, pozwala jej strzelić w dziesiątkę, innym razem sprawia, że błądzi. Tak czy owak, czepia się swoich przekonań z niezachwianą wiarą, że w historii świata nigdy nie było nic bardziej prawdziwego i ważniejszego niż one. Trzyma się mocno tego, co podpowiada jej intuicja oraz – równie mocno – przeświadczeń niedorzecznych i bezpodstawnych. Nie widzi między nimi różnicy.

Wiem to wszystko, ponieważ sama kiedyś byłam taką dziewczynką, w roku Wampira ze Wzgórza, i to mój wiek tłumaczy, że słyszałam głos mordercy i że miałam sporo racji co do wielu rzeczy, które w moim wyobrażeniu myślał i robił.

Dlatego uwierzyłam całym sercem, że Wampir ze Wzgórza to nikt inny jak ukochany pracodawca i przyjaciel mojej siostry Patty, delikatny człowiek mający dziwny zwyczaj przebierania się od czasu do czasu za kobietę. Jakim cudem uwierzyłam w to tak głęboko? Byłam trzynastolatką, której umysł opanowały myśli o zabójcy i która w tamtej chwili za wszelką cenę chciała się go pozbyć. Pragnęłam tego nie tylko ze względu na siebie czy na kobiety z hrabstwa Marin, ale ponieważ widziałam, że to, iż mój ojciec nie może złapać zabójcy, powoli go niszczy. Musiałam coś zrobić.

W wieku trzynastu lat oznaczało to zrobienie jakiegoś radykalnego kroku. Dlatego, ponieważ prawdziwy podejrzany się nie ujawnił, wyznaczyłam mu oficjalnego zastępcę. Aby się go pozbyć, wyposażyłam go w twarz

beziemnego demona. A twarz, którą wybrałam, należała do Alberta Armitage'a.

Wiedząc, że Patty by mi nie uwierzyła – a nawet gdyby, zmartwiłaby się bardziej, niż miałabym ochotę się nad tym zastanawiać – nie podzieliłam się z nią moją rewelacją, że to pan Armitage jest Wampirem. W całym naszym siostrzanym życiu po raz pierwszy miałam przed Patty tajemnicę. I tak się wkrótce dowie, gdy go aresztują. Ale nie chciałam być tą, która jej to zakomunikuje.

Opracowałam dwuczęściowy plan. Część pierwsza: zwabić pana Armitage'a na wzgórze, gdzie stanę z nim twarzą w twarz. Część druga: dopilnować, żeby to wyłącznie śledczemu Anthony'emu Torricellemu przypisano zasługę uratowania mnie i aresztowania mordercy.

Mój ojciec musiał znów stać się silny i skuteczny, a ja stworzę scenariusz, który mu to umożliwi.

Gdy wracam do tamtych wydarzeń ponad trzydzieści lat później, wyposażona w całą wiedzę o życiu – a przynajmniej jej część – nie mogę sobie przypomnieć, jak w ogóle mogłam przypuszczać, że ten plan się powiedzie. Już dawno zamknęły się drzwi do świata zamieszkiwanego przeze mnie – trzynastolatkę. Mam na myśli nie duszny pokoik, w którym z siostrą spałyśmy i czuwałyśmy, gdzie puszczałyśmy płyty i przymierzałyśmy nawzajem swoje ubrania, rozmawiałyśmy o rekinach i o Bogu, o modelkach i koszykarzach, zadawałyśmy pytania tabliczce i czytały na głos fragmenty książki o kobiecych fantazjach seksualnych, tylko mój ówczesny stan umysłu. Mój umysł był miejscem, w którym pojawiały się najdziwaczniejsze myśli, a granice między tym, co realne, a tym, co szalone, były nie tyle zatarte, ile właściwie nie istniały.

Przekonana, że zabójca (czyli pan Armitage) po długim okresie deszczowym jest tak zdesperowany, że musi iść na naszą górę po nową ofiarę, miałam zamiar zastawić na niego pułapkę. Zwabić go tam, na otwartą przestrzeń, gdzie ujawni się jego prawdziwa straszna natura, a mój ojciec wreszcie będzie mógł go dorwać.

Pułapka wymagała obecności przynęty. Przynętą miałam być ja. Zamierzałam znaleźć się w konkretnym miejscu i zorganizować wszystko tak, żeby pan Armitage poszedł tam, by się ze mną spotkać. Gdy już tam będzie, w ciągu kilku minut (a najlepiej sekund) zjawi się mój ojciec z wymierzonym w niego pistoletem, gotów zatrzaskać kajdanki na jego przegubach.

Ojciec znów będzie bohaterem i obrońcą kobiet, jakim wszyscy chcieliśmy go widzieć. A nikt nie potrzebował tego bardziej niż on sam.

Przewidywałam jeden problem. Nasza góra – i sieć szlaków, które okazały się terytorium działania Wampira – zajmowały zbyt duży obszar, by czatować na zabójcę i mieć nadzieję, że po prostu się pojawi. Musiałam zawęzić teren. Wybrać jakieś miejsce i go tam zaprosić.

Niektórzy ludzie – a już na pewno ci powyżej trzynastego roku życia – wskazaliby kolejny słaby punkt mojego planu. (Jeden? Raczej milion!) Przyjmując, że mam rację i że to pan Armitage jest zabójcą – a także zakładając, że uda mi się go namówić, by zmienił swój tradycyjny modus operandi i przyszedł na umówione miejsce, by spotkać się z osobą, której nigdy wcześniej nie widział (w każdym razie tak miał myśleć) – co niby miałam zrobić, gdy się zjawi? Jak mogłam sądzić, że ja, dziewczynka ważąca nieco ponad czterdzieści kilogramów, pokonam dorosłego mężczyznę, który wielokrotnie udowodnił, że jest bezwzględnym mordercą?

Miałam na to odpowiedź, taką, jaka wystarczyła mnie trzynastoletniej: będzie tam mój ojciec. Mój silny, wszechmocny, cudowny ojciec. Tylko jego człowiek potrzebuje, by czuć się bezpiecznym na tym świecie. Choć na wszelki wypadek wezmę też różowy pistolet Jennifer Pollack.

Tamtego dnia nie poszłam do szkoły.

Wiedziałam, kiedy Jennifer Pollack zabiera Karla juniora na spacer: codziennie o wpół do jedenastej. Tuż po *Ulicy Sezamkowej*, a przed drzemką małego.

Pollackowie zamykali teraz frontowe drzwi, ale tylnych nie. W czasie, który zajęło Jennifer przejście z wózkiem na koniec Morning Glory Court i z powrotem, zdołałam wkraść się do sypialni Pollacków, odszukać pistolet

w szufladzie nocnego stolika, włożyć go do kieszeni i wyjść. Gdy Jennifer Pollack wróciła do domu, byłam już u siebie. Zdążyłam dosłownie na styk.

W normalnych okolicznościach do centrum handlowego jechało się rowerem dwadzieścia minut, ale z łomoczącym sercem pokonałam ten dystans w dziesięć. Kupiłam to, czego potrzebowałam, popedałowałam do domu i zerwałam opakowanie.

Wyjęłam polaroid, którego nie używałam od miesiący. Na rolce zostały trzy klatki, ale do zrobienia zdjęcia, które zaplanowałam, potrzebowałam tylko jednej.

Dawno nie wkleiłam czegoś nowego do naszego zeszytu, ale to zdjęcie zasługiwało na nową stronę. Podpis nie był potrzebny.

Żeby mieć pewność, że ojciec go znajdzie, zostawiłam otwarty zeszyt na moim łóżku. Teraz, do wielu zdjęć przedstawiających pana Armitage'a – wychodzącego z psem, wybierającego pocztę, polewającego kamienie na podwórku, pozdrawiającego inkasenta – mój zeszyt, dokumentujący jego Sekretne Życie, doda nowy i zasadniczy element tej historii. Ktoś inny może nie odgadłby znaczenia fotografii, którą wkleiłam jako ostatnią, ale wiedziałam, że mój ojciec będzie je znał.

Było to zdjęcie sznurówek. Wielu par sznurówek. Tylu par – gdyby komuś zechciało się policzyć – ile było do tej pory ofiar.

Drogi Albercie, zaczynał się mój list.

(Nie chcąc zdradzać swojej tożsamości, bo mam charakterystyczne pismo, posłużyłam się sposobem, który widziałam u kidnaperów i szantażystów w telewizji. Stosowali go, gdy chcieli pozostać anonimowi: wycięłam litery z czasopism i nakleiałam je na kartkę).

Znam twój sekret. Musimy porozmawiać.

Przyjdź na wzgórze w sobotę.

Spotkamy się przy zardzewiałej ciężarówce.

Niedaleko miejsca, gdzie odbywają się przedstawienia. Wiesz, które mam na myśli.

O piętnastej. Jeśli nie przyjdiesz, powiem wszystkim.

To było mniej więcej tyle, został tylko podpis. Jakiego użyć? Mogłam napisać „Farrah”, tego przecież nie znał. Albo „Panna X”.

W końcu wybrałam najprostsze rozwiązanie:

Podpisano: Anonim.

Włożyłam kartkę do koperty i zakleiłam. Potem poszłam na koniec Morning Glory Court. Ulica była pusta, jak często ostatnio. Nikt mnie nie widział.

Wrzuciłam kopertę do skrzynki z napisem „Armitage”.

Wracając do domu, zrozumiałam, że teraz cały świat się zmieni. Tak długo wszystko szło na opak, a ja miałam zamiar to naprawić.

Wiedziałam, że w sobotę ojciec będzie w biurze, bo teraz zawsze siedział w biurze. Nigdzie nie wychodził, chyba że popełniono kolejne morderstwo i udawał się na miejsce zbrodni. I do naszego domu, w środku nocy, żeby pić i palić z mamą. Patty była na treningu, a mama na pewno spędzi całe popołudnie w bibliotece.

Nie myliłam się, ojciec był w biurze. Sekretarka, która odebrała telefon, powiedziała, że jest zajęty, ale gdy oświadczyłam, że to sprawa niecierpiąca zwłoki, połączyła mnie.

Farrah, odezwał się ojciec. Wiedział, że gdyby to nie było coś ważnego, nie dzwoniłabym.

On chyba chce mnie dopaść, wysapałam głosem, który brzmiał, jakbym biegła. Wampir ze Wzgórza.

Co ty mówisz?

Powiedział, że po mnie przyjdzie, wykrztusiłam.

Nietrudno było udawać przerażenie. Serce nie przestało mi walić, od kiedy zaczęłam realizować mój plan.

Mów wolniej, skarbie. Odetchnij głęboko. Musisz mi opowiedzieć

o wszystkim, co się wydarzyło.

Zadzwoił do nas do domu. Powiedział, że widział mnie z tobą w telewizji, w wiadomościach, i że teraz wie, jak wyglądam. I że po mnie przyjdzie.

Jesteś tego pewna?

Zawahałam się. Nie pamiętałam, kiedy okłamałam ojca.

Później zrozumie, dlaczego to zrobiłam. Gdy to wszystko już się skończy i aresztuje mordercę. Gdy już wszyscy będą zadowoleni i będą mu powtarzali, że wspaniale się spisał – powiem mu prawdę. Tylko jemu, nikomu innemu.

Musiałam ci jakoś udowodnić, że to pan Armitage, wyjaśnię mu. Wiedziałam, że mi nie uwierzysz, jeśli nie przyjdiesz tam osobiście.

Na pewno nie będzie na mnie zły. Podziękuję mi. Powie, że przeprasza, że nie wierzył w moje wizje. Jednak najpierw musiałam sprzedać mu moją historyjkę.

Powiedział, że chce ci dać nauczkę. Wciąż z trudem oddychałam. Wie, gdzie mieszkamy. Idzie tutaj. Powiedział, że pożalujesz. Jest teraz przed naszym domem. W tej właśnie chwili mnie obserwuje.

W słuchawce zapadła cisza, ale nie na długo.

Nie wiem, o co tu chodzi, Rachel, odezwał się ojciec. Z jego głosu zniknął żartobliwy ton. Ale zaraz tam będę. Nigdzie się nie ruszaj.

Wtedy stało się coś, czego nie przewidziałam. Może to z powodu podniecenia – serce mi łomotało, a wnętrzności zacisnęły się w twardą kulę. Ni stąd, ni zowąd przyszło to, na co czekałam od tyłu miesiący: leciało ze mnie tak, jakbym dostała krwotoku.

Włożyłam rękę w szorty i dotknęłam czegoś ciepłego i mokrego. Gdy popatrzyłam na swoje palce, były czerwone.

Włożyłam do majtek zwitek papieru toaletowego – tylko na to miałam w tej chwili czas. Nabazgrałam liścik pismem, które – miałam nadzieję – będzie sugerowało, że pisząc, byłam zdesperowana: *Pomocy. Przyjdź. Ciężarówka*. Następnie, najszybciej jak mogłam pobiegłam w górę zbocza

z pistoletem w kieszeni starej czerwonej bluzy. Nie miałam czasu myśleć o krwi na szortach ani skąd potencjalna ofiara seryjnego zabójcy miałaby wiedzieć, dokąd on zechce ją zabrać, ani co mu powiem, gdy już tam będę. Nie zastanawiałam się nad tym, co zrobię, jeśli morderca się tam zjawi, a człowiek, który ma go powstrzymać, się nie pojawi, ani jak się zwalnia spust w pistolecie Jennifer Pollack. Wiedziałam jedynie, że gdy tylko mój ojciec tam przybędzie, wszystko dobrze się skończy. On będzie wiedział, co zrobić.

Dopiero gdy było już po wszystkim, dowiedziałam się, że po przeczytaniu listu podpisanego przez Anonima pan Armitage zrobił coś zupełnie innego, niż się spodziewałam: poszedł na policję.

Pomyślał, że być może kartka z przyklejonymi literami wyciętymi ze starych czasopism i ulotek reklamowych została podrzucona przez samego Wampira.

Oczywiście trudno by było komukolwiek się domyślić (policji czy też panu Armitage'owi), dlaczego mężczyzna w średnim wieku może być adresatem listu od Wampira – zważywszy, że w niczym nie przypominał jego ofiar. Może pan Armitage sądził, że podczas jednego z nocnych spacerów z Petrą, gdy miał na sobie sukienkę w grochy, zwrócił uwagę mordercy, który postanowił spotkać się z tajemniczą kobietą w kapeluszu z wisienkami. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy, choć trudno powiedzieć kiedy.

Jednak możliwe były też inne scenariusze. Być może bardziej prawdopodobne. Tamtego dnia, dokładnie w chwili gdy dzwoniłam na komendę i gdy sekretarka ojca powiedziała mi, że jest zajęty, on siedział przy biurku naprzeciwko samego Tajemniczego Alberta Armitage'a, który właśnie skończył opowiadać mu o anonimowym liście. Ojciec nabrał podejrzeń, że ten list mógł być dziełem młodej osoby. Może kogoś, kto zna jakiś sekret adresata i chce go użyć, żeby nim manipulować albo nawet go szantażować.

Zamiast dać się zastraszyć, pan Armitage postanowił powiedzieć mojemu ojcu jasno i wyraźnie, jaka jest jego tajemnica: że od czasu do czasu ubiera się w damskie ciuszki i – coraz rzadziej – spaceruje tak po okolicy.

To nikomu nie szkodzi, zapewnił pan Armitage. I nie jest niezgodne z prawem.

Mój ojciec, będąc człowiekiem uczciwym, zgodził się z tym.

Gdy w dzieciństwie mieszkałem w North Beach, znałem takiego chłopaka, Vinny'ego Marzano, który czasem lubił wkładać biustonosze swojej matki, powiedział. Wie pan, ile dzieci ma teraz Vinny? Siedmioro.

Gdy zadzwoniłam do biura, ojciec jeszcze nie doszedł do wniosku, że autorką leżącego przed nim anonimowego listu jest jego własna starsza córka. Ale zaczynał się czegoś domyślać.

Po spotkaniu z Albertem Armitage'em – i po rozmowie telefonicznej ze mną – ojciec, nie marnując czasu, pojechał oczywiście na Morning Glory Court. Ponieważ nie było ani mamy, ani Patty, otworzył sobie drzwi. Prędko znalazł moją wskazówkę – zeszyt z nazwiskiem człowieka, z którym niecałe pół godziny temu rozmawiał o anonimowym liście. Oraz niepozostawiającą wątpliwości wiadomość, gdzie mnie znajdzie.

Ojciec jeszcze prędzej zrozumiał, że oto ma przed sobą dowód nie do końca przemyślanego planu swojej starszej córki: wrobić w morderstwo człowieka, który nie zrobił nic poza sporadycznym wkładaniem sukienki w grochy.

Jego córka z całą pewnością dostanie za swoje. Ale nie od seryjnego mordercy, tylko od niego.

Gdy dotarłam do zardzewiałego wraku ciężarówki, gdzie według moich instrukcji miał się ze mną spotkać pan Armitage, dochodziła czternasta. Odkąd byłam tu ostatni raz, podczas jednej z przygód z Patty, krzaki bardzo się rozrosły, ale wyglądało na to, że poza mną bywali tu ostatnio inni ludzie (pewnie nastolatki szukające miejsca, żeby uprawiać seks). Przynajmniej w jednym miejscu wyrwano chwasty, żeby ułatwić dostęp do szoferki. Drzwiczki zaginęły dawno temu, ale ktoś przerzucił przez dach starą zasłonę prysznicową.

Jak długo tam siedziałam? Dwadzieścia minut? Dwie godziny? Żeby się uspokoić, zaczęłam myśleć o tym, jak przyjeżdżałam tu z ojcem i Patty wiele lat temu, gdy uczył nas strzelać z pistoletu pneumatycznego, i kiedy indziej, tylko z siostrą, gdy siedziałyśmy skulone w szoferce i czytałyśmy *Mój*

tajemny ogród oraz Ulubione historie o zwierzętach.

Na podłodze ciężarówki – a właściwie na tym, co z niej zostało – leżała puszka po coca-coli, która chyba znalazła się tam niedawno, bo wciąż było w niej trochę płynu. Poza tym opakowania po fast foodach, trochę pustych puszek po mielonce i plastikowe pojemniki po puddingu czekoladowym, poradnik, jak gotować w kuchence mikrofalowej, i kilka katalogów (dziwna kombinacja: katalog wysyłkowy firmy L.L. Bean oraz Victoria's Secret). Pod siedzenie ktoś wepchnął starą kurtkę z napisem „Goodyear Tire” i skarpetki, jakby tu kiedyś biwakował. Patty i ja zawsze marzyłyśmy o spędzeniu nocy pod gołym niebem, ale mimo że nasza mama była dość liberalna, pomyśl, żebyśmy przesiedziały całą noc na wzgórzu – nawet jeszcze zanim zaczęły się morderstwa – to by była przesada nawet dla niej.

Siedząc tam teraz, czekając na przybycie człowieka, którego uważałam za Wampira ze Wzgórza, i na pojawienie się mojego ojca, który miał mnie uratować, a jego aresztować, przesunęłam dłonią po resztkach kierownicy. Dawniej ja i Patty próbowałyśmy sobie wyobrazić, jak w ogóle ta ciężarówka się tu znalazła, i wymyślałyśmy różne teorie na ten temat. Pomysły Patty zawsze były beznadziejne. Doskonale umiała bawić się we wszystko, co wymyśliłam, ale w ogóle nie miała zdolności do kreowania fikcji. Była zbyt przywiązana do prawdy.

Gdy o tym myślałam, poczułam przypływ smutku i wyrzutów sumienia. Patty kochała mnie nade wszystko, jednak bardzo przywiązała się do pana Armitage'a. Mimo że była w stosunku do mnie lojalna – wierna jak pies, tak zwykłam powtarzać – nigdy nie uwierzy, że pan Armitage jest zabójcą. Wtedy uderzyła mnie myśl: Jeśli pan Armitage pójdzie do więzienia, to co się stanie z Petrą?

Tamtego dnia siedziałam na górze bardzo długo, skulona we wraku ciężarówki, w oczekiwaniu na ojca i pana Armitage'a.

Musiało już być dobrze po piętnastej, lecz nikt się nie pojawił. Wpatrywałam się w horyzont, czekając, aż ktoś nadejdzie. Trochę z niepokojem, a trochę z ulgą.

Może pan Armitage nie dostał listu? Może wyrzucił go razem z ulotkami reklamowymi? Może doszedł do wniosku, że to tylko kawał? Jeśli tak,

mogłam wracać do domu i o wszystkim zapomnieć. Tylko co dalej?

Znam twój sekret.

Jeśli nie przyjdiesz, powiem wszystkim.

A nawet jeśli pan Armitage nie miał zamiaru przyjść, jak to możliwe, że mój ojciec, znalazłszy zdjęcie sznurówek i mój list, nie zrozumiał, że musi mnie uratować?

Przypatrywałam się swojej nodze, miejscu na udzie, na którym usiadł jakiś owad i wędrował po mojej skórze. Przyglądałam się cienkim włoskom – dostrzegłam je pierwszy raz. Czułam, jak sączy się ze mnie krew. Zwitek papieru toaletowego był już nią przesiąknięty.

Nad moją głową krążyły kruki, myszołów i słychać było krzyki sępów – ale wysoko, nie kierowały się na żaden cel. Może czuły moją krew? Nagle gdzieś w oddali usłyszałam szum radia lub walkie-talkie. Zgrzytliwe głosy. Zakłócenia.

Przybliżały się.

Potem dźwięk, którego się nie spodziewałam. Terenówka z rodzaju tych, w których strażnicy leśni patrolowali wzgórza. Podskoczyła na wzniesieniu i zaczęła podjeżdżać do ciężarówki. Silnik zgasł.

Wysiadł z niej jakiś mężczyzna. Po nim jeszcze dwóch. Jednym z nich był mój ojciec.

Wiem, że tam jesteś, Rachel! – zawołał. Użył mojego prawdziwego imienia, którym prawie nigdy mnie nie nazywał, chyba że był wściekły, co nigdy wcześniej się nie zdarzało.

Zabieram cię do domu!

W życiu nie widziałam go tak rozgniewanego. A nie wiedział nawet o tym, że ukradłam naładowany pistolet Jennifer Pollack.

Wsiadaj do tyłu, rzucił, wskazując składany fotel w terenówce. Na razie powiem ci tylko tyle, że moim zdaniem nie wyjdiesz z domu przez następne sto lat, może więcej.

Tamtego dnia na wzgórzu wydarzyła się jeszcze jedna rzecz. Wsiadłam do auta, a ojciec, stojąc nieopodal, rozmawiał z policjantami. (Ani śladu pana

Armitage'a – uświadomiłam sobie, że nie przyjdzie. I że pan Armitage nie jest jednak mordercą. Pomyliłam się).

Nie płakałam, ale przyszło mi do głowy, że przeżywam chyba najokropniejszą chwilę w życiu, a to, że już na zawsze będę miała szlaban (nigdy wcześniej nie dostałam takiej kary, nawet na jeden dzień), wcale nie było w tym wszystkim najgorsze.

Jakbym nie narobiła ojcu wystarczająco dużo problemów, na miejscu zjawiała się też dziennikarka – to dlatego musiał złożyć wyjaśnienia. Prasa nagłaśniała ostatnio stanowisko wielu obywateli, że wydział zabójstw hrabstwa Marin, pod kierownictwem śledczego Anthony'ego Torricellego, nie radzi sobie ze sprawą. A teraz jeszcze sam detektyw Torricelli ugania się po wzgórzach za swoją nastoletnią córką, gdy powinien szukać zabójcy. Dlaczego tak ważne śledztwo powierza się człowiekowi, który nie potrafi nawet upilnować własnych dzieci?

Widziałam, jak ojciec rozmawia z tą dziennikarką. Robiła jakieś notatki. Ojciec pokręcił głową.

Sądząc z położenia słońca i światła uderzającego mnie w twarz, musiało być wpół do piątej lub piąta. Czułam pot pod pachami i na tylnej części ud przyciśniętych do plastikowych pokrowców na fotele. Byłam zmęczona, chciało mi się pić, a moje majtki były przesiąknięte krwią. Pragnęłam znaleźć się w domu i zobaczyć jedyną osobę, która, jak mi się wydawało, jeszcze mnie nie znenawidziła. Patty.

I wtedy, siedząc w palącym słońcu, czekając na ojca na tylnym siedzeniu auta, doznałam znajomego uczucia, że nadchodzi wizja.

Rozpoznałam symptomy: serce ścisnęło mi się w piersi, poczułam suchość w ustach, oddech przyspieszył, jakby przestrzeń, w której się znajdowałam, nie zawierała wystarczająco dużo powietrza. Było mi gorąco, a jednocześnie miałam dreszcze i czułam obrzydliwe ciepło między nogami, pochodzące z miejsca, którego nawet nie chciałam nazwać.

Zabójca znów był w mojej głowie, i nie tylko. Czułam, jakby był w moim ciele. I jeszcze więcej. Jakby znajdował się tuż obok.

„Pamiętasz mnie?”

Myślałaś, że przebieram się za kobietę? Bierzesz mnie za jakąś ciotę?

Wiesz, jaki dla mnie jest jedyny dobry pies? Martwy”.

Ktokolwiek to mówił – zabójca, znów bez twarzy – wiedziałam, że się poci. Tak jak ja znajdował się w jakimś gorącym miejscu na otwartej przestrzeni. Jakaś część mnie, która rejestrowała jego uczucia, czuła teraz słońce, które świeciło na niego tak samo jak na mnie. Szyję miał spoconą. Koszulę przylepioną do ciała. Chciałby się napić coli.

Jego oczami oglądałam wysuszoną trawę. Ziemię. Maczki kalifornijskie. Odchody sowy: małą grudkę niestrawionego mysiego futra i kości jakiegoś innego zwierzątka, które sowa zjadła poprzedniej nocy. To samo, co Patty tak lubiła badać podczas naszych wędrówek po górze. Czułam zapach kopru i kory eukaliptusa.

Jeśli on widzi i czuje te rzeczy, jest tu, na górze.

„Ach, moja śliczna. Moja śliczna”.

Znów dochodził do mnie dźwięk walkie-talkie, choć czy to ja go słyszałam, czy on, nie wiedziałam. Nie było słycać słów, tylko szum zakłóceń. Widziałam polanę ze sceną i kamiennymi siedzeniami dookoła. Zrozumiałam, że to amfiteatr, do którego dawniej zakradałam się z Patty, żeby oglądać musicale z Broadwayu. *Do-Re-Mi. Surrey with the Fringe on Top. Seventy-six Trombones. Luck Be a Lady Tonight.*

Spojrzałam w górę i dostrzegłam stado kruków.

Wiedziałam, że on też je widzi. Lecące w takim samym szyku.

Jednak to następny obraz sprawił, że o mało nie krzyknęłam – tylko że zabrakło mi tchu.

„Chuda dziewczynka pólleży na tylnym siedzeniu samochodu terenowego, ubrana w czerwoną bluzę – z twarzą zwróconą ku słońcu, mruży oczy, na kolanach trzyma szkolną torbę, która nie całkiem zakrywa czerwoną plamę rozlewającą się w kroku jej szortów. Dziewczynka ma taki wyraz twarzy, jakby właśnie zobaczyła coś strasznego”.

I tak było: zobaczyłam, że on mnie widzi.

„Ta sama, która była w wiadomościach, myślał. Córka tego gliniarza.

Płaska. Jak ta biegaczka. Ale może czas przypomnieć makaroniarzowi, kto tu rządzi?”

On.

Jeśli chodzi o moją karę („kara” – nieznanne pojęcie w naszej rodzinie), ojciec postanowił, że gdy tylko zaczną się wakacje, będę pracowała w komendzie policji – w jedynym znanym mu miejscu, gdzie, jak stwierdził, będzie pewny, że nie napytam sobie biedy. Będę sprzątała za pięćdziesiąt centów za godzinę. Sześć godzin dziennie. Mama nie oponowała.

Okazało się, że na posterunku jest wiele pomieszczeń wymagających sprzątnięcia. Gdy tylko skończyłam z ostatnim, trzeba było zaczynać od nowa. Ci policjanci byli bardzo nieporządni.

Rok szkolny dobiegł końca. Każdego ranka jechałam autobusem na komendę policji, gdzie czekała na mnie miotła.

Mimo że było to dla mnie okropne – zwłaszcza że zaczęły się wakacje, wreszcie przestał padać deszcz, czekał na mnie rower i zeszyty pełne niedokończonych opowiadań – Patty chyba czuła się z tym gorzej niż ja. Miała oczywiście koszykówkę (choć w lecie nie odbywały się treningi ani mecze) i spacer z Petrą. (Jeśli chodzi o ten temat, pewną pociechą było to, że pan Armitage – choć musiał się przecież domyślić tożsamości autora anonimowego listu – nie miał chyba pretensji do mojej siostry o moje bezpodstawne podejrzenia czy potencjalnie niebezpieczną akcję, którą podjęłam w ich wyniku).

Tak czy inaczej, Patty spędzała teraz całe godziny samotnie, zamiast wymyślać przygody ze mną, jak robiłyśmy to każdego lata przez całe nasze życie. Obowiązywał zakaz wchodzenia na wzgórze, a centrum rekreacyjne było okupowane przez moje dawne koleżanki, które teraz stały się wrogami. Patty pozostawało tylko słuchanie płyt, ćwiczenie rzutów do kosza i wymyślanie sztuczek, których mogłaby nauczyć Petrę. Suczka uczyła się bardzo wolno. Miała nawet problemy z „turlaj się”.

Co do mnie, godziny spędzane na sprzątnięciu pozwalały mi rozmyślać o tym, co się dzieje na wzgórzu. W mojej głowie nie pojawiały się już okropne obrazy ofiar morderstw, jak przez całą zimę i wiosnę. (Jak w naszym telewizorze, obraz został wyłączony i na ekranie nie widać było nic prócz śnieżenia). Jednak ten brak obrazów był chyba gorszy. Wiedziałam, że

zabójca tam jest, a po tej krótkiej, strasznej chwili na wzgórzu, gdy odczułam jego obecność tak blisko, że nad głowami nas obojga krążyły te same kruki, byłam pewna, że mnie obserwuje.

Spróbowałam pomóc ojcu złapać mordercę i skończyło się porażką. Teraz nigdy już mnie nie wysłucha, nawet gdybym miała coś do powiedzenia, a nie miałam. Mogłam tylko machać miotłą ze świadomością, że Wampir gdzieś na wolności czai się na kolejną ofiarę.

Oczywiście zabijał kobiety również w innych miejscach, poza górą Tamalpais. (Point Reyes, Muir Woods, Tennessee Valley i Bolinas). Byłam jednak przekonana, że wrócił na naszą górę choćby tylko po to, żeby dać do zrozumienia ścigającym go policjantom, że jest od nich wszystkich sprytniejszy.

Jeśli kiedyś wydawało się, że mój ojciec ma czarodziejską moc, teraz wyglądało na to, że to Wampir ze Wzgórza uprawia jakąś magię. Czułam jego obecność na wzgórzu tamtego dnia, gdy ojciec przyjechał po mnie terenówką, i byłam pewna, że jest tam i teraz, choć w jaki sposób udawało mu się wciąż unikać zdemaskowania, trudno było pojąć – wiedząc, ilu policjantów patroluje wzgórze i szlaki oraz monitoruje każdy parking, na którym ludzie zostawiają samochody przed wyruszeniem na wędrowkę.

Jedynym policjantem, którego brakowało teraz na wzgórzu, był mój ojciec. Dzień po tym, jak przywiózł mnie stamtąd do domu, „San Francisco Chronicle” opublikowała artykuł, w którym dziennikarka ujawniała mieszkańcom całego regionu zatoki San Francisco, że śledczy Anthony Torricelli, szef wydziału zabójstw hrabstwa Marin, policjant, któremu hrabstwo powierzyło zadanie złapania Wampira ze Wzgórza, spędził sobotę (w towarzystwie dwóch innych policjantów i korzystając ze służbowego wozu) na wzgórzu, udaremniając, według słów autorki artykułu, „prowokację szalonej małolaty”, urządzoną przez jego własną trzynastoletnią córkę.

Zdjęcie na pierwszej stronie ukazywało mnie w czerwonej bluzie skuloną na tylnym siedzeniu terenówki (na szczęście plamy krwi na szortach nie były widoczne) i mojego ojca w skórzanej kurtce, który wyglądał nie tyle na rozgniewanego, ile na załamanego. Dwaj pozostali funkcjonariusze, którzy – nikt nie miał co do tego wątpliwości – mogliby przydać się gdzie indziej, stali z boku z rękami w kieszeniach. Wyglądali, jakby woleli być wszędzie,

tylko nie tam – co niewątpliwie było prawdą.

Przygotowując ten artykuł, dziennikarka odwaliła kawał roboty. Poprosiła o komentarze moje koleżanki ze szkoły. Jedna z nich, Alison Kerwin, oświadczyła, iż często odwiedzałam ją w domu, ale musiała przestać mnie zapraszać, gdy zaczęły znikać buteleczki z lakierem do paznokci. Matka Alison powiedziała, że jej zdaniem – sądząc z tego, ile czasu spędzałam z jej rodziną i ile razy odwoziła mnie później do domu – moi rodzice nie zajmowali się mną zbyt intensywnie.

„To dziecko z rozbitej rodziny, oznajmiła pani Kerwin. Wszystkim nam było jej żal. Zaprosiliśmy ją nawet do nas na Święto Dziękczynienia, jednak pomoc ma jakieś granice”.

W artykule pojawił się jeszcze jeden komentarz na mój temat. Udzielił go „młody człowiek, który prosił o nieujawnianie nazwiska”.

„Ta mała jest w porządku, stwierdzał, ale zawsze mnie dziwiło, że ona... no... tak od razu wyskakiwała z ciuchów i w ogóle”.

Czasem musiał się ode mnie opętać, powiedział, bo robiłam się agresywna. Na szczęście zna karate.

W poniedziałek ojciec został wezwany przez naczelnika policji, który oznajmił mu: od tej chwili detektyw Torricelli zostaje odsunięty od śledztwa w sprawie morderstw Wampira ze Wzgórza. Na polecenie zwierzchników z Sacramento do południa ma oddać wszystkie materiały dotyczące tej sprawy będące w jego posiadaniu. Zostaną one przekazane siłom specjalnym oraz grupie agentów FBI z Waszyngtonu.

Ojca przeniesiono na północ, na posterunek w Novato, gdzie miał prowadzić śledztwo w sprawie samochodowego przedstawicielstwa handlowego, które dopuściło się oszustwa, sprzedając sześć kradzionych samochodów sprowadzonych spoza stanu.

Broniłem cię, jak mogłem, Tony, powiedział naczelnik. To, co się wtedy zdarzyło, mogło być końcem twojej kariery, ale zapewniłem ich, że już więcej nie będziesz się w to mieszał.

Naczelnik radził ojcu, żeby pojechał do domu i spędził trochę czasu z dziećmi.

Jeśli nie usłyszę nic o tym, że ty albo twoja córka wtrącacie się do tego śledztwa, twoja emerytura jest bezpieczna, dodał. Jeszcze jeden taki wyskok jak ten ostatni, a będę musiał poprosić cię o zwrócenie odznaki.

Musiałam wierzyć, że moja kara nie będzie trwała wiecznie, choć wolałam nie pytać o szczegóły. Jednak nawet wtedy nie przestałam wątpić, że ojciec kocha mnie ponad wszystko. Wiedziałam też, że w głębi duszy złościł się tamtego dnia nie dlatego, że naraziłam na szwank jego śledztwo i zrujnowałam jego dwudziestoletnią karierę w policji. Był wściekły, bo mogło mi się stać coś złego.

Gdyby coś się stało któregoś z was... – zaczął, gdy wracaliśmy ze wzgórza. Nie mógł nawet dokończyć zdania.

Kilka dni po tym, jak odebrano mu tę sprawę, przyjechał, by zabrać nas na kolację. Jak zwykle do Marin Joe's. Ten sam stolik. Te same kelnerki. Znów spaghetti z sosem marinara.

Nie rozmawialiśmy o tamtych wydarzeniach, choć oczywiście Patty i ja wiedziałyśmy, co dla naszego ojca oznacza przeniesienie do Novato. Byłam bardziej milcząca niż zwykle, dlatego siostra musiała wypełniać ciszę. Obserwowałam przez stół, jak przytulona do ojca gładzi włoski na jego przedramieniu, tak jak lubi. Gdyby ktoś na nich patrzył, zobaczyłby dziewczynkę spędzającą beztroski wieczór z rodziną, ale ja widziałam, że niepohamowana wesołość Patty wymaga od niej tyle samo wysiłku co ważna rozgrywka.

Niektórzy ludzie uważają, że jack russell terriery są głupie, trajkotała. Ale ja wiem, bo dobrze poznałam Petrę, że ona jest po prostu bardzo, bardzo wrażliwa. Czasem, gdy się cieszy, strasznie się ekscytuje i wtedy robi głupie rzeczy. Tak samo jak ludzie.

Puk, puk – dodała zaraz. (Nawet nie próbowała jakoś logicznie przejść do kolejnego tematu).

Kto tam? (To kwestia ojca).

Sąsiadki!

Sąsiadki?

Nie ma siatek!

Ojciec oczywiście się roześmiał, choć w jego śmiechu nie było wesołości.

Nie znałem tego, powiedział. Słuchajcie... kto jest zainteresowany małym tiramisu?

Tak naprawdę, tato, chciałabym wrócić do domu, powiedziałam.

Nikt nie protestował, gdy wyszliśmy bez naszego tradycyjnego deseru. W samochodzie Patty podjęła jeszcze jedną próbę – zaczęła śpiewać *Volare*. Żadne z nas się nie przyłączyło.

Leżałam w łóżku, wpatrując się jak zwykle w łóżko mojej siostry, która śpiewała razem z płytą. (Dolly Parton błagała kobietę o imieniu Jolene, żeby nie zabierała jej faceta. Patty uwielbiała tę piosenkę, choć nie mogła zrozumieć, jak ktoś mógłby odebrać mężczyzną kobiecie tak pięknej jak Dolly).

W okna zaglądał księżyc i słychać było wiatr fenowy Santa Ana. Kojoty tym razem jakoś nie wyły, chociaż ta cisza była chyba gorsza.

Przez dłuższą chwilę milczałyśmy, aż w końcu Patty się odezwała:

Myślisz, że gdy złapią Wampira, znowu będzie normalnie?

Powinnam ją zapytać, co rozumie przez „normalnie”, ale milczałam.

Po pierwsze, tata zabierze nas do Włoch, powiedziała.

Tata mówi różne rzeczy, odparłam. Dawniej zawsze to Patty wytykała ojcu jego niedociągnięcia. Tamtego lata przestał być dla mnie ojcem-czarodziejem. Nie potrafiłabym go znienawidzić, jednak to, co czułam teraz – litość i wyrzuty sumienia – było gorsze.

A potem może ożeni się z Margaret Ann, ciągnęła Patty.

Dziwne, że moja siostra o tym pomyślała. Gdy ojciec pierwszy raz zabrał nas do Margaret Ann, a ona podarowała nam lalki, miała tylko sześć czy siedem lat. I gdy pojechaliśmy do hotelu Flamingo, włożyłyśmy sukienki, które dla nas uszyła, a Patty zwymiotowała w aucie.

Myślisz, że istnieje jedna miłość na całe życie? – zapytała Patty. Dolly Parton śpiewała teraz *I Will Always Love You*.

Bo jeśli tak, to uważam, że Margaret Ann była nią dla niego, powiedziała moja siostra.

Czasem może się zdarza, odrzekłam. Ale nawet gdy wszystko wydaje się idealne, wystarczy jeden drobiazg, coś, co zrobisz w niewłaściwym momencie, i całe twoje życie idzie w zupełnie innym kierunku. I można już nigdy nie wrócić do przeszłości.

Jak w piosence, w której ten facet w budce telefonicznej nie może odczytać numeru telefonu zapisanego na pudełku zapalek, i w końcu nie oddzwania do dziewczyny, która odeszła z jego najlepszym kumplem.

Albo jak z tymi ofiarami na wzgórzu, dodałam. A gdyby danego dnia wybrały inny szlak? Albo zrobiłby im się pęcherz na stopach i postanowiłyby zawrócić? Albo wyprzedziłaby je jakaś inna dziewczyna i Wampir postanowiłby zabić ją?

A mama? – dorzuciła Patty. Gdyby nie spadły jej okulary tamtego dnia, gdy jechała rowerem i spotkała tatę.

Wtedy nie byłoby nas, zauważyłam.

Ale może jej życie ułożyłoby się lepiej.

Milczenie.

Ale tata ciągle ma jeszcze szansę z Margaret Ann, stwierdziła Patty.

Płyta Dolly Parton się skończyła, ale może Patty wciąż myślała o tej piosence. Choć głównie myślała o naszym ojcu.

Ze wszystkich rzeczy, o których rozmawiałyśmy, nigdy nie powiedziałam jej o tym dniu, wiele lat temu, gdy zostawiłam na jego automatycznej sekretarce wiadomość na temat jego ewentualnego małżeństwa z Margaret Ann: „Nigdy ci nie wybaczę. Nigdy się do ciebie nie odezwę”.

Teraz było już za późno, by wytłumaczyć, że to nie było na poważnie. Ojcu wszystko bym wybaczyła. Chciałam, żeby mu się ułożyło.

Moim zdaniem to by mu poprawiło nastrój, powiedziała Patty. Myślę, że nawet mama nie miałaby już nic przeciwko temu. Ona i tak woli być sama. Poza tym nadal mogliby się przyjaźnić.

Ciekawe, czy Margaret Ann wciąż ma w szafie te sukienki? – zastanawiała się Patty.

Tej nocy, gdy Patty zasnęła, zobaczyłam mordercę. Widziałam, gdzie jest

– niedaleko.

Leżał pod rozgwieżdzonym niebem na wzgórzu, nie bojąc się kojotów, skulony na podłodze wraku ciężarówki, tam, gdzie czekałam na pana Armitage’a, i miał na sobie kurtkę z napisem „Goodyear Tire”, którą widziałam wepchniętą pod siedzenie. Katalog Victoria’s Secret był otwarty, leżała przy nim też puszka coli i puszki po mielonce.

Zobaczyłam go znów, gdy nastał ranek. Patrzył na ostatnie maki na zboczu góry, na wyschniętą trawę, jadł pudding czekoladowy z plastikowego pojemnika, wysikał się pod drzewem, cisnął kamieniem w polną mysz. Czekał na jakąś dziewczynę, która przyjdzie na wzgórze, bo nie słyszała o Wampirze, albo jeśli nawet słyszała, stwierdziła, że się nim nie przejmuje.

Gdy jego kryjówkę mijiał jakiś agent FBI – przejeżdżali czasem tamtędy samochodami terenowymi – kulił się w zagłębieniu nad kołem. Ale przecież agenci specjalsi szukali czerwonej toyoty i zielonego fiata, albo jakiegoś auta stojącego zbyt długo na parkingu.

Ale gdy się biwakuje pod gołym niebem, nie potrzebuje się samochodu.

W którymś momencie skończą mu się konserwy mięsne, krakersy i pudding, ale wiedział, dokąd się wtedy uda: do domów, których tyły wychodzą na zbocze góry, przy ulicy Morning Glory Court. Obserwował je wcześniej z góry. Wiedział, kto kiedy wychodzi do pracy, a w przypadku jednej kobiety – tej w ciąży, z małym synkiem – wiedział, kiedy zabiera go na spacer i gdzie chowa klucz.

Nie będzie problemem wpaść wtedy na chwilę i zabrać z lodówki coś na ząb. Jedzenie dla dzieci może być całkiem dobre. Właściwie trochę jak pudding.

Na razie policzek miał przyciśnięty do metalowej karoserii ciężarówki. Jednym zmrużonym okiem spoglądał przez otwory wielkości śrutu do pistoletu pneumatycznego, dokonując oględzin swojego terytorium: maczki kalifornijskie, owady brzęczące w trawie, krążące w górze kruki. Był królem wzgórza, jeśli nie całkiem, to prawie.

Letnie dni strasznie się wlokły. Nie dochodziło do morderstw, ale nikt nie spał spokojnie. Po prostu czekaliśmy.

Był początek czerwca. Kolejny długi dzień poświęciłam na pracę w komendzie. Ponieważ oficerom dyżurnym zrobiło się mnie żal, nie dawali mi już tak dużo do roboty, więc rozwiązywałam mnóstwo krzyżówek i czytałam biografie. Chciałam pracować nad moimi opowiadaniem, ale tam był zbyt duży hałas, żeby się skupić, a poza tym chyba przechodziłam jakiś kryzys twórczy. Moja wyobraźnia ostatnio tylko przysparzała mi kłopotów.

Miałam zostawać w pracy do szesnastej trzydzieści, ale tamtego dnia o piętnastej dyżurna policjantka powiedziała, że mogę iść do domu.

Zajmij się dla odmiany czymś przyjemnym, poradziła mi. Weź sobie wolne na resztę popołudnia.

Idąc od przystanku autobusowego, zaczęłam rozmyślać o mojej siostrze. Ponieważ nagle miałam dużo wolnego czasu, pomyślałam, że mogłybyśmy pojechać rowerami do centrum handlowego i spryskać się różnymi perfumami w Macy's albo pójść do sklepu z materacami i sprawdzić, jak długo uda nam się leżeć na wibrującym łóżku, zanim przyjdzie któraś ze sprzedawczyń i nas wyrzuci. Mimo że nie byłam dobra w grze w kosza, zagrałabym z Patty, gdyby zechciała. Tak bardzo się cieszyłam, że spędzę z nią czas.

To jej piłkę zobaczyłam najpierw, gdy weszłam na naszą ulicę. Piłkę do kosza Patty, ale bez Patty. Zazwyczaj widziało się je obie razem.

Ale piłka była na ulicy. Ukochana, o rozmiarze zgodnym z przepisami, zatwierdzona przez NBA, piłka mojej siostry. Właściwie to toczyła się po ulicy – nie jak podczas gry, ale w zwolnionym tempie, jakby ktoś rzucił ją lub kopnął.

Pochyliłam się, żeby ją podnieść. Zawołałam Patty. A potem puściłam się pędem.

Tylne drzwi do domu, które ostatnio zamykałyśmy na klucz, były otwarte. Otworem stały również drzwi lodówki, co zobaczyłam, gdy wpadłam do kuchni. Nie było czasu sprawdzać, co się tu wydarzyło. Pognałam na górę do

naszego pokoju, znów wołając siostrę, ale nikt się nie odzywał.

Przez sekundę wydawało mi się, że pokój wygląda tak, jak go zostawiłam. Adapter, plakaty, trofea sportowe, łóżko piętrowe, książki. Zdjęcie Patty i moje w tramwaju w San Francisco, zdjęcie naszego ojca z uroczystości wręczenia mu medalu za odwagę.

I wtedy zobaczyłam na podłodze pod oknem jej buty do gry w koszykówkę ustawione równo obok siebie. Nie było w nich sznurówek.

Zawsze to Patty umiała szybko wspinać się na tę górę, ale tamtego popołudnia ja biegłam szybciej, niż to było możliwe. Nie miałam żadnego planu. Nie miałam przy boku chłopaka mistrza karate ani różowego pistoletu w kieszeni, choć i tak nie wiedziałabym, jak go użyć. Wiedziałam tylko, że muszę znaleźć moją siostrę. I dotrzeć do zabójcy. Dziesięć minut biegu i już byłam w miejscu, w którym wiedziałam, że go znajdę.

Musiał opierać się o ciężarówkę, ale był ukryty w cieniu, za kępą zielska, więc słyszałam tylko jego głos.

Cześć, mała, rzucił. Czekałem na ciebie.

W ciągu wielu lat od tamtego popołudnia usiłowałam sobie przypomnieć, co wtedy czułam i jak mogłam stać oddalona o szerokość boiska do koszykówki od Wampira i nie uciec. Jeśli czułam strach (a jak mogłam nie czuć?), zszedł na drugi plan, ważniejszy był lęk o Patty.

Gdzie moja siostra?

Dziewczynka z piłką? – zapytał. Wciąż nie widziałam jego twarzy, ale dostrzegłam, że kręci głową. Ktoś powinien coś zrobić z zębami tego dzieciaka.

Oderwał się od ciężarówki, tak że pierwszy raz mogłam go zobaczyć w całej okazałości: mężczyzna już niemłody, z przerzedzonymi włosami i za dużym brzuchem (nie miał zgrabnej sylwetki, ale nie był też gruby) – co dziwne, gładko ogolony, był ubrany w wymiętą kurtkę.

Jadł coś, co wyglądało na mus brzoskwiniowy w słoiku. Dostrzegłam etykietkę firmy Gerber z główką dziecka. Postawił słoik na masce wraku ciężarówki i wydał długi, niski pomruk, jak niedźwiedź, który obudził się z zimowego snu.

Gdy ostatni raz widziałem twoją siostrę, szła na spacer z tym kundlem waszego sąsiada. Złożyłem dzisiaj wizytę w waszej okolicy, jak zapewne wiesz. Lubię cię mieć na oku. Z tego, co czytałem w gazecie, nieźle z ciebie ziółko.

Podrapał się po brzuchu (też trochę jak jakieś zwierzę) i ugryzł okrągłe ciastko z uśmiechniętą buźką, podobne do tych, jakie Jennifer Pollack piekła dla Karla juniora.

Dobre ciastko, stwierdził. Sięgał teraz po coś, co leżało obok niego na ziemi. Drut.

Mój ojciec wie, że tu jestem! – krzyknęłam. Już tu jedzie.

Nie sądzę. Zrobił pauzę. Farrah.

Musiało nas dzielić około dziesięciu metrów. Ja w starej czerwonej bluzie, morderca z ręką opartą na reflektorze ciężarówki, który wyglądał wśród chwastów jak gapiące się szklane oko. Wampir powoli ruszył w moją stronę, trzymając w rękach drut.

Słyszałam śpiew ptaków i brzęczenie owadów w kwiatkach. Widziałam kruki krążące na niebie. (Może wkrótce zlecą się sępy). Rozejrzałam się w poszukiwaniu agentów FBI lub strażników leśnych. Widząc to, mężczyzna pokręcił głową.

Niedawno przejeżdżali, rzucił. Zanim znów się pojawią, minie... – spojrzał na zegarek, dobra godzina.

Wtedy ją zauważyłam. On nie. Podchodziła do niego od tyłu, bezszelestnie, tak jak to ćwiczyłyśmy przez te wszystkie dni, gdy byłyśmy aniołkami Charliego. Moja siostra.

Zastygłam bez ruchu. Morderca podchodził coraz bliżej. Miałam wrażenie, że zapomniałam, jak się poruszać, a co dopiero biegać. Ale za nim widziałam Patty, która też podkradała się coraz bliżej. Powoli, tak żeby jej nie usłyszał. On się nie spieszył, ona też nie, ale odległość między nimi się zmniejszała.

Był jakieś trzy metry ode mnie, gdy zawahał się i zrobił dziwną minę, jakby odebrał jakąś nadprzyrodzoną wiadomość i musiał się nad nią zastanowić. Przez chwilę stał bez ruchu i już zaczęłam się bać, że usłyszał

Patty. Ale nie.

Pierdnął. I wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Spojrzałam na moją siostrę. Znając ją, obawiałam się, że na ten dźwięk może wybuchnąć śmiechem, lecz ona milczała. Miała taki wyraz twarzy jak podczas meczów koszykówki, kiedy wykonywała rzut wolny i każdy mięsień w jej ciele koncentrował się na tym jednym celu: osiągnięciu kosza.

No cóż, mała, nikt nie jest doskonały, rzucił.

Był już prawie przy mnie.

Nie ma sensu uciekać, powiedział niemal z żalem. I tak cię złapię. Nigdy mi nie uciekniesz. Zawsze będę miał na ciebie oko.

Dokładnie jak w moich wizjach – ale teraz to działa się naprawdę – uniósł ręce nad głowę, trzymając w nich naprężony drut. Jeszcze dwa kroki... jeden... i zarzuci mi go na szyję.

Świat nagle zrobił się biały.

To Patty przerwała ciszę, choć nie wystrzałem z pistoletu.

(Później zapytałam ją: „Zaplanowałaś to? Skąd wiedziałaś, że to zadziała?”. „Wiedziałam tylko, że muszę coś zrobić, odrzekła. Tylko to przyszło mi do głowy”).

Czas wymierzyła idealnie. Sekundę wcześniej, i byłoby za wcześnie. Kilka sekund później, i byłoby za późno.

Penis! – wrzasnęła. Penis, penis, penis!

Przypomniała sobie naszą starą zabawę, w której wykrzykiwałyśmy na głos wszystkie nieprzyzwoite słowa, jakie znałyśmy. Teraz wrzeszczała na całe gardło donośnym głosem. Nawet nie wiedziałam, że tak potrafi.

Morderca się odwrócił. Widział teraz moją siostrę jak na dłoni, ale pozostawała poza jego zasięgiem. Wciąż wykrzykiwała te słowa, jedno po drugim. Wszystkie, których ją nauczyłam, gdy spędzałyśmy czas na wzgórzu.

Penis! Pochwa! Stosunek! Pośladek!

Łojotok! Włosy łonowe! Napletek! Jaja! Podpaska!

Wyglądał na zdezorientowanego. Mógł sobie wyobrazić różne scenariusze (zjawienie się policji, helikoptera, strzelca wyborowego, może nawet pumy), ale taki na pewno nie przyszedł mu do głowy.

Stał bez ruchu. W każdym razie przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło.

Wciąż trzymał strunę fortepianową. Jeszcze sekundę wcześniej pochylał się w moją stronę, wyciągając ręce, by założyć mi ją na szyję, a teraz stał zwrócony w stronę mojej siostry, która wciąż krzyczała głośno i niestrudzenie.

Wyciągała szyję, jakby chciała dosięgnąć nieba, jak kojot do księżyca, miała zamknięte oczy, a z jej ust płynął strumień słów:

Siki! Kupa! Smarki! Pierdzieć! Jądra!

Sutek! Odbyt! Cycki!

Wciąż widzę jej twarz, gdy tam stoi, z głową odchyłoną do tyłu, jakby śpiewała piosenkę. Jakby śpiewała, żeby ocalić życie. Moje życie.

Penis! Penis! Penis!

Pochwa! Stosunek!

Morderca zawahał się, po czym zrobił krok w moją stronę. Cofnął się do Patty. I znów do mnie. Wyglądał, jakby podejmował decyzję, którą z nas zaatakować najpierw. Tę, która stała bliżej, zbyt przerażoną, żeby wydać jakikolwiek odgłos, czy tę wysoką z tyłu, która wrzeszczała tak głośno, że musiano ją słyszeć na całym wzgórzu.

Ale ja byłem bliżej i bez względu na to, co wykrzykiwała Patty, on najwyraźniej doszedł do siebie na tyle, żeby zarzucić mi drut na szyję i zacząć go zaciskać.

Tylko że teraz Patty skoczyła w jego stronę. W ręku trzymała pistolet pneumatyczny.

„Jeśli wystrzelisz z bliska, mówił nam ojciec, możesz pozbawić kogoś oka”.

Wymierzyła w jego oczodół. Wystrzeliła. Trysnęła krew.

Mężczyzna wrzasnął i upuścił drut. Przyciskając ręce do twarzy, zaczął zbiegać w dół. Znów mogłam oddychać.

Oddział sił specjalnych patrolujący wzgórze tamtego dnia usłyszał krzyki mojej siostry. Przybył kilka minut później. Mężczyzna zdążył do tego czasu zniknąć.

Tak się trzęsłam, że z początku nie mogłam mówić. Patty czuła się lepiej, ale nadwyreżyła struny głosowe. Gdy otworzyła usta, żeby opowiedzieć funkcjonariuszom, co się stało, nie była w stanie wykrztusić słowa.

Trochę później mogłam wszystko wytłumaczyć, a przynajmniej próbowałam. Oczywiście pokazałyśmy im rzeczy we wraku ciężarówki i drut porzucony na ziemi, w miejscu, gdzie stałyśmy.

Jadł mus dla dzieci, który ukradł naszej sąsiadce, dodałam.

Zabrał mojej siostrze sznurówki.

To jego puszkę po coli.

To jego krew. Pokazałam miejsce na trawie, w którym Patty zraniła napastnika w oko, czując, że moje szorty coraz bardziej przesiąkają krwią. Moją własną.

Agenci spisali wszystko, co im opowiedziałam. Zapewnili, że skontaktują się z naszymi rodzicami. Odwieźli nas do domu – po raz drugi w ciągu kilku tygodni jechałam samochodem terenowym.

W domu usiedliśmy i opowiedziałam im szczegółowo, co się wydarzyło. Ale kim ja byłam w ich oczach? Dziewczynką, którą „San Francisco Chronicle” opisała jako trudne dziecko. Dziewczynką, która zaledwie kilka tygodni wcześniej wywinęła podobny numer na wzgórzu: zadzwoniła do ojca, skłamała, że ściga ją morderca, i wysłała sąsiadowi anonimowy list z pogroźkami. Co to był za dowód, że na trawie leżał drut? Wszyscy wiedzieli, że zabójca używa struny fortepianowej. Co za problem, zorganizować sobie kawałek?

Patty, która mimo utraty głosu, jak tylko mogła, potwierdzała oczywiście moją wersję wydarzeń – pokazywała gestami, jak zabójca zaatakował mnie z drutem w rękach, jednak zignorowano to jako reakcję małej dziewczynki, lojalnej aż do przesady i rozpaczliwie próbującej chronić starszą siostrę.

Bardzo trudno było nam przekonać policjantów, którzy nas przesłuchiwali, że znalazłyśmy się na wzgórzu same z groźnym seryjnym

mordercą, a jednak udało nam się – dwóm dziewczynkom, które miały do obrony jedynie pistolet pneumatyczny – go pokonać. Wiedziałyśmy, że nie wytłumaczymy tego, że Patty wykrzykiwała nieprzyzwoite słowa, by zdekoncentrować zabójcę (poza tym, to tylko potwierdziłoby opinię agentów o mnie – a teraz o nas obu – że jesteśmy wariatkami i mamy obsesję na punkcie seksu). Tak naprawdę to właśnie krzyki mojej siostry zaalarmowały agentów, którzy tamtego popołudnia przybyli na miejsce jako pierwsi. Słyszeli jej głos, jednak utrzymywali, że Patty wykrzykiwała tytuł jednego z popularnych komiksów (jedna z wersji) lub nazwę pewnego orzecha (druga).

W ogóle nie uwierzyli w naszą historię. Gdy przyjechali do nas wieczorem – wcześniej zażądali, żeby podczas ich wizyty byli obecni rodzice – oświadczyli, że ze względu na wieloletnią i pełną poświęcenia służbę naszego ojca jako stróża prawa gotowi są odstąpić od zarzutu nierozważnego i stwarzającego zagrożenie naruszenia porządku publicznego przez nieletnią (wykroczenie to w innych okolicznościach mogłoby się zakończyć aż sześciomiesięcznym pobytem w poprawczaku). Jednak zważywszy, że najwyraźniej mam jakieś problemy psychiczne, rodzice zostają zobligowani do zaprowadzenia mnie na terapię.

Jeden z funkcjonariuszy wręczył mojemu ojcu wizytówkę psychologa specjalizującego się w terapii młodocianych przestępców i nastolatków uzależnionych od substancji psychoaktywnych.

Po ich wyjściu poszłyśmy do naszego pokoju. Moja siostra wciąż nie mogła mówić. (Jeszcze tego nie wiedziałyśmy, ale tamtego dnia jej struny głosowe zostały trwale uszkodzone. Ta przypadłość została później zdiagnozowana jako poważny przypadek guzków i chociaż ostatecznie zaczęła mówić, z jej gardła wydobywał się tylko chrapliwy szept, nie mogła już krzyknąć na boisku „tutaj, tutaj!” ani śpiewać. Na szczęście nie śpiewała zbyt dobrze, tylko głośno i wesoło. Zwłaszcza razem z Dolly Parton, Deanem Martinem czy naszym ojcem).

Gdy obudziłam się następnego dnia rano, wiedziałam, że morderca zniknął. Czułam to. Tak jak przez te wszystkie tygodnie wyczuwałam jego obecność na wzgórzu, teraz byłam pewna, że go tam nie ma. Wciąż był na

wolności, ale w jakimś innym miejscu.

Wstąpiłam do Pollacków. Powiedziałam, że przyszedłam zwrócić książkę, którą pożyczyłam – nie *Mój tajemny ogród*, do jej przywłaszczenia nie miałam zamiaru się przyznawać. Chodziło o autobiografię byłej mistrzyni olimpijskiej w narciarstwie alpejskim, która po wypadku doznała porażenia czterokończynowego. Kilka tygodni temu, gdy miałam zacząć pracę sprzątaczką w komendzie policji, Jennifer Pollack dała mi tę książkę, tłumacząc, że jej zdaniem ta historia może mnie zainspirować i uświadomić mi, że nawet jeśli życie wydaje się beznadziejne, wszystko może zmienić się na lepsze. „Spójrz na Jill Kinmont – na podstawie jej książki nakręcono film, a teraz ona maluje obrazy, trzymając pędzel w ustach”.

Prawdę mówiąc, wstąpiłam do Pollacków, ponieważ przestali mnie prosić, żebym pilnowała im synka. Wkrótce miało się urodzić nowe dziecko, żywiłam więc nadzieję, że będę mogła pomóc przy Karlu juniorze i zarobić trochę na wyprawkę na nowy rok szkolny. Jednak nie rozmawiali ze mną już od wielu tygodni – od kiedy moje zdjęcie pojawiło się w gazecie z kolejnym artykułem o „rzekomym ataku” na mnie i moją siostrę i moim udawanym wzywaniu pomocy.

Chciałam zapytać, czy mogłabym kiedyś popilnować Karla juniora, zwróciłam się do Jennifer. Żeby mogła się pani zająć przygotowaniami do narodzin dziecka i w ogóle.

Właściwie to wszystko mamy przygotowane, odrzekła Jennifer. Normalnie w tym momencie zaproponowałyby mi lody sorbetowe, jednak nie tym razem.

Gdybyście państwo chcieli gdzieś wyjść w piątek, chętnie przyjdę, nie dawałam za wygraną.

Jennifer milczała przez chwilę. Słyszałam, jak w drugim pokoju Karl junior wydaje odgłosy zwierząt, a Karen Carpenter śpiewa kojącym głosem *We've Only Just Begun*.

Mam nadzieję, że ta terapia ci pomaga, zakończyła spotkanie Jennifer, zamykając za mną drzwi.

Ojciec nigdy o tym nie wspomniał, ale wiedziałam, ile kosztują go moje wybryki. Gdy teraz nas odwiedzał – a od kiedy odsunięto go od śledztwa w sprawie Wampira ze Wzgórza, robił to częściej – mówił nawet, jak to dobrze, że dzięki temu przeniesieniu do Novato ma więcej czasu dla rodziny.

Nie byłem ostatnio zbyt dobrym ojcem, powiedział, jakby to, co się wydarzyło, było w całości jego winą, a nie moją.

Okay. Patty poklepała go po ręce. Dajesz radę.

Teraz my się nim opiekowałyśmy.

Skończyłam czternaście lat tuż przed początkiem lata. Patty miała dwanaście. Ona też dojrzewiała.

Znudzone przygodami Bradych (nawet tymi wymyślanymi przeze mnie), wciąż od czasu do czasu chodziliśmy wieczorem na zbocze góry, za domami przy Morning Glory Court, oglądać filmy. Ale już nie tak często jak dawniej. Ja chodziłam na sesje do terapeuty – który w rozmowie z moją mamą wysnuł teorię, że to, iż wymyślam takie zawiłe scenariusze, w których udaję, że zagraża mi atak Wampira, jest rozpaczliwym domaganiem się przez dziecko zainteresowania ze strony rozwiedzionych rodziców oraz wołaniem o pomoc. W dodatku jestem nastolatką wykazującą dezorientację w sprawach dotyczących seksualności, czego dowodzi moja obsesja na punkcie bardzo niestosownej książki znalezionej w moim pokoju oraz zeszyty zapisane opowiadaniem, które skonfiskowali i przeczytali funkcjonariusze FBI.

Moja mama w ogóle tego nie słuchała.

To, co piszesz w tych zeszytach, to twoja sprawa, niczyja inna, stwierdziła. Nikt nigdy nie powinien mówić pisarce, o czym nie wolno jej pisać.

Nazwała mnie pisarką. Może to wtedy uwierzyłam, że naprawdę mogę nią zostać.

Poza moją terapią i pracą w komendzie policji lato toczyło się w zasadzie tak jak zawsze. W sierpniu syn Helen pomógł jej przeprowadzić się na osiedle dla emerytów, bliżej swojego miejsca zamieszkania w stanie

Waszyngton, i chociaż jej telewizor nie był jedynym, który dało się oglądać wieczorami, jej wyprowadzka wydała nam się całkiem dobrym pretekstem, żeby skończyć z naszą i tak już słabnącą tradycją oglądania serialu *Brady Bunch* na zbieżności. Poza tym miałam dość telewizji.

Patty nadal pomagała opiekować się Petrą i spędzała czas z panem Armitage'em, który – co mnie bardzo zdziwiło, a Patty nie – oświadczył pewnego dnia, że zaręczył się z kobietą poznaną w pracy. Miała na imię Sarah i tak jak on uwielbiała psy, choć jakie było jej zdanie na temat garderoby pana Armitage'a pełnej sukienek (jeśli ich nie wyrzucił), nigdy się nie dowiedziałyśmy. Już dawno nauczyłyśmy się, że życie jest pełne tajemnic, z których wiele pozostanie na zawsze nieodkrytych, mimo pracy najlepszych śledczych.

Był koniec sierpnia, tydzień przed początkiem liceum. U wylotu naszej ulicy zobaczyłam moją siostrę, która wracała do domu, skończywszy rozwozić gazety. Machała egzemplarzem „Marin Independent Journal”.

Złapali go! – wychrypiała, gdy była już na tyle blisko, że mogłam ją usłyszeć. Jej głos był teraz bardzo słaby i zawsze ochrypły.

Kogo?

Wampira.

Podala mi gazetę z nagłówkiem, który zajmował całą górną połowę pierwszej strony: *Wampir ze Wzgórza aresztowany. Hrabstwo Marin oddycha z ulgą*. Zdjęcie przedstawiało wysokiego chudego mężczyznę – wyglądał na nie więcej niż trzydzieści lat – o długich brązowych włosach, którego prowadzono w kajdankach do radiowozu. Uśmiechał się wprost do obiektywu.

W artykule napisano, że dziś rano oddał się w ręce policji. Przyszedł do wydziału zabójstw hrabstwa Marin i przyznał się do wszystkich piętnastu morderstw.

Nazywał się J. Russell Adler, pracował jako poborca opłat za przejazdy na moście Golden Gate i marzył, by zostać gwiazdą rocka. *Twierdził, że będzie drugim Jimim Hendrixem* – powiedział jeden z jego sąsiadów dziennikarzowi, który napisał artykuł o jego aresztowaniu. – *Pojawił się tu po lecie miłości. Raz podpisał mi się na książce telefonicznej i kazał mi jej nie wyrzucać, bo któregoś dnia jego autograf będzie dużo wart.*

„Te kamery są włączone?” – upewnił się J. Russell Adler, gdy policja eskortowała go do sądu w otoczeniu prasy. Pomachał dziennikarzom.

Przyjrzałam się jeszcze raz zdjęciu i oddałam gazetę Patty. Milczałyśmy przez dłuższą chwilę.

Myślisz o tym samym, co ja? – zapytałam.

Moja siostra kiwnęła głową.

To nie on.

W kolejnych dniach artykuły o J. Russellu Adlerze pojawiały się codziennie na pierwszej stronie. W jednym z nich wydrukowano tekst piosenki, którą kiedyś napisał, w innym zamieszczono wywiad z jego matką mieszkającą w stanie Indiana – stwierdziła, że zawsze odradzała synowi wyjazd do Kalifornii. Jakiś człowiek, który sprzedawał bilety w sali koncertowej Fillmore, pamiętał, że J. Russell Adler kilka miesięcy wcześniej pojawił się tam z gitarą, domagając się przesłuchania u Billa Grahama. Ludzie dzwonili do programów radiowych, wspominając, jak płacili w budce za przejazd przez most, a siedzący w niej dziwny młody człowiek rzucał im złowrogie spojrzenia. Oczywiście był to J. Russell.

„Wiedziałałam, że z tym facetem jest coś nie tak”, oświadczyła jedna kobieta.

Inna – która była zatrudniona w sądzie i zastrzegła sobie anonimowość – ujawniła, że podczas odczytania aktu oskarżenia Adler powiedział, że jeśli ktoś jest zainteresowany, to on ma kasety demo. „Jestem, kurwa, nowym Bobem Dylanem!” – krzyknął do ludzi zebranych w sali sądowej.

Nocą w łóżkach rozmawialiśmy o tym.

Ten prawdziwy morderca jest niski, odezwałam się. Pamiętasz, jak wycelowałaś pistolet w jego twarz? Byłaś od niego wyższa. I jest prawie łysy.

Widziałaś jego ręce? – wyszeptała. Pamiętam, że ręce też miał inne. Grube palce i długie paznokcie.

Tak, zgodziłam się. Gitarzyści obcinają paznokcie krótko.

Musimy komuś powiedzieć.

Nikt mi już nie wierzy, uświadomiłam jej.

Tata uwierzy.

To dziwne, ale uwierzył. Ja może nawet bym nie próbowała, ale Patty się uparła, żebyśmy pojechały do niego na rowerach, żeby go złapać, zanim wyjdzie do pracy. Dotarliśmy tam, gdy wsiadał do alfy.

Aresztowali nie tego faceta, oznajmiła Patty bez wstępów. Ten od opłat za

przejazd mostem nie jest prawdziwym Wampirem.

Kto to widział, żeby człowiek twierdził, że jest mordercą, skoro nim nie jest? – przyjęłam rolę adwokata diabła. Wiedziałam, że Patty ma rację, ale nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego ktoś miałby się przyznawać do zbrodni, których nie popełnił.

No cóż, istnieją tacy szaleńcy, rzekł ojciec. Podnieca ich sama myśl o znalezieniu się w centrum uwagi.

Ten prawdziwy, który nas zaatakował, był niski, wychrypiała Patty. I starszy. Postrzeliłam go z pistoletu pneumatycznego. Było tyle krwi, że powinien mieć na twarzy choćby bliznę.

Próbowałyśmy ci powiedzieć.

Ojciec milczał, jednak widziałam po jego twarzy, że uważnie nas słucha. Odezwał się po dłuższej chwili:

Nie miałem racji. Powinienem być wam uwierzyć.

Teraz wytłumaczysz policji, że złapali niewłaściwego człowieka, prawda, tato? – zapytała Patty.

Nie sądzę, żeby chcieli to usłyszeć ode mnie, Patty Cakes. Ani to, ani nic innego. Ostatnio jestem w komendzie persona non grata. Wszyscy ci ludzie z sił specjalnych i grube ryby z FBI przechwalają się, że teraz obywatele mogą bezpiecznie wrócić na wzgórze. A szeryfa czeka pewnie reelekcja.

Ale skoro wszyscy myślą, że to J. Russell Adler jest mordercą, jak mogą złapać tego prawdziwego? – zapytała Patty.

Ojciec nie musiał odpowiadać. Po prostu go nie złapią.

Mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, i tego, że gabinet ojca, niegdyś z tabliczką na drzwiach „Detektyw Anthony Torricelli, szef wydziału zabójstw”, został oddany komuś innemu, ojciec nadal był znany w wydziale jako niezastąpiony, jeśli chodzi o wyciąganie zeznań od najbardziej zatwardziałych przestępców. Nawet gdy nie było wystarczająco dużo dowodów, by skazać zatrzymanego, nawet gdy zjawiał się w pokoju przesłuchań gotów unikać odpowiedzi na wszelkie pytania, nawet gdy wynajął jako adwokata jakąś gwiazdę palestry, nasz ojciec wiedział, jak go

złamać. Doprowadzał podejrzanego do takiego stanu, że ten zwierzał mu się ze wszystkich szczegółów morderstwa (które właściwie mogłoby mu się upiec, gdyby tylko trzymał gębę na kłódkę).

To była jego magia. Nawet teraz, gdy odebrano mu stanowisko szefa wydziału zabójstw, wiadomo było, że we wszystkich organach ochrony porządku publicznego w Marin nie ma lepszej osoby, która może wydobyć pełne i szczegółowe zeznanie od J. Russella Adlera, niż śledczy Anthony Torricelli.

Ściągnęli ojca z Novato. Przydzielili mu pokój i biurko. Przyprowadzili człowieka, który z własnej woli przyznał się do zamordowania piętnastu kobiet. Najprawdopodobniej przypuszczali, że ze wszystkich przesłuchań, w których brał udział mój ojciec, to będzie z pewnością najłatwiejsze. Jak zabranie dziecku cukierka.

Ale tak im się tylko wydawało.

Gdy ojciec został w pokoju przesłuchań sam na sam z J. Russellem Adlerem, zrobił coś, czego nikt się nie spodziewał, i coś, czego nie robił nigdy wcześniej: przez czterdzieści osiem godzin pracował nad tym, by Adler przyznał, że nie jest Wampirem ze Wzgórza. Jednak w odróżnieniu od praktycznie wszystkich innych kobiet i mężczyzn, którzy kiedykolwiek siedzieli w pokoju przesłuchań przy jednym stole z naszym ojcem, ten uparcie trzymał się swojej wersji.

Po skończonym przesłuchaniu prokurator okręgowy wydał oświadczenie, że ponieważ podejrzanym przyznał się do winy, władze stanowe nie widzą potrzeby przeprowadzania procesu.

J. Russell Adler przyznał się do popełnienia wszystkich piętnastu morderstw – tym samym unikając kary śmierci – i został skazany na równowartość piętnastu wyroków dożywocia w więzieniu San Quentin.

Na zdjęciu zamieszczonym na pierwszej stronie „Marin Independent Journal”, na którym wyprowadzano go po ogłoszeniu wyroku, J. Russell Adler się uśmiechał.

Jeszcze jedna rzecz. Z zeznań Adlera wynikało, że wiedział o taśmie, którą były zaklejone oczy ofiar. Zgodnie z tym, co gazety opisywały przez

wiele miesięcy, stwierdził także, że lubił rozbierać ofiary po tym, jak już je zamordował. Mówił, że je gwałcił i opowiadał o tym, że lubił (co także było dobrze udokumentowane przez prasę) układać ich ciała w pozycji klęczącej – choć nie potrafił precyzyjnie określić, które konkretnie ofiary postanowił ułożyć w ten sposób i gdzie dokładnie znaleziono ciała.

Jeździł fordem pinto, nie toyotą, ale to był szczegół.

Ważne było to, że ludzie nie bali się już wychodzić z domu. Znow mógł się odbyć doroczny piknik charytatywny w Święto Pracy, zorganizowany przez klub turystów pieszych. Gubernator nie mógł się nachwalić oddziału sił specjalnych i oczywiście FBI. Nie wspomniał ani słowem o moim ojcu ani o pracy wydziału zabójstw hrabstwa Marin.

Gdy J. Russell Adler został osadzony w więzieniu, życie znow mogło toczyć się normalnie. Z wyjątkiem jednej rzeczy, której dowiedziałam się podczas nocnej wizyty ojca.

Podczas przesłuchania ojciec zapytał człowieka, który utrzymywał, że jest Wampirem ze Wzgórza, o sznurówki.

Sznurówki? – Tamten zrobił głupią minę.

Co robiłeś z ich sznurówkami?

No chyba to co zawsze. Zawahał się. To, co się robi ze sznurówkami.

Czyli co? – drążył mój ojciec.

Zawiazuje.

Późną jesienią obsesja mediów na punkcie Wampira w końcu osłabła i zajęły się innymi rzeczami. Miałam nadzieję, że gdy to nastąpi, odzyskamy naszego ojca, któremu zostanie przywrócony jego dawny status bohatera. Jednak nie zaproponowano mu powrotu na komendę z ciasnego i ciemnego biura w Novato. W oczach większości ludzi w naszym hrabstwie bohaterami w sprawie Wampira ze Wzgórza pozostali agenci FBI.

Tamtej jesieni „Marin Independent Journal” zamieścił artykuł, w którym sugerowano, że nasi lokalni stróże porządku publicznego powinni się uczyć od profesjonalistów z agencji federalnej, którzy doprowadzili wreszcie do skazania mordercy. „Chronicle” opublikowała satyryczny rysunek

mężczyzny, który najwyraźniej miał przedstawiać naszego ojca – łysiejący, z brzuszkiem, zarośnięty, ubiegał się o pracę w McDonalddie.

Po tym, jak nie udało mu się aresztować prawdziwego Wampira, mojemu ojcu zawalił się świat. Wiedział, że ten człowiek pozostaje na wolności, blisko jego ukochanych córek.

Nie pracował już tak intensywnie. W ciągu miesięcy przed aresztowaniem systematycznie chudł, lecz teraz przybrał na wadze, choć nie wyglądał dobrze. Był opuchnięty, prawdopodobnie od alkoholu. Stres ostatnich dwunastu miesięcy przeniósł się najwyraźniej z jego przygarbionych ramion w jakieś inne, głębsze i niewidoczne miejsce.

Myszę, że w chwili, gdy ojciec zrozumiał, że poniósł porażkę, i uznał za okropną pomyłkę to, że nie uwierzył w historię, którą opowiedziałyśmy mu z Patty o naszym spotkaniu z mordercą na wzgórzu, przestał wierzyć w swoją magię. I gdy to się stało, ta magia zniknęła.

Kilka miesięcy po aresztowaniu J. Russella Adlera wybraliśmy się we trójkę na przejażdżkę. Kolacje zawsze najbardziej lubiliśmy jadać w Marin Joe's, ale ponieważ zajechaliśmy trochę dalej na północ, zatrzymaliśmy się, żeby zjeść coś w naleśnikarni IHOP.

Kelnerka, która nalewała ojcu kawę, rozpoznała go, bo pewnie oglądała w telewizji wszystkie te konferencje prasowe rok temu – zaskoczyło mnie to, bo czasem sama ledwie go poznawałam.

To pan jest tym gliną, który prowadził śledztwo w sprawie Wampira ze Wzgórza, stwierdziła.

Nie chce być inaczej, przyznał ojciec, ale jakoś bez przekonania.

Złapałam się na tym, że ja (która kiedyś nie lubiłam takich momentów) byłam zadowolona, że oto ma szansę znów sięgnąć do swojego repertuaru uwodziciela.

Ten facet nieźle dał panu popalić, rzuciła kelnerka. Dzięki Bogu, że mamy FBI.

Patty i ja jadłyśmy w milczeniu. W którymś momencie, gdy ojciec

kończył jeść naleśniki, a kelnerka podeszła, by dolać mu kawy, zauważył, że bardzo przypomina Jane Fondę w filmie *Powrót do domu*.

Pewnie wszyscy to pani mówią, dodał.

Zobaczyłam, jak na nią spojrział, niemal uwodzicielsko, spod rzęs.

To był pierwszy raz w życiu, gdy jakaś kobieta nie zwróciła na niego uwagi. Policzyła mu za naleśniki jak komuś zupełnie zwyczajnemu.

Kaszeln ojca, z którym mama co i rusz nakazywała mu iść do lekarza, nie przechodził. Czasem słyszałam, jak ledwie łapie oddech. Raz, gdy odwoził nas po kolacji do domu, powiedział mamie, że myśli o odejściu ze służby.

Ale przecież ty uwielbiasz tę pracę! – wykrzyknęła.

Gliniarz powinien wyczuć, kiedy minął jego czas, odparł. Chyba już pora, żeby młodszy przejął pałeczkę.

O czym ty mówisz, Anthony? – zdziwiła się mama. Nie skończyłeś jeszcze nawet czterdziestu jeden lat.

Nieważne, w jakim wieku spotyka to mężczyznę. Powinien być tego świadomy, odrzekł ojciec. Nie chcę być jak jeden z tych starych bejsbolistów, którzy wciąż pojawiają się na treningu przed nowym sezonem, gdy średnia uderzeń spada im poniżej dwustu.

Wcześniej, kiedy jeszcze pracował po osiemdziesiąt godzin tygodniowo, zapowiedział nam, że gdy ta sprawa się skończy, zabierze nas do Włoch. Teraz przyniósł przewodnik i stwierdził, że czas zacząć uczyć się włoskiego.

Mówił, że po tej podróży nastąpią zmiany. Kto wie, może otworzy zakład fryzjerski dla mężczyzn?

Był koniec października. Niedawno cofnęliśmy zegary, więc teraz robiło się ciemno o siedemnastej trzydzieści, a w dodatku w tym roku wcześniej zaczęły się deszcze. W oknach domu Pollacków (w którym kilka tygodni temu pojawiło się nowe dziecko, Ashley) leżały dynie. Na domu Helen zawieszono ogłoszenie „Na sprzedaż”. Pan Armitage najwyraźniej znów wynajął mały buldożer, ale tym razem wyglądało na to, że chce pozbyć się kamieni i znów posadzić trawę.

Jego narzeczona chce założyć ogródek warzywny, wyjaśniła Patty.

Ojciec przyjechał tuż po kolacji – nie była to jego zwykła pora, ale cieszyliśmy się, że go widzimy. Siostra i ja sprzątałyśmy po posiłku złożonym z zupy Campbella i krakersów.

Muszę z wami porozmawiać, dziewczynki, rzekł. I z mamą też.

Usiedliśmy w salonie. Ojciec zapalił papierosa.

Okazuje się, że już za późno rzucać. Uśmiechnął się ze smutkiem.

Miał raka. Rentgen wykazał guzy na obu płucach. Nie wyglądało to dobrze.

Mój dziadek zawsze nazywał je gwoźdźmi do trumny, powiedział, przyglądając się znajomej paczce lucky strike'ów z czerwonym środkiem tarczy. A jednak dożył do osiemdziesiątki, paląc jak komin. Chyba liczyłem na to, że mam jego geny.

Gdy leżałyśmy w łóżkach, nie płakałam, wiedząc, że to by Patty przstraszyło.

Dobrze, że wychwycili to teraz, szepnęła. Byłoby gorzej, gdybyśmy pojechali do Włoch i dowiedzieli się dopiero po powrocie.

On musi chorować już od jakiegoś czasu, odezwałam się. Sama wiesz, jak kaszle.

Nie mogłam sobie nawet przypomnieć, kiedy coś nam śpiewał, ostatnio raczej recytował słowa razem z wykonawcami z płyt lub z kasety w samochodzie.

On jest taki silny, powiedziała z przekonaniem Patty. Może nie każdy

potrafiłby sobie z tym poradzić, ale tata jest inny. Włochy dobrze mu zrobią. Będziemy pływali tymi łodziami kierowanymi przez mężczyzn w pasiastych koszulach, wiosłowali po kanałach i śpiewali. Wreszcie odzyskamy naszego ojca.

Do tej podróży nigdy nie doszło, ale ojciec, póki jeszcze mógł prowadzić, przyjeżdżał do nas częściej niż kiedykolwiek wcześniej. Były takie chwile tamtej jesieni, gdy łatwo mi było wyobrazić sobie, że nasza czwórka wciąż tworzy rodzinę – mama, Patty, ja i ojciec graliśmy w karty przy kuchennym stole albo jedliśmy popcorn. Mama w tamtych miesiącach częściej wychodziła ze swojego pokoju.

Wiecie, dziewczynki, jaki miałem problem z waszą mamą? – zapytał raz ojciec, przyglądając się jej dłoni. Była dla mnie za inteligentna. Ona jedyna nigdy nie dawała się nabrać na moje teksty. Nawet gdy ja sam się na nie nabierałem.

Mama patrzyła na niego znad ułożonych w wachlarzyk kart. Pierwszy raz w życiu widziałam łzy w jej oczach.

Nie ma lepszej kobiety od ciebie, oświadczył ojciec. Nic dziwnego, że nasze dziewczynki są takie wspaniałe, wiem, komu za to dziękować.

Czasem w takie wieczory rozmawialiśmy we czwórkę o dawnych czasach. Ojciec lubił wspominać, że z nim zaliczyliśmy wszystkie tradycje regionu: stadion Candlestick Park, włoską dzielnicę North Beach, półwysep Marin Headlands, tramwaje, napój Shirley Temple w restauracji Top of the Mark, wskakiwanie w fale na Stinson Beach. Żadna z nas nie miała serca powiedzieć mu: „W każdym z tych miejsc byliśmy dokładnie raz”.

Pamiętacie tę francuską piosenkę, którą śpiewaliśmy? – zapytał pewnego razu. Pamiętacie hotel Flamingo?

Patty i ja nie odezwałyśmy się.

To musiało być z kimś innym, Anthony, odrzekła mama.

My wiedziałyśmy, z kim.

Chciał mnie nauczyć prowadzić samochód. Wiedziałam, że w moim

wieku siedzenie za kółkiem jest nielegalne, ale przecież nie mogłam klócić się z ojcem, nawet gdyby nie był policjantem.

Wyzaczył lekcję na sobotni listopadowy ranek. Tamtego dnia dla odmiany wyszło słońce. Trasa wyznaczona przez ojca miała prowadzić autostradą numer 1, przez Stinson Beach, obok Bolinas do Point Reyes. Jechaliśmy alfą.

Większość ojców nie zaczynałaby uczyć dzieci jazdy od auta z ręczną skrzynią biegów, a już na pewno nie na drodze, która miała tyle szalonych zakrętów i stromych zboczy, że wykorzystywano ją w wielu reklamach sportowych aut. Ale żadne z dzieci nie miało takiego ojca jak mój.

Tylko nie mów mamie, zastrzegł, gdy po mnie przyjechał. Jego stara kwestia. Nie musiał mi o tym przypominać.

Siedziałam na miejscu dla pasażera, aż wjechaliśmy na autostradę, gdzie zamieniliśmy się miejscami. Wtedy mogłam ocenić, jak bardzo schudł od czasu postawienia diagnozy. Spodnie zwisały mu na pasku niczym zasłony z karnisza, a jego dłonie, które zawsze kochałam, wyglądały jak kości obciążone skórą. Wstawał z fotela wolno jak staruszek, przytrzymując się samochodu, zanim się całkiem wyprostował. Słyszałam każdy jego oddech.

Nigdy nie skupiaj się na tym, co jest tuż przed tobą, Farrah, instruował mnie. Musisz się koncentrować na tym, co jest na drodze trzydzieści metrów dalej.

Nie hamuj na zakręcie. Zmień bieg na niższy. Tak robią zawodowcy.

Jeśli prowadząc, chcesz wyglądać fajnie, a przecież chcesz, mówił, nie powinnaś tak bardzo ścisnąć kierownicy. Ja wyobrażam sobie, że trzymam dłonie na ramionach pięknej kobiety. Znajdź sobie jakiś obraz, który będziesz wtedy widziała.

Chciał się zatrzymać na Stinson Beach, żeby popatrzeć na ocean, ale gdy tam dotarliśmy, widziałam, że będzie to dla niego trudniejsze, niż się spodziewałam. Wysiedliśmy jednak z auta i poszliśmy ścieżką na plażę. Ojciec o to nie poprosił, ale schyliłam się, żeby rozsznurować mu buty. Wiedziałam, że będzie chciał pochodzić boso.

Minęliśmy Bolinas, miasto, którego mieszkańcy wciąż usuwali z drogi znak z nazwą, żeby zniechęcić turystów.

To miasto hipisów, powiedział ojciec. Miejscowe kobiety nie uznają golenia pach. Ja z tym nie dyskutuję, rozumiesz. Każda kobieta ma prawo do własnego stylu, jeśli chodzi o urodę. To moje przekleństwo, że kocham je wszystkie.

Wciąż jechaliśmy na północ. Olema, Point Reyes Station, Marshall. Wiedziałam, że ojciec jest zmęczony – bardziej niż zmęczony – jednak chciał jechać dalej. Włożył do odtwarzacza kasetę z Deanem Martinem i choć od czasu do czasu zamieniliśmy kilka słów, a on sporadycznie dawał mi jakąś wskazówkę dotyczącą jazdy, na długich odcinkach jechaliśmy w milczeniu – ojciec jako pasażer, ja za kierownicą – słuchając muzyki.

Podczas tej wyprawy chyba rzeczywiście bardzo mocno ścisnęłam kierownicę, ale nie tylko dlatego, że byłam niedoświadczonym i niepełnoletnim kierowcą.

Ścisnęłam ją z emocji, bo rozumiałam, że to, co dzieje się w tej chwili, jest kolejną jednorazową przygodą z moim ojcem i chciałam zapamiętać każdą sekundę. Miałam świadomość, że to będzie jedyna lekcja jazdy, której mi udzieli. Byłam też pewna, że powody, dla których zabrał mnie w tę podróż, wykraczają poza zwykłą chęć nauczenia mnie, jak prowadzić auto.

Mojej mamy nie było przy mnie, gdy dorastałem, odezwał się. Może powinienem być na nią zły, ale nie byłem. Doszedłem do wniosku, że miała swoje powody. Nie pytałem jakie.

Moje palce przez cały czas zaciskały się na kierownicy. Oczy miałam utkwione w drodze. Lepiej, żeby nie widział mojej twarzy. Ani ja jego.

Potrafiłem sobie z tym poradzić, ciągnął. Trudniej było patrzeć, jak to wpływa na mojego staruszka.

Milczenie. Tony Bennett śpiewał: *My Foolish Heart*.

Byłoby dobrze, gdyby wasza mama trochę częściej wychodziła z domu, powiedział.

Gdyby kogoś poznała. Jakiegoś normalnego faceta. Zasługuje na to.

To było niemożliwe, ale nie powiedziałam tego na głos. Pierwszym i ostatnim mężczyzną, którego nasza mama pocałowała w życiu, był on.

Twoją siostrą się nie martwię, mówił. Ta dziewczyna będzie umiała powiedzieć facetowi, że pieprzy od rzeczy. I mnie też. Nie pozwoli, żeby

ktokolwiek z nią zadzierał. I będzie śliczna, gdy tylko wyprostuje sobie kiedyś zęby.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby któreś z rodziców wspominało coś o zębach Patty. Uderzyło mnie, że nawet teraz, gdy ojciec wreszcie przyznał, że jest to jakiś problem, zrobił to tak, jakby nie czuł się za to odpowiedzialny. Po prostu wiedział, że Patty jest na tyle mądra, że sama sobie da radę. Może już wtedy zrozumiał, że jego dwunastoletnia córka ma samodyscyplinę i siłę, których jemu brakuje.

Ale o ciebie się martwię, Farrah, westchnął.

Dojechaliśmy już aż do miasteczka Jenner, gdzie rzeka Russian wpada do oceanu. Choć zrobiło się chłodno, okna mieliśmy otwarte, co utrudniało mi słuchanie słów ojca – wypowiadał je teraz ciszej niż kiedyś, z trudem oddychał. Nabierał powietrza tak, jakby sączył płyn z maleńkiej filiżanki, w której została tylko resztką i nie było szansy na dolewkę, gdy tę resztkę się wysączy. Po kropelce. A nawet nie tyle.

Ty oczywiście stajesz się prawdziwą piękną, rzekł z wysiłkiem. Już się nią stajesz. Mężczyźni będą się za tobą uganiać przez całe twoje życie, niezależnie od tego, ile będziesz miała lat. Ale musisz być pewna, że coś z tego masz. Nie pozwól, żeby to było jednostronne uczucie.

Byliśmy już prawie w hrabstwie Mendocino, gdy kazał mi zawrócić. Odchylił oparcie i zamknął oczy. Kiedy jechałam krętą autostradą, nie byłam pewna, czy śpi. Powinam się chyba martwić, co się stanie, jeśli zatrzyma nas jakiś gliniarz i poprosi mnie o prawo jazdy, ale w ogóle o tym nie myślałam.

Musiałam uważać na drogę, ale czasem, na sekundę, zerkałam na ojca śpiącego obok mnie i nakazywałam sobie zatrzymać tę chwilę w pamięci. Nigdy jej nie zapomnieć. Udawałam, że jestem dorosłą kobietą – mam trzydzieści, może trzydzieści pięć lat, promuję moją książkę, która jest bestsellerem, a ojciec przeszedł na policyjną emeryturę i (ponieważ byłam pewna, że moja siostra będzie miała dzieci) jest już dziadkiem. Może jedziemy na jakąś ważną kolację dla literatów. Może moja siostra została zawodową trenerką koszykówki, pracuje z jakąś niezwykłą szkolną drużyną pierwszej ligi i udajemy się na jeden z ich meczów.

Może nawet jestem jeszcze starsza, tak naprawdę w wieku, który osiągnęłam teraz – czterdzieści kilka lat – a ojciec jest starym człowiekiem. Wtedy nie byłoby dziwne, że tak wygląda i że ma problemy z oddychaniem. Jest po prostu stary, i tyle.

Gdy wróciliśmy do Marin, na zjeździe z autostrady, którym dojeżdżało się do Morning Glory Court, ojciec otworzył oczy tak nagle, że zdałam sobie sprawę, iż wcale nie spał, tylko odpoczywał.

– Chcę cię o coś poprosić, Farrah, szepnął. Zawieź mnie do Margaret Ann.

To miejsce nosiło nazwę Valley View^[5], choć właściwie widać z niego było tylko autostradę.

Zgadłyśmy jednak, widząc tamtego dnia zaparkowany samochód ojca – wydawało się, że to było sto lat temu, choć naprawdę minęło zaledwie kilka miesięcy – że osoba, która tu mieszka, to Margaret Ann.

Kiedy odwiedziłyśmy ją ostatnio – był to też ostatni raz, gdy byłyśmy z Patty u kogoś razem z naszym ojcem – miałam dziewięć lat, a Patty siedem. Pamiętam naszą dumę, gdy chcąc zaskoczyć Margaret Ann podciągnął się i wspiął na balkon. Miejsce, w którym wtedy mieszkała, było takie piękne, że wyobrażałyśmy sobie, iż ojciec przywiózł nas do Disneylandu, a ona jest Kopciuszkiem. Pamiętam, że przez chwilę żałowałam, iż tam nie mieszkamy, częściowo dlatego, że było tam tak ładnie, ale też dlatego, że nasz ojciec wydawał się tam taki szczęśliwy. Pamiętałam też, co czułam później: okropne wyrzuty sumienia, że mi się spodobała i że przez to zdradzam moją mamę.

„Nigdy ci nie wybaczę”.

Gdy zatrzymałam samochód na parkingu Valley View, z ojcem na siedzeniu pasażera, złapałam się na tym, że mam nadzieję, iż Margaret Ann mieszka na parterze, żeby nie musiał wchodzić po schodach.

W poprzednim miejscu były skrzynki z kwiatami i świetlica, basen z turkusową wodą i brodzik, w którym raz siedziałyśmy z Patty, gdy ojciec i Margaret Ann leżeli obok na szezlongach, sącząc przygotowane przez nią drinki bladezielonego koloru, z małymi papierowymi parasolkami, które później zabrałyśmy do domu.

Basen przy Valley View był pusty, a na jego dnie zalegała brudna warstwa czegoś przypominającego pleśń. Na parkingu stało zaledwie kilka aut – prawie wszystkie zdezelowane – a część budynku, wyglądającą na niezamieszkaną, otaczało ogrodzenie z gęstej siatki.

Ojciec najwyraźniej rozpoznał jedno z aut: był to bardzo stary volkswagen z naklejką z napisem *Nikt nie jest doskonały, póki się w nim nie zakochasz* i drugi głoszący: *Tam, dokąd warto pojechać, nie trafisz na skrót*.

Wygląda na to, że jest w domu, powiedział cicho.

Widocznie nie zadzwonił do niej wcześniej. Postanowił zaryzykować.

Nie wyjaśnił mi, co tutaj robimy, ale ja nie potrzebowałam wyjaśnień.

Powinienem być wziąć dla ciebie coś do jedzenia, zmartwił się, choć nie byłam głodna. Nie zabrałaś nawet żadnego zeszytu, żebyś mogła sobie coś pisać.

Nie martw się o mnie, uspokoiłam go. Posłucham radia.

Okazało się, że mieszkanie Margaret Ann jest na pierwszym piętrze i wchodzi się do niego z zewnętrznej klatki schodowej, prowadzącej z parkingu do długiego, wąskiego balkonu, gdzie ktoś, kto tu jeszcze mieszkał, urządził wystawę butelek po piwie, za które można było dostać zwrot kaucji. Na tym balkonie stał też rower stacjonarny – umieszczony tak, żeby siedząca na nim osoba miała dobry widok na autostradę – kuweta dla kota, zepsuty wózek spacerowy i choinka z całym zestawem dekoracji.

Wiedziałam, że ojciec nie będzie chciał pomocy przy wchodzeniu po schodach. Patrzyłam jednak, jak na nie wchodzi, na wypadek gdybym musiała podać mu rękę. Dwa razy zatrzymał się, by zaczerpnąć powietrza. Potem ruszał znowu. Gdy dotarł do jej drzwi, zobaczyłam, jak ściąga ramiona do tyłu i przesuwając dłoń po włosach. Odczekał moment, zanim zadzwonił.

Z mojego miejsca na parkingu nie widziałam, jak Margaret Ann staje w drzwiach. Musiała go przytulić, bo dostrzegłam jedno białe ramię obejmujące jego szyję i wichrzące mu włosy. Potem przekroczył próg mieszkania i drzwi się zamknęły.

Czekałam w aucie prawie godzinę. W innych okolicznościach uznałabym, że to długo, bo przecież siedziałam na parkingu i czekałam na ojca, który

poszedł odwiedzić kobietę, która nie była moją matką, a ja kiedyś ostrzegłam go, że jeśli kiedykolwiek będzie miał z nią dzieci, już nigdy się do niego nie odezwę. Jeśli ułoży sobie życie bez nas. Jednak w tej sytuacji byłam zadowolona, że nie ma go tak długo. Czas, który spędzi w tamtym mieszkaniu, będzie najlepszym czasem, jaki dał mu los. Gdyby chciał, gotowa byłam siedzieć tam cały dzień.

Gdy wyszedł, zaczynało się już ściemniać. Znów powstał chwilę w progu; widząc krąg światła za jego plecami, domyśliłam się, że ona też tam jest i mówi coś do niego, a może się całują. Trudno powiedzieć. Teraz nie żałowałam mu niczego.

Zszedł bardzo powoli po schodach, obejrzał się w połowie, ale drzwi już chyba były zamknięte. Krąg światła zniknął.

Gdy podszedł do samochodu, sięgnęłam do drzwi po stronie pasażera, żeby mu je otworzyć – tylko taką pomoc mógł ode mnie przyjąć. Usiadł z westchnieniem tak długim, jakby wypuszczał powietrze z dmuchanego materaca.

To piękna kobieta, odezwał się, patrząc przed siebie, jakby to on musiał uważać na drogę.

Nigdy wcześniej nie wycofywałam auta z parkingu ani nie wrzucałam wstecznego biegu, ale ojciec wyglądał na tak wyczerpanego, że wiedziałam, iż nie mogę go poprosić o pomoc. Zapaliłam silnik, wrzuciłam bieg i zbyt ostro skręciłam kierownicę. Walnęłam w kubeł na śmieci z taką siłą, że później zobaczyłam spore wgniecenie. Kiedyś ojciec by się przejął, ale teraz jakby tego nie zauważył.

Już tu nie przyjedziemy, rzekł, gdy wyjechałam na autostradę. Człowiek powinien zostawić po sobie dobre wrażenie.

W styczniu poszedł na operację. Miał zostać w szpitalu tylko tydzień, ale po zabiegu przenieśli go na inne piętro, a kilka dni później poprosił swojego kumpla Sala, żeby przyniósł mu przenośny odtwarzacz i stos płyt. Wtedy zrozumialiśmy, że nieprędka wróci do domu.

Gdy odwiedziłyśmy go z Patty, pokazał nam, jak działa szpitalne łóżko, guziki, które można naciskać, żeby usiąść lub położyć się pod pewnym

kątem. Łatwiej mu było w ten sposób wstać do łazienki, choć później to też przestało być możliwe.

Dziewczynki, zwrócił się do nas, przynajmniej wy mi się w życiu udałyście.

W ten ostatni weekend spałyśmy na krzesłach przy jego łóżku.

Pan Armitage zawiózł nas do szpitala, a później przyjechała mama, która przywiozła nam coś do jedzenia i posiedziała przy ojcu, choć krótko. Nigdy nie lubiła dramatycznych scen.

Patty i ja zostałyśmy przy łóżku ojca do końca weekendu, a gdy nadszedł poniedziałek, żadna z nas ani przez moment nie pomyślała o szkole, nie byłyśmy nawet świadome, jaki to dzień tygodnia. Ojciec nie mógł już mówić, z trudem łąpał powietrze, dłonie trzymał otwarte, w geście, który u policjanta oznaczał, że nie ma przy sobie broni. W którymś momencie ból był tak straszny, że pomyślałam, że gdyby miał teraz pistolet, toby ze sobą skończył.

Opuściłyśmy szpital dopiero w czwartek, tylko dlatego, że ojciec umarł.

Pamiętam, jakie to było uczucie, gdy wychodziłam z budynku szpitala po tym, jak odwieźli jego ciało do domu pogrzebowego. W lutym w północnej Kalifornii zwykle pada deszcz, jednak tamtego dnia wyszło słońce, które wydawało mi się tak jaskrawe, że osłoniłam oczy. Sześć dni spędziłam w ciemnym pokoju ojca, więc moje źrenice musiały się przyzwyczaić do światła, ale chodziło o coś jeszcze.

Świat bez naszego ojca, który by nas chronił, wydawał się miejscem zmienionym nie do poznania i nieznośnie samotnym.

NIGDY NIE PRZESTANĘ

Chcieli urządzać ojcu pogrzeb w mieście, w kościele St. Mary's, ze strażą honorową hrabstwa Marin i policjantami z San Francisco, a na trumnie położyć flagę, którą mogłybyśmy później zabrać do domu. Jednak ojciec nie chciał żadnej ceremonii. Prosił, żeby go skremować.

Zostawił mi swój rewolwer – Chief Special (Smith & Wesson model 36) – oraz alfę romeo. Poza tym nie miał zbyt wiele: kilka par bardzo dobrych butów, medal za odwagę podczas służby, skórzaną kurtkę, złoty zegarek, wszystkie płyty, jakie kiedykolwiek nagrali Frank Sinatra, Tony Bennett i Dean Martin, i jedną płytę Dusty Springfield, która przywoływała wspomnienia o pewnym popołudniu dawno temu, o kolorowym napoju pitym przez słomkę i o zamkniętych drzwiach sypialni. Jednej rzeczy szukałam wśród jego dobytku i nie znalazłam: nożyczek fryzjerskich jego ojca. Dziwne, ale bardziej zależało mi na tych nożyczkach niż na medalu.

Był też rachunek oszczędnościowy, na którym, jak mówił nam ojciec, odkładał co miesiąc pieniądze na długo wyczekiwaną podróż do Włoch. W chwili jego śmierci na koncie było niecałe osiemset dolarów – za mało na dwa bilety do Włoch, żebyśmy mogły rozsypać prochy w jego rodzinnym mieście Lukka. To tam zawsze chciał nas zabrać. Do Lukki i do Wenecji.

Nie pojechałyśmy w tę podróż w tamtym roku i jeszcze przez jakiś czas. Czekaliśmy z nią do chwili, gdy ja skończyłam szkołę średnią, a Patty szesnaście lat. Zaoszczędziłyśmy wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zobaczyć też Florencję i Rzym. W Wenecji poznałyśmy kilku pięknych młodych Włochów. Jeden okazał się nie najgorszym koszykarzem, który nie dbał o to, że moja siostra jest od niego trochę wyższa. Ani jej wzrost, ani to, że pokonała go na boisku, nie przeszkadzały im w całowaniu, które Patty opisywała mi jako cudowne. Nosila już wtedy aparat na zębach – zarobiła na niego, rozwożąc gazety i pomagając w kelnerowaniu, dodała też pieniądze otrzymane w prezencie od pana Armitage'a. Aparat nie okazał się przeszkodą dla Vincenza i Patty.

Po powrocie do domu poszłam do szkoły kosmetycznej. Nawet nie pomyślałam o studiach. Jednak po kilku latach ścinania włosów i słuchania rozmaitych historii opowiadanych przez klientki zdałam sobie sprawę, że

chciałabym studiować psychologię, ze szczególnym uwzględnieniem psychologii przestępców.

Zaczęłam w lokalnym dwuletnim college'u, a potem przeniosłam się do Berkeley. Moja siostra też dostała się do Berkeley, dzięki stypendium koszykarskiemu. Mogłyśmy teraz dojeżdżać na uczelnię niebieską alfą, którą dostałam w spadku po ojcu. Gdy byłam na ostatnim roku, wynajęłyśmy mieszkanie.

Wtedy Patty mogła spełnić marzenie swojego życia o posiadaniu psa. Nie zaskoczyło mnie, że jej wieloletni dylemat – słodki szczeniak czy uroczy stary pies ratownik, potrzebujący domu – zakończył się adopcją mieszańca labradora z golden retrieverem. Suka o imieniu Betty nie miała jednej nogi, jednak i tak nadażala za moją siostrą, gdy ta uprawiała jogging. Betty przeżyła u Patty aż pięć lat – dłużej niż można by się spodziewać w przypadku psa, którego wiek, gdy Patty przyprowadziła ją do domu, szacowano na dwanaście.

Ja zgodnie ze swoimi planami zaczęłam pisać – aspiracje, aby zostać międzynarodowym szpiegiem i kierowcą rajdowym, poszły w zapomnienie. Wziąwszy pod uwagę, ilu doskonałych pisarzy zмага się z różnymi przeciwnościami nawet przez kilkadziesiąt lat, zanim zobaczy swoją książkę w druku, z zakłopotaniem przyznaję, że moją pierwszą powieść, połączenie thrillera i czarnej komedii pod tytułem *I polala się krew*, sprzedałam w wieku dwudziestu dziewięciu lat.

Książka odniosła całkiem spory sukces, a jej dalszy ciąg, *Więcej krwi*, poradził sobie na rynku jeszcze lepiej. Od tamtej pory wydaję książki prawie co roku, zawsze na wiosnę.

Resztę mojej historii trudniej mi będzie opowiedzieć.

Po śmierci ojca i skazaniu J. Russella Adlera próbowałam przez jakiś czas nie myśleć o sprawie Wampira ze Wzgórza. Już sama myśl, że J. Russell Adler – człowiek odsiadujący teraz wyrok w więzieniu San Quentin – nie jest tym mordercą (mimo że sam uparcie tak twierdził), była trudna do zniesienia. Jednak świadomość, że prawdziwy zabójca pozostaje na wolności, niszczyła mnie, tak jak wcześniej mojego ojca.

Był jeszcze jeden problem: dowiedziałam się na studiach (a wcześniej mówił mi też o tym ojciec), że seryjny morderca nie przestaje nim być. Mogą

zdarzyć się okresy, w których robi sobie przerwę. Może się przenieść w zupełnie inne miejsce. Może nawet zmodyfikować pewne aspekty swego modus operandi, choć niektóre charakterystyczne cechy jego metody popełniania przestępstw prawie na pewno będą się powtarzać, nawet jeśli między jednym morderstwem a drugim minie kilkadziesiąt lat.

Jednak, jak powiedziałam Alison w tym krótkim okresie, gdy udawała moją przyjaciółkę: gdy ktoś taki raz poczuje krew, zawsze wraca po więcej.

Seryjny morderca nie przestaje zabijać, chyba że zostanie aresztowany lub umrze.

Moje wizje, jak je zawsze nazywałyśmy, stały się rzadsze, a potem zupełnie zanikły. Nie byłam świadoma tej zmiany w momencie, gdy nastąpiła, ale któregoś dnia, w wieku osiemnastu czy dziewiętnastu lat, zorientowałam się, że od czasu, gdy ostatni raz doświadczyłam takiego uczucia, jakie dręczyło mnie w roku Wampira – że wchodzę w umysł innej osoby, wiem, co myśli, i widzę świat jej oczami – minęło dobrych parę lat.

Pod wieloma względami była to ulga, że ten mój dar, czy też moje przekleństwo, mnie opuściło. Jednak z drugiej strony stwierdziłam, że teraz świat wydaje mi się uboższy i mniej barwny, podczas gdy dawny składał się z różnych warstw (rzeczywistych oraz fantastycznych, tworzonych bezustannie w mojej wyobraźni) – teraz istniało tylko prawdziwe życie. Wymyślałam wprawdzie historie i je zapisywałam, ale już nie wypełniały mojej głowy tak jak kiedyś i już nie myliło mi się to, co wymyśliłam, z tym, co działo się naprawdę.

Jednak wciąż myślałam o Wampirze ze Wzgórza, codziennie, w każdej godzinie, tak jak od pierwszej chwili, gdy zjawił się w naszej okolicy ze struną od fortepianu, taśmą klejącą i makabrycznym fetyszem w postaci sznurówek. Raz, i tylko raz od lata 1977 roku, udało mi się zapomnieć o nim i o moim pragnieniu doprowadzenia do rehabilitacji ojca. Ta przerwa trwała około roku. Był to krótki okres – jedyny taki w moim życiu – gdy pozwoliłam sobie się zakochać, szaleńczo i ekstatycznie, tak bardzo, że wszystko inne straciło znaczenie (śmierć ojca, Wampir ze Wzgórza, a nawet moja siostra) i wiedziałam tylko, że chcę być z tym mężczyzną i myślałam wyłącznie o nas dwojgu.

Nigdy wcześniej nie chciałam wyjść za mąż, jednak gdy poznałam Chrisa, ta perspektywa nagle wydała mi się możliwa, a nawet konieczna. Napisałam wtedy beznadziejnie romantyczną historię miłosną, powieść, której na szczęście nie dokończyłam, bo gdybym teraz do niej zajrzała, z pewnością skręcałabym się z zażenowania. Rozmawialiśmy z Chrisem o przeprowadzce do Oregonu. O dziecku. Kupiliśmy volkswagena busa i postanowiliśmy pojeździć trochę po kraju, gotując jedzenie na ognisku i śpiąc pod gołym niebem, jeśli tylko było to możliwe.

Biwakowaliśmy w Dakocie Południowej, gdy przez czyjeś radio usłyszeliśmy w wiadomościach, że w Black Hills, niedaleko od nas, została zamordowana kobieta. Ten, kto popełnił to morderstwo, poruszał się piechotą i udało mu się opuścić miejsce zbrodni, nie pozostawiając ani śladu dowodu.

Chris, który znał moją historię, zaproponował, żebyśmy natychmiast przenieśli się gdzie indziej. Może do Montany lub Utah. Jest tyle pięknych miejsc.

Ja jednak chciałam zostać w Dakocie Południowej. Nie tylko przez kilka dni, ale do chwili, gdy złapią mordercę. Chciałam się dowiedzieć wszystkiego o tej zbrodni i jeśli to możliwe, wziąć udział w dochodzeniu. Byłam przekonana, że winny morderstwa w Black Hills musi być tym samym mężczyzną, z którym ja i moja siostra zetknęłyśmy się wiele lat temu na górze Tamalpais, dlatego pragnęłam być obecna w tym triumfalnym momencie, gdy założą mu kajdanki.

To był początek. Wynajęliśmy nawet mieszkanie w Brookings. Chris tak za mną szalał, że nie miał nic przeciwko mojej obsesji, wydawało się, że akceptuje to, iż całe dnie spędzam w bibliotece, że wysyłam długie listy na posterunki policji w całym stanie, informując funkcjonariuszy o szczegółach sprawy Wampira, które moim zdaniem mogłyby pomóc im ująć zabójcę. (Który w końcu został schwytany w Kanadzie. I okazało się, że nigdy w życiu nie był w Kalifornii. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że nie ma jednego człowieka, który morduje kobiety w odludnych miejscach, że w całym kraju wręcz się od nich roi).

W tamtym czasie internet dopiero raczkował i koncepcja jakiegokolwiek narodowej bazy danych poza tą, którą miała do dyspozycji FBI, wydawała się nierealna. Przypuśćmy, że jakaś kobieta została zamordowana z pistoletu

kaliber czterdzieści cztery w stanie Georgia przez mężczyznę, który, żeby wtargnąć do jej mieszkania, udawał sprzedawcę odkurzaczy. Nie było możliwe, by policjanci prowadzący to śledztwo wiedzieli, czy jakakolwiek inna kobieta, w zbliżonym wieku i o podobnym typie urody, przeżyła podobny atak, dajmy na to osiem miesięcy wcześniej, ze strony kogoś, kto użył pistoletu o identycznym kalibrze i kto dostał się do mieszkania, wmawiając jej, że ma do sprzedania wspaniały zestaw noży w fantastycznej cenie. Zwłaszcza jeśli ta inna kobieta mieszkała w innym stanie – na przykład Ohio czy Rhode Island.

O ile nie było się agentem FBI, jedynym sposobem, w jaki można się było dowiedzieć, że oba te wydarzenia w ogóle miały miejsce, i dostrzec podobieństwa między nimi, byłaby subskrypcja kilkuset gazet, gruntowne śledzenie wszystkich morderstw lub usiłowań morderstwa we wszystkich stanach i zapisywanie szczegółów każdego z nich. Trzeba by było nabić sobie głowę mnóstwem okropnych historii. Człowiek mógłby się nawet złapać na robieniu tego, co kiedyś mój ojciec: przyczepianiu zdjęć ofiar na ścianie, żeby wciąż studiować ich twarze i szczegóły dotyczące ostatnich chwil ich życia.

Ja to zrobiłam.

Na ścianie mieszkania, które zajmowałam z Chrisem, nakleiłam mapę pięćdziesięciu stanów. (Alaska i Hawaje wydawały się mało prawdopodobnym obszarem działania seryjnego mordercy, ja jednak nie chciałam wykluczyć żadnego miejsca, w którym mógł się pojawić Wampir).

Całe dni spędzałam w bibliotekach, przeglądałam mikrofiszki, zapisywałam dane. Potem wbijałam pinezki w mapę, w każde miejsce, gdzie doszło do jakiejś zbrodni, w której cokolwiek mogło przypominać dzieło Wampira ze Wzgórza.

Moje myśli i rozmowy pełne były szczegółów gwałtów i morderstw, a także informacji o mężczyznach, którzy je popełnili. Gdy nie myślałam o morderstwach, myślałam o ich sprawcach. Przestałam mówić o Oregonie i o dziecku.

W ciągu roku Chris i ja się rozstaliśmy. W moim życiu nie było już miejsca na innego mężczyznę oprócz tych dwóch, których historie zajmowały praktycznie każdą godzinę, której nie poświęcałam na sen.

Jednym był Wampir ze Wzgórza, drugim ojciec.

Po zerwaniu z Chrisem sporo przemieszczałam się po kraju. Tak samo, jak w moim przekonaniu musiał postępować zabójca. Dwa miesiące w Illinois. Sześć miesięcy w Minnesocie. Rok (to był długi okres) w Nevadzie, gdy w ośrodkach narciarskich w czasie dwóch kolejnych sezonów znaleziono cztery martwe młode kobiety. Gdy w końcu aresztowali człowieka odpowiedzialnego za te morderstwa, okazało się, że to nie ten, którego szukam. Mimo że nie pamiętałam szczegółów wyglądu mężczyzny, który zaatakował nas tamtego popołudnia na wzgórzu, wiedziałam, że jest dość niski. Mężczyzna, który zamordował narciarki, miał ponad metr dziewięćdziesiąt.

Przez kilka pierwszych lat podążania tropem zabójców (wszędzie zabierałam swoją mapę i pinezki) zatrudniałam się jako kelnerka, a czasem w salonie kosmetycznym jako fryzjerka. Nie będąc w związku z żadnym mężczyzną, nie czując potrzeby snu ani nie mogąc spać, nocami pisałam. Moje historie były fikcją, lecz pełną szczegółów, które czerpałam ze swoich badań. Nie potrzebowałam miłości.

Przestałam ścinać ludziom włosy w dniu, gdy sprzedałam pierwszą powieść. Kiedy pewne studio nabyło prawa do sfilmowania mojej drugiej książki, kupiłam starą farmę w New Hampshire, chyba najdalej jak to tylko możliwe od miejsca, w którym dorastałam z Patty, nieopodal góry Monadnock. Do hrabstwa Marin przyjeżdżałam tylko raz, dwa razy do roku – nigdy na dłużej niż kilka dni – żeby odwiedzić mamę. Lepiej jej się teraz powodziło. Odkryła antydepresanty i dostała pracę w swoim ulubionym miejscu, w bibliotece.

Gdy moja siostra była mała, marzyła, by któregoś dnia zacząć grać w koszykówkę zawodowo. Rok, w którym zaczęły się morderstwa na naszej górze, był też pierwszym rokiem istnienia Zawodowej Ligi Koszykówki Kobiet. Mimo wielu tragicznych wydarzeń dla Patty tamten rok oznaczał równocześnie nadzieję i szansę, że jej wielkie marzenie się spełni.

Dwa lata później, gdy liga została zlikwidowana, moja siostra zmieniła życiowy cel. Dziwne – zważywszy że to ja zawsze mówiłam o podróżach po świecie – ale to Patty wstąpiła do Korpusu Pokoju. Powtarzałam jej, że mogę żyć bez jedzenia, ale nie bez niej. Jednak co tydzień pisałyśmy do siebie

długie listy, choć jej czasem docierały do mnie po kilku miesiącach.

Pisała do mnie z Afryki o tym, jakie znaczenie ma gra w koszykówkę dla młodych, biednych dziewcząt, które tam uczy. Ze względu na uszkodzone struny głosowe – nigdy już nie mogła wydać dźwięku głośniejszego niż szept – uczenie w szkole nie wchodziło w jej przypadku w grę. Prowadziła zajęcia indywidualne, podczas których dzieci chyba słuchały jej uważniej, jak mi pisała, bo musiały się postarać, żeby ją usłyszeć.

Zacząła prowadzić kliniki koszykarskie – najpierw w Senegalu, potem w innych krajach afrykańskich. Bez przerwy jeździła autobusami do różnych wiosek z butami do gry w kosza zawieszonymi na szyi i z workiem piłek na górnej półce.

Przebywała w Somalii, gdzie prowadziła zajęcia w jednej ze swoich klinik dla dziewcząt w wieku gimnazjalnym, gdy zbombardowano placówkę ONZ – zginęło stu cywili, co spowodowało wybuch zamieszek. Dziennikarz, który zadzwonił do mnie tamtego dnia, wyjaśnił mi, że zamieszki zaczęły się dokładnie tam, gdzie stała szkoła, w chwili, gdy uczennice (Patty nazwała je Warriors Wojowniczkami) miały przebierać się przed meczem.

Kto by pomyślał, że boisko do gry w koszykówkę może być niebezpiecznym miejscem? Jednak wiedząc, że tego dnia dziewczęta będą tam zagrożone, moja siostra zostawiła swój wynajmowany w bezpiecznej dzielnicy Mogadyszu pokój, żeby dopilnować, by nic im się nie stało. Najpierw pojechała autobusem, a potem, gdy tłum wyległ na ulice i pojazdy nie mogły przejechać, zaczęła biec. Miała ze sobą piłkę. Pędziła jak wiatr.

Już prawie dobiegła do szkoły, gdzie znajdowały się dziewczęta – dziewięć zawodniczek mniej więcej w wieku, w którym byliśmy my, gdy natknęliśmy się na wzgórzu na mordercę. Wtedy Patty z całych sił wykrzyczała szereg szokujących słów, co ocaliło mi życie.

Teraz nie mogła podnieść głosu, żeby zawołać swoje zawodniczki po imieniu, więc wbiegła w tłum, by je stamtąd wyprowadzić, a gdy jeden z mężczyzn ją złapał, nie była w stanie wołać o pomoc.

Kamień rzucony przez kogoś z bezimiennego tłumy uderzył ją w głowę. Jediną pociechą dla mnie jest świadomość, że moja siostra umarła natychmiast.

Tu w mojej historii powinna być pusta strona. A raczej tysiąc pustych stron – może nawet więcej – za każdy dzień, w którym jej już nie było, każdy, który spędziłam, tęskniąc za nią.

Najpierw chciałam zniknąć. Obciąć włosy, spalić je, wbiec na górę lub urwisko gdzieś w Tennessee Valley czy w Point Reyes i skoczyć z krawędzi świata. Przechodziłam przez kolejne dni, choć czasem samo wstanie z łóżka wydawało się zbyt dużym wysiłkiem. Dokądkolwiek szłam, na cokolwiek patrzyłam, wszystko przypominało mi Patty. Dziwna rzecz, ale jedyne, co mogłam znieść, to pisanie moich historii i zatracanie się w życiu ludzi innych niż ja i moja siostra.

Dopiero po śmierci Patty nasza mama wyszła ze swojego pokoju. Dawniej, zawsze gdy miałam problem, osobą, do której zwracałam się po pociechę, była Patty. Jednak teraz problemem był jej brak. Trzeba było jakoś przeżyć wszystkie te godziny, gdy Patty powinna być, a jej nie było. Tym razem była nasza mama. I pan Armitage. Po pogrzebie mojej siostry przyszli do nas z żoną i przynieśli jedzenie. Długo siedzieli w naszym salonie, wiedząc, że nie trzeba nic mówić, bo co można powiedzieć w takiej sytuacji?

W którymś momencie, w ciągu tych pierwszych miesięcy po śmierci Patty, przyszło mi do głowy, jak musiał się czuć nasz ojciec w roku, gdy zamordowanych zostało piętnaście kobiet, gdy musiał odwiedzić wszystkie te rodziny, które straciły ukochaną osobę w wyniku strasznej i gwałtownej śmierci, ludzi, którzy sami woleliby nie żyć. Kiedyś sądziłam, że mojego ojca zniszczyło zło, jakie sprowadził ten morderca; zawładnęło jego ciałem i zżerało go od środka. Teraz jednak jestem przekonana, że powodem było również to, że widział tak przeogromny ludzki smutek. Niektórzy ludzie potrafią się uodpornić na takie emocje, jednak dla mojego ojca, który kochał kobiety, rozpacz ich matek – oczywiście ojców, braci i kochanków też, ale nade wszystko rozpacz matek i sióstr – musiała być tak bolesna jak cios zadany jego ciału. Można tu oczywiście wygłaszać mowy o szkodliwości palenia papierosów, i będzie to święta prawda. Jednak ja nigdy nie przestanę wierzyć, że to kontakt ze złem w czystej postaci i bezdenną rozpaczą plus świadomość, że nie udało mu się temu zapobiec ani naprawić – to wszystko razem po prostu osadziło się w płucach mojego ojca i stopniowo go zadusiło.

Kiedyś miałam zamiar napisać list do człowieka, który odsiadywał kilkanaście wyroków dożywocia za zabójstwa Wampira ze Wzgórza. Długo

z tym zwlekałam. Nie wierzyłam, że potrafię skuteczniej niż mój ojciec – mistrz wydobywania prawdy z przestępców – nakłonić J. Russella Adlera do przyznania, że nie on jest zabójcą. A jednak miałam nadzieję, że może ponad dziesięć lat spędzonych w San Quentin zmieniło go do tego stopnia, że gotów jest cofnąć swoje zeznania, tym samym otwierając drogę do wznowienia śledztwa i być może rehabilitacji mojego ojca.

To nigdy nie nastąpiło. W latach dziewięćdziesiątych – siedemnaście lat po oddaniu się J. Russella Adlera w ręce policji i po pospiesznie wydanym wyroku – znaleziono go martwego w celi, zamordowanego przez współwięźnia. Miałam wrażenie, że wraz z jego śmiercią zgasła wszelka nadzieja, że przekonam policję i prokuratora okręgowego, iż przez te wszystkie lata w więzieniu siedział niewłaściwy człowiek.

Jednak nadal śledziłam informacje o morderstwach, wypatrując w bazach danych, które regularnie sprawdzałam, zabójcy preferującego tereny wiejskie, kempingi i szlaki turystyczne, takiego, który do zabijania używał struny fortepianowej, a może nawet (choć na to nie liczyłam) kolekcjonował sznurówki.

Nadal pisałam książki, ale po śmierci siostry bardzo się starałam, by historie, które wymyślałam, nie przypominały tej mojej.

Stworzyłam serię powieści o bardzo bliskich sobie siostrach (jednej wysokiej, drugiej nie tak bardzo), które przyjmują na siebie nietypową rolę detektywów amatorów. Młodsza jest zawodową tenisistką, druga gra na harfie. Mimo że harfistka jest nieco podobna do mnie (to było nieuniknione, jako że przed śmiercią Patty wydałam już trzy książki z tej serii), a dziewczyny mają włoskie korzenie, dołożyłam starań, żeby młodsza siostra – tenisistka – poszła zupełnie inną drogą niż Patty. Przede wszystkim wygrywała ważne zawodowe turnieje i stała się bogata. Zaczęła firmować swoją twarzą różne produkty i prezentować jako modelka stroje do tenisa, przy okazji rozwiązując zagadki kryminalne. Miała idealne zęby i zwierzątko, które zabierała na mecze. Kota.

W ósmej książce z tej serii – *Krwawa miłość* – siostra harfistka zakochuje się i wychodzi za mąż. Rodzi syna – zdecydowałam się na taki wątek, by zagwarantować, że nikt nie będzie mylił mojej bohaterki ze mną. Dobiegałam wówczas czterdziestki i byłam pewna, że życie spędzę samotnie. Nigdy już

nie mogłabym być z kimś tak związana jak z moją siostrą. Nie zniosłabym kolejnej straty.

Roberta poznałam na wieczorze autorskim w księgarni w Keene w stanie New Hampshire. Tamtego wieczoru czytałam na głos wyjątkowo makabryczny fragment, w którym siostra tenisistka, dosłownie na chwilę przed wyjściem na kort, by zagrać w Paris Open, znajduje w swojej torbie części ludzkiego ciała. Najwyraźniej dni, w których wymyślałam historie choć trochę romantyczne, już dawno były za mną.

Podczas zadawania pytań wskazałam mężczyznę w ostatnim rzędzie – nie był specjalnie przystojny ani niczym się nie wyróżniał, ale miał ładną koszulę. Flanelowa, pomyślałam.

Ciekaw jestem, jak opisywanie wszystkich tych okropności wpływa na umysł autora? – zapytał. Czy pani kiedykolwiek brała pod uwagę, by choć raz dać swoim bohaterkom jakieś szczęśliwe zakończenie? Może pozwolić im pojechać do domu i odpocząć?

Szczęście jako temat się nie sprzedaje, odparłam. A morderstwa tak.

Później ten mężczyzna odnalazł mnie na parkingu. Podszedł do starej niebieskiej alfy mojego ojca, którą czasem jeździłam. To auto nie nadawało się na zimę w Nowej Anglii, ale wtedy było akurat późne lato.

Inny mężczyzna zaproponowałby kobiecie drinka. Ten oznajmił, że ma wspaniały ogród i że w tym tygodniu pomidory dojrzewają szybciej, niż on nadaża je zjadać. Chciałby zapytać, czy nie wzięłabym trochę do domu. Miał w samochodzie pełną torbę.

Ja nie gotuję, odrzekłam.

Zdziwił się.

A w książkach zawsze opisuje pani wspaniałe włoskie dania.

Mój ojciec gotował, wyjaśniłam. Mawiał, że kiedy skończymy z siostrą dwadzieścia jeden lat, zdradzi nam sekret swojego sosu do spaghetti. Ale zmarł wcześniej.

Ja mógłbym panią nauczyć, zaproponował Robert.

To w ogóle nie było w moim stylu, ale się zgodziłam.

Nie zakochałam się w Robertcie. Wtedy już zakochanie się nie wchodziło w grę (jakby kiedykolwiek wchodziło). Ale po tym pierwszym wieczorze zaczęliśmy spędzać razem czas – co drugi weekend, jeśli nie wyjeżdżałam, żeby badać sprawy morderstw – i Robert najwyraźniej zakochał się we mnie.

Widywałam go co drugi weekend, ponieważ miał córkę Justine. Skończyła sześć lat i mieszkała z matką, ale co drugi weekend i wakacje spędzała z ojcem. Powiedział mi, że rozwiedli się, gdy dziewczynka miała cztery lata. Nie chowali do siebie urazy, pozostawali w całkiem dobrych stosunkach. Justine była pogodną dziewczynką, a jeśli czasem nawet bywała smutna, to według słów Roberta przyczyną nie był ich rozwód.

Pół roku od naszego poznania zaproponował, żebym przyszła do niego na obiad, na którym będzie też Justine. Odmówiłam. Powiedziałam, że nie spotykam się z córkami znajomych.

Wrócił do tematu, gdy byliśmy ze sobą od dziewięciu miesięcy, potem w pierwszą rocznicę naszego spotkania przy pomidorach, a później już poruszał tę kwestię regularnie, aż go ostrzegłam, że jeżeli jeszcze raz zacznie o tym mówić, będę musiała od niego odejść.

Nie chcę być niczyją macochą, oświadczyłam. Ani kobietą, z którą ojciec żyje na kocią łapę, podczas gdy córka wolałaby, żeby był w domu z mamą i z nią.

Nie przepadam za ośmiolatkami, dodałam. (Bo minęły już dwa lata). Pamiętam, jakie są. Sama kiedyś taka byłam.

Nawet jej nie znasz, sprzeciwił się Robert. Czego ty się boisz? Że się polubicie, a potem my ze sobą zerwiemy i będzie ci przykro? No to pobierzmy się.

I to ma być gwarancja, że ze sobą nie zerwiemy, tak?

Ślub oznacza dla mnie to, że nigdy od ciebie nie odejdę. Ale i tak nie odejdę.

Powiedział, że po prostu bardzo by chciał mieszkać z dwiema kobietami, które kocha najbardziej na świecie, żeby obie były przy nim. Dodał, że następnym razem, gdy zabierze Justine do Maine (jak każdego lata), pragnie, żebym ja też pojechała.

Ona chce mieć cię tylko dla siebie, uświadomiłam mu. Nie potrzebuje,

żebym się za tobą wlokła.

Ona chce, żebym był szczęśliwy. A ja jestem najszczęśliwszy z tobą.

Koło moich czterdziestych drugich urodzin dostałam paczkę. Nie było adresu zwrotnego, ale ze stempla wynikało, że została nadana w San Rafael w Kalifornii.

W środku znajdował się notes, jakich nie widuje się już zbyt często. Biały liniowany papier, sztywna płócienna okładka bez spirali na grzbiecie. Gdy go otworzyłam, zobaczyłam znajome pismo. Pismo ojca.

To był dziennik. Raczej luźne notatki niż pełne zdania. Musiałam przeczytać kilka stron, zanim zrozumiałam, że dotyczą sprawy Wampira ze Wzgórza, a więc zostały sporządzone prawie trzydzieści lat temu, gdy ojciec jeszcze prowadził tamto dochodzenie.

Uznałam, że notes pewnie został znaleziony w którymś biurze w komendzie, gdy porządkowano je po tych wszystkich latach. Jakaś odchodząca na emeryturę sekretarka – może taka, która zawsze podkochiwała się w moim ojcu – musiała ustalić mój adres i zdecydować, że mi go prześle.

Studiowałam ten notes przez cały weekend. W poniedziałek miałam lecieć do Detroit, żeby zacząć zbierać informacje do nowej książki opartej na sprawie morderstwa, które tam popełniono (kobieta zabiła swojego męża, dyrektora firmy samochodowej, i przez tydzień ukrywała jego zwłoki na tylnym siedzeniu ich dżipa).

Rano jednak zmieniłam zdanie. Zostałam w domu i przeglądałam notatki ojca, które były jak wiadomość zza grobu.

Niedługo potem wyruszyłam alfą do małego domku w Maine, dokąd zawsze jeżdżę, gdy zaczynam nową książkę. Zwykle zatrzymuję się tam na tydzień, ale tym razem, gdy tydzień minął, zadzwoniłam do właścicieli z pytaniem, czy ktoś już zarezerwował go po mnie, a gdy okazało się, że nie, zostałam jeszcze miesiąc.

Robert, który zawsze cierpiał, gdy wyjeżdżałam (dla mnie jego wyjazdy nigdy nie były takim problemem), przyjechał do mnie na weekend z wielkim garnkiem domowej zupy.

Idę o zakład, że nie jesz tu nic porządnego, powiedział. Nie mylił się.

Gdy wróciłam do domu, miałam gotowy rękopis książki, którą zatytułowałam *Mężczyzna na wzgórzu*. Tym razem tytuł nie był chwytliwy. Nie występowały w niej harfistka ani tenisistka. Opisałam to, co wydarzyło się, gdy miałam trzynaście lat i na naszej górze pojawił się Wampir.

Była to fikcja, jak we wszystkich moich książkach, jednak tym razem wśród bohaterów była siostra, która wymyślała historie, i siostra, która grała w koszykówkę, ojciec detektyw i zawsze smutna matka.

Człowiek, który nie popełnił morderstw, przyznał się do nich. Ten, który je popełnił, uciekł.

Mojemu wydawcy ta książka bardzo się spodobała. Wydano ją następnego lata – tak się złożyło, że była to trzydziesta rocznica wydarzeń na wzgórzu. Dlatego wiele gazet i czasopism w rejonie zatoki San Francisco zamieściło artykuły na temat tej sprawy: relacje, jak żyją teraz rodziny ofiar, wywiad z policjantem, który był obecny przy przyznaniu się do winy J. Russella Adlera, oraz rozmowę z dyrektorem grupy specjalnej, której przypisano rozwiązanie tej sprawy. Nigdzie nie wspomniano o moim ojcu, poza jednym komentarzem któregoś funkcjonariusza, że śledztwo było w rozsypce do momentu, gdy do akcji wkroczył jego oddział i FBI.

Przez ostatnie parę lat nie jeździłam już w trasy promocyjne. Moje nazwisko było dość znane i bez włączenia się po kraju, podpisywania książek i wyjaśniania po raz setny, że nie gram na harfie. Nie mieszkalam z Robertem, ale niedawno zauważyłam (choć trudno mi było się do tego przyznać), że gdy jest obok, lepiej mi się śpi. Sypialiśmy więc razem coraz częściej, gdy tylko nie przyjeżdżała jego córka.

Jednak w przypadku tej książki postanowiłam pojechać w trasę. Powiedziałam moim wydawcom, że jestem gotowa odwiedzić każde miasto, do którego tylko zechcą mnie wysłać, a okazało się, że jest ich wiele. *Mężczyzna na wzgórzu* sprzedawał się dobrze. Mówiło się, że może trafić na listę bestsellerów.

Jednak to nie chęć sprzedania większej liczby książek była dla mnie inspiracją, żeby udać się w tę podróż i udzielać tych wszystkich wywiadów –

nawet małym stacjom radiowym i dziennikarzom z lokalnych gazet o niskim nakładzie.

Miałam pewien pomysł, właściwie marzenie, ale takie, które mnie prześladowało. Pamiętałam, co powiedział mi morderca tamtego dnia na wzgórzu, gdy zbliżał się do mnie z drutem: „Zawsze będę miał na ciebie oko”.

Przez te wszystkie lata w jakimś sensie wierzyłam, że to może być prawda. A jeśli tak, to czytał moje książki lub przynajmniej wiedział o ich istnieniu. Więc może dowie się też o tej ostatniej.

Z tą myślą umieściłam w mojej powieści jeden szczegół wyłącznie dla Wampira. Pozostali czytelnicy nie zwrócą na niego uwagi, ale może on sprawić, że ten jeden człowiek zechce mnie odszukać.

Jeśli tak się stanie, będę na to gotowa.

Osiemnaście miesięcy wcześniej, gdy przyszła paczka z notesem ojca, spędziłam dużo czasu, studiując jego wpisy na temat śledztwa. Niektóre z tych notatek miały niewiele sensu, a praktycznie wszystkie okazały się ślepych uliczkami.

Szereg stron zapisanych numerami rejestracyjnymi samochodów, które widziano na różnych parkingach przy początkach szlaków turystycznych w dni, gdy zostały popełnione morderstwa, nazwiska osób dzwoniących z informacjami, nazwiska i adresy dostawców strun fortepianowych z rejonu zatoki. I o wiele więcej.

Z uważnych oględzin notesu wynikało, że ojciec prowadził szczegółowy dziennik swoich działań przez wiele miesięcy dochodzenia. Na każdej stronie widniała data, a pod nią nagryzmolone nazwy miejsc, do których się udał, i nazwiska ludzi, których sprawdzał. Od czasu do czasu u góry strony, na której zapisał jakąś rozmowę, zauważałam wpisy innego rodzaju: urodziny mamy, moje, Patty. *Kosz., P., 18* – zapisywał. *P., turniej. Pojechać!*

Rachel: porozmawiać o tym chłopcu. (Obok tej notatki trzy wykrzykniki i gwiazdka).

Kilka zapisków mnie zaskoczyło, na przykład te dotyczące wielu rozmów, jakie najwyraźniej ojciec przeprowadził z ortodontą na temat ewentualnych

opłat za aparat na zęby. Termin jego wizyty u lekarza z przekreśloną datą i dopiskiem: *Przełożyć*. Przepis na caponatę, przypomnienie, żeby przełożyć opony w alfie. Brzmiała trochę z włoska nazwa hotelu.

Kilka wpisów wyglądających na osobiste było zagadkowych. *Urodziny, G. Molinari. Mozzarella Best*. Jakies przypomnienia dla niego samego? *Świece. M*. I jeszcze: *Różowa sukienka księżniczki*. (Co mógł mieć na myśli? Moja siostra i ja nie znosiłyśmy różowego, a poza tym wtedy dawno już wyrosłyśmy z wieku, gdy nosi się sukienki księżniczek).

Pod koniec marca 1980 roku widniał wpis, który, jak doszłam do wniosku, musiał zostać dokonany w dniu, gdy zadzwoniłam do ojca z budki telefonicznej, żeby przyjechał zabrać mnie z domu Alison. W dniu, gdy powiedziałam Teddy'emu Bascomowi, że nie będę uprawiała z nim seksu.

Nazwisko Bascom. Przekreślone przez środek. Długopis tak mocno przejechał po papierze, że go przedarł. Co więcej można powiedzieć?

Wydawało się, że największe znaczenie miała jedna z ostatnich stron w tym notesie. W odróżnieniu od pozostałych – chaotycznych strzępków informacji, najwyraźniej prowadzących donikąd – na tej stronie ojciec zapisał pełne zdania układające się w całość.

Wpis zaczynał się w dniu, gdy agenci FBI przywieźli ze wzgórze siostrę i mnie po naszym spotkaniu z Wampirem, w które nikt nie wierzył, łącznie z naszym ojcem.

W notesie ojciec zrelacjonował wizytę agentów – spotkanie, podczas którego wyjaśnili moim rodzicom wagę wykroczeń ich córki i przedstawili im scenariusz wydarzeń, w którym mogłam być oskarżona o lekkomyślne naruszenie porządku publicznego i wysłana do poprawczaka.

Następnie wzmianka o terapeutce. Jego nazwisko i numer telefonu. Data wizyty. Nie dobrowolnej. Obowiązkowej.

Kolejny wpis – dokonany następnego dnia – dotyczył spotkania ojca z naczelnikiem policji, podczas którego dowiedział się, że odbierają mu dochodzenie w sprawie Wampira ze Wzgórza.

Dalej nie było już prawie nic. Kilka zdań o jego pracy w Novato, które nazwał Syberią. Wzmianka o kolejnej umówionej wizycie u lekarza –

o prześwietleniu, które najwyraźniej znów przełożył.

Była też tyrada na temat FBI – ojciec pisał, wyraźnie rozgoryczony, że szeryf hrabstwa Marin sprawia wrażenie mniej zainteresowanego bezpieczeństwem mieszkańców niż swoją reelekcją.

Zaskoczeniem był kolejny wpis. Przedostatni, datowany na koniec sierpnia 1980 roku, kilka tygodni później.

Dzień po tym, gdy J. Russell Adler zjawił się w komendzie policji hrabstwa Marin i oświadczył, że jest Wampirem ze Wzgórza – w chwili gdy wersja moja i mojej siostry już dawno została zdyskredytowana, a kariera ojca leżała w gruzach – ojciec postanowił wybrać się na wzgórze, żeby jeszcze raz obejrzyć miejsce ataku na mnie i Patty, który według FBI wymyśliłam, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Z notesu dowiedziałam się, że ojciec udał się pieszo do wraku ciężarówki. (Miejsca, jak wszystkim opowiadałam, w którym Wampir urządził sobie kryjówkę. Miejsca, w którym zaatakował mnie ze struną fortepianową w rękach i w którym moja siostra postrzeliła go z pistoletu pneumatycznego. Gdzie straciła głos i uratowała nam obu życie).

„Pańska córka ma talent do zmyślania historii, detektywie Torricelli”, powiedział agent FBI tamtego dnia w naszym domu przy Morning Glory Court, podając moim rodzicom wizytówkę terapeuty.

„Ale zmyślanie jest dobre w książkach. Nie w zeznaniach na policji. To nauczka, Rachel. Jesteś już na tyle duża, żeby to wiedzieć”.

Wtedy uciekłam do mojego pokoju. Już nikomu nie można było ufać. Oprócz mojej siostry.

Dalej następowała szczegółowa lista wszystkich przedmiotów, które ojciec znalazł tamtego dnia we wnętrzu ciężarówki. Dwa katalogi. Mnóstwo opakowań po puddingu. Plastikowa łyżeczka, puszki po mielonce. Rolka papieru toaletowego i zdjęcie Kate Jackson z *Aniołków Charliego* (ten mężczyzna preferował brunetki) ubranej w bikini.

Potem sznurówki. Różnej długości. Wszystkie używane, niektóre postrzępione. W odróżnieniu od sznurówek, które kupiłam, żeby zrobić im zdjęcie polaroidem i wkleić do zeszytu, tym samym obciążając pana

Armitage'a, widać było, że te zostały wyjęte z czyichś butów. Były na nich kurz i błoto. Końcówki pogryzione. Na kilku widniały ślady zębów. W sumie we wraku ciężarówki znajdowało się szesnaście par. (Szesnaście, nie piętnaście. Tego ojciec nie umiał wyjaśnić).

W notesie zapisał jeszcze jedną interesującą uwagę na temat sznurówek. Wszystkie inne przedmioty wyglądały na wrzucone niedbale do zardzewiałej szoferki, natomiast sznurówki zostały starannie, można powiedzieć, troskliwie, zwinięte w osobne kłębki i ułożone w starym schowku.

Z zapisków ojca wynikało, że wykonał wiele zdjęć zawartości ciężarówki. Następnie każdy przedmiot zapakował osobno do szczelnie zamkniętej plastikowej torebki na dowody. Zamierzał zabrać je na komendę – do biura, którego kiedyś był szefem – i oświadczyć, że sznurówki, które, jak odkryli wcześniej on i jego ludzie, zostały wyciągnięte z butów ofiar, najprawdopodobniej zostały właśnie odnalezione.

Zdając sobie sprawę z wagi tego odkrycia, ojciec miał zamiar sporządzić pełny raport dla policjanta, który zastąpił go na stanowisku. W raporcie umieściłby oczywiste zalecenie, by w świetle odkrycia nowych dowodów ponownie rozpatrzyć zeznania jego córek, Rachel i Patricii Torricelli, zeznania zbyt szybko odrzucone, a dotyczące rzekomego ataku nieznanego osobnika, który, jak twierdziła jego starsza córka, tuż przed usiłowaniem morderstwa wysiadł z wraku tejże ciężarówki.

Biorąc pod uwagę to odkrycie, pisał mój ojciec – a w szczególności odkrycie sznurówek – wydaje się oczywiste, że wydarzenia, które jego córki opisały w obecności agentów FBI, faktycznie miały miejsce.

Jest teraz dla niego jasne, że tamtego dnia naprawdę spotkałyśmy napastnika, który używał wraku ciężarówki jako bazy dla swoich działań na wzgórzu, i że ten osobnik był Wampirem ze Wzgórza. W jego opinii nie ma wątpliwości, iż wydział zabójstw hrabstwa Marin doprowadził do uwięzienia niewłaściwego człowieka.

W notesie znajdował się jeszcze jeden wpis. Z pisma ojca można było wywnioskować, że ta ostatnia notatka, datowana na kilka dni później, została sporządzona w stanie krańcowego wzburzenia.

Wpis ciągnął się przez kilka stron, jednak relacja z tego, co się wydarzyło w sprawie sznurówek, była jasna i zaskakująco prosta:

Ojciec przedstawił dowody z wraku ciężarówki śledczemu, który przejął po nim dochodzenie. Ta wizyta nie była dla ojca łatwa, zważywszy że on i jego ekipa znajdowali się teraz pod ostrzałem mediów w związku z niedawnym wyznaniem J. Russella Adlera, że to on jest Wampirem, oraz triumfalnym obwieszczeniem świeżo utworzonej specgrupy, że zabójca został ujęty.

Spotkanie ojca i nowo mianowanego śledczego trwało dokładnie siedem minut, a zakończyło się, gdy ten oświadczył ojcu, że zaraz zaczyna się jego konferencja prasowa.

„Jako że sprawa została definitywnie zamknięta, oznajmił, byłoby wysoce niewskazane, gdyby nadal pan się w nią angażował”.

Do tej pory wydział przymykał oczy na „wybryki” córek śledczego Torricellego. Jednak gdyby Torricellemu przyszło do głowy, żeby nadal wypowiadać się publicznie o sprawie Wampira, nie będzie to dobrze widziane.

Po tym wpisie w notesie są już same puste strony.

W mojej powieści *Mężczyzna na wzgórzu* dochodzi do konfrontacji między człowiekiem, którego nazywam tam Potworem z Góry, a dwiema córkami zdyskredytowanego detektywa. Jest tam strzelanie z pistoletu pneumatycznego, jak również zlekceważenie przez agentów FBI relacji dziewczynek, są też irytujące sesje terapeutyczne, podczas których starsza siostra odmawia przyznania, że wszystko wymyśliła, a terapeuta pisze w raporcie, że jest „w wysokim stopniu zagrożona patologią”.

Kilka szczegółów zmieniałam (na przykład ojciec jeździ fiatem) i nie wprowadziłam żadnego bohatera, który przypominałby w czymkolwiek pana Armitage’a i Jacka Russella Teriera. Matka jest nieco mniej pogrążona w depresji niż nasza. Piecze ciasteczka dla córek, a czasem w piątkowe wieczory zabiera je do kręgielni.

Jednak we wszystkich istotnych szczegółach ta historia przypomina naszą. W mojej powieści jest przyznanie się do winy człowieka, który nie był prawdziwym mordercą, oraz śmierć – niedługo później – policjanta, który prowadził śledztwo, a potem został od niego odsunięty. Choć nie było sposobu, żeby to udowodnić, w swojej powieści nie kryję, iż córki detektywa były przekonane, że ich ojca zabiły nie tyle papierosy, ile toksyczny charakter sprawy Potwora z Góry – frustracja i wściekłość, które odczuwał, mając świadomość, że prawdziwy morderca uszedł sprawiedliwości, oraz jego własna bezradność.

W mojej książce tylko jeden szczegół znacznie różni się od tego, co wydarzyło się naprawdę. W powieści starsza siostra – wędrując po górze kilka miesięcy po skazaniu niewłaściwego człowieka – odkrywa we wraku ciężarówki kolekcję sznurówek wyjętych z butów ofiar. Zabiera je do domu i przez następne lata się z nimi nie rozstaje. Mają jej przypominać, że musi odnaleźć prawdziwego zabójcę i oddać go wreszcie w ręce sprawiedliwości. Wie, że te sznurówki mają dla niego ogromne znaczenie i w związku z tym żywi nadzieję, że któregoś dnia przywabi go do siebie, aby mogła wreszcie doprowadzić sprawę do końca, co nie udało się jej ojcu.

W rzeczywistości nie znalazłam tych sznurówek. Mimo że wcześniej ja i Patty nigdy niczego się nie bałyśmy, po tamtym przerażającym spotkaniu

z mordercą przez wiele tygodni nie mogliśmy się zdobyć na pójście w pobliże wraku ciężarówki ani na wzgórze.

Gdy wreszcie się na to odważyliśmy, prawie pół roku później, wszystko już zniknęło: katalogi, puste pojemniki po jedzeniu, brudne ciuchy. Nie było sznurówek ani żadnych oznak, że wrak był używany przez kogokolwiek oprócz nastolatków szukających miejsca do uprawiania seksu.

Przez całe lata po serii morderstw i po śmierci ojca myślałam o tych sznurówkach i zastanawiałam się, co się z nimi stało. (Pamiętam, że raz na drzewie, przy jednym ze szlaków, zauważyłam ptasie gniazdo. Wydawało mi się, że zobaczyłam w nim sznurówkę wplecioną między liście i gałązki i nawet zmusiłam Patty, żeby wdrapała się na drzewo i przyjrzała z bliska. Jednak był to tylko kawałek sznurka, który znalazła jakaś wrona i wykorzystwała do budowy gniazda).

Wpis w notesie mojego ojca, w którym ujawniał, że znalazł sznurówki, wydał mi się rozwiązaniem zagadki – jednak niepełnym, ponieważ pozostawała druga część tajemnicy. Jeśli, jak sugerowały notatki, ojciec znalazł pieczołowicie przechowywaną przez mordercę kolekcję sznurówek – i zrozumiał jej znaczenie – co się z nią stało? Chociaż wydział zabójstw nie uznał jego argumentów, że posłali do San Quentin niewłaściwego człowieka, ojciec z całą pewnością do końca swoich dni nie przestałby ścigać prawdziwego sprawcy. Nie pozbyłby się tych sznurówek.

No, ale zachorował. Zmarł, mając świadomość, że zabójca pozostaje na wolności i że jemu nikt nie wierzy. W każdym razie nikt oprócz Patty i mnie. Choć byliśmy bardzo młode, nie chciałam, żeby dręczyła nas ta sama obsesja – odnalezienia Wampira – która niewątpliwie przyczyniła się do jego śmierci.

Co się więc stało ze sznurówkami?

W mojej powieści starsza siostra znajduje sznurówki w ciężarówce i od tej chwili się z nimi nie rozstaje. Dokądkolwiek się wybiera, ma je przy sobie. Zmieniłam ten aspekt historii tylko z jednego powodu: istniała szansa, że zabójca może przeczytać moją książkę i uwierzyć, że jego cenne sznurówki znajdują się w posiadaniu autorki. To mogłoby go skłonić do odszukania

mnie. Trzydzieści lat temu nie miałam pomysłu, co zrobię, jeśli mnie znajdzie, nie miałam go i teraz. Wiedziałam tylko, że jeszcze raz chcę spojrzeć mu w oczy.

Nie zdradziłam tego moim wydawcom ani Robertowi, który, gdyby znał mój plan, bałby się o moje bezpieczeństwo.

Mogłabym powiedzieć o nim tylko jednej osobie – Patty. Ona by go zrozumiała i nalegałaby, żeby mi towarzyszyć podczas promocji książki, gotowa chronić mnie i bronić, a nawet więcej – stawić czoło zabójcy i raz na zawsze oddać go w ręce sprawiedliwości.

Ale Patty nie żyła, dlatego wyruszyłam sama w objazd czternastu amerykańskich miast, od New Hampshire aż do Kalifornii, w nadziei, że któregoś wieczoru, w księgarni lub sali wykładowej, podniosę wzrok znad stołu, przy którym będę podpisywała książki, lub zerknę w dół z podwyższenia, z którego będę przemawiała, i spojrzę w oczy Wampira. (Oczy albo oko. Nigdy się nie dowiedziałyśmy, jak poważnie został zraniony, gdy moja siostra do niego strzeliła. Wiedziałyśmy tylko, że krzyknął, upuścił drut i zasłonił sobie lewe oko. A potem uciekł).

Dwoje oczu czy jedno, nie miałam wątpliwości, że zabójca ma powód, żeby mnie ścigać. Może przez wszystkie te lata miał taką samą obsesję na moim punkcie jak ja na jego. Może denerwowało go, że jakiś inny człowiek przywłaszczył sobie jego zabójstwa. A może po prostu chciał dostać te sznurówki.

Z tej przyczyny przed wyruszeniem w trasę promocyjną wyjęłam ze skrytki bankowej rewolwer ojca i nosiłam go w torebce. Nie był to typowy rekwizyt dla pisarki przygotowującej się do spotkania z czytelnikami. Ale też nie miała to być typowa trasa promocyjna.

Pierwsze spotkanie miałam w małej niezależnej księgarni w Peterborough w New Hampshire. Audytorium liczyło około trzydziestu osób, głównie znajomych. (Robert oczywiście w pierwszym rzędzie. Za wcześniej na pomidory, ale przyniósł fioletowy bez).

Następnie był Boston, New Canaan w Connecticut, Nowy Jork, Waszyngton, Atlanta, Chicago, Madison, Detroit, Indianapolis, Denver,

Seattle, Portland w Oregonie, Los Angeles. Cztery bite tygodnie wywiadów do radia i spotkań, pogadank dla „przyjaciół biblioteki”, lunchów autorskich. Pokoje hotelowe, posiłki dostarczane przez obsługę. Podpisywanie książek.

Pytanie: Kto powinien zagrać pani ojca w filmowej adaptacji pani książki?

Odpowiedź: Najprzystojniejszy aktor o największej charyzmie w Hollywood. Jednak wątpię, czy którykolwiek potrafi oddać jego wdzięk.

Pytanie: Jak dużo czasu pani zajęło pisanie tej książki?

Odpowiedź: Sześć tygodni bez przerwy. Byłam przykuta do biurka w małej chatce w Maine. Plus wszystkie dni mojego życia przez trzydzieści lat.

Pytanie: Czy naprawdę miała pani siostrę? Czy rzeczywiście zmarła? Jak można sobie z czymś takim poradzić?

Odpowiedź: Nie można.

San Francisco zostawiłam sobie na koniec. Oczywiście chciałam odwiedzić mamę w hrabstwie Marin (i może pana Armitage’a i jego żonę, obecnie właścicieli szkoły tańca w Petalumie), jednak najpierw zamierzałam zakończyć trasę spotkaniem w Herbst Theatre, podczas którego miałam postępować zgodnie z ustaloną procedurą: dwadzieścia minut czytania fragmentów książki na głos i pytania od publiczności. Potem podpisywanie książki. Następnie powrót do hotelu, lampka wina – może dwie – i jak co noc telefon do Roberta w New Hampshire. W ten weekend miała przyjechać Justine, a będę mogła do niego zadzwonić dopiero po północy. Mimo to wiedziałam, że nie pójdzie spać, bo będzie czekał na mój telefon.

Poprosiłam mojego wydawcę, żeby zarezerwował mi pokój w hotelu nie w San Francisco, lecz po drugiej stronie mostu, w hrabstwie Marin, na zboczu góry Tamalpais. W tym samym hotelu, o którym w dzieciństwie ja i Patty snułyśmy fantazje. Obserwowałyśmy, jak podjeżdżają pod niego luksusowe samochody i meldują się w nim bogaci ludzie. Parę razy sprowokowałam Patty, żeby weszła do środka i zwędziła kilka garści

prażonych orzeszków ziemnych z miodem, stojących w miseczce na barze. Ma się rozumieć, zrobiła to.

Z Mountain Home Inn widać było wzgórze hrabstwa Marin, ciągnące się aż do miasta – widok zapierał dech w piersi. Postanowiłam zatrzymać się tam częściowo z nostalgii za dzieciństwem, a częściowo ze względu na usługi salonu spa. Wczesne popołudnie spędziłam na masażu shiatsu i oczyszczaniu cery, a potem wzięłam kąpiel w moim pokoju.

Wyciągnięta w wannie, widząc z okna wzgórze Krajowego Terenu Rekreacyjnego Golden Gate, przyglądałam się mojemu ciału. Niedawno skończyłam czterdzieści trzy lata, ale wciąż byłam w dobrej formie, głównie dzięki połączeniu szczęścia, dobrych genów i tego, że nigdy nie rodziłam.

Przypomniał mi się film poglądowy na temat seksu, który puszczano nam w szkole: od chwili narodzin twoje ciało jest skarbnicą niezapłodnionych jajeczek. To zapas na całe życie. Teraz twoje ciało może stworzyć dziecko.

Pewnie już nie. I choć właściwie nigdy nie pragnęłam dziecka, myśl, że ciąża i poród w moim przypadku prawdopodobnie nie wchodzi już w grę, sprawiła, że przez chwilę zrobiło mi się strasznie smutno.

Przypomniałam sobie, jak tamtego lata, gdy grasował Wampir ze Wzgórza, czekałam, aż dostanę okresu. I przerażenie rok później, gdy wreszcie się pojawił. Pamiętam krążące nad moją głową sępy, gdy siedziałam w samochodzie terenowym na wzgórzu, czekając na ojca i czując, jak krew przesiąka mi przez szorty.

Spotkanie autorskie wyznaczono dopiero na dziewiętnastą trzydzieści, więc resztę popołudnia zamierzałam spędzić na balkonie mojego pokoju hotelowego, czytając i patrząc na krajobraz dzieciństwa.

Ale zabrzączał telefon. Dzwoniono z recepcji. Ktoś chce się ze mną zobaczyć. Czy ma przyjść na górę?

Ja zejść na dół, odpowiedziałam pospiesznie. Oczywiście najlepiej spotkać się w miejscu publicznym.

Następnie, tak spokojnie, że mnie samą to zaskoczyło, skończyłam się ubierać. Zanim przeszłam przez próg pokoju i zbiegłam po schodach, włożyłam do torebki rewolwer Chief Special mojego ojca.

Gdy weszłam do restauracji, siedziała tam tylko jedna osoba: kobieta. Rozejrzałam się uważnie, po czym ponownie zerknęłam do lobby, jednak kobieta już do mnie podchodziła. Wyciągnęła rękę.

Dziękuję, że zechciała się pani ze mną zobaczyć. Była wyraźnie spięta. Tak długo na to czekałam.

A więc jednak nie miało to być spotkanie z Wampirem. Poczułam zarówno ulgę, jak i rozczarowanie. Osoba przyzwyczajona do tworzenia fikcji może sobie wyobrazić, że wydarzenia w życiu toczą się tak samo jak w powieści. W wersji fikcyjnej to Wampir ze Wzgórza przyszedłby się ze mną spotkać. A wtedy (w jakiś sposób, który pozostawał dla mnie niejasny nawet w wyobraźni) skłoniłabym go wreszcie do wyznania win i jakimś cudem go obezwładniła. Może wtedy oddałby się w ręce policji. Może zaoszczędziłby im kłopotu, skacząc z tarasu hotelu na spotkanie szybkiej i pewnej śmierci na tej samej górze, na której z jego ręki zginęło piętnaście kobiet.

Jednak w prawdziwym życiu sprawy nie idą tak gładko jak w książkach; może właśnie dlatego tylu ludzi czyta powieści. Kobieta, która wyciągnęła do mnie rękę, była najwyraźniej jedną z nich.

Doszłam do wniosku, że musi należeć do grona czytelników, którzy od lat śledzą moją karierę pisarską i z jakiegoś powodu są zdania, że moje książki do nich przemawiają.

Może marzy o tym, by zostać pisarką (jak w przypadku wielu ludzi, którzy bardzo chcieli się ze mną spotkać), i szuka porady. Miała ze sobą torbę, a w niej zapewne rękopis. Chce, żebym go przeczytała i przekazała mojemu wydawcy. Trudno stwierdzić, ile kilometrów przejechała, żeby zobaczyć się ze mną tego popołudnia.

Nie mogę uwierzyć, że naprawdę panią widzę, wykrztusiła. Denerwuję się.

Usiądźmy, zaproponowałam. Chce pani kawy? A może wina?

Dobry pomysł, odrzekła. Mam na imię Gina.

Usiadłyśmy naprzeciwko siebie. Ponieważ ona milczała, przyglądałam się jej twarzy. Zgadywałam, że jest ode mnie osiem czy dziesięć lat młodsza. Piękna kobieta o ciemnych oczach i włosach takiego koloru, jaki kiedyś

miały moje, zanim fryzjerka powiedziała, że jeśli je rozjaśnię, będę wyglądała młodziej. Oliwkowa skóra. Długie rzęsy. Piękne dłonie. Gdy wzięła kieliszek, zauważyłam, że drżą.

Wyobrażałam sobie tę chwilę przez całe lata, szepnęła. Wiedziałam, że muszę z panią porozmawiać, ale tak bardzo się bałam, że mnie pani odtrąci.

Wtedy wygłosiłam moją standardową przemowę. Mam sporo zrozumienia dla początkujących pisarzy, szukających uznania dla swojej pracy. Jednak gdybym zaczęła czytać wszystkie rękopisy, które przysyłają mi ludzie szukający rady i pomocy, nie mogłabym pracować.

Są specjalne kursy, wyjaśniłam. I warsztaty. Konferencje literatów.

Patrzyła na mnie osłupiała.

Warsztaty?

W tej torbie ma pani rękopis? – upewniłam się. Powieść?

To nie powieść, odpowiedziała. To sznurówki.

Historia zaczynała się od jej matki, która miała na imię Margaret Ann. Jej ojciec był moim ojcem.

Gdy zmarł, miała cztery lata. Była na tyle duża, by go zapamiętać, choć niezbyt dobrze. Większości tego, co wiedziała o moim ojcu („naszym ojcu”, powiedziała), dowiedziała się od matki.

Gdy poznał Margaret Ann, miał żonę. Był jednym z tych mężczyzn, których kobiety uwielbiają, bo oni uwielbiają je. Problem w tym, że on wielbił wszystkie. A w każdym razie zbyt wiele. Margaret Ann długo nie chciała uwierzyć, że w jej przypadku może być inaczej, ale ostatecznie zdołał ją przekonać. To była wielka miłość.

Mieli zamiar się pobrać. Chciał powiedzieć o tym mnie i Patty. Mieli razem zamieszkać, może kupić dom. Mieć dziecko.

Najpierw jednak przyprowadził nas do niej, żebyśmy wiedziały, o kim będzie mowa, gdy zacznie nam wszystko wyjaśniać.

Tylko że nigdy do tego nie doszło, a ja wiedziałam dlaczego.

„Nigdy ci tego nie wybaczę. Już nigdy się do ciebie nie odezwę”. Zostawione na automatycznej sekretarce ojca słowa dziewięćlatki, która nie

chce się nim z nikim dzielić. I mimo że mój ojciec był bardzo odważny, gdy chodziło o pracę, najwyraźniej myśl, że moje słowa mogą być prawdą, go przeraziła. Powiedział Margaret Ann, że nie może jej poślubić, nie może mieć innego dziecka, bo dwie córki, które uwielbia, poczują się odrzucone.

Zerwała z nim. Zrywała chyba z dziesięć razy. Mijały tygodnie, czasem miesiące, podczas których nie widywali się ani nie rozmawiali. Po czym on zjawiał się w jej mieszkaniu i wszystko zaczynało się od nowa.

W końcu zaszła w ciążę.

Niektórzy mężczyźni, którzy mają już dwie córki, pragnęliby mieć syna. Ale gdy Margaret Ann urodziła (przy czym nasz ojciec nie był obecny, bo wtedy Patty złamała rękę, zjeżdżając po raz pierwszy na deskorolce ze stromego zbocza), nasz ojciec powiedział tylko: „Miałem nadzieję, że będzie jeszcze jedna córeczka”.

Nigdy się nie pobrali, nigdy nawet nie mieszkali razem. (Margaret Ann wierzyła w małżeństwo. „Wyszłabym za ciebie choćby jutro, Tony, mówiła mu. Ale nie będę z tobą mieszkała na kocią łapę”).

No więc wpadał do niej, gdy tylko mógł, żeby poczytać Ginie bajki lub dać jej jakiś prezent. Raz przyszedł popatrzeć, gdy występowała w przedszkolnych jasełkach. Wciąż to pamięta, bo chciała przedstawić go nauczycielce. Widzicie, jednak mam ojca. I to najprzystojniejszego ze wszystkich.

Jednak nigdy nie mogły nazwać tego normalnym życiem rodzinnym. Przychodził na kolację we wtorki wieczorem, a w niedzielne poranki robił im naleśniki. („Teraz wiem, że musiał przychodzić późno w sobotę i zostawać na noc, powiedziała. Ale nigdy nie widziałam, jak wychodzi z sypialni mojej mamy”).

Potem pojawił się Wampir ze Wzgórza i nawet na takie ulotne chwile nie mogły już liczyć. Ojciec pracował non stop. Potem zachorował. Był umierający.

Powiedział mamie, że nie chciał, byśmy oglądały go w takim stanie.

Przyszedł się pożegnać. Nie powiedział wprawdzie, że to pożegnanie, ale choć Gina była wtedy mała, czuła to. Widziała, w jaki sposób jej mama

przytuliła go w drzwiach, i pamięta jej twarz po jego wyjściu.

Powiedział Margaret Ann, że nie będzie żadnego pogrzebu. Gdyby był pogrzeb, musiałyby na niego przyjść, a gdyby zjawiała się tam z Giną, co pomyślałybyśmy sobie z Patty? A jak czułyby się Margaret Ann i Gina, siedząc tam jak dwie zwykle znajome?

Słuchałam tego wszystkiego w milczeniu. Przez całe życie wierzyłam, że niezależnie od tego, ile kobiet kochało naszego ojca i ile kochał on, my zawsze byłyśmy dla niego najważniejsze. I właśnie okazało się, że nie była to prawda.

Pytanie, co jeszcze z tego, w co zawsze wierzyłam, może się okazać nieprawdą.

Przyglądałam się twarzy Giny. Była podobna do swojej matki. Zdałam sobie sprawę, że musi być mniej więcej w wieku Margaret Ann z okresu, gdy ją poznałyśmy, gdy poczęstowała nas napojem Kool-Aid ze słomkami i pozwoliła nam wybrać lalki. Gdy uszyła dla nas sukienki.

Ale uzmysłowiłam sobie, że jest też podobna do mojego ojca. I świadomość, że ma jego dłonie, włosy, rzęsy, nagle mnie rozgniewała. To, że ona tu jest, a Patty nie. To nie była wina Giny, ale ją znienawidziłam.

Siedziałyśmy w milczeniu. Kelnerka przyszła sprawdzić, czy przynieść nam jeszcze wina. Pokręciłam głową. Pomyślałam, wiedząc, że to dziwne, że w pewnym sensie byłoby mi łatwiej, gdyby osobą, która chciała się ze mną tu spotkać, był Wampir ze Wzgórza, a nie ta piękna kobieta. Jej twarz, teraz to widziałam, jest bardzo podobna do mojej.

Dlaczego nie skontaktowałeś się ze mną przez wszystkie te lata? – spytałam.

Bałam się, odrzekła. Zawsze chciałam poznać ciebie i twoją siostrę, jednak uznałam, że lepiej was nie znać niż ryzykować, że mnie odtrącicie.

Więc dlaczego przyszłaś tu dzisiaj?

Przeczytałam twoją książkę. Czytałam wszystkie, ale ta jest inna. Gdy ją skończyłam, wiedziałam, że muszę ci coś dać.

Zawahała się.

Tak? – ponagliłam ją.

Mój ojciec... nasz ojciec... nie trzymał u nas zbyt wielu swoich rzeczy, powiedziała. Miał szlafrok, który podarowała mu moja mama, i maszynkę do golenia. I buty, które wkładał, gdy tańczyli. Ale było też pudełko. Mama wyjęła je, gdy ojciec zmarł.

Zawierało tylko kilka drobiazgów. Pierścionek należący kiedyś do jego matki, z liścikiem, że zostawia go Margaret Ann. List do Giny z poradami co do chłopców. Miała go przeczytać, gdy skończy trzynaście lat.

„Jeśli on nie traktuje cię jak księżniczki...” – zacytowałam. Ja też to znałam.

Były tam również nożyczki fryzjerskie. Podcinał jej nimi włosy. Jej i jej mamie. I notes.

Zdaje się, że moja mama odesłała ci go parę lat temu, rzekła Gina. Notatki ojca na temat sprawy Wampira.

W pudełku było coś jeszcze, czego nigdy nie mogła zrozumieć. Aż do teraz. Był to plastikowy woreczek, a w nim kilkanaście par sznurówek starannie zwiniętych w kłębki.

Sięgnęła do torebki i położyła ten woreczek na stole.

Po przeczytaniu twojej książki zrozumiałam, co to jest.

Przyjrzałam się sznurówkom. Przypomniałam sobie ścianę w gabinecie ojca, na której przypiął zdjęcia zamordowanych dziewcząt. Zobaczyłam grube palce z moich wizji wyciągające sznurówki z butów ofiar.

Wyobraziłam sobie, jak ojciec wchodzi do gabinetu człowieka, który przejął jego śledztwo, z woreczkiem sznurówek w rękę, żeby przekazać go jako dowód. Po chwili wychodzi stamtąd, a wczesne symptomy raka, który niedługo go zabije, wywołują atak kaszlu. Idzie korytarzem, wciąż trzymając torebkę. Jedzie do domu Ann Margaret. Chowa sznurówki w pudełku. Co więcej mógł zrobić?

Nie zapytałam dotąd Giny o jej życie, ale zrobiłam to teraz.

Skończyła trzydzieści trzy lata. Nie była mężatką, nie miała dzieci. Mieszkała w North Beach.

Mogę ci też zdradzić, że jestem policjantką, dodała. Pracuję w wydziale zabójstw, jak nasz ojciec.

Zapytałam ją, czy próbowała pokazać te sznurówki komuś w policji. Doprowadzić do wznowienia śledztwa.

Pokręciła głową.

Mamy tu do czynienia z przedawnioną sprawą i niepodważalnym przyznaniem się do winy, wyjaśniła. Nikt już nie chce o tym słuchać.

A po co mi one teraz? – zapytałam.

Może po to, żebyś wiedziała, że ci wierzył. Że miałaś rację.

To była chwila, w której mogłam pochylić się nad stolikiem, objąć ją albo chociaż uścisnąć jej rękę. Mogłam powiedzieć, że czekałam na ten moment trzydzieści lat. Podziękować jej.

Wiedziałaś o mnie i o mojej siostrze, gdy byłaś mała? – zapytałam. Mój ojciec ci o nas powiedział?

Pokręciła głową.

Ale gdy byłam starsza, powiedziała mi mama.

A więc ona wiedziała, a my nie.

Zazdrościłam tobie i Patty, wyznała. Dźwięk imienia mojej siostry w jej ustach był dla mnie jak pchnięcie nożem. Patty była moją siostrą, nie jej.

Zazdrościłaś?

Bo miałyście siebie. I poznałyście dobrze naszego ojca. Ja nie miałam takiej okazji.

Nam też zawsze było za mało. Miałyśmy więcej okazji niż ona, ale nigdy nie dosyć.

Wiesz, jakie jest moje ulubione wspomnienie? – zapytała nagle. Jest tak osobliwe, że nawet nie jestem pewna, czy autentyczne. Ale myślę, że tak.

Spojrzałam na nią uważnie. Teraz podzieli się ze mną czymś cennym.

Siedzieliśmy razem na kanapie, zaczęła. Nie mogłam mieć więcej niż trzy lata. Ojciec gładził mnie po włosach. Nagle zrobił coś bardzo dziwnego: wyrwał mi włos z głowy. Nie bolało, bo zrobił to z zaskoczenia. Potem

zaczął skręcać go między palcami...

Pajaczek, przerwałam jej. Wiem.

Wtedy to było coś realnego, westchnęła. Ale nie miałam pewności. Czasem myślę, że sobie to wymyśliłam.

Pokręciłam głową.

To wspaniałe, że możemy się nim dzielić.

Wyciągnęła do mnie rękę przez stolik.

Nie przyjął jej.

Przepraszam, byłam brutalnie szczerą, ale nie chcę cię poznawać. To nie twoja wina, ale ja miałam siostrę, a ty nią nie jesteś.

Wiem, odparła cicho.

Miałam tylko jedną siostrę. Nikt nigdy nie mógłby jej zastąpić.

Nie miałam zamiaru... – zaczęła.

Muszę już iść, przerwałam jej. Mam dziś spotkanie z czytelnikami.

Wzięłam torebkę ze sznurówkami i odeszłam. Miałam nadzieję, że już nigdy tej kobiety nie zobaczę.

Jestem pewna, że nikt, kto obserwował mnie tamtego wieczoru na scenie Herbst Theater – słuchał, jak czytam fragmenty *Mężczyzny na wzgórzu*, a potem, jak odpowiadam na pytania czytelników – nie odgadłby, że kilka godzin wcześniej w moim życiu wydarzyło się coś niezwykłego czy wytrącającego z równowagi. (Ani że w torebce miałam rewolwer i woreczek ze sznurówkami wyjętymi z butów piętnastu kobiet zamordowanych przez Wampira. Ani że osoba, która podarowała mi je zaledwie parę godzin temu – szesnaście par, jak się okazało, gdy je później policzyłam – była moją siostrą, o której istnieniu nie wiedziałam aż do tej pory).

Być może sprawiałam wrażenie nieco roztargnionej albo skończyłam spotkanie trochę wcześniej niż zwykle, jednak przez te wszystkie lata odbyłam kilkaset takich spotkań i jeśli jest coś, na czym się w tej chwili znam, poza pisaniem książek, to na ich promocji.

Gdy skończyłam odpowiadać na pytania, zaczęło się podpisywanie książek. Trwało prawie godzinę, bo kolejka była długa i mnóstwo ludzi chciało zamienić ze mną kilka słów.

Czy to prawda, że znalazła pani te sznurówki w ciężarówce? – zapytała mnie jakaś kobieta. I że je pani trzyma, jak ta kobieta z powieści?

Pisarz pozwala sobie na pewne manipulacje, odpowiedziałam. Proszę nie zapominać, że to utwór literacki.

Gdy opuszczałam teatr, dochodziła dwudziesta pierwsza trzydzieści. Ulice San Francisco były dość puste. Idąc ulicą Van Ness na podziemny parking pod centrum administracyjnym, gdzie zostawiłam wypożyczony samochód, myślałam, jak dobrze będzie otworzyć w hotelu butelkę wina i usiąść na balkonie, popatrzeć na wzgórze, poobserwować gwiazdy. Myślałam też oczywiście o spotkaniu z Giną, o nożyczkach i o pajączku. Przede wszystkim jednak o zakończeniu długoletniego poszukiwania sznurówek. Miałam też wyrzuty sumienia, że byłam niemila dla kobiety, która mi je przyniosła. Obwinałam ją o coś, co nie było jej winą: o to, że się urodziła i że mój ojciec musiał ją kochać.

Bardziej niż kiedykolwiek pragnęłam zadzwonić do Roberta.

Rozmyślałam o tym wszystkim, wkładając kartę kredytową do automatu i płacąc za parking. Wsiadłam do windy i nacisnęłam guzik najniższego poziomu garażu. Gdy jej drzwi się otworzyły, od razu zauważyłam mój samochód, bo był jedynym pojazdem stojącym tam o tej porze.

W garażu panowała cisza. Słysząc tylko ciche brzęczenie światełek i stukot moich obcasów na betonie. Gdzieś, piętro czy dwa nad moją głową, ktoś zapalił silnik. Poza tym było pusto i cicho.

Gdy włożyłam kluczyk do stacyjki, poczułam za plecami czyjąś obecność – wyczułam ją, zanim jeszcze cokolwiek zobaczyłam i usłyszałam. Odwróciłam się, nagle czujna, i dostrzegłam, jak zza betonowego filaru wyłania się ciemna postać w bejsbolówce z logo Giantsów i zmierza w moją stronę. Mężczyzna poruszał się wolno, słysząc było rżący oddech człowieka już niemłodego i słabego zdrowia.

Witaj, mała. Pomyślałem sobie, że mnie podwiesz.

Nie było czasu, by zrobić cokolwiek. Miał pistolet.

Wiem, co sobie myślisz, rzucił. Że nigdy nie używałem broni. I masz rację. Po prostu nie byłem pewny, czy moje tradycyjne metody sprawdzą się... w tych okolicznościach.

Z trudem przełknęłam ślinę i otworzyłam usta, jakbym chciała coś powiedzieć.

Zacznij krzyczeć, a nacisnę spust, zagroził. Chciałbym się z tobą dokądś przejechać.

Kazał mi prowadzić. Usiadł na siedzeniu obok. Przycisnął lufę do moich żeber.

Posłusznie włączyłam silnik i zaczęłam jechać podjazdem do wyjścia. Wypatrywałam dogodnego momentu, by coś zrobić – widoku innego kierowcy albo parkingowego. Kogoś, komu mogłabym dać jakiś znak. Jednak garaż był pusty. Opuściłam szybę, skasowałam kartę i wyjechałam na ulicę.

Tu były inne samochody i ludzie. Ale on miał broń.

Jeden ruch, a pójdziesz odwiedzić swojego tatusia w niebie, usłyszałam.

Wiesz, że mogę to zrobić. Wiesz, do czego jestem zdolny.

Jako dziewczynka, która mieszkała po drugiej stronie mostu, zawsze marzyłam, żeby przejechać przez most Golden Gate nocą. Teraz właśnie to robiłam, we wstecznym lusterku widziałam rozświetloną linię horyzontu San Francisco, a przed sobą znajomą ciemną sylwetkę góry Tamalpais. Mimo że jechaliśmy w kierunku, gdzie nie było punktu pobierania opłat, mężczyźni na siedzeniu pasażera najwyraźniej coś się przypomnieli.

Ten facet, który powiedział, że to on zabił te dziewczyny... – zaczął. Wielki oszust. Czytałem, że pracował w jednej z tych budek. Założę się, że oferta nigdy nikogo nie wykończył. Nie wyglądał na takiego. Zwykły świr, i tyle.

Czekałam na moment, gdy będę mogła coś zrobić. Może wjechać w barierę ochronną. Nacisnąć z całej siły klakson. W tym miejscu nie będzie trudno zwrócić czyjąś uwagę. Tylko że mogę nie zdążyć przed wystrzałem.

Czytałem tę książkę, którą napisałaś. Mówili o niej w radiu. Poszedłem do księgarni. Dałem za cholerstwo dwadzieścia pięć dolców. To jest dopiero rozbój w biały dzień!

Zaśmiał się, choć dźwięk, który wydał, przypomnieli raczej rżenie niż śmiech. Całe jego ciało się od niego zatrzęsło. Lufa pistoletu drżała, czułam to przez materiał bluzki.

Oczywiście gdybyś porozmawiała ze mną, zanim ją napisałaś, mógłbym ci podać o wiele więcej szczegółów, wysapał. Z pierwszej ręki.

Nie mogłam mówić. Ścisnęłam mocno kierownicę i wpatrywałam się w drogę przed sobą, ale myślałam o mojej torebce leżącej za mną na podłodze, w której był rewolwer. Przywołałam obraz ojca za kierownicą alfy któregoś sobotniego popołudnia, gdy wiozł mnie i moją siostrę na tiramisu. Mojego silnego, dzielnego ojca, który dawał mi poczucie, że dopóki on żyje, nic złego mi się nie stanie.

Obserwowałam ciebie i twoją siostrę na tej górze, ciągnął mężczyzna. Byłyście całkiem milutkie, ale nie w moim typie, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Wolę, jak dziewczyna jest trochę dojrzała. Ale gdy jeszcze nie ma z górki, nadążasz? Weźmy ciebie. Nieźle się trzymasz. Ale powiedzmy sobie

prawdę... najlepsze lata masz już za sobą.

Myśl o pistolecie, mówiłam sobie. Pistolet w torebce. Podnieś torebkę. Pistolet.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Droga ciągnęła się przed nami w mroku. W końcu wskazał zjazd: Stinson Beach, Muir Woods.

Skręć tutaj, polecił.

Droga do Tennessee Valley. Szlak prowadzący nad ocean. Urwisko. Za nami pojedyncza para reflektorów, przed nami nic. Nasze światła przecinały mrok.

Krwawisz jeszcze? – zapytał.

Otworzyłam usta, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa.

Krwawisz? – powtórzył. No wiesz. Jak to kobiety. Czy masz jeszcze okres?

Myśl tylko o pistolecie, powtarzałam sobie. Wyjmij pistolet.

Gdybyś tak przypadkiem myślała, że chcę cię przelecieć, zastrzegł (wdychając ze świstem powietrze), to nie mam zamiaru. Po prostu masz coś, czego ja chcę. Wiem to z tej twojej książki.

Znów chrapliwy oddech.

Moje sznurówki. Chcę je dostać z powrotem.

Dotarliśmy do parkingu na początku szlaku.

Tutaj, powiedział.

Zgasiałam silnik.

Wysiadaj, polecił. Ale powoli, chcę cię mieć na oku.

Otworzyłam drzwi od strony kierowcy i postawiłam niepewnie stopę na ziemi.

Na moim jedynym oku, dodał, wysiadając z drugiej strony, z pistoletem wciąż wycelowanym w moją pierś.

Obszedł samochód i stanął przede mną. Aż do tej chwili właściwie nie widziałam jego twarzy. W garażu byłam w zbyt dużym szoku i zarejestrowałam tylko czapkę z logo Giantsów z nisko opuszczonym

daszkim. W samochodzie było za ciemno, a ja byłam przerażona i patrzyłam tylko na drogę. Ale teraz stanął przede mną w świetle padającym z wnętrza samochodu i zobaczyłam, że jedna powieka opada mu na pusty oczodół w miejscu, gdzie trzydzieści lat temu moja zabawna, dzielna siostrzyczka wycelowała mu w twarz i oddała jeden strzał z pistoletu pneumatycznego.

Ładny widok? – zapytał. Podziękujmy za to tej twojej siostrzyczce z wystającymi zębami.

Tej nocy nie świecił księżyc, ale drzwiczki auta wciąż były otwarte i widziałam na podłodze za siedzeniem kierowcy moją torebkę.

A o co w ogóle chodzi z tymi sznurówkami? – zapytałam. Mimo że byłam przerażona, coś zmusiło mnie do zadania tego pytania. Miałam nadzieję, że odwróć jego uwagę. Niech mi to wyjaśni. Może się nadarzy jakaś sposobność.

Milczał przez długą chwilę. Słysząc było tylko ciężki oddech człowieka, dla którego ta zwykła czynność stała się jednym z przykrych życiowych obowiązków.

Możesz mnie nazwać sentymentalnym, zaczął wreszcie, ale to ma związek z moją matką. Zaśmiał się do siebie, krótko i gorzko, i pokręcił głową. To zawsze ma jakiś związek z matką, nie?

Wiedziałałam, że nie muszę odpowiadać. Niech tylko mówi.

Ta suka nie była typem kury domowej. Raczej imprezowej dziewczyny. Byłem dla niej ciężarem. Ograniczałem jej swobodę. Przynajmniej tak twierdziła.

Ciężarem? – powtórzyłam, choć on nie potrzebował zachęty.

Gdy wychodziła wieczorem, robiłem w domu kipisz. Jak to dzieciak – dorwałem się do jedzenia, nabałagałem. Jak wszystkie bachory. Raz chciałem się popsikać jej perfumami, ale je rozlałem. Ona wraca do domu, a ja cuchnę Evening in Paris.

Tamtej nocy zbiła go mocniej niż zwykle. Nieważne, stwierdził. Pewnie sobie na to zasłużył.

Ale wtedy wpadła na doskonały pomysł.

Miał takie buciki. Jak męskie, tylko mniejsze. Uwielbiał je. Były całe sznurowane, jak u jakiegoś drwala.

Od tamtej pory, zanim wyszła z domu, wyjmowała mi sznurówki z butów. Potem związywała je razem i okręcała mi nimi nogi. Tak ciasno, że nie mogłem chodzić. Mogłem się czołgać, ale i to z trudem. I wychodziła.

Związany sznurówkami nie mógł narobić bałaganu. Nie mógł zrobić nic. Nawet pójść do łazienki. Gdy wracała do domu, był cały mokry i śmierdzący, ale nie od perfum.

„Popatrz na siebie, Kenny! – krzyczała. Znowu nabrudziłeś!” I następowało kolejne bicie. Ręką, a częściej lokówką elektryczną włączoną do prądu.

Ciągle ją widzę, mówił jak w transie, pochylając się nade mną w wyjściowej sukience, z cyckami na wierzchu. I wiążącą mi te cholerne sznurówki.

Widziałam, że teraz przebywa w innym świecie, mimo że mówił do mnie. Wciąż mierzył z pistoletu w moją pierś, ale w jego głosie było coś nieobecnego, jakby zapomniał, że przed nim stoję. Zaczęłam mieć nadzieję, że zbliża się moment, gdy zdołam złapać torebkę i wyciągnąć rewolwer.

Czasem przyprowadzała któregoś z nich do domu, podjął. Musiałem leżeć na podłodze w zasikanych spodniach i słuchać, jak oni to robią. Obrzydliwe. Zwykle byli zbyt pijani, żeby zwracać na mnie uwagę, ale raz jeden gnojek mnie zobaczył.

„Kurwa, Eileen! – krzyknął. Tu jest ten twój pieprzony dzieciak!”

„Nie martw się. Jest związany”, powiedziała, jakby to był świetny dowcip.

Opuścił nieco rękę z pistoletem. Zamilkł na chwilę i wydawało mi się, że zamknął oko. Zastanawiałam się, czy to jest ten moment, czy powinnam spróbować złapać torebkę i wyjąć z niej rewolwer. Nagle on znowu przemówił. Teraz jego głos brzmiał inaczej, jakby pochodził z zupełnie innego miejsca w przeponie. Oddech miał jeszcze płytszy niż przedtem.

Ona była pierwsza. Miałem szesnaście lat. Zajęło mi to dużo czasu, ale wykończyłem sukę. A teraz twoja kolej, Farrah.

Wyciągnął wolną rękę, złapał mnie za ramię, obrócił i przycisnął pistolet do mojej szyi.

Usiłowałam dostrzec coś w ciemności za samochodem. Wcześniej, gdy skręcaliśmy na drogę do Tennessee Valley, zobaczyłam za nami reflektory

i przez moment miałam nadzieję, że może ktoś się zastanowi, dlaczego jakiś samochód jedzie o tej porze w kierunku szlaku turystycznego. Jednak światła zniknęły. Ktokolwiek za nami jechał, najwyraźniej skręcił. Byłam sama.

Z tego mogłaby być niezła powieść, mruknął. Szkoda, że już nie będziesz mogła jej napisać. Mocniej ścisnął mnie za szyję i poczułam, że kręci mi się w głowie. Ale najpierw, wyrzeźił mi do ucha, musisz mi powiedzieć, gdzie są moje sznurówki.

Chciałam się odezwać, ale zaschło mi w ustach. Może powiem mu, że mam je w torebce i wtedy wyjmę pistolet? Nie, to przecież on po nią sięgnie. Zobacz, że mam broń. Wiedziałam, co się wtedy stanie.

I wtedy spostrzegłam coś, czego on nie widział. Od strony jego niewidzącego oka zbliżała się do nas jakaś postać. Zupełnie jak trzydzieści lat temu na wzgórzu: ja ją widziałam, a morderca nie.

Ktokolwiek to był, był coraz bliżej. Rozpoznałam, że to kobieta i że ma broń wycelowaną w napastnika, który wciąż mnie trzymał.

Rzuć broń! Ale już! – Poznałam ten głos, bo słyszałam go zaledwie kilka godzin temu. To była Gina. Moja siostra.

Nie puścił ani mnie, ani pistoletu. Wciąż zaciskając ramię na mojej szyi, odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

Rzuć broń, gnojku. Naprawdę chcesz dostać kulkę w łeb?

Puścił mnie. Ale nie pistolet. Nagle rzucił się do biegu, gdzieś w mrok. Gina popędziła za nim.

Potem usłyszałam, jak Gina krzyczy z odległości kilkuset metrów:

Zadzwoń na dziewięćset jedenaście! Ma atak serca!

Nagle rozbłysło światło. Zjawiły się posiłki, po które musiała zadzwonić. W naszą stronę, w blasku niebieskich świateł, biegło trzech policjantów. W oddali widziałam Ginę pochylającą się nad przestępcą, który leżał bez ruchu na ziemi. Przewróciła go na brzuch, przygwoździła kolanem i zatrzasnęła mu na przegubach kajdanki.

Teraz usłyszałam syrenę. Gdy zjawiła się karetka, jeszcze oddychał.

Będziecie musieli skontaktować się z policją, powiedziała Gina, gdy ratownicy medyczni przypinali go do noszy na kółkach. Był uzbrojony

i nadal jest niebezpieczny. Jeśli przeżyje, zostanie mu postawiony zarzut porwania i usiłowania zabójstwa.

A kim on w ogóle jest? – zapytał jeden z ratowników, patrząc z powątpiewaniem na kruchego starszego mężczyznę w masce tlenowej. Nie wygląda mi na specjalnie groźnego.

Słyszał pan kiedyś o Wampirze ze Wzgórza? – zapytała. Czy może jest pan za młody?

Mężczyzna, który mnie porwał, nazywał się Kenneth Purdy. Miał sześćdziesiąt sześć lat, nieznany był jego adres zamieszkania i miejsce zatrudnienia. Przed zaatakowaniem mnie ukrywał się w kompleksie bunkrów z czasów drugiej wojny światowej w Marin Headlands. Wcześniej – nie wiadomo, jak długo – koczował w parku Golden Gate.

Kenneth Purdy miał tamtej nocy rozległy zawał serca, ale przeżył, a gdy wypisano go ze szpitala, gdzie pilnowali go policjanci, postawiono mu zarzuty porwania i napaści. Później miały dojść kolejne: piętnaście morderstw pierwszego stopnia, jedno morderstwo drugiego stopnia. To ostatnie, do którego przyznał się najpierw, zostało popełnione w jego rodzinnym stanie Oregon. Ofiara, kobieta nazywająca się Eileen Purdy, była jego matką.

Zostałam dłużej w Kalifornii, żeby złożyć zeznania, a gdyby rozpoczął się proces, musiałabym wrócić, żeby wziąć w nim udział, ale ponieważ sprawca się przyznał, prokurator okręgowy odstąpił od procesu.

Purdy miał odsiadywać wyrok w stanowym więzieniu San Quentin. Dostał dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego.

Wróciłam do domu, do New Hampshire, gdzie czekał na mnie pewien dobry człowiek z rondelkiem włoskiego sosu z wyhodowanych przez siebie pomidorów.

Latem pojechaliśmy na wyspę Mount Desert razem z Justine, moją trzynastoletnią pasierbicą, i od tamtej pory robimy to co roku. Choć ona jest teraz w takim wieku, że istnieje o wiele więcej ekscytujących opcji niż wakacje pod namiotem z ojcem i jego drugą żoną, wydaje się, że Justine czeka na te wyprawy, a nawet, takie mam wrażenie, lubi moje towarzystwo. Jeszcze rok i to się może zmienić, dlatego cieszymy się tym czasem, póki trwa.

Nocami w namiocie opowiadamy sobie w ciemności różne historie. Jej ojciec – o łowieniu ryb w dzieciństwie lub o farmie stryjecznego dziadka na północy stanu New Hampshire. Podobnie jak w przypadku mojej siostry, gdy

próbowała wymyślać jakieś historie z udziałem Bradych podczas naszych wieczorów filmowych na wzgórzu, w opowieściach Roberta nie dzieje się zbyt wiele. (Udaje mu się wyhodować cukinię, za którą dostaje nagrodę; prawie udaje mu się złowić sześciokilowego okonia, ale ten mu się wymyka). Jednak jest w nich coś krzepiącego. Podobnie jak w tym, że w jego życiu nie było niczego dramatycznego.

Ja opowiadam historie o sobie i o Patty, i o naszych przygodach na wzgórzu. O płodzie sarny w pęcherzu płodowym. O dzwonieniu do drzwi i uciekaniu, o tym, jak znalazłyśmy kolekcję płyt. O parze nagich ludzi biegnących przez maki. O tym, jak moja siostra zjeżdżała na zgniecionej lodówce po zboczach góry i jak zrobiła striptiz do piosenki *Take Back Your Mink* na scenie amfiteatru pod gołym niebem, przed publicznością złożoną z wron. O niektórych rzeczach nie opowiadam: jak Patty kroczyła dumnie przez Morning Glory Court z Petrą na smyczy i wyglądała jak królowa świata. O tym, jak kozłowała znalezione piłkę przez całą drogę do domu. Nie mówię o dźwięku, jaki wydawała piłka na chodniku, coraz głośniejszym, w miarę jak Patty zbliżała się do domu, ani o jej posapywaniu na górnym łóżku, o jej cichej, krzepiącej obecności w nocy. Nie opowiadam o ciszy, jaka huczy mi czasem w uszach, ani o pustce, jaką zostawiła po sobie moja siostra, której nikt, nieważne jak bardzo kochany, nigdy nie zdoła wypełnić.

Kobieta, którą teraz nazywam moją siostrą – Gina – zasugerowała, że powinnam spisać nasze historie i wydać je w książce, ale ja wolę zachować je dla kilku wybranych osób: dla mojej mamy, która nie przesiaduje już całymi godzinami w sypialni, jak wtedy, gdy byłyśmy małe, i dla pana Armitage’a, gdy się z nim czasem widzę. Opowiadam je Ginie, Robertowi i Justine.

Justine: jedyna z nas, która tką własne opowieści z materii wyobraźni – to dar, który ja kiedyś miałam, ale który chyba z wiekiem zaniknął. Gdy ona opowiada swoje historie w namiocie, robi to zdyszonym szeptem, naśladując głosy swoich bohaterów lub robiąc pauzy, by jakieś zdanie wywarło większe wrażenie. Czasem zaczyna się bać swoich opowieści i wtedy pyta w nocy, czy może wejść do naszego śpiwora – a ponieważ Robert zawsze śpi jak zabity, to ja ją wtedy przytulam.

Widziałam twarz jakiegoś starego człowieka przed naszym namiotem, opowiada Justine. Była tam rodzina tańczących niedźwiedzi, które uciekły z cyrku. Był Justin Bieber w trumnie. Mały króliczek otwierający pysk,

w którym miał rząd kłów. Chłopiec – porzucony wiele lat temu przez rodziców w lesie i wychowany przez wilki – wyjący do księżyca. Klaun, który nie mógł przestać się śmiać. Zakrwawiona dłoń. Kobieta o płonących włosach.

Wszystko w porządku, zapewniam ją. Twój tata jest tutaj. I ja też. Nic złego cię nie spotka.

A może spotka. Ale dasz sobie radę.

Nie od razu, ale po kilku minutach, Justine znów zasypia wciśnięta między nas. Ja leżę w ciemności i wsłuchuję się w jej oddech, jak kiedyś w oddech Patty. Mojej siostry, której nikt nie może zastąpić.

Czasem się martwię, gdy ona mówi takie rzeczy, zwierzył mi się Robert.

Ona ma prawie trzynaście lat, odpowiadam. Odczuwa wszystko – strach, ból, radość – pięć razy intensywniej niż my. Za rok, dwa w jej świecie przestanie być tak gęsto od mrocznych, ekscytujących wizji.

Wyrośnie z tego.

To dobrze. Ale trochę szkoda.

PODZIĘKOWANIA

Dwóch moich kochanych i wiernych przyjaciół umożliwiło mi poświęcenie tej powieści niemal półtora roku, czego bez ich pomocy nie mogłabym dokonać. Są to Jim Dicke II i David Schiff. Nie po raz pierwszy jestem ich dłużniczką.

Gorące podziękowania należą się mojemu agentowi, Davidowi Kuhnowi, i jego zespołowi z Kuhn Projects, którzy tak dobrze i mądrze czuwają nad tym, co piszę. Jestem też wdzięczna Wayne'owi Beachowi, który przeczytał wczesny szkic mojej książki i udzielił nieocenionych rad podczas mojej pracy w Maine Media Workshop. Dziękuję również nietuzinkowej parze moich doradców w sprawie koszykówki, a są to: Juan Manuel Chavajay z San Pedro La Laguna w Gwatemali – człowiek, który, mając niecały metr sześćdziesiąt wzrostu, nieustraszenie stawia czoło każdemu mierzącemu ponad metr osiemdziesiąt Amerykaninowi na boiskach Lake Atitlán i prezentuje swój majański styl gry – i Paul Bamford, środkowy napastnik i gwiazdor drużyny w moim mieście rodzinnym w Oyster River High School, który objaśniał mi swój styl rzucania do kosza na długiej trasie z New Hampshire do Kalifornii.

Chcę wyrazić wdzięczność dla Virginia Center for the Creative Arts, dokąd trzykrotnie jeździłam pracować, gdzie byłam wolna od problemów życia codziennego, gdzie nic nie rozpraszało mojej uwagi, a dodatkowo po długim dniu pisania czekało na mnie dobre jedzenie, inspirujące i życzliwe towarzystwo artystów, pisarzy, fotografów i muzyków, no i pływanie o północy w basenie.

Teraz trochę o muzyce. Niemal każdy utwór literacki, który kiedykolwiek napisałam, ma wewnętrzną ścieżkę dźwiękową, grającą cicho w mojej głowie (lub ryczącą na cały regulator). Czasem jest to utwór instrumentalny, innym razem kilka różnych piosenek. W ciągu miesięcy, gdy jestem zaangażowana w moją historię, potrafię odtwarzać ją setki razy. Mogę odwoływać się do tej muzyki na kartach książki lub po prostu czerpać z nastroju, który niesie.

W przypadku tej powieści już od pierwszej strony wiedziałam, która

piosenka oddaje nastrój emocji, lęku i fascynacji seksem, który chciałam stworzyć. Ta piosenka była hitem numer jeden w roku 1979 – wtedy rozpoczyna się moja historia. To utwór *My Sharona* wykonywany przez zespół The Knack i napisany przez głównego wokalistę grupy, Douglasa Fiegera, i gitarzystę Bertonę Averre.

Douglas Fieger zmarł w 2010 roku w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Jego siostra, Beth Falkenstein, razem z Bertonom Averre wspomniały mi udzieliły mi prawa do wykorzystania w książce tekstu *My Sharona* – zładnie prostego i niesamowicie uwodzicielskiego hymnu, który fantastycznie oddaje palącą natarczywość seksualnej obsesji. Szkoda, że nie mogę podarować tej książki obu autorom tej piosenki. Mam nadzieję, że jej obecność na stronach mojej powieści pomoże przywołać atmosferę tamtego lata – tamtych czasów i epoki – i uczcić tych dwóch ludzi, którzy ją napisali.

W ciągu wielu lat mojej kariery literackiej (teraz już czterdziestu) zawsze najbardziej ceniłam sobie poznawanie i nawiązywanie przyjaźni z całą rzeszą czytelników, którzy wzbogacili moje życie i mój ogląd świata o tak wiele doświadczeń, których inaczej nie byłabym świadoma. Jeden z takich ludzi, który po raz pierwszy napisał do mnie ponad dziesięć lat temu, okazał się nieocenionym źródłem informacji i doradcą w tej historii. To detektyw Luke Daley (bardzo możliwe, że największy kibic Chicago Cubs) z wydziału zabójstw w Chicago. Gdy zaczęłam pisać tę książkę, uświadomiłam sobie, jak niewiele wiem o życiu policjanta. Przez te półtora roku, kiedy opisywałam historię mojego bohatera detektywa, co rusz zwracałam się właśnie do Luke'a Daleya nie tylko w sprawie drobnych, ale i zasadniczych szczegółów dotyczących ich zwyczajów (odkryłam, na przykład, że policjanci tylko w filmach noszą kabury na ramieniu; on nosił broń na kostce). Dzięki Luke'owi mogłam – mam taką nadzieję – pomóc czytelnikom zrozumieć, jak to jest mieć do czynienia dzień w dzień ze śmiercią i przemocą, przestępcami i ofiarami. Opis przesłuchania w wykonaniu mojego bohatera został oparty na tym, co opowiedział mi Luke Daley (i choćby ze względu na ten opis nie mam zamiaru nigdy łamać prawa; przynajmniej nie w stanie Illinois).

Chciałabym powiedzieć kilka słów o dwóch kobietach, od których dostałam coś, co dla pisarza jest najcenniejsze – pomysł na powieść. Mieszkając przez siedemnaście lat na zboczu góry Tamalpais, traktowałam ją

jako element codzienności – widok z okna i ziemię pod stopami, gdy wędrowałam po szlakach. Od kiedy tu zamieszkałam, pamiętałam jak przez mgłę, że kiedyś na tej górze, niedaleko mojego domu, doszło do serii morderstw. Ale dopiero dwie siostry – Janet Cubley i Laura Xerogeanes, które poznałam podczas jednego z moich całodziennych warsztatów literackich – podzieliły się ze mną historią ze swojego życia, w dużym stopniu rozgrywającą się na górze Tamalpais i w okolicy Zatoki San Francisco. Chociaż wiele autentycznych szczegółów owej sprawy różni się znacznie lub nawet całkowicie od opisanych w tej książce, ta część jest prawdziwa: ojciec Laury i Janet, detektyw Robert Gaddini, był szefem wydziału zabójstw hrabstwa Marin, w czasie gdy usiłowano złapać Zabójcę ze Szlaku, i prowadził dochodzenie w sprawie dokonanych przez niego zbrodni. Tak jak mój bohater, detektyw Gaddini poświęcił się sprawie całkowicie i obsesyjnie, i bardzo przeżywał śmierć każdej z ofiar.

Historia, którą opowiadam na tych stronach – choć to fikcja literacka – została bez wątpienia zainspirowana tą prawdziwą, którą podzieliły się ze mną niezwykle życzliwe i wspinałomyślne siostry Gaddini. Zapełniły grubą zeszyt szczegółami ze swego dzieciństwa w hrabstwie Marin. Janet, która przez całe życie grała w koszykówkę, podarowała mi zatwierdzony przez NBA model piłki do koszykówki (i cierpliwie zapoznawała z instrukcją jej użycia), a następnie zabrała mnie na podwórko za swoim domem i kazała synom bronić kosza przed moimi ani trochę niegroźnymi rzutami. To dzięki łagodnemu treningowi Janet zrozumiałam, jak to możliwe, że dziewczynka może się zakochać w koszykówce.

Chciałabym podkreślić, że w odróżnieniu od mojego fikcyjnego śledczego, detektyw Gaddini nigdy nie został skompromitowany ani odsunięty od sprawy. Jednak faktycznie to inne władze ostatecznie aresztowały Zabójcę ze Szlaku. Oskarżono go o pięć morderstw i skazano na odsiadkę w stanowym więzieniu San Quentin w Kalifornii. Wkrótce potem Robert Gaddini zmarł, choć miał niewiele ponad czterdzieści lat. Oficjalną przyczyną zgonu był rak płuc, ale jego córki i reszta rodziny (była żona Martha, córka Dana i syn Frank) uważają, że przygnoił go ciężar tej sprawy.

Do wykorzystania historii jego córek (a przynajmniej do wymyślenia historii o dwóch siostrach, które widzą, jaką cenę zapłacił ich ojciec detektyw za porażkę w ujęciu zabójcy), skłoniło mnie jedno wydarzenie z życia

prawdziwej starszej siostry, Laury Xerogeanes. Już jako dorosła osoba, wciąż jednak naznaczona piętnem, jakie te zabójstwa zostawiły na jej rodzinie, Laura postanowiła odwiedzić w celi śmierci człowieka znanego jako Zabójca ze Szlaku. Przez wiele lat po śmierci ojca odczuwała potrzebę, by spojrzeć mordercy w oczy, nie udało jej się jednak wyciągnąć od niego przyznania się do winy – to wszystko zainspirowało mnie do napisania tej książki.

Jako mieszkanka hrabstwa Marin – w epoce, kiedy udziałem tak niewielu dzieci są rozrywki niezaplanowane lub niebędące częścią jakiegoś harmonogramu – przeniosłam się w czasie do dzieciństwa (tak innego niż moje), w którym dzieci (nawet dziewczynki!) były zostawione same sobie i kreowały własny świat, pełen szalonych, a czasem niebezpiecznych przygód. Wzruszyła mnie miłość sióstr do ich niewolnego od wad i bardzo ludzkiego ojca, a przede wszystkim ich wzajemne oddanie – które wciąż trwa w dorosłym życiu – sobie nawzajem. Prawdę mówiąc, właśnie tę historię najbardziej pragnęłam zgłębić w tej powieści: historię dwóch mocno związanych ze sobą sióstr.

Dziękuję bardzo zespołowi z William Morrow, szczególnie Emily Krump i Benowi Brutonowi, którzy oddają moje książki do publikacji i do rąk, które właśnie trzymają ten tom, rąk najważniejszego człowieka – czytelnika. Przede wszystkim wyrażam najgłębszy szacunek i ogromną wdzięczność mojej wydawczyni, Jennifer Brehl, która wymaga ode mnie więcej, niż moim zdaniem potrafię z siebie dać, i zmusza mnie do odkrywania, że jednak to w sobie mam. Pod okiem żadnego innego redaktora nie pracowałam ciężiej ani nie byłam przy tym szczęśliwsza.

Na koniec dziękuję człowiekowi, który jest najlepszym doradcą, nawet gdy nie praktykuje prawa, i wysłuchiwał mnie w środku nocy minimum kilkadziesiąt razy – gdy poczułam potrzebę sprawdzenia na nim kolejnego potencjalnego scenariusza rozwiązania tej sprawy, jeszcze jednego pomysłu na to, jak dwóm dziewczynkom w wieku lat jedenastu i trzynastu może się udać pokonać seryjnego mordercę – i który zawsze mnie zapewnia, że przejdę przez ciemny las i wyjdę na słońce: Jimowi Barringerowi, z całą moją miłością.

- [1] Nancy Drew jest bohaterką cyklu powieści dla młodzieży autorstwa Carolyn Keene; na ich podstawie powstały również filmy.
- [2] Larry Bird – amerykański koszykarz grający w lidze NBA, mistrz olimpijski z 1992 r.; jeden z najwybitniejszych graczy w historii NBA.
- [3] Jerry Garcia – gitarzysta i wokalista amerykański, lider grupy Grateful Dead.
- [4] Paul Michael Glaser – amerykański reżyser i aktor; w latach 70. gwiazdor popularnego serialu kryminalnego *Starsky i Hutch*.
- [5] *Valley View* (ang.) – widok na dolinę.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz